

(...) KTÓŻ WIĘC ODPOKUTUJE
ZA JEGO PRZEWINIENIA?

Syr 28,5

Autor bestsellerowej
powieści

GRZECH

POWITA



MAX CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

POKUTA

FILIA

*Moim Babciom i Dziadkom,
z wyrazami najgłębszej wdzięczności
za wszystko. A przede wszystkim za wspomnienia.*



Krwią splamione są wasze dłonie,

a palce wasze – zbrodnią.

Wasze wargi wypowiadają kłamstwa,

a przewrotności szepce wasz język.

Iz 59, 3

Lamentuj, Cheszbonie,

bo nadchodzi niszczyciel.

Krzyczcie, osiedla Rabba,

przepaszcie się pokutnymi worami,

narzekajcie, biegajcie naokoło

z nacięciami na ciele.

Jr 49, 3

Przygotujcie rzeź dla jego synów

z powodu niegodziwości ich ojca.

Iz 14, 21

Nie kocha syna, kto różgi żałuje,

kto kocha go – w porę go karci.

Prz 13, 24

4 STYCZNIA

1

Droga z chłodni do sali sekcyjnej nie była długa. Kilka metrów nieco zbyt ciemnego korytarza, kilkadziesiąt szarych terakotowych płytek, zakręt pod łagodnym kątem, aby można swobodnie przepchnąć stół z ciałem, i to wszystko. Docierało się na miejsce.

Finalne pomieszczenie stanowiło sześcian o niemal równych, około czterometrowych bokach. Ściany wyłożono lśniącymi, trupio bladymi kafelkami, z których przy podłodze część była pokruszona lub popękana. Najwidoczniej napięcia starego budynku nie mogły znieść ich wyszorowanej doskonałości.

Z sufitu zwisała podłużna, przesuwana lampa jarzeniowa emitująca białe, intensywne światło. Pomiędzy dwiema metalowymi szafkami na narzędzia znajdował się aluminiowy zlew. Gabarytowo odbiegał od powszechnych wyobrażeń o zlewach, bo z powodzeniem można by w nim wykąpać kilkuletnie dziecko. Do tego czasem zresztą służył. Jednak to nie on stanowił dominujący sprzęt pomieszczenia. Ten znajdował się idealnie pośrodku, pod lampą i nad przerdzewiałą kratką odpływową wmontowaną w podłogę.

Stół sekcyjny wykonany z kwasoodpornej stali nie był cudem techniki. Posiadał co prawda nadstawki na narzędzia i organy, rynienki służące do odpływu skroplin oraz dźwignię regulującą wysokość, jednak w porównaniu do najnowszej oferty stanowił przeżytek. Brakowało choćby autonomicznej wanny pod blatem, zlewu i wieszaka na rolkę papieru. Tak, technika podsuwa pod ręce to, co dawniej instalowano w promieniu kilku kroków. Stół sekcyjny stawał się miniaturową salą. W niektórych modelach montowano nawet wodoodporne gniazdka elektryczne i systemy wentylacyjne. Chociaż do chwili otwarcia trupa wokół unosiła się przede wszystkim woń środków dezynfekcyjnych.

Jednak wkrótce ten duszący, świeży zapach miał ukryć się w najdalszych kątach pomieszczenia.

Standardowym rynsztunkiem, którego nie mogło zabraknąć, stanowiła podkładka pod ciało. Umieszczono ją pod plecami denata, by wypychając do góry jego klatkę piersiową, ułatwiała cięcia korpusu.

Oględziny zewnętrzne doktor Gawiński przeprowadził w kilkanaście minut. Zabezpieczył odzież, dokonał niezbędnych pomiarów, wreszcie wyjątkowo wnikliwie przyjrzał się plamom opadowym. Najbardziej widoczne znajdowały się na pośladkach, udach oraz stopach zmarłego. Nic dziwnego. Po śmierci mężczyzna został przywiązany do krzesła, skrępowany i pozostawiony w tej pozycji przez kilka... Nie, raczej kilkanaście godzin.

Plam pośmiertnych, *livores mortis*, nigdy nie należy bagatelizować. W tym wypadku stanowiły fioletowosine (co wykluczało niektóre zatrucia) przebarwienia utworzone przez krew, którą po zatrzymaniu krążenia grawitacja ciągnęła ku ziemi. Wykształciły się już po dwóch, trzech godzinach od chwili zgonu. Czasem podobne zaczerwienienia występują w momencie agonii – zwie się je wtedy różami cmentarnymi, ale nie o ten przypadek chodziło.

Doktor Gawiński nacisnął skórę denata w kilku losowo wybranych miejscach. Przebarwienia nie zbladły ani się nie przemieściły, co precyzowało wcześniejszą teorię o czasie zgonu. Po kilkunastu godzinach od śmierci ściany naczyń stają się przepuszczalne, krew przesiąka do okolicznych tkanek i nasycza je jak płyn do mycia naczyń gąbkę. I tak jak płynu z gąbki nie daje się z nich usunąć samym naciskaniem.

Lekarz o smutnej szurzej twarzy pogrzebał w przegrodzie z narzędziami. Jak zwykle asystujący mu technik miał niewiele roboty. Operował kranikiem, gumowymi wężami, a tylko wyjątkowo podawał sprzęty, które znajdowały się dalej niż w zasięgu kroku od stołu sekcyjnego. Poza tym mógł uważnie przyglądać się wzorowo przeprowadzanej autopsji.

Pierwszy etap stanowiło otwarcie jamy czaszkowej. Dla wielu adeptów pośmiertnej chirurgii jest to zarazem etap najtrudniejszy. Przecięcie powłok miękkich następuje za małżowinami usznymi i jest prowadzone w kierunku czubka głowy. Przedni płat skórny naciąga się na twarz, a tylny na kark denata, po czym należy zeszkrobać przyczepy mięśni skroniowych. To nie jest skomplikowane. Pewnej wprawy wymaga jednak spiłowanie kości sklepienia czaszki w taki sposób, by dostać się do środka, a zarazem nie naruszyć opony twardej – zewnętrznej błony opatulającej mózg.

Gawiński mógłby tego dokonać z zamkniętymi oczami. Wprawa czyniła rzeźnika. Rzeźnik czynił cięcia.

Ostrze elektrycznej, kołowej piły zatrzeszczało, wrzynając się w kość. Gdyby nie to, że wszyscy zebrani mieli rozsmarowaną pod nosami mentolową maść Wick, poczuliby teraz woń podobną do tej unoszącej się w gabinetach dentystycznych. Był to przy tym jeden z najmilszych zapachów, jakie można poczuć w prosektorium.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – mruknął Gawiński, poprawiając ubrudzoną już rękawiczkę. – Żadnych niespodzianek.

Technik milczał. Mechanicznym ruchem podsunął lekarzowi metalową misę na organy.

Oddzieleniu kości od mózgu towarzyszyło lepkie cmoknięcie. Dźwięk przypominał przelotny, nieczuły pocałunek, jakim obdarzają się dobrzy znajomi. Otwarcie zatoki strzałkowej przebiegało natomiast w niemal absolutnej ciszy. Znajdowało się w niej trochę krwi płynnej oraz niewielki zakrzep, co odpowiadało ogólnemu obrazowi sytuacji, musiało to jednak trafić do protokołu.

Przez następne trzy i pół minuty Gawiński rozplątał oponę twardą, opisał stan opony miękkiej oraz półkul mózgu, po czym odciął właściwe naczynia, nerwy i rdzeń przedłużony. Wyciągnięcie mózgu to bułka z masłem. Wystarczyło jedną ręką uchwycić galaretowaty organ za część potyliczną, drugą za część czołową i delikatnie pociągnąć. Z profesjonalnego obowiązku

patomorfolog złożył mózg do naczynia z ośmioprocentowym roztworem formaliny. Jego zbadanie zwyczajowo, wbrew kanonom sztuki, pozostawił na sam koniec. *Per il gran finale*.

– Przystępujemy do odpreparowania powłok szyi i klatki piersiowej – oznajmił beznamiętnie. – Otworzona zostanie jama brzuszna.

Odwrócił się w stronę posiwiałego mężczyzny siedzącego na wózku inwalidzkim. Józef Dycz, okrzyknięty przez media Cztery Iksem lub Zabójcą w Sutannie, oddychał przez usta. Jego wysokie blade czoło pokryła perlista warstwa potu. Policzki zapadły się, a czarne oczy zastygły utkwione w stole sekcyjnym. Szyję miał obwiązaną bandażem, pod którym upchnięto grubą warstwę opatrunków. Oblizwał usta.

Wózek ustawiono na prowizorycznie zmontowanej rampie, tak by Dycz mógł obserwować to, co się dzieje na stole. Dogodnie i wyraźnie. Tak jak to miał w zwyczaju. Mimo to co chwila odwracał wzrok.

– Niech Bóg odpuści wam wasze grzechy – wycharczał, przytrzymując palcem skraj gazy. – Niech wam Bóg wybaczy...

2 STYCZNIA

2

Pociągnięcie spustu było diabelnie kuszące. Jedna chwila, jedno kliknięcie i rozwiązałyby się wszystkie problemy. No, prawie wszystkie. Eryk Deryło, bijąc się z myślami, pieścił cyngiel. Ból w boku nakręcał furię jak mechanizm budzika. Jego dzwonek już dawno rozbudził i wyostrzył wszystkie zmysły. Z żądzą zemsty na czele. Komisarz miał przed sobą sukinsyna, który porwał mu córkę, publicznie go wykpił, a wreszcie zmusił do grzebania w świeżo zaszytej ranie. Spomiędzy rozerwanych nici nadal ciekła krew i wysięk. Czuł ich ciepło przylepiające koszulę do ciała. Czuł mrowienie bólu rozchodzące się w dół aż po udo.

Powinien się spieszyć, nim opuszczą go siły.

Powiódł latarką trzymanego w lewej dłoni telefonu. Teraz światło padało na białą, ceramiczną maskę okrywającą twarz mężczyzny w ciemnej szacie i odbijało się od kawałeczków lustra weneckiego tkwiących w miejscu, gdzie powinny być oczy. Wreszcie ginęło w mroku kątów ceglanego pomieszczenia.

Zamaskowany klęczał. Przekręcił głowę, jakby nie dowierzał, że Deryło mógłby wystrzelić.

– Nigdy sobie nie wybacysz. – Szkiełka skierowały się wprost na policjanta. – Nigdy.

– Zamknij się!

W ułamku sekundy zamaskowany wyciągnął zza pleców nóż. Nim Deryło zdążył się poruszyć, wbił go sobie w szyję. Strumyczek krwi wypływającej na śnieżnobiałą koloratkę miał smolisty odcień. Ściągał uwagę komisarza i przyprawił go o zimny dreszcz.

A dreszcz mógł spowodować bezwiedne zaciśnięcie palca na spuście.

Zamiast wystrzelić, Deryło dopadł do osuwającego się ciała. Odrzucił na bok nóż i przyklęknął. Przyłożył dłoń, by sprawdzić, jak intensywny jest krwotok. Nogi mężczyzny drgały, szurając na posadzce.

– To ja – wycharczał, starając się nabrać tchu. – To ja... miałem zostać Judaszem.

Krew sączyła się dość obficie, lecz była zbyt ciemna i gęsta, by mieć swoje źródło w tętnicy. Mimo to komisarz przycisnął do rany skraj szaty. Chciał strącić z twarzy mężczyzny maskę, ale nigdzie nie mógł znaleźć zapięcia. Wydawało się, że została na stałe przytwierdzona do jego skóry.

Albo była jego skórą.

Budzik adrenaliny rozsadzał Deryle mózg. Po raz kolejny w ciągu ostatnich minut zerknął na telefon. Zero kresek zasięgu jeszcze o niczym nie przesądzało. Sto dwanaście korzystało z uprzywilejowanej pozycji. Sieć abonenta mogła być głucha jak pień, ale wykorzystywano wtedy wszelkie inne dostępne pasma. Oczywiście, o ile jakiegokolwiek dało się odebrać.

Jeszcze raz sprawdził, czy telefon namierzy jakiś nadajnik i połączy go z numerem alarmowym. Gówno. Odpowiedziała mu martwa cisza...

Odłożył komórkę i pochylił się nad rannym mężczyzną. Cztery Iks rzeził. Jego pierś szybko falowała pod zwojami długiej szaty. Podkulił nogi i chciał się odwrócić.

– Mam nadzieję, że przeżyjesz, skurwysynu – syknął Deryło. – A nawet jeśli zdechniesz, gówno mnie to obchodzi.

Przycisnął dłoń do boku i ostrożnie się wyprostował.

Z całej siły kopnął leżącego tak, że czubek buta wbił się w miękkie podbrzusze. Zamaskowany jęknął i zwinął się wół. Wtedy Deryło wymierzył mu jeszcze dwa kopniaki w okolice krocza. Przed kolejnym powstrzymał go gwałtowny skurcz boku. Na moment znieruchomiał. Wiedząc, że nie powinien zwlekać, chwycił leżącego za kark i zaciskając palce, zmusił go do podniesienia się na kolana.

Brutalnie wbił mu w plecy rewolwer, a telefon wsunął sobie za pasek.

– Idziemy! – W nagłym przyptywie siły niemalże przeciągnął mężczyznę po kamiennej posadzce.

– Zamieniliśmy się miejscami, co?

Dyszając, przemierzał kolejne metry piwnicznego korytarza. Kolana wleczonego uderzały o kamienne podłogę. Starał się podnieść, lecz szarpany przez Deryłę pełzał na czworakach.

Światło telefonu omiatało boczne zaułki i przejścia jak stroboskopy rozwieszony w domu grozy. Wreszcie znaleźli się w sali, z której Cztery Iks uczynił swoją makabryczną scenę. Przy drewnianym stole tkwił rząd udręczonych osób. W mroku wszystkie zdawały się jedynie bezwładnymi lalkami, lecz słysząc było ich pojękiwania. Co najmniej trójka z uprowadzonych wciąż żyła. Kneble w ich ustach hamowały krzyki przerażenia.

Deryło pchnął zamaskowanego na podłogę. Nie zważając na bełkotliwe rżenie, chwycił go za kostkę i brutalnie przeciągnął ku metalowej obręczy. Z wygiętej stopy zsunął się czarny, trumienny lakier. Kopnął go na bok.

Przykuł zabójcę do tego samego łańcucha, którym niedawno sam był spętany. Upewnił się, że zamek kajdan jest zamknięty, i schował kluczyk. Jeszcze raz szarpnął za metalowe ogniwa. Skoro wytrzymały jego próby oswobodzenia, wytrzymają również wierzganie znacznie węższego Cztery Iksa.

I oby nie było to wierzganie człowieka w agonii. Bo mimo wszystko wołał, żeby ten kutas przeżył.

Nie oglądając się, ruszył w głąb korytarza. W płucach paliło go od wysiłku, a ból w boku promieniował już niemal do stopy. Napinane mięśnie musiały rozchyłać ranę niczym główka dziecka przy porodzie.

Piękne skojarzenie.

Skupiony na cierpieniu nie zauważył, że przy stole brakuje jednego z ciał. Schował

rewolwer do głębokiej kieszeni i wyciągnął zza paska telefon. Latarka oświetliła długi, wilgotny tunel. Trzymając się za bok, parł w stronę wyjścia. Odprowadziły go stłumione kneblami krzyki nastolatków i uderzenia ich stóp o podłogę. Nie miał czasu się nimi zajmować. Ich życiu nikt już nie zagrażał.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Ciemny korytarz przypominał te, o których wspominają pacjenci wyrwani z objęć śmierci klinicznej. Rozszerzał się i zwężał. Na jego końcu żarzyła się ciepła iskierka jasności. Tym razem jednak przed komisarzem nie otwierały się podwoje raju. Przeciwnie, wynurzał się z piekła i trafiał na ziemię.

Na telefonie zapulsowała pierwsza kreska zasięgu. Wreszcie. Zatrzymał się, nie chcąc niepotrzebnie tracić sił. I tak zaraz musiał zawrócić, by strzec samego szatana.

Wybrał numer.

– Dyspozycja ratunkowa, słucham?

Udało się.

3 STYCZNIA

3

Józef Dycz został przetransportowany do szpitala wojewódzkiego dokładnie o drugiej pięćdziesiąt sześć w nocy. Związany pasami miał nie stanowić żadnego zagrożenia dla personelu. Ponadto stracił jakąkolwiek możliwość ucieczki. Jednak na wszelki wypadek, wbrew protestom sanitariuszy, został skuty i przydzielono mu niehonorową asystę dwóch policjantów. Przemierzając kolejne zaułki szpitala, podążali za nim jak cienie.

Już w ambulansie ratownicy zdjęli mu z twarzy maskę. Składała się z dwóch części, dzięki czemu tak doskonale okrywała głowę. Nie miała przy tym żadnych zewnętrznych zaczepów. Ktoś znający się na rzeczy powiedziałby, że to kawał mistrzowskiej roboty. Kawałki lustra weneckiego zostały doskonale zeszlifowane i przytwierdzone do ebonitowych prowadnic. Zapewniały naprawdę szeroki kąt widzenia. Modyfikator głosu był uruchamiany przez przesunięcie językiem. Majstersztyk godny planu wysokobudżetowego filmu.

O ile łatwiej by było, gdyby Iks stracił przytomność. Jednak ten bez przerwy, z pogardliwym uśmieszkiem, śledził poczynania wszystkich wokół. Rewanżował się tym, co spotykało jego samego. Nie wyglądał na przerażonego. Był spokojny i skoncentrowany. Rysy jego twarzy napięły się, skóra lekko pobladła, lecz nadal pozostawał podstarzałym mężczyzną, którego mordercze instynkty mogły zdradzić jedynie niepokojące oczy. Bez okularów i szklistej przesłony wydawały się dziwnie okrągłe i małe, a czarne jak smoła tęczówki nieproporcjonalnie szerokie. Poruszały się powoli, wodzone zaprogramowanymi ścieżkami. Góra – dół. Lewo – prawo. Niczym u przerażającej mechanicznej zabawki, której tryby nie pozwalają na inne konfiguracje.

Aspirant Andrzej Brzeski i policyjny profiler Miłosz Tracz dotarli pod drzwi sali opatrunkowej dokładnie w chwili, gdy lekarz przecinał bandaż. Pierwszy wiedziony był służbowym przymusem, drugi profesjonalnym zaciekawieniem. Obaj, krążąc po korytarzu,

czekali na rozwój wydarzeń.

W międzyczasie Brzeski dwukrotnie kontaktował się z kliniką, do której przewieziono ранego Deryłę. Znajomy lekarz niby go uspokoił, zapewniając, że komisarz tylko podkrwawia jak dziewczynka z pierwszym okresem, ale mimo to miał wyrzuty sumienia. Wszystko przez idiotyczne skojarzenia. Dwóch funkcjonariuszy pilnowało Cztery Iksa, a Deryło tkwił tam samotnie jak wyrzutek społeczeństwa. Do tego stanowczo zabronił informować swoją rodzinę. Żony gliniarzy musiały się pogodzić z nocnymi akcjami i kropka.

W chwili gdy Brzeski był gotów przywołać w swoje zastępstwo kogoś z sierżantów, otworzyły się drzwi gabinetu zabiegowego. Ze środka wyszedł niski lekarz o twarzy boksera. Biorąc pod uwagę płaski nos i kwadratowe rysy, można by uznać, że jego czaszka jest sześcienne. Dosłownie jak pudełko po mikrofalówce albo duże opakowanie proszku. Mężczyźni uściśnieli sobie ręce.

– Poharatał się jak gówniarze, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę. – Doktor nie tracił czasu na zbędne wywody, a co ważniejsze, nie silił się na medyczny bełkot. – Płytkie cięcia, ale dużo krwi. Dobrze wiedział, jak to zrobić.

Brzeski ciężko sapnął. Nie było w tym ani ulgi, ani radości.

– Czyli jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo?

– O ile nikt mu zaraz nie pogłębi tej rany, to nie.

– Kiedy będzie można go przesłuchać?

Krępe, bokerskie ramiona uniosły się w górę.

– Z medycznego punktu widzenia, nie ma ku temu już żadnych przeszkód. Z całą pewnością jest osłabiony, ale to wszystko.

– Możemy zabrać się za to natychmiast? – Brzeski zerknął w głąb korytarza. – Będę chciał zorganizować transport...

– Dajcie mi panowie tylko kilka minut. Pielęgniarka sprawdzi opatrunki, ja wypiszę dokumentację i dostaniecie go do pogadania.

– Gdzieś na uboczu?

– Zorganizuję wam dwuosobowy pokój i serwis śniadaniowy.

Lekarz, kręcąc głową, wrócił do gabinetu. Zostawił za sobą zapach ciężkich perfum zmieszanych z aromatem środków dezynfekcyjnych. Nic przyjemnego.

Brzeski i Tracz wymienili wymowne spojrzenia. Profiler potarł dłonią szczeniasty, rudy zarost i włożył dłonie do kieszeni. Miał pewien plan, ale spodziewał się trudności w realizacji. Procedury policyjne były jak bagno. Kiedy raz się w nie zanurzyło, wyrwanie się graniczyło z cudem. Niezbędna stawała się pomoc z zewnątrz. A aspirant nie stanowił łatwego kąska dla nagabujących do buntu przeciw okowom systemu. Jednak z pewnością był człowiekiem racjonalnym. A racjonalność zawsze prowadzi do konkretnych wątpliwości. Po pierwsze, że Cztery Iks uprowadził więcej osób, niż odnaleziono w kamienicy. Po drugie, że mógł nie działać sam.

Obaj zdawali sobie z tego sprawę.

– Muszę z nim porozmawiać – ubrał głos w szaty katorżniczego przemęczenia. To zawsze sprzyjało psychicznej wiarygodności.

– Zawracanie dupy. – Brzeski najwyraźniej nie był nazbyt podatny na podobne sugestie. – Powinniśmy go jak najszybciej przesłuchać i niech ta gnida Malczewski zajmie się formalnościami.

– Zabiorę wam tylko chwilę. Chcę wy badać grunt, ocenić ewentualne straty i spadam stąd. Chodzi o możliwości...

– Nie sądzę, żebyśmy mieli ich zbyt wiele.

– Ale tego nie wiemy. W jakiś sposób musimy go podejść i zmusić do gadania.
– Po to jest przesłuchanie. – Opór Brzeskiego mimo wszystko topniał. – Niby czym się różni...

Tracz nie pozwolił mu skończyć.

– Nie interesuje mnie co, gdzie i jak – parsknął. – Chcę sprawdzić pewną teorię.

– Co to za cholerna teoria?

Profiler wyjął dłonie z kieszeni i subtelnie je obrócił, jakby chciał sprawdzić, czy przy paznokciach nie zgromadził się brud. Przybrał pozę pełnej szczerości.

– Kiedy analizowałem jego zachowanie, sposób działania i specyfikę doboru ofiar, dostrzegłem pewne niespójności – wyjaśnił. – Mogą mieć rozmaite podłoże, ale wolałbym się przekonać.

Brzeski nadal się opierał.

– I tak zajmą się nim psychiatrzy.

– Dopiero po wniosku prokuratora...

– Ustalą wszystko, co trzeba...

– Będą mieć osiem tygodni – spokojnie wyłożył Tracz. – A czy ktokolwiek uwięziony przeżyje przez osiem tygodni?

Komisarz Deryło napiął mięśnie karku. Leżał wyciągnięty na twardym materacu i zadzierał głowę. Nie w sposób zarozumiały, niczym Benito Mussolini na wiecach, ale tak, by podejrzeć, co się z nim właśnie wyczynia. Medycy zawsze mieli upodobania do wsadzania paluchów w nie swoje sprawy. A rana w jego boku zapewne bardzo do tego zachęcała.

Przynajmniej go nie bolało. Miejscowe znieczulenie zamieniło odkażanie w zwykłą płukanekę, a ponowne zszywanie obserwował jak zawiązywanie kawałka mięsa przed włożeniem do piekarnika. Lekarz kazał mu zamknąć oczy, ale on i tak kontemplował jego precyzyjną koronkarską robotę. Wreszcie odwrócił wzrok w obawie, że doktorowi zadrży dłoń. Wołał uniknąć przyszcicia fałdy zbędnego tłuszczu do biodra. W ogóle w szpitalnym otoczeniu naszła go myśl, że powinien się odchudzić.

Jakby nie miał lepszych tematów do kontemplacji. Psia mać.

W zasadzie powinien być z siebie zadowolony. Udało mu się schwytać najbardziej bezwzględnego z polskich seryjnych zabójców. Przynajmniej od czasów Wampira z Zagłębia. Dziesiąta część zgromadzonych dowodów wystarczyłaby, żeby wtrącić sukinsyna do kicia. Dziesiąta część czynów, o które zostanie oskarżony, wystarczyłaby na przyklepanie najwyższego wyroku.

Lekarz skończył robotę, odciął nić i otarł osocze, którego kropla jeszcze wyciekła zza szwów.

– Gotowe – oznajmił, odchodząc od łóżka. – Siedem dni bez nadmiernego wysiłku i będzie w porządku.

– Marzę o siedmiu dniach na dupie.

– W tej firmie spełniamy marzenia. Zaraz wypiszę zwolnienie.

Deryło podniósł się i usiadł na skraju materaca. Nadal nie czuł żadnego bólu. Może

gdzieś głęboko, w środku? Nie był pewny.

– Nie, nie – zaprotestował, wsuwając stopy do butów. – Żadnych zwolnień, to będzie...

Kiedy opuścił się z łóżka, poczuł, że zdrętwiały mu nogi, a oba kolana trzasnęły. Pięknie. Już nie tylko chodziło o odchudzanie, ale właśnie rozpadał się żywcem.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że uczucie zdrętwienia prawego uda powoduje wibracja komórki. W tłumencie izby nawet jej nie słyszał. Głuchota.

Wykonał przeproszający gest w stronę lekarza i kuśtykając, poczłapał w róg pomieszczenia. Dzwonił Brzeski.

– Żyje? – zapytał, przyciskając telefon do ucha.

– Niestety tak.

– Stety. Jakby po drugiej stronie nie było niczego, toby zaliczył za szybkie wakacje.

– A tak, co? – parsknął aspirant. – Pogra za naszą kasę na playstation? Nażre się?

– W pierdlu umilą mu życie.

– O ile nie zrobi z siebie świra. To znaczy, z całą pewnością to cholerny świr, ale w ośrodku będzie miał dom-cholera-szczęśliwego-cholera-seniora.

Ostatnią zbitkę słów Brzeski wypowiedział na wydechu. Po chwili się zreflektował i na powrót przybrał formalny ton.

– Przepraszam za to pieprzenie – odchrząknął znacząco. – Jak się ma pan komisarz?

– Po japońsku. Jako tako. Zbieram swój zadek i jadę odpocząć.

– W pełni zasłużenie... A przy okazji ma pan pozdrowienia od naszego profiler.

– Tracza? Co on tam robi?

– Usilnie stara się porozmawiać z Cztery Iksem. – Aspirant ściszył głos. – Ma jakieś tajne teorie, ale wie pan komisarz, jak to z nim jest.

Deryło wiedział.

– Lepiej wyduś z niego, co to za teorie, nim adwokaci tego gnoja zrobią z nich użytek.

– Obiecał, że niczego nie skomplikuje. Twierdzi, że mogą być inne uprowadzone osoby...

– A może jeszcze zażyczyliście sobie zgody na piśmie?

Brzeski westchnął. Przez chwilę słysząc było odgłosy toczącej się na drugim końcu linii rozmowy.

– Halo? – Deryło zaczął się niepokoić. – Jesteś tam, do diabła?

– Tak, przepraszam – aspirant znów mówił normalnym tonem. – Tracz dopytuje, co się stało w tej piwnicy. Chce choćby zarysu sytuacji, żeby móc...

– Daj go do telefonu.

Już w karetce Deryło złożył skrócony raport. Jednak nie miał wątpliwości, że ten na parę godzin utknie w gąszczu procedur. Poza tym telefon Brzeskiego nie był tylko kurtuazyjny. Domyślił się, że do jego wykonania namówił go właśnie profiler. Widocznie zdawał sobie sprawę, że komisarz, oględnie mówiąc, traktuje go z rezerwą. Kiedy przywitał się z Deryłą, nie ukrywał zmieszania. Pał diabli. Rzeczywiście lepiej jak najszybciej rozgryźć sukinsyna. Jeżeli ten gnój miałby trafić do wariatkowa, wołał o tym wiedzieć już teraz.

Pokrótce opowiedział o ostatnich godzinach. O skrepowanych przy stole ofiarach, sposobie, w jaki zostały zamordowane, i o tym, co usłyszał od Cztery Iksa. Wydało mu się to istotne.

– Ten popapraniec miał słabą mowę końcową – mruknął. – Może to cię zainteresuje.

– To znaczy? – Profiler natychmiast rzucił się na podrzycony trop.

– Nim poderżnął sobie gardło, powiedział, że to on chciał zostać Judaszem. Rozumiesz coś z tego?

– A to ciekawe...

Nie mylił się. W głosie Tracza wyczuł podekscytowanie.

Dwuosobowy pokój okazał się klitką oddzieloną parawanem od apokaliptycznej otchłani izby przyjęć. Serwis śniadaniowy stanowiła kroplówka sącząca się do żyły leżącego mężczyzny. W karetce zdarto z niego maskę, a na szpitalnych salonach rozcięto czarną szatę i zakrwawioną koloratkę. Obie leżały teraz w foliowym worku, czekając na odbiór przez policyjnych techników.

Cztery Iks był okryty cienkim prześcieradłem, a przez jego pierś i biodra poprowadzono skórzane pasy. Metalowe klamry ściągały je z dala od rąk. Obwiązujący szyję bandaż miał niewiele bielszy kolor od jego skóry, choć poznały go smużki krwi. Upchnięte gaziki poruszały się w rytmie spokojnego oddechu.

Kiedy Tracz zbliżył się do łóżka, oczy leżącego obróciły się mechanicznie po wytyczonej ścieżce lewo-prawo i zastygły w zaciekawieniu. Błady, różowawy kawał mięśnia będący językiem prześlizgnął się po górnej wardze. Nawilżył ją i natychmiast schował się za linią paliczkowatych zębów.

– Chciałem, żeby rozpięto te pasy... – odezwał się Tracz. – Powiedziano mi, przepraszam za wyrażenie, że chyba ocipiałem.

Wcale nie przepraszał. Powiedział to z pełną premedytacją. Przynęta rzucona na pozorne seksualne zapędy chorego umysłu. Jednak tym razem musiał ją ściągnąć bez sukcesu. Cztery Iks nawet się nie odezwał. Mimo to nadal patrzył na niego z zainteresowaniem. Początki bywały najtrudniejsze.

– Alternatywą mogłyby być kajdanki – ciągnął profiler – ale gdyby ich użyto, musielibyśmy rozmawiać na odległość.

Nadal cisza. Nieznośna, pełna napięcia i zbyt długa. Przerwał ją dopiero wybuch kaszlu policjanta stojącego przy parawanie. Odgłosy dobiegające z oddziału ratunkowego stanowiły jedynie szumy w mistycznym tle. Zdawało się, że dobiegają z całkiem innego, odległego świata.

– Pan Miłosz Tracz, prawda?

Wypowiedziane szorstkim, ochrypłym głosem słowa zmroziły Tracza. Z pełną koncentracją starał się nie dać tego po sobie poznać. Zaskoczenie nie było negatywną emocją. Jednak strach zdradzał słabość. Stawiał na niższej pozycji. Ośmieszał. Tylko że jeżeli twoje imię i nazwisko wypowiada seryjny zabójca, który nie miał prawa ich znać, trudno się powstrzymać.

– Zgadza się – odparł nieco zbyt cicho. – Skąd pan mnie zna?

Józef Dycz nie odpowiedział od razu. Kilka spokojnych oddechów uniosło prześcieradło, a jego palce wygrały na materacu jakąś melodię.

Pam-pam-pampam-pam.

– Artykuł do „Pol-skie-go Przeglądu Psycho-logicz-nego” o usta-laniu cech immanent-nych oso-bowości – zakomunikował w rytmie uderzeń. – Załączono zdjęcie.

– To było prawie przed dwoma laty...

– Domyślam się, że nie przyszedł pan porozmawiać o stanie mojej pamięci?

– Chciałem zadać kilka pytań na zupełnie inny temat.

– A ja mogę na nie odmówić odpowiedzi.

Cztery Iks odsłonił zęby. Małe, trójkątne kły pokrywała ślina. Po ułamku sekundy zamknął usta i wessał wargi. Dziurki nosa rozciągnęły się, odkrywając pojedyncze włoski.

– Oczywiście, że pan może. – Tracz postanowił grać ugodową kartą. – To nie jest przesłuchanie...

– A co?

– Hmm... Powiedzmy, że rozmowa z ciekawości.

– Coś jak poznawanie dewianta za życia? – zapytał Iks teatralnie urażonym tonem. – Bez krojenia jego mózgu na kawałeczki? Czy raczej jak oglądanie karła w cyrku? Na żywo?

– Nie chciałem pana obrazić.

– To zbyt banalne... Niech pan sobie daruje pogadankę okrągłymi hasłami.

– Nawet takiej nie planowałem.

Dycz westchnął.

– Skoro i tak jestem uwiązany, a jak sądzę, przed wyjazdem więźniarki trzeba wypełnić milion formularzy, posłucham pana. Śmiało. Może napisze pan o mnie do „Przeglądu Psychologicznego”. To byłby chyba dobry temat? Sądzę, że ludzie interesują się zwyrodnialcami.

– Chcę się jedynie dowiedzieć kilku rzeczy. To zwykła zawodowa ciekawość.

Doprecyzowanie stanowiło istotną część interakcji. Pozorne wzburzenie polegało na intuicyjnym wyczuciu możliwości takiego zachowania. Dla czystości wzajemnych stosunków należało wyjaśnić, że nie było ku niemu podstaw. Tyle mówiły podręczniki.

Rzeczywistość przedstawiała zupełnie inny obraz. Zamiast rozmazanego pacjenta na kozetce przed profilerem leżał skrępowany seryjny zabójca. Ot, drobny szczegół.

– Panie Tracz... – Iks zrobił wymowną pauzę. – Przyszedł pan porozmawiać o mnie – znowu pauza. – Więc może miło by było, gdybyśmy najpierw rozmawiali o panu?

– Nie sądzę, żeby to było ciekawe.

– I vice versa. Obaj możemy być piekielnie nudni – pauza. – Jakie miał pan dzieciństwo, panie Tracz? – Spokojne, miłe? A może przeciwnie?

Nagle oczy Dycza zmieniły wyraz. Zamiast po utartych liniach poruszyły się łagodnie, tak jak spogląda zmęczony człowiek. Wyrwanie się poza mechaniczne ścieżki stanowiło coś niespodziewanego. Normalność w tym ułamku sekundy stała się niepokojąca. Tracz natychmiast to odnotował.

– Jeszcze przyjdzie czas na dobrą zabawę – Cztery Iks odezwał się beztroskim tonem, jakby rozmawiali o wspólnym wypadzie do baru. – Nic strawionego.

Strawionego? Gra słówek wyraźnie go rozbawiła. Profiler starał się nadażyć za nagłą zmianą zachowania rozmówcy. Dopytywanie było jedną z form przesłuchania, jakkolwiek by je nazywać, zalecaną nawet przez FBI.

– Co ma pan na myśli?

– Zabawę z zapalkami – natychmiast odparł Dycz. – Jako dziecko bawił się pan zapalkami?

– Nie mamy dość czasu...

– Przypuszczam, że mniej więcej osiem tygodni.

Tracz nieświadomie skrzyżował nogi. Reakcja obronna, którą powinien powstrzymać. Reakcja na informację, że Iks jest w tej wymianie zdań o krok przed nim.

Natychmiast powrócił do otwartej pozycji.

– No dobrze. – Założył dłonie za głowę. – Zdarzało mi się bawić i zapalkami, i lupą. Jak każdemu chłopakowi.

– Każdemu?

– Pewnie prawie każdemu. Ale to szybko przechodzi.

Uwaga testowa. Racjonalne oddziaływanie na osobowość diagnozowanego sprawdzające jego osadzenie w rzeczywistości.

– Naprawdę? – Iks głęboko zaczerpnął powietrza. – To strasne. Bo ja lubię się bawić zapalczkami.

Te słowa Dycz wypowiedział z szerokim uśmiechem i wzrokiem utkwionym w nieokreślonym punkcie gdzieś na suficie. Nie przypominało to zwykłego seplenienia, a raczej głos zaintrygowanego dziecka, któremu wypadły pierwsze mleczaki.

– Mama panu równie tego zabraniała?

– Oczywiście.

– I nie słuchał się pan?

Tracz opuścił dłonie i splótł je przed sobą. Był skołowany. Spodziewał się czegoś podobnego, ale intensywność zachowań Iksa go przerastała. Zaczynał się w nich gubić. Czas pędził zbyt szybko, by mógł w sensowny sposób poprowadzić rozmowę. Plastikowy zegar zawieszony w rogu pomieszczenia pokazywał, że właśnie minęła czwarta nad ranem. Najwyższa pora, aby przejść do sedna. Choć to, na czym mu zależało, miał wyłożone na tacy.

– Kazała mi się zawsze spowiadać z nierozważnych zabaw – powiedział zadowolony z nagłego pomysłu. – Więć się spowiadałem...

Dycz nadal spoglądał w sufit.

– Wierzy pan w Boga? – zapytał.

– Myślę, że tak.

– Liczy pan na to, że powiem, że myślenie i wiara nie mają wiele wspólnego? To pytanie przynęta? – Powoli odwrócił głowę i popatrzył prosto w oczy Tracza. Przestał się uśmiechać. Przybrał poważny, ale pogodny wyraz twarzy i jeszcze inny, nieużywany wcześniej ton głosu. Zachowywał się jak aktor odgrywający scenę przed publicznością. – Otóż mają mnóstwo wspólnego. Myślący człowiek wierzy w Boga. Zatraca się w zaufaniu w Panu.

– Rozumiem, że pan jest wierzący?

– W sensie, czy jestem, na przykład, katolikiem?

– W sensie, czy należy pan do jakiegoś zbiorowego kościoła?

Iks zamknął oczy. Były mocno wypukłe i powieki wyglądały, jakby naciągnięto je na piłeczki pingpongowe. Reakcja uświadomiła profilerowi, że właśnie popełnił dwa błędy. Powtórzony początek, a nie koniec zdania rozmówcy i zbyt oczywisty podtekst. Zbiorowy kościół... To był naprawdę słaby wymysł. Jednak na tę chwilę nie miał pojęcia, jak inaczej

podnieść temat ewentualnych współników.

– Wszystko w porządku? – zapytał, przerywając przeciągającą się ciszę. Ze względu na okoliczności pytanie brzmiało debilnie. – Panie Dycz?

Gałki oczne Iksa poruszały się, jakby właśnie wszedł w fazę REM. Jego oddech jednak nie przyspieszył i pozostał regularny.

– Pyta mnie pan, czy będą kolejne ofiary – odezwał się, niemalże nie otwierając ust. W ich kącikach zebrała się gęsta ślina. – Już są wybrane, panie Tracz. Tylko biedulki o tym nie wiedzą.

Nieprzespane noce zdarzały się coraz częściej. Anna Repecka właściwie spała już tylko po solidnej dawce tabletek zapitych butelką wina. Czasem zamiast wina nachodziła ją ochota na piwo z wkładką. Popularnego w podłych barach i w czasach nastoletności u-boota. To pomagało zapaść się w sen choćby na kilka godzin. Trzy, cztery. Tyle wystarczało, żeby jakoś funkcjonować.

Może chodziło o rejestr PESEL, a może o coraz dobitniejszą świadomość, że skazała się na samotną starość. W tym wieku powinna mieć już męża i dwójkę dzieci. Albo chociaż chłopaka i grubego kota. Boże. Nawet sam kot byłby dobry, gdyby patrzeć na to z tej perspektywy. Wystarczyło pojechać do schroniska i problem z głowy. Miałyby pod dachem kudłatą bestię, która całymi nocami wydierałaby gębę, a wszędzie wokół zostawiała kłaki.

Nie. Nie potrzebowała dodatkowych obowiązków. Bała się zbędnej odpowiedzialności i trosk. Odkąd jej matka zmarła, gdy ona miała zaledwie dwanaście lat i potrzebowała jej jak nigdy, chorobliwie bała się nawiązywania bliższych relacji. Każdego można skrzywdzić. I każdy może skrzywdzić nas. Wystarczy się przywiązać, zaprzyjaźnić lub nie daj Boże zakochać, a potem niech los zrobi swoje.

Dlatego nie chciała dzieci. Myśl, że coś mogłoby się im stać, sparaliżowałaby ją w chwili dowiedzenia się, że jest w ciąży. Nie chciała już nikogo w życiu stracić. Definitywnie to postanowiła, gdy dziewięć lat po matce odszedł ojciec. Rak trzustki. Diagnoza pojawiła się w pogodny majowy poranek, a w jeszcze ładniejszy lipcowy wieczór było po wszystkim. Jest człowiek i nie ma człowieka.

Żadnych kochanków, zwierząt ani przyjaciół. Dopuściła do siebie tylko jedną osobę i to dlatego, że przez dwadzieścia lat była blisko jej ojca. Wyobrażała sobie, że jego namiastka została po części w niej samej, a po części w starej księgowej.

Obróciła się na bok i sięgnęła po telefon. Przez chwilę trzymała palec nad listą kontaktów, wreszcie opuściła go, klikając na ostatnio wybrane połączenie. Wiedziała, że za godzinę lub dwie chandra minie, ale musiała zadzwonić. Samotność oblepiła jej plecy potem. Po południu w jej miejsce pojawi się zapewne podekscytowanie lub wesołość, lecz teraz...

– Halo?

Głos staruszki od razu ją uspokoił. Nieuzasadniona panika, która opanowywała ciało, zaczęła ustępować. Mogła spowolnić oddech i rozluźnić mięśnie.

– Pani Reniu... – odezwała się, ale zaraz zamilkła. Właściwie nie miała pojęcia, co powiedzieć. Minęła czwarta nad ranem, a ona wydzwaniała do swojej siedemdziesięcioletniej księgowej. Przynajmniej miała świadomość szaleństwa. Rychło w czas...

– Aniu? Wszystko w porządku?

Na szczęście chyba jej nie obudziła. Regina Omertnicka nie wydawała się zaskoczona. Może dlatego tak dobrze się rozumiały.

– Aniu?

– Przepraszam, coś przerwało... – wydusiła wreszcie. – Wszystko w porządku. Chciałam się tylko upewnić, że będzie pani na dzisiejszym zebraniu z przedstawicielami Kach-Budu.

– Oczywiście! Dlaczego miałabym nie być?

– Właściwie...

– Tak?

– Cieszę się. Po prostu się cieszę.

Gwałtownie odsunęła od ucha telefon i się rozłączyła. Była żałosna. Tyle że naprawdę poczuła się lepiej. Nikt nie mówił do niej tak ciepłym głosem jak stara księgowa.

Jezu, ona nie może umrzeć.

Nie przed nią.

Gdyby Deryło słyszał słowa Cztery Iksa, potraktowałby je jako czcze przechwałki. Koniec. Wmówił już sobie, że koszmar wreszcie się skończył. Obudził się i mógł pójść spać – właśnie w tej kolejności. Co prawda, czekała go jeszcze fascynująca część formalna, lecz to już gratka. Coś w sam raz dla emeryta. Przesłuchania, raporty, a kiedy o wszystkim zapomni i osunie się w ramiona starczej demencji, przyjdzie czas na zeznania przed sądem. Bo Temida od zawsze była sprawiedliwa, ale nierychliwa.

Odczekał, aż taksówkarz odliczy mu resztę, i wysunął się z auta. Smagnięty nagłym porywem wiatru, postawił kołnierz płaszcza. Po kilku krokach zatrzymał się i obtupał zaśnieżone buty. Nim ruszył dalej, w stronę klatki schodowej, zaczerpnął głęboko ostrego, mroźnego powietrza. W zmultiplikowanej szachownicy okien paliły się pierwsze światła. W kilku mieszkaniach mrugały kolorowe ozdoby choinek.

Deryło zerknął na wysłużonego tissota. Trzeci stycznia, godzina piąta siedem nad ranem. Najwyższy czas położyć się spać. Nie wiedział tylko, dlaczego przez cały czas ma wrażenie, że ktoś go obserwuje. Jakieś ukryte oczy śledzące każdy jego ruch.

Paranoja.

W piekle Cztery Iksa pracowały zastępy techników, prokurator Malczewski miał zarwaną noc, ale on nie był chwilowo potrzebny. Być może w ogóle nie był potrzebny. Myśl, że za parę godzin postawią sukinsynowi zarzuty, wprawiła go w melancholijny nastrój. O podobnej chwili odejścia marzył każdy glina. To znaczy każdy, który dobijając sześćdziesiątki, wplątał się w takie bagno. Metr główna i dwa metry ciepłych szczyn. Każdy normalny odchodził, gdy jego biurko zaczynało obrastać kurzem, w którym jedyne ślady zostawiały kubki po kawie. Albo po czymś mocniejszym.

Tak zwany SPD. Stan Przepoczynkowego Dupczenia. Dupczenia nie w żadnym

seksualnym aspekcie, a w takim, że dupa bolała od siedzenia na fotelu i zgłębiania internetowych ciekawostek o praworządności ostatnich wyborów w San Escobar. Zwyczajowa sugestia od położonych, że czas się pożegnać. Zero przydzielanych spraw, zero perspektyw, zero bonusów. W przeciwieństwie do CDU (Czas Do Upierdolenia), podczas którego pojawiały się symptomy możliwego przeniesienia, SPD było sympatycznym zwieńczeniem kariery.

Tylko że jego prawie pięćdziesięcioletnia dupa pozostawała w opozycji zarówno do CDU, jak i SPD. Niedawno bliżej mu było nawet do tej pierwszej, ale temat dyscyplinarki został zgrabnie zamieciony pod dywan. Jak to w polityce.

Zrobił krok w stronę bloku, a niewidzialne oczy powiodły za nim spojrzeniem. Czuł to w sposób, w jaki śpiący czuje wzrok utkwiony w swojej twarzy. Podświadomie, lecz wyraźnie.

Sięgnął po telefon i wybrał ostatni kontakt. Plussem starego złomu, którego największą ekstrawagancję stanowiła latarka, była nie tylko trudność namierzenia, ale przede wszystkim bateria. Trzymała się z całą pewnością lepiej niż on.

– Wyciągnął coś? – zapytał, gdy tylko usłyszał kliknięcie nawiązanego połączenia.

– Hę?

Brzeski najwyraźniej już spał.

– Tracz. Czy wyciągnął coś z Dycza?

– Zebrał manatki i pobiegł do domu.

Ziewnięcie. Przyciszony głos. Sugestie, że dzwoni o najbardziej nieodpowiedniej porze.

– Pytałem, czy się czegoś dowiedział, a nie gdzie pobiegł.

– Jutro ma złożyć raport. – Aspirant powoli się rozbudzał. – Rozumie pan, komisarzu?

Napuszył się jak paw w Saskim i tyle go widziałem.

– Jutro, czyli dziś?

– Właściwie tak... Mówił, że musi się zapoznać z tym, co się wydarzyło w nocy.

– I nie pisała ani słowa więcej?

– Nabrał wody w usta. Mało się nie posikał z emocji.

Brzeski zawiesił głos. Znacząco westchnął i zmienił temat.

– Widziałem go tylko przez chwilę – powiedział już prawie przytomnie. – Ale drań ma w sobie coś fascynującego. Te oczy... Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Chyba że u zwierzęcia...

Ktoś powiedział, że psychopaci są jak tanie dziwki. Pociągają, ale jak się za bardzo zbliżą, mogą zostawić syfa. Zamiast podzielić się tym spostrzeżeniem, Deryło zadzwonił pękiem kluczy. Kiedy przed dwoma tygodniami rozmawiali z Dyczem jako ekspertem od dewocjonaliów, a nie podejrzanym, nie zwrócił na to uwagi. Okrągłe okulary i udawana, przygarbiona postawa czyniły z niego niewyróżniającego się człowieczka. Szaraczka w szarym świecie.

Włożył klucz do zamka i pociągnął za klamkę.

– Wracaj do łóżka – mruknął. – Widzimy się za kilka godzin.

– A jak się pan czuje?

Nie odpowiedział. Rozłączył się i ruszył w górę po schodach. Gdy wszedł do mieszkania, Ewa czekała na niego w przedpokoju. Musiał zbyt długo guzdrać się z zamkiem i ją obudzić. Albo wcale nie spała. Mimo to nie wyglądała na zmartwioną ani zdenerwowaną.

No tak. Nie miała w zwyczaju oglądania po nocy informacji. Poza tym media nie zwęszyły chyba jeszcze swojego nowego hitu.

– Kolejna sprawa? – zapytała, dając mu całusa. – Czy...

Deryło skinął głową.

Miał wrażenie, że z domu wybiegł kilka dni, a nie ledwie osiem czy dziewięć godzin

temu. Czuł zapach mieszkania tak, jak się czuje jego zapach, wracając z wakacji. Uspokajająca woń tej idyllicznej krainy spokoju. Już jestem. Dotargałem cholerną walizkę, wycierpiałem ścisk w samolocie, paskudne żarcie w hotelu, a przede wszystkim zbyt słoną wodę w morzu i oto jestem. Wróciłem.

Mniej więcej tak wyglądał. Zmęczony, obolały (znieczulenie przestawało działać), ale szczęśliwy. Żeglarz zakotwiczył w porcie.

Tylko że zamiast zachować twarz, jak cholerna pierdoła mało się nie popłakał.

Wiktoria również przydreptała do przedpokoju. Zaczął się nawet zastanawiać, czy niczego nie wiedzą. Nocne powroty i nagłe wypadki w jego fachu nie były niczym niezwykłym. Kiedy pokonywał chyłkiem próg mieszkania, zazwyczaj słodko spały. Chyba że wcześniej zapowiedział konkretną porę powrotu, wtedy Ewa czekała z książką w ręku i nieodłącznymi okularami na nosie.

Tylko że od dwóch tygodni nic nie było jak zazwyczaj.

Objął je obie. Pogładził długie, słomkowe włosy żony i ciemniejsze loki córki. Wciągnął ich zapach.

– Złapaliście go... – Wiktoria chwyciła dłoń Deryły. – Prawda, tato?

Jeszcze raz skinął głową. Delikatnie wywinął się z jej uścisku i ruszył w stronę łazienki. Widział, że nie padnie już więcej pytań. Przez lata jego rodzina wypracowała pewne reguły. Brak zbędnych pytań był jedną z nich.

Wziął krótki, ale gorący prysznic, zasłaniając bandaż workiem foliowym. Wylał parę z lustra i umył zęby. Przez chwilę przyglądał się swojemu odbiciu. Niemal całkiem siwe włosy, zmarszczki przy wąskich ustach (od śmiechu), kurze łapki przy przekrwionych krótkowzrocznych oczach (od mrużenia), może nieco zbyt pełne policzki. Bywało lepiej.

Wypluł pastę i napił się wody z kranu. W welurowym szlafroku poczłapał do łóżka. Nie chciał wkładać żadnych spodni, krępować się jakimikolwiek gumkami i szorstkim materiałem. Ewa już wstała i krzątała się w kuchni. Do świtu pozostały jeszcze pewnie ze dwie godziny.

Wsunął się pod kołdrę. Nieracjonalne uczucie bycia obserwowanym nadal podsycalo niepokój. Niewidzialne kamery zakłócające intymność. Pary drapieźnych oczu wyściełające ściany niczym tapeta, zaglądające przez dziurki od klucza i szpary w drzwiach. Czyhające na niego. Bez mrugnięcia poruszające się utartymi szlakami. Złe. Wściekłe.

Niemal słyszał szelest gałek ocznych pocierających od spodu powieki. Były ich tysiące. Wszystkie utkwione w jednym punkcie...

Osunął się w sen.

Nowe informacje to krok do chaosu. Reguła niezadawania pytań przestała obowiązywać, gdy Ewa Deryło wysłuchiwała porannych wiadomości. Medialna prawda o nocnych zdarzeniach była tylko połowiczna, ale wystarczyła, by rozbudzić demony.

Ranny policjant. Strzelanina. Zakładnicy. Makabra. Zbezczeszczone zwłoki zamordowanych osób.

To nie były kojące słowa.

To nie były słowa, które smakowały do pierwszej kawy i bułki z dżemem.

Po trzech godzinach snu komisarz wyczuł spojrzania rzucające co kilka minut na jego zwinięte w kłębek ciało.

– Jeszcze raz to zrobisz, a pomyślę, że jesteś zбочzona – powiedział, otwierając oczy.

Nim Ewa zdążyła się wytłumaczyć, wstał i na pusty żołądek upił od niej espresso. Zabulgotało mu w brzuchu. Słaby pomysł na początek słabego dnia.

Wiktoria również o wszystkim wiedziała (choć zapewne nie z radia, ale z internetu), więc kiedy jadł śniadanie, miał nad sobą dwie zatroskane, zalęknione kobiety. Nic mu nie było. Po prostu rozeszły się szwy. Tak, złapał go i ten pieprzony ku..., wybaczenie, jest już w zamknięciu. Nie wie, co będzie. No jasne, odsiadkę do dnia, kiedy wyzionie ducha, ma jak w banku. Poprosi jeszcze kawę, nie, nie, bez mleka. Już, wystarczy. Urządził jakąś pokręconą salę tortur, ale o tym nie zamierza opowiadać. Dość.

Sprawdził bandaż (nic się nie przesaczyło), błyskawicznie się zebrał, ucałował żonę i córkę, po czym z ulgą wypadł na mroźne powietrze. Otrzeźwiło go lepiej niż kawa.

Niespełna pół godziny później był na komendzie. Na biurku już czekał raport z miejsca zdarzenia, informacja o tym, że dokumentacja fotograficzna została wysłana na wewnętrzny dysk, oraz zeznania trójki nastolatków i Magdaleny Szus. Czyli cała czwórka przeżyła. To była

dobra wiadomość.

Ból boku niepokojąco narastał. Deryło powstrzymał się przed wzięciem tabletki, w odwiecznej obawie, że uodporni się na lek. A może przyjsć czas, że nie będzie już mógł wytrzymać. Rak, wypadek, poważna operacja. Kto wie? Lepiej, żeby dopiero wtedy ketoprofeny i inne tramadole dostały dziewiczy organizm.

Otworzył szufladę i wyjął z kwadratowego bloku czerwoną kartkę. Origami. Kojące myśli żurawie pozwalały wszystko uporządkować. Pochylił się nad raportem i zgrabiłymi palcami wykonał pierwsze załamania. W chwili gdy formował ogon, rozległo się pukanie.

Po kilku sekundach, przez które Deryło rozważał odezwanie się, do środka wparował Miłosz Tracz. Skinął głową i z teczką pod pachą ruszył do jego biurka.

Aby zdobyć się na takie zachowanie, profiler musiał być albo półprzytomny, albo naćpany. Komisarz obserwował go w milczeniu.

Sam zapewne wyglądał jak wyciągnięty z grobu, ale Tracz dodatkowo musiał zostać do grobu wpakowany w całkiem nieprzyjemnym stanie. Miał rozwichrzone włosy, krwistoczerwone oczy otoczone ziemistą skórą, a jego ubranie przypominało strój kłoszarda. Pognieciona dzinsowa koszula, jeszcze bardziej zmięte sztruksy i rozpadające się adidas. Trup bezdomnego wyrwany z lat dziewięćdziesiątych. Wczesnych dziewięćdziesiątych.

– Jestem pewny, że to jeszcze nie koniec – obwieścił z miną, która miała podkreślać jego pewność, a przypominała podkówkę, w jaką wyginał usta John Wayne przed splunięciem tytoniem.

– Zaraz, zaraz, powoli... – Deryło porzucił niedokończonego żurawia i przyłożył zimną dłoń do czoła. – O co chodzi? Może najpierw jakieś dzień dobry, jak się pan ma, pocałuj mnie w dupę?

– Przecież witaliśmy się na korytarzu.

Tak? Nie pamiętał. Po tym, jak wpadł do komisariatu, kierował nim autopilot. Być może nawet nie zauważył. Machnął ręką i wskazał krzesło. Rzadko to robił. Zazwyczaj wymuszał na rozmówcach pozycję stojącą, co zaoszczędzało wiele czasu. Taki sierżant Banach, nim przeszedł do sedna, potrafił całymi minutami perorować o głupotach. Gdyby umieścić go na krześle, poczułby się tak komfortowo, że utknąłby w meandrach pobocznych historii i zapomniał, z czym przyszedł.

Tylko że Iks zafundował Banachowi odprawę, rentę i odszkodowanie. Chociaż brak stopy ponoć nie był wyceniany zbyt hojnie. Cóż...

Tracz usiadł i położył teczkę na kolanach. Przez chwilę szperał w niej, przekładając setki kartek. Kartek, karteczek i strzępków papieru.

– Przejrzałem wstępną dokumentację techników z podziemi kamienicy – odezwał się, wyciągając plik kserówek. – Widziałem też pański skrócony protokół. Wystarczyło, żebym wszystko sobie poukładał...

Deryło odchylił się w fotelu. Właśnie takich wywodów zawsze usiłował unikać.

– Ale – Tracz przetasował kartki – najistotniejsze było porównanie obserwacji Dycza z tym, co ustaliłem już wcześniej.

– Mam pewnie zapytać, co to takiego?

– Wnioski wydają mi się jednoznaczne.

– Wreszcie żadnego wróżenia? Żadnych możliwe, pewnie, prawdopodobnie?

W tym momencie do gabinetu po pojedynczym puknięciu wpadł Brzeski. Upadek obyczajów stawał się faktem.

– Przepraszam za spóźnienie, komisarzu, ale musiałem spisać...

Tracz natychmiast wszedł mu w słowo.

– To ja prosiłem posterunkową, żeby pana wezwała – powiedział, nie odwracając się. – Nie chciałem dwa razy powtarzać tego samego. A jest z tego niezły burdel.

Po wstępnym wywiadzie dwójka lekarzy zgodnie zdecydowała o osadzeniu Józefa Dycza na bloku Z. Właściwie nie było o czym decydować. Takie były procedury. Niezrozumiałe względy kierowały osobą, która ochrzciła w ten sposób część szpitala dla osadzonych aresztantów i więźniów. Blok A był blokiem stricte szpitalnym, blok B dedykowano alkoholikom, a najmniejszy blok C służył za część techniczną. Innych liter aż do Z nie było, choć jedno skrzydło budynku pozostawało niewykorzystane. Od kilku lat czekano na nowe fundusze.

Blok Z rządził się swoimi prawami. Korytarze znaczyły śluzy krat, elektroniczne czytniki wymagały odpowiednich przepustek, a w oknach zamontowano nie tylko kraty, ale również metalowe siatki hamujące zapędy zapalonych majsterkowiczów. Część personelu została wyposażona w paralizatory lub spraye gazowe. Nosiła je jawnie, przy paskach, niczym broń przewencyjną. Pacjenci byli transportowani po przestrzeniach otwartych w kajdankach lub w zabezpieczających kaftanach. Do własnej dyspozycji mieli jedynie kilkunastometrowy odcinek, strzeżony przez cyklopiczne spojrzenia kamer i jeszcze baczniejsze oczy pielęgniarzy.

Józef Dycz nie dostał kaftana. Decyzją uprawnionego zastępcy ordynatora na czas transportu przydzielono mu kajdanki. Jako zakwalifikowanemu do grupy szczególnie niebezpiecznych skrępowano nie tylko jego ręce, ale również nogi. Gdyby zamiast białej, długiej koszuli bez guzików dano mu pomarańczowy strój, przypominałby amerykańskiego więźnia sunącego na przymusowe roboty.

Sunął przy tym z udawaną niezdarnością i całkowicie szczerym zainteresowaniem otoczeniem. Łańcuch pobrzękiwał, a jego kroki trzeszczały na laminowanej podłodze. Idiotyczne buty ochronne, które dostał z przydziału, były nieco za duże. Mimo że wykonano je z cienkiego tworzywa, sporo ważyły. Tak jakby do podeszew specjalnie włożono jakieś obciążniki, aby zmęczyć pacjentów. Aby odebrać im ochotę na spacerowanie.

Z głębi korytarza dobiegło metaliczne brzękanie. Po chwili z sali po lewej wynurzył się wielki wóz z tackami jedzenia. Zaraz za nim pojawiła się wielka, krótko ostrzyżona kobieta o twarzy ogra. Umięśnionych, odsłoniętych przedramion mógłby jej pozazdrościć niejeden mężczyzna.

Szpital to jednak szpital.

Kobieta zatrzymała się, przepuszczając orszak Dycza. Z zaciekawieniem popatrzyła w jego stronę, a on odpowiedział jej delikatnym uśmiechem. Kiedy się mijali, mrugnął i lekko skinął głową. Uśmiech poszerzył się na tyle, że wargi cmoknęły, a zęby się odsłoniły. Tylko na moment. Potem kobieta odwróciła wzrok, udając pełną koncentrację na popychanym żarciu.

Klasyka.

Sanitariusz kroczący obok Dycza trącił go lekko w ramię. Był to chuchrowaty dryblas z długimi, szympansimi rękami i patykowatymi nogami. Spodnie od mundurka wisiały na nim jak na szkielecie, odsłaniając kostki. Standardy zapewne nie przewidywały na niego rozmiaru.

– Skręcamy w lewo.

– Skręcamy w lewo – ugrzecznionym tonem powtórzył Dycz.

Kątem oka dostrzegł, że dwóch idących z tyłu pielęgniarzy wymienia porozumiewawcze spojrzenia. Nieurodziwe, pokraczne chłopaki zesłane do wariatkowa na staż albo praktykę. Mieli więcej krost na twarzach niż lat. Co za pech, że nie dostał żeńskiej asysty.

Kiedy wreszcie skręcili w lewo, znaleźli się na ostatniej prostej. Wielka tablica przedzielająca wąski łącznik informowała, że wkraczają do bloku Z. Bloku Zapomnienia? Bloku Zesłania? A może raczej bloku Zuchwałych?

Musiał załatwić sobie jedynekę.

– Chyba jest coś nie tak z łańcuchem – odezwał się, gdy minęli jedyne okno. I tak głównym źródłem światła były rżące jarzeniówki. Oczywiście zakryte zbrojeniowymi siatkami.

– Niby co? – Dryblas nawet się nie odwrócił.

– Musiał się poplątać czy coś... Nie mogę zrobić kroku.

– O to chodzi, żeby sobie nie pobiegać. Dość mam ganiaania się po tym cholernym budynku. A na końcu zawsze i tak są kraty...

– Ale ja ledwo przebieram nogami.

Na potwierdzenie tych słów Dycz zwolnił, jakby szedł po równej linii, stopa po stopie. Dryblas westchnął. Zatrzymał się i zerknął na łańcuch. Iks stał w taki sposób, by ten leżał luźno, nienapreżony.

– Nie widzę problemu.

– Ja go czuję, proszę pana.

Pielęgniarz nachylił się, ale w tym samym momencie Iks wyciągnął przed siebie dłonie.

– A z tymi wszystko w porządku? – zapytał, przekręcając głowę. – Strasznie mnie cisną.

Przy odpowiednim użyciu łańcuszek pomiędzy kajdankami może mieć wiele zastosowań.

– Przestań pan...

Iks zamachnął się w chwili, gdy pielęgniarz tylko otworzył usta. Wcisnął metalowe ogniwa jak najgłębiej, rozrywając mu kąciki ust i przytykając je niemal do jego gardła. Pielęgniarz zacharczał i w bezwarunkowym odruchu zacisnął zęby.

Dycz tylko na to czekał. Z całej siły rzucił się do tyłu, szarpiąc za łańcuch. Razem z nim z ust dryblasa wypadły dwa zakrwawione zęby, kilka kawałków kolejnych i fragment języka. Dryblas zachwiał się i upadł.

Iks poważyl się na jeszcze jedno. Bycie zuchwałym zobowiązywało.

Nim pochwyciły go silne ramiona przyszczatych gówniarzy, zdążył obunóż podskoczyć. Opadając, łańcuchem krępującym mu nogi oplótł szyję leżącego. Z satysfakcją odnotował, że

sześćdziesięciokilkuletnie ciało jest zdolne do podobnych sztuczek. Choć oczywiście nigdyś zrobiłby to jeszcze lepiej. Usłyszał, co prawda, tępe pyknięcie cofanej tchawicy, ale nie spodziewał się cudów. Pielęgniarsz raczej przeżył. Niestety...

Nie wprawiło go to w gorszy nastrój. Wszystko realizowało się tak, jak to zaplanował. Na huczne fajerwerki musiał jeszcze trochę poczekać, lecz był cierpliwy. Baaardzo cierpliwy.

Gdy pozostali pielęgniarsze usiłowali go powalić, wciąż się uśmiechał. Myślał o tym, jak wszyscy się niedługo zdziwią. Chciałby móc zobaczyć wtedy ich miny.

I pewnie zobaczy.

W tej samej chwili, gdy Iks potraktował pielęgniarza łańcuchem, Tracz nerwowo pogładził złożoną na kolanach teczkę. Nie chcąc się narażać na przytyki komisarza, starał się możliwie streszczać. A ze streszczaniem jest taki problem, że wprowadza chaos. Wie o tym już każdy licealista wertujący bryki przed maturą.

Nieco spokoju przywróciła wizyta sekretarki, która przyniosła do gabinetu trzy parujące kawy. To również stanowiło element strategii profiler. Małymi szczegółami przygotował sobie grunt pod w miarę komfortowy przebieg wykładu. Deryło jak zwykle nad małą czarną przeżywał katharsis. Brzeski natomiast, krzywiąc się, popijał małymi łydkami i uważnie słuchał.

– Podejrzewaliśmy naśladowcę, pewne kwestie się nie zgadzały, nie było schematu... – Tracz, wyliczając, podnosił kolejne palce. – Możemy mówić o dwóch rzutach. Przed akcją z Wigilii oraz po niej. Jak się okazało, i w jednej, i w drugiej swoje rączki maczał przede wszystkim Józef Dycz, czyli Cztery Iks. Dowody nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, rys psychologiczny zapewne jeszcze wszystko uzupełni. Tylko że w pierwszym przypadku wiemy, że Iks miał współników, a w drugim nie ma po nich śladu. Zauważcie, panowie, że przekreśla to teorię o naśladowcy. I jej logiczne podstawy.

Deryło głośno odstawił filiżankę na spodeczek.

– Teoria o naśladowcy nie była logiczna – mruknął, upewniając się, że na dnie nie pozostał nawet łydeczek. – Za dużo popierdoleńców w jednym czasie.

Miała swoje uzasadnienie w kreowanym profilu.

– Dobra, skończmy z tym. Skoro jest nieaktualna, nie ma co się nad nią rozwodzić.

Tracz pojednawczo uniósł dłonie. Szukając wsparcia, zerknął na Brzeskiego, ale ten siedział jak na tureckim kazaniu.

– Zaczniemy od początku. Pamiętajcie, panowie, list do męża jednej z pierwszych ofiar? –

Przymknął oczy i zacytował: – „Tak bardzo jak pan chciałbym, żeby przy mnie została”.

Obaj funkcjonariusze pokiwali głowami.

– Jednocześnie okazało się, że wszystkie ofiary mają związek z egzorcyzmami, jakie przeprowadzano na Danielu Kosie.

– O ile to nie jest nadinterpretacja.

– Nie sądzę. Nie wierzymy w aż takie zbiegi okoliczności...

– Nawet jeśli, to co z tego? – spytał Brzeski. – Dopiero co uzgodniliśmy, że nie było naśladowcy.

– Z jednej strony porwania kobiet, a z drugiej wątek religijny. Czegoś takiego współczesna kryminalistyka jeszcze nie poznała.

– To znaczy, że trafiliśmy właśnie na Wikipedię?

– Być może. – Tracz uśmiechnął się blado. Chciał sięgnąć po teczkę, ale wreszcie odezwał się bez posiłkowania notatkami: – Zabójcami kierują określone motywy. Zapewne wiecie panowie o złotej szóstce Gierowskiego. Zabójstwo z zemsty, z poczucia krzywdy, na tle seksualnym...

– Z urojenia, z motywów ekonomicznych lub z poczucia zagrożenia – dokończył za niego Deryło. – Chodzi o to, że Cztery Iks kierował się kilkoma naraz?

– Nie do końca.

– Chryste, a o co?

Tracz przybrał kamienny wyraz twarzy. Właśnie zbliżyli się do *clou*.

– O to, że ani przez chwilę nie działał sam – wypalił na wydechu. – Najpierw mamy Daniela Kosa, którego nakłonił do współdziałania w zemście. Na katujących go osobach, na psycholog, zakonnicy itede. Później, po wydarzeniach z Wigilii, działanie zabójcy się zmieniło. Profanował świątych. W piwnicy urządził symboliczną ostatnią wieczerzę trupów. Był mistykiem.

– A morał z tego taki, że...

– Że również działał pod czyimś wpływem albo dla kogoś. Z całą pewnością miał współlnika. Co więcej, to tylko jedna strona medalu.

W świecie natury pełno jest sprzeczności. To jedna z prawd, która powinna być wpajana już na pierwszych zajęciach pierwszego semestru wszelkich studiów. W dżungli, gdzie wilgotność przypomina łaźnię, równie łatwo umrzeć z pragnienia jak na pustyni. Na indyjskich ulicach, obok czczonych, dokarmianych krów umierają z głodu ludzie. Psychopaci, niezdradzający cienia wrażliwości, w rozlicznych przypadkach byli wyjątkowo empatycznymi dziećmi.

Wszystko zależy od perspektywy.

Poza sprzecznościami istnieje również wieczna, doskonała harmonia. To lekcja, która powinna nosić numer dwa. Wycinek wielkości przeciętnego mieszkania z tej samej śmiercionośnej dżungli jest domem dla większej liczby gatunków zwierząt i roślin niż cała Polska. W indyjskim konglomeracie religii i wierzeń jest bezpieczniej niż w niemal każdym sąsiednim państwie. Psychopaci są osobowościami najmniej podatnymi na umyślne wytrącenie z równowagi.

W świecie natury najbardziej ukryte problemy trafiają się również w najbardziej religijnych rodzinach. Alkohol, wykorzystywanie, maltretowanie. To są sprzeczności. Harmonijną stroną takich rodzin jest coniedzielny spacer do kościoła, uśmiech podczas przekazywania znaku pokoju, pełna zgoda poza fasadą własnego domu.

Przynajmniej taką tezę postawiłby po latach Cztery Iks. A raczej Borgia, który najbardziej lubił naukę i najchętniej zgłębiał tajemnice świata.

Zresztą Borgia pojawił się jako trzeci lub czwarty. Pierwszy był Świętojebliwy, który razem z matką zasiadał do porannej i wieczornej modlitwy, przez kilkadziesiąt minut klepiąc święte formułki, czytając Biblię, a do tego oddając się ekstatycznemu uwielbieniu Boga. Pierwotne ego mogło wtedy odpocząć, wybudzone o czwartej rano z i tak płytkiego snu.

Najwięcej multiplikacji powstało pewnego listopadowego poranka przed wielu laty. Iks (a może był to już ktoś inny – tego nie mógł spamiętać) bawił się na podwórzu. Był to czas niedługo po tym, jak jego malutka siostra wyrokiem sądu trafiła do placówki opiekuńczo-wychowawczej, a w domu na nowo zagościła samotność. Jedyne kompanie wydawały się dwa skołtunione psy trzymane od wielu dni w kojcu.

Był to również okres, kiedy ojciec na zmianę pił i rzygał, a matka bez przerwy się modliła. Wówczas fasada harmonijnej rodziny, pełnej wewnętrznych sprzeczności, zaczynała już wyraźnie pękać. Trudno było się ukryć, zasypiając pod płótnem lub na środku drogi. Trudno było tłumić karczemne wrzaski i śpiewy zagłuszające niewiele ciszej wznoszone prośby do Boga.

Iks doskonale pamiętał moment, gdy podniósł metalową zasuwę boksów. Psy powinny być uwiązane na łańcuchach, lecz te po latach przerdzewiały, a koluszka oderwały się od wbitych w ziemię sztab. Bestie miały dość czasu, by wypróbować wszystkich sposobów wydostania się na zewnątrz. Gdy krzywa krata uchyliła się z jękiem, staranowały ją pyskami. Wypadły na podwórze obklejone własnymi odchodami, zmierzwione i piekielnie głodne.

Czteroletni umysł od razu zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Iks pamiętał, jak jednym susem wskoczył na dach kojca. Ręce i nogi ślizgały się na falistej blasze, a ubranko darło o jej szorstkie krawędzie. Z przerażeniem obserwował szaleńczy bieg bezimiennych psów wokół niedawnego lochu. Ich łapy były powyginane i słabe, lecz po dniach spędzonych w zamknięciu organizm za wszelką cenę domagał się ruchu. Najpierw kilkakrotnie okrążyły kojec, potem obwąchały brzeg jego dachu, wreszcie spróbowały dopaść małego chłopca tkwiącego niespełna dwa metry wyżej.

Skakały, bębniąc pazurami o blachę i ujadając zajadle. Z ich pysków bryzgały strzępy gęstej śliny.

Nikt nie reagował na krzyk przerażenia.

Nagle poza zapachem małego zatrwożonego chłopca psy zwietrzyły coś jeszcze. Woń innej ofiary, która równie zabiedzona jak one znajdowała się ledwie kilkanaście metrów dalej. Obejrzały się niemal jednocześnie i jak na komendę popędziły w stronę otwartej stodoły. Jedyne drewniana belka odgradzała część przeznaczoną na oborę. Jedna drewniana belka odbierała tym samym wolność chudej krowie i pozbawiła ją jakiegokolwiek możliwości ucieczki.

Wygłodniałe psy dopadły do celu. Mały chłopiec ze swojej wyobrażonej wieżyczki mógł tylko obserwować, jak rozrywają jej trzewia. Niczym wygłodniałe wilki zaatakowały zwierzę z obu stron. Przerażona jałówka nie miała możliwości obrony. Z niewielkiej rany sączyła się strużka krwi. Kolejny kęs oderwał płat białej, zabłoconej skóry. Następne szarpnięcie zdarło ją na płaszczyźnie wielkości dorodnego słonecznika, które tak lubił. Potem mniejszy z psów zabrał się za wymiona, rozrywając je niczym lukrowane wężyki.

Krowa muczała. Wznoszącym się do nieba żalosnym kwikiem zwierzęcia pożeranego żywcem. Starła się wierzgać, lecz boks był zbyt ciasny, a psy zbyt wygłodniałe i sprytne. Najpierw upadła na przednie nogi, utrzymując zad wysoko uniesiony do góry, jakby instykt podpowiadał jej, że jeszcze nie wszystko stracone. Na bok runęła dopiero wtedy, gdy z rozprutej jamy brzusznej wylały się jelita. Kłębowisko zakrwawionych kiszek, które psy porwały każdy w swoją stronę jak nurkowie opuszczający się na przewodach tlenowych.

Muczenie trwało jeszcze kilka sekund.

Urwało się równocześnie z odgłosem drzwi walących z impetem w zbutwiałą framugę. Ojciec ledwie się trzymał na nogach, choć trudno było powiedzieć, czy dopiero skończył pić, czy właśnie zaczął. Zrozumienie sytuacji zajęło mu kilka sekund. Gdy bujnym krokiem ruszył w stronę stodoły, psy właśnie kończyły swe dzieło. Z pewnością nienasycone, ale szczęśliwe rewanzem dokonany za całe dni spędzone w niewoli, pognały do znanych sobie dziur

w płocie. Rozbiegły się po wsi, wlokąc ze sobą resztki krowich flaków.

– Ojciec mnie uratował – wmawiał sobie czteroletni chłopiec, który na zawsze miał pozostać Dzieciakiem. – Tatusiii, tatusiu...

Gdy pierwszy trzeźwy osąd przebiegł przez pijaną głowę, mężczyzna natychmiast rozejrzał się w poszukiwaniu winnego jatki. Dostrzegł go na pordzewiałym, blaszanym dachu kojca. Zataczając się, dopadł do jego skraju i wyciągnął dłonie, chcąc pochwycić chłopca. Ufne dziecko mimo tysiąca razy uznało, że są to ręce ratunku. Posłusznie zsunęło się, opadło i...

Dzieciak nie zdążył nawet krzyknąć. Silne, znieczulone alkoholem dłonie zacisnęły się na jego tułowiu. W ślepej furii potrząsały nim tak długo, aż poczuł mdłości.

Matki oczywiście nie było.

– Patrz, coś nawyrabiał, tępą gówniarzu!

Ojciec przeniósł go i trzymał tuż nad rozbebeszonym brzuchem krowy. Telepał nim. Śmierdział rzygowinami, potem i wódką. Odór mieszał się ze smrodem wnętrzości, który przyprawiał chłopca o odruch wymiotny.

– Pierdolone cielę! Za co mnie tobą pokarało?

Nim Dzieciak zdążył krzyknąć, został wepchnięty między fałdy poszarpanej skóry, ścięgien i mięśni. Ciepła, cuchnąca masa otuliła go ze wszystkich stron. Ojciec kopał go w plecy, jakby chciał wbić w krowie trzewia. Małe rączki ślizgały się w morzu krwi i płynów ustrojowych.

– Spróbuj się stąd ruszyć, a cię zatłukę! Taki sam tępą bebech twojej matki wypluł cię na świat, pieprzona ludzka poczwaro! Jak będziesz się darł, daję słowo, że cię, kurwa, ukatrupię.

Krzyk zamienił się w rechot. W jednej chwili pijany mężczyzna zamienił się z oprawcy w artystę podziwiającego swoje największe dzieło. Po latach Cztery Iks zastanawiał się, czy ojciec również nie miał swojego drugiego ja. Jednak tamtego poranka nie było czasu na obserwację.

Powstrzymywał łzy, starając się obtrzeć krew z twarzy. Kolejne kopnięcia były słabsze. Cisza uspokajała ojca. Mały chłopiec tkwił pośród morza potworności, wmawiając sobie, że oblewa go ciepła czekolada. Wyobrażenie było na tyle silne, by zaczęło mu się podobać i by całkiem się uspokoił. Właśnie wtedy zrodził się de Sade.

Miłosz Tracz był dumny z tego, jak gładko idzie mu wykład. Chyba po raz pierwszy udało mu się zaciekawić Deryłę. Dotychczas komisarz traktował go jak płaczącego się między nogami szarlatana, którego najchętniej potraktowałby kijem. Teraz siedział skupiony, obracając w dłoniach zmięty zaczątek żurawia. Wreszcie papierowa kulka wylądowała w pustej filiżance po kawie.

– Mam nadzieję, że jasno zrozumieliście, panowie, na czym opieram tezę o zbiorowym sprawstwie. – Profiler powiódł wzrokiem od okrągłej gęby Deryły do wychudzonej facjaty Brzeskiego. – Albo quasi-zbiorowym, jak to powinniśmy precyzyjnie określić, bo współnicy mogli nie uczestniczyć w samym akcie zabójstwa. Jest prawdopodobne, że robili za murzynów. Ludzi od czarnej roboty.

– Miałoby to swoje dobre strony – wtrącił się aspirant. – Pies bez głowy przestaje kąsać.

Deryło obrzucił go ponurym spojrzeniem. Lubił brylować metaforami, a dostrzegał podrastające już pokolenie naśladowców. Albo prześmiewców. Choć Brzeski należał raczej do tej pierwszej grupy.

Chwilę niemego napięcia przerwał Tracz.

– Oby tak było – westchnął. – Ale mam również koncepcję, jak go rozgryźć. Bez analizowania tysięcy śladów, bez laboratorium i techników. O ile cokolwiek znajdą, to potrwa...

– Mówiliśmy o drugiej stronie medalu – przerwał mu Deryło, wracając do wątku sprzed kilku minut. – Skoro już nawijamy przenośniami, byłbym cholernie wdzięczny za ich wytłumaczenie, bo wybaczenie, ale nie zrozumiałem.

– Przepraszam, chyba to ja urwałem temat. – Profiler przeczesał dłonią tłuste włosy. – Chodziło mi o to, że powinniśmy skupić się nie tylko na współnikach, ale i na osobowości Iksa. W swoich działaniach nie był konsekwentny. Sprofanował zwłoki, lecz z porwanych kobiet

zgwałcił tylko jedną. A skoro wspominaliśmy o motywach...

– Mamy motyw seksualny.

– Właśnie. W każdym innym przypadku go tłumił, a musimy przyznać, że miał niejedną okazję... Ocierało się o niego jeszcze to sformułowanie z listu, o którym już wspomniałem, oraz ponacinane piersi u pierwszej ofiary.

– No dobra, o Wikipedii już mówiliśmy. – Deryło sięgnął po kolejną kartkę i złożył ją na pół. – Kilka motywów, może kilku sprawców.

Tracz nabrał powietrza do płuc i wstrzymał oddech. Przez chwilę obserwował, jak komisarz składa origami.

– I tu muszę zrobić pewne zastrzeżenie – powiedział na wydechu. – Mówię o tym, o czym psychiatrzy wypowiedzą się po całych godzinach sesji i dniach obserwacji. To ważne z punktu widzenia organizacyjnego i tego, czy zechce pan, komisarzu, ponieść pewne ryzyko.

Znowu sobie panowali. Deryło nie wiedział, czy tę zmianę formy traktować jako gierki psychologa czy zwykłą dezynwolturę. To nie miało znaczenia. Wystukał palcami wolnej ręki i zagwizdał takty *Cwału Walkirii*, ulubionej sceny z *Czasu apokalipsy*.

– Czekamy na kawalerię powietrzną.

Tracz, zmieszany zachowaniem komisarza, spuścił wzrok.

– Odnosząc się do obserwacji, jakich dokonałem podczas przyjemnej pogawędki, stwierdzam, że Iks zdradza wszystkie objawy osobowości wielorakiej.

Słowa brzmiały jak wyrok śmierci.

– Rozdwojenie jaźni? – zapytał Brzeski.

– Obstawiałbym bardziej rozczerwienie albo jeszcze gorzej.

– Ot, tak? – Deryło pstryknął palcami. – Dowiedział się pan tego wszystkiego dzięki kilkuminutowej rozmowie? O chorobie, współsprawcach i motywacji?

– Powiedziałem, że to tylko pośpieszne wnioski. Ale oparte na pewnych przesłankach.

– Czyli to po prostu wariat? Świr, który wpadł na pomysł obdzierania ludzi ze skóry, topienia ich i Bóg wie czego jeszcze? Klasyczny czubek?

Tracz złożył dłonie w piramidkę.

– W tym wszystkim jedno jest nietypowe – powiedział, mrużąc oczy. – Ludzie z tą przypadłością potrafią się doskonale maskować, a on odegrał przede mną całe przedstawienie osobowości. Jakby był na castingu.

– Niby po co miałby to robić?

– Ni cholery nie wiem. – Klepnął dłońmi o kolana. – Na pewno było to zaplanowane.

– Ale ile by osobowości w nim nie było, nadal obstawiamy, że są współnicy?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– A jeśli tylko udaje? – Brzeski ponownie włączył się do rozmowy. Wymiana zdań po etapie wykładowym zaczęła przypominać ogniowe przesłuchanie podejrzanego. – Mógł sobie tylko pogrywać, żeby znowu nas wyrolować.

– Jest taka możliwość. – Profiler nie dał się sprowokować. – Znaczyłaby, że Dycz zasługuje na doktora honoris causa psychologii i dodatkowo Oscara.

– Moglibyśmy więc olać temat i uznać tę gadaninę za czystą teorię – stwierdził Deryło. – Plusem jest to, że zapewniamy sobie święty spokój. Minusem – ewentualność, że ten popieprzeniec trzymał swoje ofiary nie tylko w tej kamienicy, ale jeszcze gdzieś. A możliwe, że nadal trzyma. Zgadza się?

Brzeski mruknął coś niezrozumiale, a Tracz pokiwał głową.

– W takim razie – ciągnął komisarz – powinniśmy nastawić się na najgorszy scenariusz, pozostając przy nomenklaturze filmowej. Tylko że połowę tej roboty moglibyśmy na szczęście

zrzucić na psychiatrów. Ale, ale – zmiął kolejnego żurawia – podobno w jakiś sposób mielibyśmy go rozgryźć? Czy tam rozmontować.

Profiler od razu się ożywił. Tylko czekał na powrót do przerwanej wątku.

– Z tym wiąże się ryzyko, o którym nadmieniałem – wyjaśnił, pochylając się nad biurkiem.
– Sądzę, że w całej Polsce na palcach jednej dłoni można policzyć psychiatrów, którzy mieliby doświadczenia z podobnym pacjentem. Ale w historii znajdziemy przepisy na wszystko...

– Był film, teraz mamy kulinaria.

– Jeżeli nie chcemy czekać na efekty przez miesiące czy nawet lata – Tracz zrobił pauzę, albo dla zwiększenia siły wyrazu, albo żeby się przez moment namyślić – możemy sięgnąć po dawne rozwiązania, gdy nad pacjentami nie czuwały prawa, a humanitarne zapędy lekarzy tłumiła tylko siła nauki...

Deryło uniósł ręce, jakby przykładał je do niewidzialnej ściany.

– Dobra, dobra, zrozumiałem. I aby je wdrożyć, przydałaby się zgoda Malczewskiego?

– A najlepiej i dyspensa papieża.

– W takim razie do czego miałbym ich przekonać?

Tracz w prostych zdaniach zakreślił przebieg terapii, która miałyby prowadzić do zmuszenia Józefa Dycza do współpracy. Z każdym kolejnym komisarz coraz intensywniej przygryzał wargę. Wreszcie, kiedy profiler skończył, poczuł smak krwi na koniuszku języka. Na stare lata trafił do świata abstrakcji.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni. Na knykciach został czerwony ślad. – Cholera, mam wrażenie, jakbym sam trafił do czubków.

Dyspensy papieża co prawda nie był w stanie załatwić, ale do rozmowy z prokuratorem nastawił się całkiem optymistycznie. Tym większe było jego zdziwienie, gdy po przedstawieniu propozycji Tracza Malczewski jedynie roześmiał się nerwowo. Następnie przez kilka sekund jego oddech świszczwał w słuchawce. Wreszcie odmówił.

I to, kurwa, zdecydowanie odmówił.

Malczewski był zbyt opornym osłem, żeby dać się przekonać. Argumenty odbijały się od niego jak od ściany i powracały z wielokrotnie tępym echem. Dla samej zasady, jeżeli miał taką możliwość, wolał tkwić w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. Z dwojga złego wybierał ciszę przed burzą, gdy jego aktorski uśmiezek brylował w mediach. Komplikacje nie były potrzebne.

Deryło aż do szesnastej nerwowo łypał na telefon. Łudził się, że prokurator zmieni zdanie i z wrodzoną łaskawością pozwoli im działać. O szesnastej, nie przekraczając bram piekieł, komisarz porzucił wszelką nadzieję. Malczewski nie zostawał w robocie nawet minuty ponad to, co musiał. A tego dnia nic nie wskazywało, żeby trzymano go siłą.

Do południa wszystkie uwolnione ofiary Cztery Iksa zostały wypisane ze szpitali. Dwie kobiety i dwaj mężczyźni wrócili do domów i trafili pod ścisły nadzór psychologów oraz jeszcze ściślejszą obserwację policji. Żadnych więcej wpadek. Żadnych więcej strat.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że ich zeznania wystarczyłyby za cały materiał dowodowy. To, że Magdalena Szus wspominała o jeszcze jednej kobiecie, której ciało rzekomo znikło, zrzucono na karb szoku psychicznego. Jednak do tej pory ten raport nie trafił na biurko komisarza. Zbadano za to ślady daktyloskopijne i traseologiczne, analizowano ślady biologiczne oraz broni palnej, dokumentacja fotograficzna rozrosła się do niebotycznych rozmiarów, a trupy trafiły do chłodni. Sekcje planowano zacząć jutrzejszego popołudnia.

Trybiki maszyny obracały się. Zegarek chodził prawidłowo.

Dokładnie o szesnastej czterdzieści siedem Deryło dowlóknął się do domu. Był głodny, zmarznięty i zniechęcony. Los nie pozwolił powtórnie rozkręcić się sprężynie akcji, więc dopadł go marazm. Nawet ból w boku przygasł i szarpał delikatnie, ledwie muskając nerwy.

Akurat w momencie, kiedy wszedł do mieszkania, zadzwonił telefon. Stacjonarny.

Praktycznie nieużywany, zostawiony bardziej z sentymentu niż do utrzymywania jakichkolwiek kontaktów. Od miesięcy nie zaatakował go nawet żaden telemarketer. To mogła być tylko jedna osoba.

Zdjął płaszcz, niespiesznie zsunął buty i podniósł słuchawkę.

– Halo? – zapytał przezornie.

– Eryk?

Nie. W tym domu mieszka już obcy chłop. Poznał głos matki i natychmiast pożałował, że odebrał. Odruch. Tylko że jednocześnie ścisnęło go gdzieś w żołądku i wewnętrzny głos kazał się odezwać. Czas na poświęteczno-noworoczno-zimowy telefon? Jeden z dwóch lub trzech w ciągu roku. A może zwykła pomyłka.

– Cześć, mammo.

– Stan Romana się pogorszył – grobowym tonem oznajmiła Brygida Deryło. Bez przywitania, bez ubierania w ładne słówka, a przede wszystkim bez cienia matczynego ciepła. – Już przedwczoraj, tylko że nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Zresztą, dzwoniłam też przed świętami, ale...

Ale nie miał czasu odebrać. Ani oddzwonić.

– Rokowania?

– Słucham?

– Jakie są rokowania?

– Organizm został zaatakowany przez jakiegoś wirusa. Jeżeli nie zwalczy go w ciągu najbliższych godzin... Mam nadzieję, że to zwykłe przeziębienie, bo inaczej...

Głos kobiety się załamał. Deryło odsunął telefon od ucha, gotowy rzucić go z powrotem na bazę.

– Na jego szczęście – szepnął. – Na jego cholerne szczęście.

Ewa uważnie go obserwowała. Stała w progu kuchni z rękoma splecionymi na piersiach, wiedziała, jak kończy się większość tych rozmów. Po chwili dołączyła do niej Wiktoria. Deryło machnął do nich dłonią i ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

– Dzięki za informację – powiedział oschłym tonem.

– Przyjedziesz?

Rozmowy z matką od lat nie bywały zbyt wylewne. Z ojcem nie zamienił słowa jeszcze dłużej.

– Do was?

– O to nie będę prosić. Do niego.

– Nie sądzę.

– Eryk...

– Poczulałabyś się dzięki temu lepiej? – Chodząc w tę i z powrotem, bezwiednie obracał w lewej dłoni srebrną monetę. Ewa wycofała się do kuchni, a Wiktoria ze spuszczoną głową powlokła się do pokoju. – Ulżyłoby ci?

– Powinieneś to zrobić dla samego siebie.

– Wiem, co powinienem zrobić dla samego siebie. I na pewno nie jest tym spełnianie twoich samolubnych zachcianek. Jeszcze raz dzięki za informację.

Słuchawka z trzaskiem wylądowała na bazie. Niewiele brakowało, a zaraz za nią powędrowałaby jeszcze pięść. Deryło w ostatniej chwili się opanował i wymierzył otwartą dłonią cios ścianie.

Od lat przygotowywał się do tej rozmowy. W każdym z wyobrażeń pozostawał obojętny i zimny. Tylko dlaczego teraz gęsty pot oblepił jego dłonie, a serce nieprzyjemnie kołatało?

Może nie tylko Malczewski był opornym osłem.

A może dopadły go wyrzuty sumienia.

Tylko idiota mógł wymyślić bal donatora w samo południe. Idiotyzm, jak to zwykle bywa, miał wiele głów. Wicedyrektora szpitala, dwóch ordynatorów, a przede wszystkim głównego księgowego. Ten niepozorny dziobak, zawsze w zbyt dużym garniturze, kalkulował nawet środki z fundacji. Pięciogodzinny, popołudniowy bal kosztował mniej niż solidna, trzygodzinna bibka w nocy. Większość gości wolała się nie skuć przed siedemnastą. Poza tym pojawili się również dziennikarze.

Tak więc bal, który był bardziej zbiorowym obiadem niż bale, zakończył się tuż po siedemnastej. Ostatnie kularowe rozmowy, uściski rąk i poklepywania zajęły kolejną godzinę. Zarząd chciał pokazać, że potrafi pozyskać nowe fundusze, a rozporządzający tymi funduszami chcieli pokazać, że rozporządzają nimi na szczytny cel. Owocna kohabitacja. Byli jak drzewo, które obsiadła spijająca soki jemioła. Ale wyglądali też dzięki niej dużo lepiej. Przed niewykończonym blokiem C (bo tego popołudnia dostał już nieformalną nazwę) jaśniała świetlana przyszłość.

Anna Repecka zastanawiała się, jak wypadła w wywiadach. Telewizja dorwała ją po części oficjalnej, kiedy makijaż nie był już doskonały. Jeden z radiowców zadawał idiotyczne pytania, a reporterka z lokalnego dziennika musiała skądś wiedzieć o jej politycznych aspiracjach. Członkostwo w klubie nie zostało jeszcze formalnie przypieczętowane, ale rozmowy weszły w stan terminalny, jak żartowano w nawiązaniu do jej ostatniej dotacji na hospicjum. Banda zafajdanych obłudników.

– I ja wśród nich – powiedziała do siebie, wychodząc z auta. – Anna Repecka, kandydat na radną królewskiego miasta Lublina. Zastrana obłudniczka. Jeśli chcecie oddać swój głos właśnie na mnie, rozstawcie szeroko nogi i się wypnijcie, a polizę wam dupy aż do jelita.

Uśmiechnęła się, rozbawiona własną przemową. Jako że na bal przyjechała samochodem,

nie wypić nawet kieliszka. Lepiej nie kusić losu i kamer. Mimo to była w naprawdę niezłym humorze. Przeszła przez drzwi łączące garaż z resztą domu i skierowała się bezpośrednio do kuchni.

Nowoczesne szklano-metalowe wnętrze raziło ascetyczną sterylnością. Stanowiło właściwie odzwierciedlenie jej życia. Brak miejsca na emocje, bezkompromisowość, nowobogactwo. Wcale nie zamierzała tego ukrywać. Kobieta sukcesu. Nie żadna intelektualistka siląca się na ładne mówienie i pozująca w gabinecie na tle biblioteki pełnej starych woluminów.

Rzuciła żakiet na oparcie stalowego hokera i podeszła do szafki. W momencie, gdy sięgała po butelkę wody, zabrzączał telefon. SMS.

Jutro opijamy oba newsy? Wypadłaś szalowo.

Zastępca przewodniczącego regionalnych struktur partii robił się coraz bardziej natarczywy. Musiała z nim flirtować tak długo, aż dopnie wszystko na ostatni guzik. Ona dopnie, on nie zapnie. Kolejna zabawna myśl.

Nie odpisując, położyła telefon przy kryształowej misie pełnej owoców. Nie miała ochoty z kimkolwiek rozmawiać. Wypiła dwie szklanki Perriera i rozmasowując skronie, powlokła się do salonu. Teraz był czas na dobrą komedię wzbogaconą butelką wina. Najlepiej jak najmocniejszego.

Nigdzie nie mogła znaleźć pilota. Przeszukała szczeliny białej skórzanej kanapy, lakierowaną szafeczkę robiącą zazwyczaj za podpórkę pod nogi, zakamarki kominka, wreszcie zbadała zawartość podręcznego składziku alkoholi. Zdarzało się, że wstawiona szła do niego z zamiarem otworzenia kolejnej butelki, a zamiast tego traktowała go jako wieszak.

– Pilota brak... – mruknęła i zaraz zrymowała: – Niech to szlag.

Trudno. Nie musi niczego oglądać. Już od dawna planowała ściągnąć aplikację na telefon. Domowe centrum obsługi w jednym.

Szur-szur.

Stłumiony odgłos dobiegł gdzieś ze spiżarki, którą niedawno przerobiła na gabinet. Praktyczniej było zorganizować miejsce do pracy niż trzymać puste pomieszczenie z myślą, że kiedyś będzie w nim magazynowała przetwory. Marzenia dzieciństwa.

Szur-szur.

– Co u diabła?

Poprzedniego lata kot sąsiadów zakradł się do jej domu i narobił rabanu. Włazł od tarasu, a że te drzwi przez całą zimę były zamknięte...

Szuranie zamieniło się w delikatny stuk. Jakby zwolniony odgłos wahadła albo stukot kul bilardowych. Chyba że...

Wypuszczając powietrze, weszła do pomieszczenia i skierowała się do elektrycznej bieżni. Timer. Nastawiła minutowy timer, który miał ją oderwać od pracy. Tyle że zapomniała o balo-obiedzie. Przez dziesięć sekund bieżnia pracowała, a potem uruchomił się tryb wyciszenia. Stuknięcia w regularnych odstępach.

Zerknęła na wygaszony wyświetlacz i pokręciła głową.

– Idiotka.

Zawróciła do salonu. W tym samym momencie zrozumiała, że to nie bieżnia wydawała stukoczący dźwięk. Kątem oka dostrzegła postać odbijającą się w lustrze. Wysoką, z białą maską na twarzy. Jej mózg błyskawicznie zarejestrował ruch okrytego skórzaną rękawiczką knykcia ku ścianie.

Stuk.

Postać poruszyła się.

Stuk.

Repecka rzuciła się do salonu. Musiała ominąć stół, ale wybrała złą drogę. Zamiast biec dokoła, pędziła węższym przejściem pomiędzy nim i komodą. Rąbnęła kolaniem w jeden z kluczyków, wyłamując go z zamka. Upadła.

Przez pół imprezy słuchała o ujęciu mordercy w masce i o jego osadzeniu na bloku Z. W domu miała dość drogich sprzętów, żeby skusić śmietankę okolicznych złodziei. To musiał być po prostu włamywacz. Albo przywidzenie.

Jednak nie potrafiła sobie tego wmówić...

Podniosła się i rzuciła do wyjścia. Napastnik był jednak szybszy. Zablokował jej drogę ucieczki, rozchylając szeroko ramiona jak matka, która wyszła na spotkanie dawno niewidzianych dzieci.

– Chodź do mnie. No chodź...

Syk. Nieludzki, przyciszony syk.

Znacznie lepiej od wmawiania sobie zamiarów Zamaskowanego udawała się jej projekcja oparta na pewności siebie. Uda się jej. Ucieknie.

Nie musiała go wymijać.

Chwyliła stojące przy stole krzesło i szorując jego fikuśnymi nogami po dywanie, dopadła do parapetu. Zamachnęła się i cisnęła nim prosto w okno. Metalowe nóżki uderzyły o szybę, złamały się i całość spadła na podłogę.

– Nie ma nawet rysy, co? – zapytał Zamaskowany. – Przecież właśnie po to zamontowałaś okna antywłamaniowe.

Zrobił krok w jej stronę.

– Czego chcesz? Czego, do diabła, chcesz?! – Cofnęła się do kominka i kątem oka dostrzegła szansę obrony.

Pogrzebach.

Jednym susem doskoczyła do paleniska i chwyciła półmetrowy metalowy bolec zakończony ostrym hakiem.

– Zejdź mi z drogi! – Zamachnęła się nim jak kijem golfowym. – Przepuść mnie!

Zamaskowany przesunął się, odsłaniając przejście do drzwi. Repecka wymachując pogrzebachem zrobiła krok naprzód.

– Odsuń się!

Mierząc go wzrokiem, przeszła do kuchni i kolejne metry pokonała, idąc tyłem. Zamaskowany ruszył powoli za nią.

– Cały dom naszpikowałaś alarmem, okna, drzwi wejściowe, drzwi na taras... – mruknął.

– Wszędzie poza wjazdem do garażu i przejściem z niego do domu. Skąd ta nierozważność, Anno? Nie zabrakło ci chyba forsy, prawda?

– Zamknij się!

Kolejny krok do tyłu. Kobieta gwałtownie się odwróciła i dopadła do blatu szafki. Wolną dłonią odepchnęła misę z owocami i...

Niech to szlag, nigdzie nie było jej telefonu. Przecież zostawiła go właśnie tutaj.

Nie miała czasu dłużej się rozglądać. Machnęła na oślep pogrzebachem, jednak Zamaskowany wciąż stał w progu.

– Tego szukasz? – Włożył dłoń do kieszeni płaszcz. Po chwili wyciągnął jej białego iPhone'a. – Pożyczyłem go sobie.

Repecka zrobiła kolejny krok do tyłu. Pot spływał jej po karku i osadzał się na kołnierzyku koszuli. Pojedyncze perliste ścieżki ściekały wzdłuż kręgosłupa. Serce gwałtownie wypełniło całą klatkę piersiową. Żebra unosiły się w jego rytmie.

Jeszcze kilka kroków i znajdzie się w holu. A potem wybiegnie na dwór i zawiadomi

sąsiadów. Ktoś na pewno zwróci na nią uwagę.

– Stój! Nie waż się nawet podejść! Rozjebię ci łeb!

Tym razem Zamaskowany się nie zatrzymał. Był cztery, może pięć metrów od niej.

– Ale po co te nerwy? – Postąpił kolejny krok. – Później najdzie mnie ochota odpłacić ci tym samym. Lepiej się zaprzyjaźnić.

– Pieprzony psychol! Im bliżej była drzwi, tym więcej nabierała odwagi. Nadzieja przetrwania wzrastała. Będzie tą, której udało się uciec. Ten sukinsyn sparzy się na niej. Ostrzegawczo zamachnęła się pogrzebaczem. Metalowy szpikulec ze świstem przeciął powietrze.

– Nie próbuj uciekać. – Zamaskowany zatrzymał się w pół kroku. – Nie uda ci się.

– Pierdol się!

Drzwi powinny być na wyciągnięcie ręki. Na ulicy o tej porze zawsze ktoś się jeszcze kręcił. Karpińscy spacerowali z psem, a ten czubek, Garlicki, do późnej nocy grzebał w garażu. Nigdy nie zamykał klapy, tłukąc się na całą dzielnicę.

Nagle uderzyła o coś, czego nie powinno być za nią.

O coś miększego od drewna. O coś, co wydało z siebie głuche sapnięcie.

Lodowate mrówki rozbiegły się po jej ciele. Napięte do granic wytrzymałości mięśnie ramion zdrząły, jakby oderwały się od przyczepów, a nogi się ugięły.

Nim zdążyła się odwrócić, coś chwyciło ją za nadgarstki i przyciągnęło do siebie.

Otarła się o lśniący, przezroczysty płaszcz. Druga zamaskowana postać z całej siły wbiła szpony w jej ręce. Przyciśnięty punkt na przedramieniu automatycznie rozprostował palce. Pogrzebacz brzęknął o terakotę.

– Akuku – szepnęła wesoło postać. – Siła złego na jednego, no nie?

Lśniący przezroczysty płaszcz był foliowym kombinezonem ochronnym. Chroniącym, rzecz jasna, przed pozostawieniem jakichkolwiek śladów.

Zakratowane okno dzieliło noc na równe kwadraty. Kwadrat u góry po prawej był najjaśniejszy. Pewnie właśnie gdzieś tam znajdował się księżyc, latarnia lub przeczesujący wybieg reflektor. Choć szpital psychiatryczny nawet w zamkniętej części raczej nie miał wybiegów rozświetlanych blaskiem reflektorów. Poza tym jasność kwadratu pozostawała niezmienna. Doskonale harmonijna. Poświata, rozmywając się pośród grubych krat, delikatnie przesączała się do wnętrza.

Okno znajdowało się w najdłuższej, mierzącej niespełna trzy metry ścianie izolatki. Pozostałe miały długość około dwóch metrów, tworząc pokraczny trapez. W jego nieforemnych krawędziach upchnięto kącik sanitarny, pryczę i przymocowaną do ściany szafkę. Wszystko pod pilnym nadzorem kamer. Czerwone światełka będą przypominały o ich obecności nawet przy zgaszonym świetle.

O ile w ogóle je zgaszą.

Na razie się na to nie zносиło. Ostatnia, wieczorna porcja leków została mu podana ponad godzinę temu. Wśród tabletek, których przełknięcie z wypiekami na twarzach obserwowało dwóch pielęgniarzy, znajdował się zapewne środek na sen. Powinien się dopytać. Może czekali, aż rzuci się na materac, wywali język i zacznie chrapać, a dopiero wtedy przejdą na tryb energooszczędny?

Tyle że żadne tabletki na niego nie działały. No, chyba że daliby mu dawkę, która wyrwałaby konia z kopyt. Podczas jedynej w życiu operacji zabawiał się z anestezjologiem, powstrzymując umysł przed odpłynięciem.

– Jeszcze nie śpi. Co do cholery...

– Stojący w nogach łóżka mężczyzna zaczynał się niepokoić.

Po kolejnym podkręceniu środka gotów był wszystko odwołać. Dopiero wtedy postanowił

zasnąć. Po pierwsze, lepiej nie ryzykować bycia krojonym żywcem, po drugie, lepiej nie ryzykować powtarzania lewatyw. To było okropne.

Tak więc teraz, gdy siedział obok pryczy i gapił się w okno, w ogóle nie chciało mu się spać. Analizował ostatnie wydarzenia. Nie wszystko poszło tak, jak się spodziewał, i nie wszystko miał teraz w garści. Kakofonia głosów dudniła mu w głowie jak dziesiątki młotów na placu budowy, ale nie pozwalał im się przekrzyczeć. Wiedział, że w końcu go zagłuszą, lecz jeszcze nie teraz. Musiał się skupić.

Do tej pory nie mógł wybaczyć Borgii tego, co zrobił. W ostatniej chwili powstrzymał go przed zastrzeleniem policyjnej gnidy. Przecież od początku gliniarz do niczego nie był im potrzebny. Stanowił zbędny dodatek do skrzętnie układanego planu. A ten idiota zaczął się rozwodzić nad dawaniem szans, robieniem wrażeń i odstawianiem szopek. Zamiast zastrzelić frajera, gdy schlał się w barze i ledwo doczłapał do domu, za namową de Sade'a wymyślił numer z upychaniem mu do rany szklanej ampułki. Któryś z nich chciał zrobić to tylko dla żartu, ale jakimś cudem trafił do niej cyjanek.

Iks przycisnął dłonie do skroni. Żelazny uścisk sprawił, że ból rozlał się po całej głowie, ale uciszał resztę głosów. A raczej tłumił je, jakby dobiegały do nurkującego znad lustra wody. Gdyby się uderzył, efekt byłby trwalszy, tyle że mógłby ściągnąć sanitariuszy.

Teraz ja mówię. Teraz ja.

TERAZ JA!

Zacisnął z całej siły zęby. Napięte mięśnie szczęki stanowiły dodatkową przesłonę. Odcinały szeptu dobiegające gdzieś z trzewi.

Gałki oczne bezwiednie obserwowały izolatkę, poruszając się po swoich utartych szlakach. Lewo-prawo. Góra-dół.

Tracił nad sobą panowanie. To było najgorsze. W lochach na chwilę kontrolę przejął ten dramatyzujący chujek Ciul i omal nie doprowadził do tragedii. Poważnie myślał nad odebraniem sobie życia. Chciał się zabić, wbijając przeklęty nóż w samą tętnicę, zabryzgać krwią ściany i na koniec wypowiedzieć coś dramatycznego. W ostatnim momencie udało się go powstrzymać. Nikt poza nim nie chciał jeszcze kopnąć w kalendarz. Jeden debil sprowadziłby klęskę na wszystkich pozostałych.

Takiego chaosu nie przeżywał od dawna. Na pierwszy plan wybijały się głosy, które niegdyś odzywały się tylko sporadycznie i nie miały żadnego znaczenia. Wystarczyło im przytaknąć, a zaraz zbierały dupy w troki.

Na przykład Casanova. Teraz jego krzyk był najlepiej słyszalny. Wrzeszczał jak małpa w jakimś obrzydliwym rytuale godowym. Może zbyt rzadko pozwalał mu dojść do głosu?

Napaleniec ostatnio strasznie go dekoncentrował. Powrócił ni z tego, ni z owego po dobrych paru latach nieobecności i domagał się uciech. W piwnicy nie dawał mu spokoju, tak bardzo chciał się zabawić z jedną z tych nastolatek. Przynajmniej jedną. Wtedy udało się go uciszyć i zapanować nad instynktami, ale w tym momencie nie było już na to szans. Dobijał się do sterów, przypominając, że musi dać upust emocjom. Z braku laku dobry był i samogwałt. Wiedział, że na nim się skończy. Przynajmniej na razie.

Iks zamrugał, obliznął usta i głośno westchnął. Nie musiał się maskować.

Zmiany podświadomości były jak gra w piłkę z samym sobą. Raz rzucał jeden ja, zaraz drugi, a potem kolejny i tak w kółko. Bez końca. Tylko że niektórzy cicho siedzieli na trybunach i czekali na swoją kolejkę, inni w ogóle nie mieli ochoty na grę, a jeszcze inni cały czas krzyczeli, dopingując pozostałych lub żądając oddania im piłki.

Pieprzony de Sade. Ostatnio wbił paznokcie w penis tak mocno, że ponaznaczał go jak kartkę do gry w szubienicę. Żeby podniecały go jeszcze kobiety. Nie było nic bardziej

wyzwalającego niż stłumić ich strach rozkoszą. Rozkosz.

Zamknął oczy i przypomniał sobie twarz tej rozwrzeszczanej, przerażonej kurewki. Małe bezkształtne piersi z ciemnymi sutkami, nabrzmiała żyła na bladej szyi, płaski brzuch. Zaróżowiona, falista blizna na biodrze jeszcze go nakręciła. Naturalne niedoskonałości.

Wstrzymał powietrze. Długa obcisła koszula, którą obdarowali go w szpitalu, przypominała damską sukienkę. Nie dostał jeszcze spodni. Być może w ogóle nie dostanie.

Oparł się o ścianę, wyprostował plecy i podwinął materiał. Był gotów. Z wciąż wstrzymanym powietrzem i zaciśniętymi oczami zaczął się masturbować. Nie miał problemu z mierzącym w niego okiem kamery. Jeśli ktoś chciał go podglądać, proszę bardzo, oto jest. Zawsze zdolny i zawsze chętny. Mimo wieku i okoliczności.

Blizna była długa na jakieś dziesięć centymetrów i szeroka na pół. W kilku miejscach zostały poprzeczne ślady po niciach. Trzy, cztery... Pięć. Pamiętał doskonale.

Tak samo jak jej zapach. Brudnego, spoconego ciała, które po dniach załatwiania potrzeb fizjologicznych nie zaznało ani mydła, ani papieru toaletowego. To też mu odpowiadało. Nie miał nawet problemu z tym, że gdy dziewczyna zapadła w katatoniczne odrętwienie, dymanie przypominało stosunek z dziurą w płocie. Nie doszedł tylko przez pierdolony aromat krwi, której nie brakowało po poprzedniej paniencie. Durny Ciul miał ochotę zaszaleć, więc zrobił tam swoją rzeźnię. Starał się sobie wmówić, że to tylko krew menstruacyjna, ale wiedział, że nie.

Jak można się kochać w rzeźni?

Rzeźnia jest ciepła i miła jak matka. A z matką się nie sypia.

Gniewnie opuścił koszulę i położył się na ziemi. Nie zasługiwał na pryczę, choćby miała najtwardszy materac.

Zaczął się żarliwie żegnać. Raz za razem, jakby uczestniczył w jakimś wyścigu.

Nagle jego oddech przyspieszył, a gałki oczne zadrżały. Dłonie wygięły się, przypominając szpony.

Powoli poruszył szyją. Jego oczy były nieruchome i wpatrzone w jeden punkt. Rozglądał się, obracając całą głową.

Kraty. Pieprzone kraty. Czy będzie tu czy gdziekolwiek indziej, i tak ktoś zginie. Był zjawą. Był wszystkowiedzącym demonem. Potrafił się przenieść w dowolne miejsce i czas. Mógł zabić, gdzie tylko zapragnie, a żadne mury i kraty nie były w stanie mu w tym przeszkodzić. Zawsze o tym pamiętał.

I piekielnie go to cieszyło.

Rząd żurawi origami szykował się do lotu. Po raz pierwszy od lat rozsiadły się przed Deryłą całe i niepogniecione. Dwa czarne z grubszego, śliskiego papieru i dwa białe z kartek wyrwanych z kratkowanego zeszytu. Nie spłoszyły ich żałobne tony *Dies Irae* Verdiego ani jeszcze posępniejszy humor komisarza.

Deryło odchylił się w fotelu i założył dłonie za głowę. Przymknął dziwnie wilgotne oczy.

Pierwsze z żurawi pojawiły się wtedy, gdy odżyły wspomnienia stateczków puszcanych z bratem na zalewie, w wannie czy w kałużach. Te uporczywe reminiscencje zaczęły go regularnie nawiedzać, jakby zamknęło się w nich całe dzieciństwo. We śnie i na jawie. A potem usłyszał historię o japońskiej dziewczynce, ofierze bomby nuklearnej, która składała origami w intencji wyleczenia. Narodowy mit nie mógł jej pomóc. Zamiast tysiąca, zrobiła kilkaset papierowych figurek, gdy dzieło na zawsze przerwała choroba popromienna. Wtedy nie rozumiał sedna tej ponurej historii. Nie potrafił znaleźć ani przesłania, ani morału, traktując ją jako kolejną bajeczkę opowiadaną ku przestrodze lub ku pokrzepieniu serc. Nawet tego nie był pewny.

Ale żurawie rzeczywiście tłumiły złość i tęsknotę. Najpierw stały się terapią, a później natręctwem tak silnym, że składał je odruchowo. Bezmyślnie zaginał rogi kartki, przyciskał ją i przekładał. Chwila zastanowienia mogła przywołać go do rzeczywistości, a wtedy nigdy nie potrafił dokończyć rozpoczętej figurki. Żuraw umierał jeszcze przed narodzinami.

Remi! Romek!

Krzyczał jak oszalały, biegnąc wzdłuż betonowego brzegu. Co za widok! Wiatr pchnął żagiel zrobiony z kawałka kijka i folii po cukierkach, a papierowa łódka podskoczyła na pomarszczonej tafli wody. Czuł się jak konstruktor, którego dzieło życia zostało właśnie zwodowane.

Pamiętał swoją złość, kiedy Romek rzucił w tego jednomasztowego Titanica garścią

kolorowych kamyczków. Pamiętał też, że kilka metrów dalej ojciec obserwował ich z nieodłącznym papierosem w ustach, a matka czytała coś na kocu rozłożonym w sosnowym zagajniku. To było jedno z powracających wspomnień. Ile to lat? Czterdzieści? Pewnie nawet więcej. Od dawna miał sprawdzić, kiedy towarzysz Gierek uroczyście oddał Lublinianom Zalew Zemborzycki. To było następnego lata po symbolicznym otwarciu.

Od dawna też odkładał sprawdzenie na później, wcale nie pragnąc poznać prawdziwej daty.

Otworzył oczy i przyciągnął fotel do biurka. Nabierając powietrza, brzuchem dotykał blatu. Dieta była zdecydowanie wskazana. Sięgnął po tekturową teczkę i wyjął z niej kilka fotografii. Musiał się na czymś skupić. Jeżeli zajmie głowę konstruktywnymi sprawami, wspomnienia same odejdą. Jak zawsze.

Obrócił w dłoni kartonik. Uwieczniono na nim pierwszą ofiarę przypisywaną Iksowi. Mimo prawie trzydziestu lat służby nigdy wcześniej nie widział podobnego bestialstwa.

Eteryczna blondynka została ułożona na plecach w błocie. Od pasa w górę była naga, a jej niezbyt okazałe piersi pokrywały serie głębokich nacięć. Jedne obok drugich, jakby zabójca sprawdzał na nich ostrość noża. Czy to mógł być motyw seksualny?

Deryło zmrużył oczy.

Na wysokości obojczyka z ciała dziewczyny usunięto spory kawałek skóry o kształcie przypominającym pentagram. Spod czerwonej, mięsistej powierzchni przebijała biel ścięgien i kości. Krew została obmyta, nie zaburzając doskonałej symetrii cięć. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że zbrodniarz kilkadziesiąt razy poprawiał swoje dzieło na wciąż żywej ofierze. Raz za razem, wyrównując zadarcia wywołane drzeniem dłoni lub śliskością nacinanej powierzchni. Dążył do ideału, wywołując nieprawdopodobny ból. Prawdopodobnie jednak nie tak duży, by dziewczyna straciła przytomność. By jej ciało odcięło się i zapadło w niebyt.

Powiodł spojrzeniem niżej, ku splecionym dłoniom.

Zostały pogruchotane, oplecione cieniutką metalową linką i złożone w geście szydzącym z modlitwy. Niektóre fragmenty połamanych paznokci tkwiły jeszcze w skórze, a inne zwisały jak płatki białego kwiatu. Trupio blade palce wyglądały na nienaturalnie długie, zdeformowane i szpiczaste. Podczas sekcji okazało się, że większość z kości połamano w dwóch lub trzech miejscach.

Kiedy po raz kolejny patrzył na fotografię, naszła go pewna myśl. Dopuszczali przecież, że Iks mógł się kierować motywami innych osób. Mógł ich wyręczać w zemście, zabawie, w czymkolwiek przyszło jemu czy im do pokręconych łbów. Ale skoro był osobowością wieloraką, nasuwało się jeszcze jedno skojarzenie. W jednym ciele mogło tkwić wielu morderców. A każdy z nich mógł realizować swój własny zbrodniczy plan.

To nie było pokrzepiające.

Bo co, jeżeli odkryli ofiary tylko jednego z nich? Jeżeli rzeczywiście Iks zaaranżował gdzieś jeszcze inną makabryczną scenę? Albo nawet kilka. Na listach zaginionych figurowało zbyt wiele osób, by zweryfikować je wszystkie. Musieli to z niego wycisnąć.

I to jak najszybciej.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie. Po rozmowie z matką bez słowa zjadł obiad i zaszył się w gabinecie. Wyszedł tylko na chwilę, zamienił kilka słów z córką, po czym na powrót zamknął się w swojej pustelni. Ewa przywykła do tych napadów samotnictwa i szanowała je. Ot, jedno z nieszkodliwych dziwactw jej męża. Jednak nawet szacunek miał swoje granice.

Nie musiała czekać na pozwolenie. Weszła do pokoju i delikatnie przymknęła za sobą drzwi. Dokładnie na tyle, żeby Wiktoria nie usłyszała ewentualnej kłótni.

– Miło byłoby pogadać, nie myślisz? – zapytała cierpko. – Siąść, wypić kieliszek wina,

powiedzieć, co ci leży na wątrobie...

Deryło przeciągnął rękami po twarzy i głośno sapnął.

– Wiem, przepraszam. – Obrócił się na fotelu. – Coś analizowałem i chyba...

– Wiem, co analizowałeś.

Nie mogła wiedzieć. Podслуchała tylko strzępki jego rozmowy z matką, a na sprawę Iksa spuścili zasłonę milczenia.

– Wiktoria wykupiła lot na przyszły czwartek – zmieniła temat. – Musi wrócić na zajęcia.

– A terapia?

– Profesor Wilewicz uruchomił kontakty i polecił nam psychologa w Mediolanie. Mamy się z nim skontaktować.

– Uważasz, że to dobry pomysł?

– Uważam, że Wiki jest w stanie podjąć samodzielnie decyzję. Choć zapewne pomogłaby jej w tym rodzinna atmosfera.

Delikatny przytyk. Rzadko kiedy objjali się z Ewą maskowanymi ciosami, ale tym razem chyba na to zasłużył. Schował zdjęcia do teczki i wstał od biurka. Ze spuszczoną głową podszedł do żony. Objął ją jak małe dziecko chcące się wypłakać w ramię pluszowego misia. Niedźwiedź przytulający kruchą dziewczynkę.

Ewa położyła dłoń na jego szerokich plecach i pogładziła je.

– Jak bardzo jest źle?

– Nie wiem. Chyba nawet bardziej niż bardzo.

– Dlaczego z nią nie porozmawiałeś? Znowu się będziesz zdręczał i...

Urwała, kręcąc głową. Deryło objął ją jeszcze mocniej.

– Właśnie dlatego – szepnął. – Przecież nie mogło się skończy inaczej.

– Ale chcesz wiedzieć, czy się skończy. I nie mów, że tak nie jest.

– To nie ma żadnego znaczenia.

Nabrał powietrza i opuścił dłonie. Odsunął się na tyle, że mogli spojrzeć wprost na siebie. Dostrzegł w jej zaszklonych oczach troskę, smutek i... pretensję? Choć raczej było to po prostu zmęczenie.

– Ale jego stan zagraża życiu? Powiedziała ci to?

Wzruszył ramionami.

– Jezu, Eryk, odpowiedz mi!

– Martwi nie mogą umrzeć – mruknął, wydymając wargi. – Prawda?

Delikatnie wywinął się z uścisku żony i wrócił do biurka. Nie mógł odpowiedzieć inaczej. Jednym ruchem chwycił wszystkie żurawie i wyrzucił je do śmietnika.

Po raz pierwszy całe. Niepogniecione.

4 STYCZNIA

17

Słońce powinno się obudzić za jakieś dwie godziny. Piąta rano w styczniu to najmroczniejszy środek nocy. Mimo to koła wozu ciągniętego przez otulonego kombinezonem osła turkotały na kocich łbach. Farba wymalowana na drewnianym boku łuszczyła się, lecz z łatwością można było odczytać napis: „Przedsiębiorstwo Oczyszczania Miasta”. Z niezrozumiałych względów wymalowano przy nim różowego słonia. Być może logo nawiązywało do nazwiska dawnego właściciela firmy, może do jego przezwiska, a może chodziło o całkiem inne skojarzenie. W każdym razie różowy słon nieruchomą trąbą inhalował się zapachem wrzuconych do skrzyni śmieci.

Osiół nie miał lepiej. Ślizgał się na oblodzonym bruku i zarzucał wozem tak, że prowadzący kłął pod nosem. Ekologia w centrach miast nie służyła zwierzętom. Było zbyt wcześnie i inny wóz ciągniony przez innego osła nie przejechał jeszcze przez okolicę, by posypać ulicę piaskiem i solą.

Woźnica zakręcił przy smaganej wiatrem Bramie Krakowskiej i skierował swój trzeszczący pojazd w stronę Trybunału. Wokół nie było żywego ducha. Po niedawnej sylwestrowej zabawie nie pozostał już nawet niedopałek papierosa czy lont fajerwerka. Jedne i drugie rozmokły w śniegu.

Schodząca w dół uliczka stanowiła dla osła katorżnicze wyzwanie. Sunął powoli, zapierając się kopytami o ostre kawały lodu i wypukłości bruku. Woźnica go nie pospieszał. Pochylał się w skórzanym siedzisku, które bardziej pasowałoby do starego auta niż obwoźnego śmietniska. Skóra pod wpływem mrozu napięła się, a sprężyny jęczały.

Kiedy minęli Stary Ratusz, od strony Złotej dobiegło ciche buczenie. Po chwili dołączył do niego szmer opon, a następnie blask samochodowych reflektorów rozproszył się w świetle latarni. Woźnica zmrużył oczy. Przez wrodzony astygmatyzm nie cierpiał dodatkowych błysków.

Po okolicznych uliczkach miały prawo sunąć jedynie auta nielicznych mieszkańców, taksówki i...

Tak. Z najbliższej odległości dostrzegł wyłączonego policyjnego koguta.

Srebrny opel zwolnił i niemalże zrównał się z jego wozem. Przez kilka sekund jechali obok siebie niczym surrealistyczna tyraliera. Wreszcie elektroniczny mechanizm opuścił szybę i z wnętrza radiowozu wyrzwał kwadratowoszczęki policjant. Był tak wielki, że niemal uderzał głową o podsufitkę, a barkiem wypychał drzwi. Przy schowanej szybie zyskał nieco więcej przestrzeni. Sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz wylać niczym budyń z pękniętego naczynia. Jego okrągła, lśniąca w pomarańczowym blasku latarni twarz również przypominała konsystencję budyńni.

– Wcześniej dzisiaj sprzątaacie. – Fałdki policzków zadrżały.

– Ano, wcześniej – odparł woźnica. – Przed szóstą wszystkie kosze mają być opróżnione i wracam do bazy.

– A osioł do szopki?

– Gdyby tylko.

– Męczenie zwierzęcia – kobiecy głos dobiegł z wnętrza radiowozu. Policjantka siedząca za kierownicą nie miała możliwości wyrzeć zza szerokiego barku partnera. – Na takim mrozie...

– Jego przynajmniej wyposażyli w kombinezon, a ja to co?

Woźnica machnął dłonią, wskazując na puchową kurtkę i szal omotany wokół twarzy. Na uszy miał naciągniętą grubą czapkę przypominającą hełmofony radzieckich czołgistów.

– Strój na koszt własny – parsknął, klaskając rękawicami. – A zimno jak diabli.

– Minus cztery – oznajmił nalany sierżant. – Ale idzie ocieplenie, bo było minus siedem.

– Oby, oby. Jeszcze pół roku i będzie lato.

– Szybko minie. Zamykam, bo zamarzniemy. – Policjant podniósł szybę. – Wszystkiego dobrego z Nowym Rokiem.

Woźnica nie odpowiedział. Odprowadził wzrokiem radiowóz, który przyspieszył i skręcił, wyjeżdżając z rynku. Tylne światła nie były już tak rażące.

Kilka minut później wóz zatrzymał się na placu po Farze. Przystrojony przez dzieci modrzew sprawiał ponure wrażenie. Owijające go lampki rzucały dyskotekowe blaski na zrekonstruowane ruiny dawnej katedry. W ciągu dnia przetaczały się tędy tłumy turystów, lecz w nocy wypierała ich głęboka cisza. Przerywał ją jedynie złowrózby szum wiatru.

Woźnica zeskoczył ze skózanego siedziska i podszedł do osła. Poklepał go po boku, w miejscu gdzie kombinezon łączył się z uprzężą. Z pyska zwierzęcia uniósł się obłoczek pary.

Good tidings we bring to you and your kin – zanucił mężczyzna.

Minął stylizowany metalowy śmietnik i obszedł wóz. Dwa odrębne mechanizmy pozwalały otworzyć jedynie jego tył lub rozsunać całą górą pokrywę.

Good tidings for Christmas and a Happy New Year.

Uwolniony zatrask opuścił dwie klapy, które z głuchym dudnieniem uderzyły o drewniane boki. Wokół rozniósł się odór ton przewiezionych nieczystości, jednak w środku nie było ani jednego worka ze śmieciami. Na dnie fury majaczył zarys drewnianego, masywnego słupa. Jego wierzchołek został opatulony grubym workiem lub kocem. Tonął w mroku.

Mężczyzna poprawił rękawiczki i uchwycił się metalowego haka. Sapnął z wysiłku. Zapierając się wolną ręką, wspiał się na wóz i natychmiast pochylił. Teraz, z mniejszej odległości, po raz ostatni przyjrzał się swojemu dziełu.

To, co z daleka mogło się wydawać workiem lub kocem, było ludzką sylwetką.

Skrępowana kobieta cicho zajęczała i wybałuszyła przerażone oczy. W jej ustach tkwił szmaciany knebel, a wokół smukłej szyi owiązано sznur, który splatał się za drewnianym

drągiem. Jego szorstki kontur wrzynał się w lekko wysunięty podbródek, utrudniając zaczerpnięcie tchu. Tchawica napinała się i poruszała, szukając odrobiny miejsca.

Woźnica rozejrzał się po okolicy. Sprawa była ryzykowna. Patrol policji, choć wyjechał z rynku, w każdej chwili mógł zawrócić.

– Chrzanić ich – syknął, przerywając nucenie piosenki. – Złych, złych, złych.

Postanowił zaryzykować. Cieszył się jak dziecko myślą o przedstawieniu, które go czekało. Zatarł dłonie i chwycił czubek drąga. Dzięki Bogu miał rękawiczki, bo drewno było nieoheblowane. Sterczały z niego dziesiątki ostrych drzazg. Martwił się, że może nie mieć dość siły, ale przygotowana wcześniej konstrukcja spisała się na medal. Delikatnie udniesiony pal obsunął się i zaklinował w metalowym mocowaniu tylnej klapy. Przywiązana do niego kobieta zawisała w powietrzu, kilkadziesiąt centymetrów nad linią wozu.

To było fantastyczne. Do tego ten charczący odgłos dobiegający zza knebla. Po takim treningu usiłujący go wypchnąć język musiał być nieźle przypakowany. Zachichotał rozbawiony tą myślą.

We wish you a Merry Christmas

Sięgnął po plastikowy kanister i nie przestając nucić, odkręcił korek.

We wish you a Merry Christmas

Chlusnął benzyną prosto w twarz skrępowanej. Ta odruchowo zamknęła oczy, ale świadomość tego, co się zaraz wydarzy, wykrzesła z niej resztkę życia. Zaczęła się jeszcze intensywniej szarpać i wić. Jednak sznury zostały zawiązane z zabójczą starannością. Piekielnie mocno.

We wish you a Merry Christmas... (ten pierdoła powtarzał to trzy czy cztery razy?)

Kolejny chlust rozlał się po bawełnianym sweterku. Ściekające strugi moczyły trociny wyściełające wozu i rozniosły wokół słodkawą woń. Ręce oblanej wyginały się pod niezwykłymi kątami. Spętane w nadgarstkach obracały się niemal o sto osiemdziesiąt stopni, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Wolne żarty.

Kobieta zachłysnęła się własną śliną. Z jej oczu pociekły łzy mieniące się w świetle tandetnie ubranej choinki. Krztusiła się, tocząc bezsensowną walkę z upchniętą w ustach szmatą.

Woźnica wypuścił kanister i zeskoczył na bruk.

...and a Happy New Year.

Musiał się spieszyć. Wyciągnął z kieszeni papierową kulkę, podpalił ją zapalniczką i cisnął na trociny. Ogień rozniósł się w ułamku sekundy. Płomień eksplodował jak gaz po wcześniejszych, nieudolnych próbach uruchomienia kuchenki.

Coś przezabawnego. Zaprzężony do wozu osioł natychmiast poderwał się do chaotycznego galopu. Pochodnia, którą taszczył niemal na grzbiecie, całkowicie zajęła się ogniem. Stopy kobiety spazmatycznie uderzały o drewniany pal.

Jednak wszelkie odgłosy ginęły w romantycznym trzasku płomieni. Swąd palonej skóry i włosów był intensywniejszy od aromatu tłącego się drewna.

Osiół popędził na oślep.

Niebo na horyzoncie delikatnie pojaśniało, kontrastując z odbijającą się od śniegu pomarańczową łuną latarni dworcowej. Nieliczni pasażerowie wylegli z walizkami na peron. Większość z nich, telepiąc się z zimna, paliła papierosy i rozglądała, wypatrując straży miejskiej lub ochrony. Niektórzy delectowali się kawą, której aromat splatał się z dymem.

Ten ranek nie był jak każdy inny. Był zimowy, ciemny, lodowaty.

Prokurator Malczewski uściśnął dłoń postawnego mężczyzny w stalowoszarym płaszczu, jedwabnym szaliku oraz eleganckim kapeluszu osadzonym głęboko na głowie. Spojrzał w jego żółtawe oczy otoczone pomarszczoną ziemistą skórą i uśmiechnął się nieszczerze. Zdobył się na ten akt udawanej sympatii, choć tuż po czwartej musiał zwlec się z łóżka, oporządzić i odegrać tę półgodzinną farsę. W duchu kłął jak diabeł pryskany wodą święconą. Na pogodę, na zawracanie dupy, a przede wszystkim na to, że ponury inspektor warszawskiej policji ubzdurał sobie wyjazd, nim na lubelskiej prowincji zapiał pierwszy kur.

Nie miał z tego żadnych korzyści. A był pragmatyczną bestią (przynajmniej czasem tak siebie nazywał), która gardziła światem konwenansów, by zabłysnąć, gdy tylko nadarzy się okazja. Najmłodszy prokurator rejonowy w Polsce, zdobył najwięcej dobrych not podczas pracy w prokuraturze okręgowej. I to bez względu na władzę i układy. Odnajdywał się w każdej konfiguracji.

Dlatego też teraz uśmiechał się i ścisnął dłoń stołecznego gwiazdora śledczych. Gwiazdora, który w jego zastępstwie przypisze sobie rolę złapania Cztery Iksa. Sukces zawsze miał wiele matek.

– Mogę tylko jeszcze raz zaproponować panu służbowe auto. – Kłęb pary uniósł się z jego ust. – Pięć minut i będzie na miejscu.

Inspektor Bicki pokręcił głową.

– Naprawdę dziękuję. Nie lubię siedzieć w trasie w metalowej puszcze. W pociągu mam miejsce, żeby rozwalić nogi, przejść się, a jak mnie naciśnie na pęcherz, to nawet kibel mam pod nosem. Czasem aż za bardzo.

– Pozostaje mi więc życzyć dobrej podróży.

– A mnie sukcesu przed sądem. – Bicki wyrwał wreszcie dłoń z uścisku prokuratora. – Chociaż wszystko jest jak na tacy. Nawet najbardziej tępi biegli tego nie upierdola. Adwokaci właściwie mogliby spakować manatki i potraktować każdą z rozpraw jak kilkugodzinne płatne zwolnienie.

„Tak, tak, wspaniale pan wszystko przygotował – pomyślał Malczewski. – Tak że największy imbecyl mógłby oskarżać, a sąd będzie się chował za ławą, rażony pierdoloną siłą oskarżenia”.

– Ten kutas nie chce adwokata – powiedział, zmieniając uśmiech pożegnania na uśmiech pogardy. – Nie rozumie, że w tym przypadku jego chcenie zwisa mnie i sądowi aż do kolan.

– Niech prawniczyna się martwi.

– Święta racja.

Pociąg z łoskotem wsunął się pod wiatę peronu i wyhamował, niosąc powiew lodowatego powietrza. Po chwili trzasnęły otwierane drzwi. Jak na zawołanie kółka walizek zastukały o posadzkę, buty zatupotały o ośnieżone stopnie, a monotonny kobiecy głos popłynął z megafonów:

– Pociąg relacji...

– O dziwo, nawet bez poślizgu. – Malczewski rozłożył dłonie, jakby pożegnanie rozrywało mu serce. – Pomogę panu, inspektorze.

Chciał chwycić jego niewielką, usztywnianą torbę, ale policjant był szybszy.

– Nie trzeba – parsknął, kierując się w stronę pociągu. – Jeszcze raz dzięki za podwózkę i romantyczne chwile spędzone w pańskim mieście...

Malczewski nie wiedział, czy to ostatnie potraktować jako przytyk czy zwykłą ironię. Mimo wszystko odechciało mu się stać na peronie i machać do odjeżdżającego gościa. Bez względu na to, jakie ten miał układy.

Obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Przechodząc przez halę dworca, poczuł wibrację telefonu. Komenda... Odebrał, ale nim przytknął aparat do ucha, nałożył jeszcze rękawiczkę. Następnie przez kilkadziesiąt sekund słuchał, nie mogąc wydusić z siebie nawet słowa.

– Co takiego? – warknął w końcu. – Przecież... Nie, nie potrzebuję, żeby mi pan cokolwiek powtarzał! Nie jestem debilem, do kurwy nędzy!

Zakończył połączenie i skołowany dowlókl się do auta. Rzucił się na fotel, jakby w jednej chwili uleciała z niego cała energia. Oparł głowę o szybę i tępo wpatrywał się w kałużę śniegu rozpuszczonego na gumowym dywaniku. Nim zdążył ochłonać, telefon ponownie zabręczał.

Odebrał automatycznie, choć numer nie figurował na jego liście kontaktów.

Miłosz Tracz tym razem nie musiał używać zbyt wielu argumentów. Nadmienił o swoim wcześniejszym pomysle i o tym, że Iks dawał wyraźne aluzje do zabawy zapalkami. Można to chyba nazwać ironią?

– Wyrażam zgodę nawet na pierdolone tortury – jęknął Malczewski. – Załatwię to, choćbym miał dzwonić do cholernego ministra.

Ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że przed ministrami lepiej nie stawiać przydawek. Na szczęście profiler nie zwrócił na to żadnej uwagi. Miał tylko jedno życzenie.

– Proszę obudzić patologa i zarządzić sekcję.

Choć powołani biegli protestowali, ich kumple lekarze byli sceptyczni, a adwokat sklął cały system, wszystko przebiegło po myśli Tracza. Biegłych zdjął mu z karku Malczewski, reszta lekarzy ustąpiła wraz z nimi, a adwokatem zajął się sam Józef Dycz. Wyraził zgodę na wszelkie badania i kazał mu iść do wszystkich diabłów. Mimo obligatoryjnej obrony nie chciał widzieć krępego, szczyłowatego mecenasa na oczy. Bez względu na to, że do wcześniejszych zarzutów zwykował się kolejny, tym razem pobicia. Do niczego się nie przyznawał i odmówił składania wyjaśnień. Z tyłu pojazdu transportowego poza Iksem znajdowały się jeszcze trzy osoby. Tracz, Deryło i Brzeski. Przed drzwiami pod bronią tkwiło dwóch kolejnych policjantów.

Iks został skrzepowany kajdanami przytwierdzonymi do wózka inwalidzkiego. Zarówno jego nogi, jak i ręce dostały minimalną swobodę ruchu. Klatkę piersiową opinał skórzany pas z metalową klamrą usytuowaną dokładnie na wysokości serca, a kostki spletały dodatkowe rzemienie. Miało to zapobiec wszelkim próbom rzucenia się na kogokolwiek, jak również przewrócenia wózka. Bezpieczeństwo aresztanta i jego otoczenia.

Hipnoza, która zdaniem psychiatrów mogła zaburzyć ich obserwacje, w ostatnich latach stała się jednym ze standardowych narzędzi psychologicznej terapii oraz diagnozy. Spłynęło z niej odium szarlataństwa. Powstały nawet technologie przyspieszające indukcję hipnotyczną. Tak naukowo nazywało się wprowadzenie osoby trzeciej w stan pełnego transu. Tracz bez oporów skorzystał z jednej z nich.

Podłużne pudełko przypominające harmonijkę zamiast ustników miało dwa okrągłe wycięcia. Profiler usiadł naprzeciw Iksa i podniósł urządzenie na wysokość jego twarzy. Oba otwory emitowały nierównomierne błyski światła, które Dycz miał uważnie śledzić przez kilka minut. Tracz zmuszał go jednocześnie do nieustannego skupienia. Na opadających powiekach, spowalniającym oddechu, wreszcie uczuciu ciężkości w karku, barkach, plecach, rozluźniających

się mięśniach nóg. W ten sam sposób, jak zostało to przedstawione w setkach książek i filmów.

Dycz podszedł do eksperymentu z zainteresowaniem. Spodziewał się, że każde wyjście poza strzeżone mury będzie sporym wydarzeniem. Cieszyła go myśl, że zabawi się z profilerem, tak jak niegdyś z anestezjologiem. Faktycznie, może i miał problemy z uśpieniem, ale hipnozie poddał się niewiele wolniej niż przeciętny człowiek. Już po kilkunastu minutach jego powieki rzeczywiście nieco opadły, oczy się zamgliły, a usta lekko rozwarły. Błada twarz pofałdowała się, jakby rozluźnione mięśnie wypchnęły resztki zmagazynowanego tłuszczu.

Tracz wyłączył emiter światła i pochylił się ku Iksowi. Ustawione poprzecznie tylne fotele stanowiły wygodne rozwiązanie pojazdów transportowych. Zabierały co prawda dużo miejsca, ale dawały komfort rozmowy.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem...

Iks delikatnie pokręcił głową. Jak globusem, który obraca się w zakresie kilku stopni. Zamiast metalowej konstrukcji podpierał go stelaż bandaży i opatrunków.

– Zapewniam pana, że my – „my” wypowiedział z naciskiem i choć mówił powoli, zrobił pauzę – jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy. Nie mieliśmy tej przyjemności.

Tracz położył dłonie na kolanach.

– W takim razie z kim miałem przyjemność wczoraj w szpitalu?

– O ile mi wiadomo, między innymi z Dzieciakiem i Świętojebliwym.

– Dzieciakiem?

– Nie pamięta pan tego urwisa, który tak bardzo chciał się pobawić zapaleczkami? – Iks na chwilę zmienił głos w ten sam sposób jak na oddziale. Zaraz jednak dodał chrypliwie: – Pobawił się, prawda?

Deryło i Brzeski wymienili zafrasowane spojrzenia. Z trudem powstrzymali się od jakiegokolwiek komentarza. Tracz wcześniej poprosił ich, żeby nie włączali się do dyskusji ani nie wchodzili z Iksiem w jakąkolwiek relację. Cokolwiek by powiedział. Poza tym wymiana zdań przebiegała przyciszonym tonem i wszystko można by zrzucić na karb przeszłości.

Jednak to, co widzieli, zakrawało na czysty absurd. Komisarz zmarszczył czoło, założył nogę na nogę i oparł głowę o bok auta. Pieprzony cyrk. A mógł bez problemu załatwić sukinsyna. Z całą pewnością nikt by nie miał pretensji, ale Dycz stanął teraz jedyny trop na drodze do innych morderców. Bo przecież nie urządził tej całej wybuchowej szopki z za krat psychiatryka.

Choć Deryło już wcale nie był tego taki pewny.

– Nie moglibyśmy porozmawiać o pańskim dzieciństwie, panie Tracz? – Iks niemal zaskomlał. – Zawsze interesuje mnie dzieciństwo.

– Może innym razem. Teraz...

– Niech pan pomyśli o matce. Co się z nią panu kojarzy?

– Dość – profiler uciął stanowczo, ale nie podnosząc głosu. – Chcę rozmawiać z tym z was, który jest religijny.

– Ale...

– Bez żadnych „ale”. W tym momencie nie macie nad tym kontroli.

– Proszę bardzo, ale on niczego nie zdradzi, możecie go pytać o wszystko i... – Iks nagle powiódł spojrzeniem po linii prostej w lewo, a potem w górę. – Bóg zapłać – odezwał się głębszym, spokojniejszym tonem. – Ciągłe mnie tłumią, rzucając tylko wtedy, gdy staję się niezbędny do nadstawienia karku.

Deryło nerwowo przygładził włosy. Scena mogłaby wywołać salwę śmiechu, ale pozostawał niezmiennie spięty. Choć podstarzały mężczyzna zachowywał się jak aktor komediowy, jego ukryte pod półprzymkniętymi powiekami oczy poruszały się w niezwykle sposób. Po raz kolejny powędrowały po linii prostej i utkwiły mętne spojrzenie w komisarzu.

Zimne, mętne spojrzenie trupa. Jednak w ułamku sekundy ich mechanizm się rozregulował, a gałki zadrzały niczym u chorego na oczopląs. Udawanie nie wchodziło w rachubę.

Tracz odsunął się nieco od oparcia, zbliżając kolana ku kolanom Iksa. Poza zaufania.

– Podczas hipnozy nie mogą pana powstrzymać przed dojściem do głosu, prawda?

– Nie.

– Więc nie powrócą aż do końca tej sesji.

– Mhm.

– A pan, jeżeli wierzy w Boga, również sam się nie usunie i nie pozwoli im przejąć świadomości.

– Mhm.

– Proszę to wyraźnie powiedzieć.

– Taaaak... – Iks zaczerpnął głęboko powietrza, rozchylając płatki nosa. Jednocześnie zacisnął dłonie na oparciu wózka tak, że jego konstrukcja zatrzęszczała. – Nie pozwolę im.

– Zapewne zdaje sobie pan sprawę z tego, do czego zmierzam. I z tego, że chcę wykorzystać pana w śledztwie.

– Dzięki temu Bóg może dostrzeże we mnie człowieka. Nie sądzi pan?

Tracz nie odpowiedział na pytanie. Również zacisnął dłonie, z tym że na kolanach.

Naśladownictwo zacieśniało relację.

– W takim razie, czy zostały uprowadzone jakieś osoby, o których nie wiemy?

Iks pokręcił głową.

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo oni...

– Ich teraz nie ma.

– Ale ja nie pamiętam, nie mogę...

Profilier odwrócił się do Deryły i Brzeskiego. Uniósł brwi, po czym skinął głową, jakby chciał im powiedzieć „a nie mówiłem?”.

– Jest gotowy – oznajmił.

Aspirant niezwłocznie wstał i pchnął wózek, wytaczając Iksa z pojazdu transportowego.

Terapia szokiem. Tak Tracz mówił o tym, co zamierza zrobić. Kiedy Deryło przed trzema godzinami przybył na komendę i wylało się na niego całe szambo porannych wydarzeń, nie miał nawet ochoty wnikać w szczegóły. Po kolejnej ledwie przespanej nocy w jego krwiobiegu płynęło więcej kofeiny niż tlenu. Dwie czarne w domu, dwie na komendzie i jeszcze jedna siekiera zaparzona na zapleczu prosektorium. Ta ostatnia podejrzanie śmierdziała. Jako jedyny nie posmarował nosa Wickiem i teraz żałował. Parszywa kawa napawała większym niesmakiem niż woń krojonego trupa.

Wypił ostatni łyk i otarł językiem z zębów ziarniste drobinki. Chciał splunąć do zlewu, ale świadomość, że gęsta ślina przez chwilę mogłaby połączyć jego usta z metalowym denkiem, zdecydowała o przełknięciu. Wciąż czując nieprzyjemny osad, skierował się w głąb korytarza. Minał drzwi chłodni i zanurzył się w gęstym aromacie sali sekcyjnej.

– Niech wam Bóg wybaczy...

Charkot Iksa był pierwszym, co usłyszał. Nachylony nad wózkiem Tracz coś do niego szeptał. Prokurator Malczewski stał obrócony plecami i przeglądał niepospinałe kartki. Brzeski został na zewnątrz.

W pomieszczeniu znajdował się jeszcze krępy technik i łysy jak stół doktor Gawiński. Lekarz właśnie przystąpił do odpreparowywania powłok szyjnych. Z zegarmistrzowską precyzją poprowadził cięcie pomiędzy wyrostkami barkowymi, tuż poniżej linii obojczyków. Następnie odchylił do tyłu głowę zmarłego, po czym rozciął skórę aż do brzegu żuchwy. Jednym ruchem naciągnął wykrojony płąt na twarz denata, jakby zawijał ją niczym produkt kulinarny.

Gawiński pracował mechanicznie. Dyktował do mikrofonu proste zdania i odchyłał się, by co jakiś czas technik mógł zrobić zdjęcie. Przedłużenie cięcia w kształcie litery Y wiodło pomiędzy żebrami, omijało pępek i kończyło się nad spojeniem łonowym. Jednym ruchem

patolog wywinął lewy płat skórno-mięśniowy, a następnie, używając noża, zręcznie oddzielił go od żeber. Po chwili to samo spotkało płat prawy.

Deryło zrobił krok w stronę Tracza. Chciał usłyszeć, o czym profiler mówi Iksowi, lecz rozmawiali ledwie słyszalnym szeptem. Zagłuszał go nawet odgłos rąk Gawińskiego przebierających w trzewiach denata. Dycz sprawiał wrażenie sennego, poruszał ustami w zwolnionym tempie, rozluźnił mięśnie karku, przez co jego głowa nieco opadła, ale spojrzenie miał utkwione w stole sekcyjnym. Co rusz jego dłoń biegła od bandaża ku mostkowi i obu stronom klatki piersiowej. Na tak symboliczne przeżegnanie pozwalała długość łańcucha.

Deryło oddychał ustami. Posmak kawy zamienił się w cierpko-słodki posmak śmierci. Założył ręce za plecami i odwrócił się w stronę Gawińskiego. Zamiast marnować czas na obserwowanie patroszenia zwłok, mógł wystawić kogokolwiek innego. Ale nie. Doskonale rozumiał mechanizm swojego zachowania. Chęć zagłuszenia myśli o Romanie, ciekawość spotkania z Ikssem, wreszcie przeczucie, że bez jego obecności coś pójdzie nie tak. Przeczucie zaburzające święty spokój. O ile można mówić o świętym spokoju, gdy w kolejce na stół czekały zwłoki kobiety, która skończyła jako żywa pochodnia.

Świetlana perspektywa.

Patolog, po przecięciu chrząstek żeberowych oraz stawów, odciągnął płaty skórne, odciął mięśnie i wyjął mostek. Przez chwilę pracował nad workiem osierdziowym, wywijając skalpelem i podłużnymi szczypcykami. Wreszcie zdał do mikrofonu krótką relację i niezwłocznie przystąpił do dalszego działania. Wąski zakrzywiony nóż utkwiał w przeponie jamy ustnej. Lekarz poprowadził cięcie najpierw do prawej, a potem do lewej żuchwy. Kolejny etap nieodmiennie przyprawiał Deryłę o mdłości. Po raz pierwszy obserwował go w trakcie zajęć w szkole policyjnej. Z mdłościami wiązała się jednak chęć udowodnienia sobie, że nie odwróci wzroku. Dziecinne postanowienie faceta, który w ten sposób sprawdzał swoją wartość i na dodatek doskonale o tym wiedział.

Przecięcie środkowego odcinka przepony trwało moment. Chwilę później palce lewej dłoni Gawińskiego rozwarły powstały otwór i przeciągnęły przez niego obrzmiały, sinoczarny język. I nie tylko.

– Co jest, do diabła?!

Nieprofesjonalny komentarz świadczył o najwyższym wzburzeniu patologa.

W wozie transportowym zrobiło się zimno. Przy wyłączonym silniku klimatyzacja nie pracowała, ale kierowca zdawał się tym nie przejmować. Omotał się grubą kurtką, oparł głowę o szybę i wyglądało na to, że zasnął. Brzeski lodowatym palcem gładził ekran komórki. Przeglądał kolejne nagłówki gazet.

Makabra na lubelskiej Starówce.

Psychopata nadal na wolności.

Przerażająca śmierć w płomieniach.

Poza chwytliwymi tytułami artykuły nie przedstawiały nic merytorycznego. Nawet gdyby dziennikarze pozakładali podsłuchy i opłacili przecieki, niczego jeszcze by się nie dowiedzieli. Niczego poza tym, że odnaleziono nadpalone zwłoki przymocowane do drewnianej konstrukcji.

Technicy wciąż pracowali. Ich badania objęły spory kawałek Starego Miasta, więc powinny potrwać jeszcze co najmniej kilka godzin, a może i dłużej. Kilka godzin grzebania pod specjalnymi namiotami, za policyjnymi taśmami i kordonem. Zupełnie jakby serce Lublina zostało objęte kwarantanną i wkroczyli do niego kosmonauci. Liczył się każdy ślad, choć Brzeski był niemal pewny, że znowu znajda niewiele. Tyle, na ile im się pozwoli.

Dzzzz, dzzzz...

Komórka zawibrowała mu w dłoni. Po kilku sekundach odezwą się takty ścieżki dźwiękowej *Pulp Fiction*.

Ala.

W pierwszej chwili miał odrzucić połączenie, lecz wolał się upewnić, że wszystko w porządku. Nie dzwoniła często. Przynajmniej zbyt często.

Nie chcąc budzić kierowcy, otworzył drzwi i wyskoczył z pojazdu. Buty plasnęły o podłoże.

– Cześć! – rzucił, omijając błotnisto-śnieżną pulę. – Co tam?
– A Leonard? – spytała Alicja, jakby ciągnęła dawno urwaną rozmowę. I może właśnie tak było. – Jak ci się podoba Leonard?

– Kojarzy mi się z Cohenem, ale poza tym brzmi dobrze.

– Dzięki temu miałyby ładny głos. Jest taka teoria, w której...

Brzeski pomyślał, że zamiast włóczyć się po ginekologach, jego żona powinna odwiedzić psychiatrę. Wszystko rozumiał, ale chęć zajścia w ciążę przerodziła się już w obsesję. Podjęli decyzję, zaczęli pracować nad jej realizacją, a ona wpadała to w głęboką depresję, to w narkotyczną euforię. Nie będąc przy tym brzemienną.

– Nie bardzo mogę teraz rozmawiać – od razu skarcił się za cierpki ton i niezwłocznie dodał: – Jak tylko znajdę chwilę, to zadzwonię, okej?

Takie tłumaczenie nie zrobiło na Alicji żadnego wrażenia.

– Byłam właśnie u doktora – oznajmiła, oczekując, że Brzeski sam zacznie podpytywać.

Więc zaczął.

– Znowu? Przecież mieliśmy wyznaczoną wizytę dopiero na przyszły tydzień.

– Ale chciałam sprawdzić ostatnie wyniki...

– No i?

– Doktor powiedział, że wszystko jest na właściwej drodze.

Ładny eufemizm. Lekarze potrafili nimi operować jak mało kto. W rzeczywistości prawie od roku karmili ich eufemizmami.

– W takim razie nie powinniśmy się martwić. Po prostu za dużo o tym myślimy.

– Jak moglibyśmy o tym nie myśleć? – Alicja natychmiast się oburzyła. – To normalne, że myślę o tym bez przerwy. Kładę się z tą cholerną myślą i z nią wstaję. A jak uda mi się zasnąć, to śnię tylko o jednym. Nie powiesz chyba, że...

– Powiem, że może powinniśmy puścić sprawy własnym biegiem.

– Przecież właśnie to robimy. Częste wizyty u lekarza i odczytywanie tych samych wyników badań wskazywały raczej na coś innego. Jeden z lekarzy ostatnio niby mimochodem napomknął o zjawisku „niepłodności na tle psychicznym”. Miał o tym doczytać, ale wolał nie zapeszać. Pamiętał, jak Deryło wspomniał, że profilaktyczne włóczenie się po lekarzach to kuszenie losu. Zaściankowe myślenie, ale tkwiło w nim ziarno racji.

– Muszę kończyć. Porozmawiamy w domu.

– Przemyśl tego Leonarda.

Rozłączył się i wcale nie zamierzał niczego przemyśleć. To też było zapeszeniem.

Wszedł do budynku i szybkim krokiem przemknął labiryntem korytarzy. Kiedy dowlókł się pod drzwi prosektorium, zrobiło mu się ciepło. Rozpiął kurtkę i przejechał palcem wokół kołnierza koszuli. Nawet przemarznięte dłonie nabrały czucia.

Gdy chciał sięgnąć do klamki, drzwi same odskoczyły. Ze środka wypadł znany mu z widzenia asystent Gawńskiego, a zaraz za nim Deryło. Twarz komisarza była purpurowa, choć nie miał z tym nic wspólnego mróz panujący na zewnątrz.

– To musi natychmiast trafić do analizy – pouczał medyka. – Niech technicy pobiorą ślady i zajmą się tym na wczoraj. Zrozumiał pan? Na wczoraj, do kurwy nędzy!

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Deryło dopadł do Dycza. Bez pardonowo odepchnął stojącego obok profilerę i wyszarpnął pas z klamry wózka inwalidzkiego. Nie zważając na głosy sprzeciwu, rozwiązał skórzane rzemienie. Dyszał jak rozpędzająca się maszyna parowa.

W jednej chwili coś w nim pękło. Metalowy przedmiot wyciągnięty z gardła ofiary podział na niego jak płachta na byka. Przypomniawszy, że Cztery Iks rzucił mu diaboliczne wyzwanie. I o tym, że pogrywał z nim również teraz.

Prokurator Malczewski opuścił pomieszczenie chwilę wcześniej, aby pospieszyć analizę dowodu. Formalnie był obecny przy sekcji, a nie widział potrzeby wytrwania do merytorycznego końca. Zresztą nawet gdyby pozostał w środku, nie zdołałby powstrzymać komisarza. Zapewne nawet by nie próbował. Tak samo jak Brzeski i Tracz odsunąłby się, woląc nie ryzykować oberwania rykoszetem. Nie miało to sensu.

Deryło chwycił Iksa jak szmacianą lalkę i powłócił do stołu sekcyjnego. Nie zważał na klucie w boku. Niosła go dzika wściekłość.

– Co to za pierdolone gierki, co?! – wrzasnął, gdy znaleźli się obok metalowego blatu. – Co tam upchnąłeś, ty pokrecony świrze?

Gawiński głośno sapnął. Wymierzył w komisarza szczypczykami i poruszył nimi, jakby rozgarniał popiół.

– Nie narób mi tu syfu. – Jego mysia twarz przybrała zrezygnowaną pozę. – Błagam cię...

Deryło jedną dłonią trzymał Iksa za kark, a drugą wyginał mu rękę. Łańcuch pomiędzy kajdankami napiął się i werznął w brzuch mężczyzny. Ten jednak nadal milczał. Z najbliższej odległości obserwował otwarte zwłoki. Jego powieki wciąż pozostawały lekko przymknięte, a oddech spowolniony. Zachowywał się jak zombie wyrwane ze snu.

– Co to było?! – Komisarz podciągnął wyżej jego rękę. – Odpowiadaj!

– Nie pamiętam.

– Co takiego?

– Nie pamiętam...

Tracz koncyliacyjnie uniósł dłonie. Podszedł z boku do stołu sekcyjnego, niczym sędzia zbliżający się do zakleszczonych bokserów.

– On naprawdę może nie pamiętać – wyjaśnił. – Jeżeli nie posiada z pozostałymi alter ego wspólnej świadomości, wtedy...

Deryło spojrział na niego z ukosa.

– Pierdolenie! – Jego dłoń zsunęła się z karku Iksa i zacisnęła na gardle. – Wszystko pamiętasz, prawda? A jak nie, to lepiej sobie przypomnij...

– Panie komisarzu, w ten sposób nie dowiemy się niczego. Hipnoza wciąż działa.

– No to go obudź!

– Chciałbym najpierw poznać to, co wie ta osobowość – mówił błagalnym tonem Tracz. – Zmarnuje pan wszystko, co osiągnęliśmy. Bo nie mam wątpliwości, że będzie współpracować.

Z gardła Dycza dobiegł suchy charkot. Najwyraźniej pragnął potwierdzić, że rzeczywiście tak będzie. Do akcji włączył się również Gawiński. Obszedł stół i ponownie pogroził Deryle szczypczykami.

– Dość tego syfu. Koniec.

Komisarz rozluźnił chwyt. Wciąż ciężko dyszał, ale lawa złości wyciekła. Powoli się uspokajał. Nie zważając na kajdany, pchnął Dycza tak, że ten z plaśnięciem runął na posadzkę. Natychmiast doskoczyli do niego Tracz z Brzeskim. Wciągnęli go na wózek, ale tym razem odpuścili sobie krępowanie pasem. I tak ledwie się trzymał na nogach.

– Ten człowiek to połknął? – Deryło odezwał się rzeczowym tonem. – Czy jak to się dostało do pieprzonego gardła?

Gawiński nie ukrywał irytacji.

– Nie – odparł cierpko. – Upchnięto to w jego przełyku już po śmierci.

– Niby skąd możesz to wiedzieć?

– Wiesz, na czym polega zgon przez utopienie? Bo na razie wszystko mi wskazuje, że mamy tu topielca.

– Wykaż się. Ja tu tylko asystuję – komisarz starał się załagodzić napięcie. Głęboko oddychał, próbując oderwać myśli od Dycza. – Grzecznie słucham.

Gawiński bez słowa chwycił za język denata, po czym posuwistym ruchem odciął ściankę jamy gardłowej od kręgosłupa. Wprawnie naciągnął górny odcinek tchawicy i go oczyścił. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund. Następnie wsunął nóż pod płuco i dwoma cięciami ugodził aortę oraz przełyk.

– Widzisz? – zapytał, odsuwając się. – Rozedma wodna płuc. Śmiało, popatrz sobie.

Deryło mlasnęło. Nadal niewiele mu to mówiło.

– Płuca wydają się jakby za duże w stosunku do ogólnych rozmiarów klatki piersiowej. Wypełniają je, a ich krawędzie się stykają. Na powierzchni, o tu – lekarz pogładził rękawiczką lewy płąt – widoczny jest docisk żeber. Rozumiesz, jakie to musi być uczucie? Utopienie to jeden z najpaskudniejszych sposobów umierania. Woda rozrywa płuca od środka i wręcz wpycha je na żebra, odciskając ich rzędy jak ruszt na sztuce grillowanego mięsa.

– Dobra. Rozumiem. Ale skąd wiesz, że on tego po prostu nie połknął?

Odpowiedź na to pytanie pozwalała ustalić, czy przypadkiem przedmiot nie był informacją od samej ofiary. Ratunkową kapsułą czasu.

Gawiński sięgnął po dłuższy skalpel i wskazał nim na trzewia denata.

– Kiedy zajrzemy do żołądka, okaże się, że jego zawartość uległa rozwodnieniu

i spienieniu. Znaczna część tkwi też w przewodzie pokarmowym.

– Dalej nie łapię.

– Gdyby połknął przedmiot takiej wielkości, topiąc się, wyrzygałby go. – Gawiński westchnął. – Topienie to łykanie wody i rzyganie. Stąd te bańki powietrza na filmach.

Deryło chciał jeszcze o coś zapytać, ale usłyszał za sobą skrzypienie. Odwrócił się, niemal potykając się o stopy Dycza. Przy zablokowanym wózku stali Tracz i Brzeski. Obaj utkwili w nim wymowne spojrzenia.

– Czekacie na oklaski?

Cztery Iks odchylił głowę. Nieruchomo patrzył przed siebie, a jego dłonie spazmatycznie napierały na kajdanki. Nie przypominało to próby ich rozerwania, a raczej wyraz przerażenia. Gest osoby pragnącej uciec przed samą sobą.

Nie mogę sobie przypomnieć, co to za przedmiot – szepnął drżącym, starszym niż wcześniej głosem. – Ale wiem o czymś znacznie istotniejszym...

11 LAT WCZEŚNIEJ

23

Życie na wsi miało swoje uroki. Właściwie przez całe lata nie można się było do niczego przyczepić. Skromne, u boku kochających dziadków i świetnych kumpli z okolicy, płynęło swoim monotonnym biegiem. Trochę prac w polu, trochę w ogródku, od czasu do czasu pomoc coraz niedołęźniejszemu dziadkowi przy gospodarstwie. Nawet w łataniu dachu i w wymianie desek opustoszałej stodoły można odnaleźć coś mistycznego. Przynajmniej z perspektywy czasu.

Życie na wsi miało swoje uroki, dopóki nie zamarzyło się studiowanie. Szczególnie studiowanie tego, czego nie nauczano na zamiejscowych wydziałach poupychanych w najbliższych zadupiach. Bo osiemdziesiąt kilometrów do Lublina i osiemdziesiąt do Białegostoku oznaczało lekką ręką co najmniej po piętnaście złotych w każdą stronę. Gdyby chcieć codziennie dojeżdżać, kwota robiła się znacząca. Gdyby chcieć wynająć pokój, znacząca kwota wydawała się wcale nie tak znacząca.

W ten sposób Daria Lipner, świeżo opierzona studentka medycyny, trafiła do pracy jako hostessa, następnie ekspedientka (wystarczyło polecenie szefa galerii handlowej, lecz sklep wkrótce splajtował), wreszcie kelnerka w kawiarni tuż przy deptaku.

Płaca może nie była satysfakcjonująca, lecz regularna. Praca może nie zbyt rozwojowa, ale bezpieczna. I właśnie tego potrzebowała. Przez lata życia z dala od miasta wykształciła w sobie silne poczucie bezpieczeństwa. Brak zewnętrznych zagrożeń, brak paskudnych wieści z najbliższej okolicy. Dlatego po przeprowadzce do Lublina tak istotny pozostał dla niej wewnętrzny spokój. Mimo dobrych warunków i możliwości dorobienia z napiwków odrzuciła propozycję pracy w barze. Bała się klienteli, poklepywania po tyłku (tyle razy widziała to na filmach), bała się pijanych facetów, a przede wszystkim nocnych powrotów.

Praca w kawiarni była spokojna. Cztery popołudnia w tygodniu, tak skorelowane z zajęciami na akademii, że co prawda z językiem na brodzie, ale zawsze zjawiała się o czasie.

„Pani zegarynka” – tak wołał na nią właściciel lokalu. Miły starszy pan, który przez trzy dekady pracował we Włoszech, przesiąkł aromatem espresso i w końcu zainwestował w rodzinnym mieście. Wszystko wskazywało na to, że z sukcesem.

Tak więc Pani Zegarynka studiowała i pracowała. Pracowała i studiowała. Żadnych imprez, żadnych domówek, niewielu znajomych. Mimo to z uporem parła do celu. Najpierw medycyna, potem wymarzona psychiatria.

Kiedy poznała Marka, w jej życiu nastąpił okres, który obrazował, co znaczy chodzenie na rzesach. Zbliżała się sesja (pierwsza w jej życiu), właścicielka wynajmująca jej pokój zaprzęła ją do prac domowych, a interes kawowy tak się rozwijał, że musiała zostawać po godzinach. Marek też się do tego przyczynił. Inteligentny, przystojny dwudziestokilkulatek regularnie zjawiał się tuż przed zamknięciem lokalu. Podwójne espresso z kawałkiem ciasta nie było klasycznym zestawem zamawianym na dobranoc.

Regularność przerodziła się w spontaniczność. Puszczane oczka, naturalne przejście na ty, zalotne uśmiechy. Po miesiącu zaprosił ją po pracy na piwo. Do baru kilkadziesiąt metrów dalej – tego samego, w którym dawniej nie chciała pracować. Najpierw się nie zgodziła, ale wreszcie, po wielu namowach, uległa. Wrodzona ostrożność mówiła, że wśród ludzi nic jej nie grozi. Zauroczenie przestawiało odczucia niczym dwustronne karty. Wady w mgnieniu oka stawały się zaletami.

Lecz rzeczywiście nic się nie stało. Było przyjemnie (nawet za bardzo, gdy ukradkiem pogładził jej kolano), sporo śmiechu, głupich historii, a przede wszystkim oderwanie się od nauki. Przerwanie zapętlonego dnia świra sprawiło niewyobrażalną ulgę. Tego jej było trzeba.

Spotykali się co kilka dni, gdy tylko była pewna, że przyswoiła zadany fragment wiedzy. Roztropność przejawiała się wyznaczonymi dniami nauki. Kości do dwudziestego. Chemia do dwudziestego czwartego. Biofizyka również. Upchnięte w daty życie było bezpieczne.

Zauroczenie szybko przemieniło się w coś więcej. Pierwszy pocałunek, pierwsze muśnięcie twarzy, a potem piersi i pośladka. Nie zastanawiała się, czy wydarzenia idą zbyt szybko. W życiu miłosnym nie było terminów. Jednak były granice.

Na sylwestra Marek zaprosił ją do akademika. Wynajmował tam pokój, choć od semestru już nie studiował. Reszta lokatorów udała się świętować nadejście Nowego Roku na placu Litewskim, co doskonale umiliło im plany. Lampka wina, potem niespodziewanie coś mocniejszego, a kiedy Daria odmówiła następnej kolejki, mężczyzna nagle spochmurniał. Na przystojne oblicze wkraśl się cień niezadowolenia.

Przytulił się do niej na łóżku, ale tym razem znacznie natrętniej niż zawsze. Podciągnął jej bluzkę, odchylił stanik i dotknął piersi (na to jeszcze przyzwalała), a wreszcie zabrał się za spódnicę. Gdy szybko się podniosła, cień niezadowolenia stał się wyraźniejszy. Pokrył całą twarz i uwypuklił żyły.

– No, chodź tu. – Marek poklepał materac obok siebie. – Chodź.
– Muszę już wracać. Nie chcę mieć nieprzyjemności od właścicielki...
– Daj spokój. Przecież jeszcze nie ma dwunastej. Raz w roku możesz się zabawić i mieć tę kurwę w dupie.

Chyba pierwszy raz w jej obecności użył wulgarnego słowa. A może wcześniej tego nie zauważała? Poprawiła bluzeczkę i skierowała się do wyjścia. Bez pożegnania, bez całusa. Chciała po prostu wrócić na stancję.

Jednak Marek miał co do tego wieczoru całkiem odmienne plany, a jej protesty nie mogły zaprzepaścić ich realizacji. Dopadł ją w przedpokoju. Upewnił się, że drzwi są zamknięte, a klucz tkwi w dolnym zamku. Nawet gdyby któryś z lokatorów wrócił, nie mógłby wejść do środka. Możliwość zabarykadowania się w mieszkaniu spędzała sen z głowy nadzorca akademika, ale od

lat nic z tym nie zrobił. Pewnie koszt był zbyt wielki.

W każdym razie oszczędność nadzorca Markowi była na rękę. Zabezpieczała tyły, jak to się mówi. A on zabezpieczał tyły tej małej, pokręconej blondynki, która najwyraźniej potrzebowała obrączki, aby się przed kimś otworzyć.

– Już ja cię otworzę – wyszeptał, przyciskając ją do łóżka. – Jak długo jeszcze chciałaś mnie zwodzić, co?

Daria nawet nie krzyczała. Wrzask uwiązał jej w gardle i razem ze łzami osiadł na cuchnącej poduszce. Spódnica wylądowała na podłodze, majtki zostały zsunięte na uda. Piersi nie wzbudzały już zainteresowania. To, na co przyzwoliła, stało się w tym momencie zbyt dobrze znane.

Marek wsunął się w nią, ściskając dłonią kark.

– Pocisz się jak świnia – młasnął, pochylając się nad jej plecami. – Tylko nie tam, gdzie trzeba.

To były ostatnie słowa, jakie zapamiętała.

W tej samej chwili młoda studentka medycyny, która pragnęła zostać psychiatrą, po raz pierwszy zrozumiała, że ludzkiej natury nie sposób przeniknąć. Zawsze ostrożna i przezorna dała się omotać najgorszemu bydłociu. Tylko tę myśl miała przed oczami, kiedy ją gwałcił. Tylko ona przebijała sponad kolejnych bolesnych razów.

Nie było łatwo. Na wschodnich krańcach lasów kozłowieckich bagna przeplatały się z gęstymi zaroślami, a gęste zarośla z podmokłymi jarami. Przedzieranie się dawną przecinką przeciwpożarową przypominało traperskie zmagania z dżunglą. Droga całkowicie zarosła, a ze szlaku pozostała wąska ścieżynka z jednej strony przylegająca do bezlistnych krzaków, a z drugiej do szpaleru pochylonych, powykręcanych drzew.

Nie było ani łatwo, ani przyjemnie.

Światło zachodzącego słońca docierało do ziemi jako szarawa mgiełka. Wszystko krył błotnisty, wilgotny cień. W niewielkich skupiskach śniegu gniły opadnięte przed miesiącami liście. Ich ciężki aromat przepelniał powietrze.

Deryło zerkał na narysowaną przez Dycza mapę. Pokreślona kartka zawierała szczegółowe informacje, które jak dotychczas okazywały się zaskakująco trafne. Odległości w metrach, z przybliżeniem do dziesiątek, punkty orientacyjne, wydeptane przez zwierzyńę ścieżki.

Formalnie potraktowali to jako rozeznanie. Sprawdzenie terenu i zweryfikowanie tropu. Gdyby naczelnik usłyszał o tym, że włóczę się po lesie na podstawie zeznań wyduszonych w stanie hipnozy, sprowadziłby do wydziału psychiatrę. Gdyby dodać do tego entourage sali sekcyjnej, do psychiatry dołączyłby rzecznik dyscyplinarny. Lepiej, żeby dostał wszystko razem z wynikami. Choćby najskromniejszym sukcesem.

Dlatego też akcja musiała się obyć bez jednostki AT. Nie żeby ci przetrenowani komandosi byli lepsi, ale na papierze zawsze ich udział wyglądał solidniej. Poza tym dysponowali naprawdę niezłym sprzętem.

– To gdzieś tutaj – mruknął komisarz. Jeszcze raz przyjrzał się rysunkowi. – Minęliśmy polanę i jakoś trzeba się przedrzeć przez te krzaki.

– Jeżeli ktokolwiek tędy chodzi, robi to, nie zostawiając śladów.

Brzeski od początku był sceptyczny. Podejrzał, że Dycz mógł po prostu robić ich w balona, wysyłając na spacer po zamrzniętych bagnach. Poza tym nie zdradził, co znajdą na miejscu. Ponoć nie pamiętał. A Tracz bronił go, twierdząc, że inne osobowości rzeczywiście mogły nie pozwalać mu poruszać się po swojej kryjówce.

– Chyba znalazłam ścieżkę. Wystarczy się schylić...

Posterunkowa Nowak przypominała gestapowca. Wysoka, postawna, z zebranymi w kucyk blond włosami oraz kwadratową twarzą stanowiła doskonały twór eugeniki. Wątpliwości budziło jedynie niezbyt nordyckie nazwisko i brak obrączki. Długą ręką odgarniała zwisające gałęzie, jakby wykonywała salut. Prawdziwa figura z filmów propagandowych Rzeszy.

– Da radę przejść? – Deryło ruszył w jej stronę.

– Raczej tak.

– Raczej?

– Jest trochę błota, ale niech pan sam zobaczy, komisarzu.

No tak. Wojska pancerne dałyby radę. Fanatyczni SS-mani pewnie też. Ścieżyna szeroka na dwa kroki wiodła tuż nad kilkumetrowym lejem, na którego dnie stała zamrznięta woda. Jeśli ufać wskazówkom Dycza, powinni iść właśnie tędy. Od celu dzieliło ich kilkadziesiąt metrów. Maksymalnie sto. Tylko że wśród nagich drzew nie było widać ani kurnej chaty, ani choćby rozpadającej się leśniczówki.

Deryło ruszył przodem. Chwytał się poskręcanych gałęzi w obawie, że ziemia w każdej chwili może się osunąć. Wolał uniknąć plaśnięcia o błotnistą mroźną. W całkowitej ciszy przeszli nad rozpadliną i zatrzymali się dopiero na skraju tego, co posterunkowa uznała za ścieżkę. Najwyraźniej ślepą. W okolicy drzewa nieco się przeredzały, ale nadal nie widział żadnej...

– Panie komisarzu...

Brzeski zniżył głos niemal do szeptu. Trącił Deryło w ramię i zrobił krok do przodu. Wyciągnął dłoń, przesuwał ją, jakby kreślił linię w runie.

Komisarz dostrzegł to dopiero po chwili.

Bunkier. Betonowy, wystający kilkadziesiąt centymetrów ponad powierzchnię ziemi bunkier. Nic dziwnego, że to właśnie Nowak wytropiła wiodącą do niego ścieżynę. Dwa gniazda strzeleckie były połączone płaskim odcinkiem, z którego stropu sterczały kawałki zbrojenia.

Młazząc podszwami o mokrą ziemię, Deryło obszedł konstrukcję od strony masywniejszego bloku. Bez słów wskazał, by dwójka posterunkowych zrobiła to samo od drugiej strony.

Tak, jak przekazał im Iks, do środka prowadziło tylko jedno wejście. Jeżeli ktokolwiek był w bunkrze, nie mógł uciec.

Deryło uniósł dłoń i ruchami palców rozstawił swoich ludzi. Prawdopodobnie podchodząc, zostali zauważeni. Jednak droga ewakuacji z bunkra wiodła ścieżką, którą przyszli. Jakikolwiek inny ruch albo próby przedarcia przez gęste zarośla z pewnością by zauważyli.

Rozpiął kaburę i zaczerpnął powietrza. Woń gnijących liści mieszała się z zapachem stęchlizny. Serce ożyło, tłukąc się w piersi, a kawalkada obrazów przemknęła przed oczami. Czasy, gdy stanowił uosobienie spokoju, minęły. Nie po tym, co widział przez ostatnie tygodnie.

Nie było łatwo. Sprawa wyglądała tak samo paskudnie jak wtedy, gdy stanął nad pierwszą półnągą ofiarą Cztery Iksa. A może tym razem powinien wezwać antyterrorystów?

Strata czasu.

Wszyscy wiedzieli, co robić. Przenikliwe spojrzenie Brzeskiego utkwione było w grobowej czerni wnętrza. Nowak asekurowała go, stojąc krok z tyłu. Dwójka posterunkowych

przykucnęła nieco na lewo od wejścia, starając się przygotować na każde niebezpieczeństwo. Przepisowo znajdowali się w odległości około metra od siebie.

Wszyscy starali się uspokoić oddechy. Wszyscy byli świadomi, że w środku mogą spotkać tylko jedno.

Zło.

Deryło wyciągnął pistolet i go odbezpieczył.

– Policja! – krzyknął, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. – Wchodzimy!

Zachodnie skrzydło piątego piętra bloku A mieściło w sobie pomieszczenia administracyjne i kierownicze. Kadry, gabinet związkowców, sala konferencyjna... Mosiężne tabliczki na drzwiach były znacznie bardziej eleganckie niż plastikowe płytki w części szpitalnej. Bardziej eleganckie były też posadzki, draperie oraz oświetlenie. Nawet juki, które stały w pękatych donicach, wyglądały tu zdrowiej. Pewnie dlatego, że każda ze sprzątaczek miała przykazane przecieranie ich liści wilgotną szmatką przynajmniej raz w tygodniu.

Sekretariat, księgowość...

Niemal równe jedenaście lat po nieszczęsnej nocy w akademiku Daria Lipner kątem oka odnotowywała kolejne tabliczki. Szybkim krokiem przemierzała najjaśniejszy korytarz szpitala. Jej obcasy rytmicznie stukały o posadzkę i nie trzeba było sztuczek psychologicznych, by odczytać, że to nerwowy stukot. Nerwowy, wręcz wściekły stukot kobiecych obcasów.

Dyrektor.

Kobieta obciągnęła czarną, podkreślającą jej atrakcyjne kształty tunikę i odrzuciła do tyłu orzechowe włosy. Dwukrotnie zapukała, po czym pchnęła drzwi.

Gerhard Rowiński siedział przy kwadratowym stole, który od lat robił za biurko. Na blacie walały się dziesiątki teczek, zeszytów, koszulek z upchniętymi dokumentami, a pomiędzy nimi jeszcze więcej sprzętów biurowych. Na widok Lipner zsunął z nosa okulary i odłożył je na otwartą książkę. Bez nich wyglądał dużo młodziej. Miał sówią twarz, ciemne oczy i krągły podbródek. Opięta na ramionach marynarka zdradzała, że w ostatnich miesiącach gwałtownie przytył.

– Czy to prawda, że...

Nim Lipner zdążyła skończyć pytanie, wszedł jej w słowo.

– Tak – odezwał się, jakby był jasnowidzem. – Jakiś psycholog zwinął twojego pacjenta,

żeby pobawić się z nim hipnozą.

Kobieta zatrzymała się po przeciwległej stronie stołu i oparła o jego blat zaciśnięte pięści.

– Kto się zgodził na to szaleństwo?

– Raczej nikt. Ale nikt też się szczególnie nie sprzeciwił. Mieli papiery z prokuratury, gliniarz dodatkowo pomachał odznaką, po co się stawiać?

– Po to, że to może wypaczyć obserwację? – zapytała retorycznie.

Dyrektor głośno wypuścił powietrze. Dotknął palcami prawej skroni i wykonał kolisty ruch.

– Daria, po prostu rób swoje. Mamy cztery tygodnie, potem pewnie zrobi się osiem, a przez ten czas...

– To wszystko opóźni!

– Starał się im to wytłumaczyć doktor Biszewski. Tylko co z tego? – Rowiński wzruszył ramionami, naciągając jeszcze mocniej materiał marynarki. – Sami chcieli, sami mają.

– To nieprofesjonalne.

– Walka z wiatrakami też jest nieprofesjonalna.

Lipner wyprostowała się i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jestem biegłą – oznajmiła, jakby czyniła właśnie wyznanie wiary. – Wyznacza mnie sąd i działam w szumnie zwanym majestacie RP. A później muszę odwalić szmirę, bo inni też ją odwalają. I jak to cholerne państwo ma trzymać się kupy?

Rowiński sięgnął po okulary. Dla niego rozmowa została skończona. Lipner była jednym z najlepszych lekarzy i doskonałych naukowców, ale ocierała się czasem o nadgorliwość. A nadgorliwość bywała irytująca. Poza tym zbyt wiele razy przerabiali szarpanie się z sądami, prokuraturą czy administracją, by miał na to dalej siłę. Zawsze kończyło się tak samo. Szpital służył biurokracji, a pacjent statystyce. Jego zadaniem jako dyrektora było pilnowanie tych statystyk i niedopuszczenie do tego, żeby tabela się rozlazła, a dane wyszły.

– Coś jeszcze? – zapytał, gładząc dłonią dokument. – Być może będzie miała pani szansę porozmawiać z tym psychologiem.

Lipner fuknęła.

– Dziękuję za łaskę. Moja praca polega na rozmowie z pacjentami. – Odwróciła się i ruszyła do drzwi. – Czego też mi nikt nie ułatwia – rzuciła, wychodząc.

Nerwowy stukot obcasów ponownie poniósł się po korytarzu. Gdy po niespełna minucie lekarka zatrzymała się przed szybem wind, zastąpiło go bicie dzwonów.

Bim-bom.

Bim-bam.

Wyjęła z kieszeni starą kanciastą komórkę i odebrała. Maria Pawin, jej najlepsza przyjaciółka i powierniczka wszelkich tajemnic (nie wykluczając tych lekarskich), odezwała się pierwsza.

– Słuchałaś radia? – zapytała głosem piskliwym z ekscytacji. – Widziałaś najnowsze wiadomości?

– Nie w ciągu ostatniej godziny.

– To lepiej usiądź. Nie uwierzysz, co właśnie podali.

Pojazd transportowy podskakiwał, sunąc zaśnieżonymi ulicami. Zawieszenie miało już swoje lata. Wózek inwalidzki przesuwiał się tam i z powrotem, mimo że został przymocowany do bocznego rzędu siedzeń. Kostki Dycza ponownie skrępowano dwoma rzemieniami, a jego drobna pierś została owiązana skórzanym pasem. Wysoki policjant rozsiadł się na fotelu najbliższej rozsuwanych drzwi. Niezbyt uważnie obserwował, jak Miłosz Tracz grzebie w przepastnej torbie. Wreszcie profiler wyciągnął notes i odwrócił się do Dycza. Zerknął w jego półprzymknięte, zamglone oczy. Przedłużanie stanu hipnozy było niebezpieczne. Powinni skończyć już na sali sekcyjnej.

– Czy jest więcej takich miejsc? – zapytał, jeszcze raz podejmując rozmowę. – Ile osób zostało uprowadzonych?

– Nie pamiętam.

– Ile zamordowano?

– Nie pamiętam.

– Nie wierzę. Nie mogę uwierzyć.

– Na Boga, to nie ja.

– A kto? – Tracz zanotował coś w zeszycie. – Jak ich nazywasz? Podaj mi ich imiona, żebym porozmawiał bezpośrednio z tymi, którzy są odpowiedzialni.

Dycz sapnął. Obrócił dłonie, naciągając łańcuch kajdan.

– Nie mogę.

– W takim razie kto jeszcze za tym stoi? Kto dokonał morderstwa dziś rano?

Nagle oczy Dycza poruszyły się w lewo i w prawo. A potem z powrotem po tej samej trajektorii, zatrzymując spojrzenie na twarzy profilera. W jednej chwili znikła ich senna przesłona, a powieki uniosły się.

Iks milczał, nawet nie mrugając. Wreszcie lekko rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zastygł w tej pozycji. Koniuszkiem języka oblizał blade wargi.

– Ty mały, cwany chujku – wyszczał po chwili. – Ty pierdolona kupo gówna.

Tracz nie dał po sobie poznać zaskoczenia. Nieznacznie odsunął się i wyprostował. To było fascynujące. Samo-wybudzenie się ze stanu hipnozy, połączone ze zmianą osobowości. W świecie klinicznym istniały tylko pojedyncze udokumentowane przypadki tego zaburzenia. Najślynniejszym z nich był Billy Milligan (bo w psychiatrii pacjent nie był numerkiem, a właśnie przypadkiem), którego obrońcy dowiedli, że miał dwadzieścia cztery różne osobowości. Przełączały się bezwiednie, niektóre połączone ze sobą świadomością, niektóre mające wspólne wspomnienia, a niektóre całkowicie autonomiczne i wrogie pozostałym. Wystarczyło się z nimi porozumieć.

– Z kim rozmawiam?

– Ty przebiegła gnido...

– Nie rozumiem, skąd ta złość.

– Złość? – Iks wydał wargi. – Nie wiesz, co to złość. Rozczarowanie wydaje się o wiele właściwszym słowem.

– Dlaczego więc czuje pan rozczarowanie?

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego... A dlaczego wyprowadziłeś podstępny cios? Chcesz porozmawiać teraz o dzieciństwie? O swoim dzieciństwie?

– Nie wiem, do czego zmierza pan za każdym razem, pytając ciągle o moje dzieciństwo. – Profiler rozstawił szerzej stopy. – Nie wiem, po co...

– Wiesz doskonale. Pomyśl o matce.

– Może mi pan wyjaśni?

Iks mrugnął. Spojrzenie wciąż miał utkwione w twarzy Tracza. Wywinął nadgarstki tak, że łańcuch się rozluźnił, i oplótł podłokietnik wózka.

– Pomyśl o matce.

– Do czego pan zmierza?

– Pomyśl o matce.

– Mieliśmy zostawić rozmowę o mnie na inny raz. Chciałbym o coś jeszcze zapytać.

– Pomyśl o matce. Pomyśl o matce. Pomyśl o matce. – Nagle syk ustał. Oczy Dycza zdrząły jak przy oczopląsie i mężczyzna odezwał się znacznie łagodniejszym tonem: – Jest kolejna ofiara, prawda?

Milczał, dopóki Tracz nie skinał głową.

– Myślicie, że zrobił to ktoś podobny do mnie? Towarzysz zbrodni? Naśladowca?

– Tak.

– A jedyny trop podrzucił wam teraz Świętojebliwy. Wycmoktałeś z niego te informacje jak komar krew.

Tracz starał się wydobyć jak najwięcej wiadomości o osobowościach Dycza.

– Ukarzesz go za to? – zapytał.

– A jak sądzisz?

Iks głośno przełknął ślinę. Nagle z całej siły odgiął głowę i uderzył nią o bok pojazdu. Metal głucho zadudnił. Tracz poderwał się w jego stronę, ale policjant powstrzymał go kategorycznym gestem. Sam podniósł się z fotela, jednak Dycz nie powiódł akcji. Zastygł w bezruchu.

– Karząc jego, musiałbym się ulotnić na cały czas trwania bólu – mruknął, ledwie rozwierając usta. – A wcale mi się to nie podoba. Bo wiesz co? Ja jestem i tu, i tam. Jestem jak zjawka, która potrafi posyłać pierdolonego złego ducha, gdzie tylko zechce.

- Nie rozumiem. Możemy rozmawiać konkretnymi?
- Jak najbardziej, drogi Miłoszu. – Iks odsłonił kły tak, że dotknęły jego sianej wargi. –
Jesteś gotowy na konkret? Taki sam, jak zdradził ci Świętojeblowy?
- Słucham uważnie.
- Potrafię opuścić ciało i zamordować. Powiedzieć ci, po kogo się teraz wybiorę?

„Schody do piekła – pomyślał Deryło, wchodząc po kilku betonowych stopniach. – Schody do cholernego piekła”.

Posadzka budynku znajdowała się prawie dwa metry poniżej poziomu gruntu. Do środka wpadało niewiele światła. Rozpraszało się, przenikając przez podłużne otwory ciągnące się tuż pod stropem. Brzeski i Nowak zapalili latarki. W ich blasku omszałe ściany nabrały fluorescencyjnej zielonej barwy. Pomieszczenie było niewielkie i całkowicie puste. Na podłożu zalegała warstwa zgniłych liści oraz igliwia. Przejście z jednej strony zagraadzało kamienne osuwisko, a z przeciwnej porzewiała metalowa śluza.

Deryło ostrożnie podszedł do niej i odczekał, aż reszta policjantów ustawi się na właściwych pozycjach. Musieli być przygotowani na niebezpieczeństwo. Na Zło, które w najmniej spodziewanym momencie wypełni ze środka.

Wychylił się zza załomu muru i przyjrzał konstrukcji. Wielki płat metalu niegdyś musiał być doskonale wpasowany w otwór. Po dziesiątkach lat osunął się i odstawał od górnej krawędzi o kilkanaście centymetrów. Z zewnątrz nie dostrzegł żadnego zamka. Prawdopodobnie przegroda była zamykana od środka.

Na palcach odliczył do trzech. Kiedy zgiął środkowy, wychylił się i pchnął metalową krawędź. Śluza z jękiem odskoczyła. Światła latarek natychmiast wycelowały w to, co kryło się za nią. Omiotły krótki korytarz prowadzący do kolejnej, tym razem znacznie mniejszej przesłony.

Deryło gestem nakazał, by tylko dwójka policjantów ruszyła za nim. Reszta miała ich ubezpieczać.

Drzwi, znacznie lepiej spasowane niż śluza, szczelnie wypełniały otwór. Były zamknięte. Szarpnięty przez komisarza stalowy rygiel nawet się nie poruszył.

Deryło przywołał do siebie Wiertela. Kiedy kazał mu wziąć łom, nie sądził, że się do

czegoś przyda. Przezorność jednak się opłacała.

Posterunkowy wsunął rozdwojoną, spłaszczoną końcówkę pomiędzy zawias i krawędź betonowej ściany. Pierwsze szarpnięcie wywołało jedynie głuchy jęk. Drugie tak samo. Również kolejne razy nic nie działy, a policjant zasapał się i cały poczerwieniał. Zawiasy były zbyt mocne, a konstrukcja solidnie osadzona w zbrojeniu.

– Zrób mi miejsce. – Deryło przepchnął się przed posterunkowego.

Nachylił się, uważnie lustrując zamek. Był to solidny mechanizm, otwierany albo specjalnym kluczem, albo narzędziem przypominającym wytrych. Niewielka szansa, żeby udało się go wyrwać przez wyważenie. Zabawy spinką do włosów i śrubokrętem pozostawały w sferze filmowych fantazji. Taranem dysponowali jedynie antyterrorysty.

– Odsuńcie się.

Przyłożył do otworu pistolet. Odchylił się, przytykając lufę pod odpowiednim kątem. Ryzyko rykoszetu nie istniało, o ile pocisk prześlizgnie się po metalu. Powinien rozerwać kolejne zapadki i obluźować sprężynę trzymającą jęczyczek. Jednak przy niefortunnej trajektorii pocisk mógł się odkształcić i przebić drzwi od wewnątrz. Lepiej, żeby nikt przy nich nie stał.

– Idźcie za załom muru.

– Ktoś musi pana ubezpieczać – zaprotestował Brzeski. Razem z Wiertelkiem pilnie przypatrywał się gimnastyce komisarza. – Lepiej, jeżeli zostaną na końcu korytarza.

– To ułamek sekundy. Po wystrzale natychmiast wracajcie.

Aspirant zerknął jeszcze raz na zamek i niechętnie się wycofał. Nie było innej rady. Jeżeli mieli dostać się do środka, potrzeba było zdecydowanych działań.

Kiedy reszta zespołu przemieściła się na bezpieczne pozycje, Deryło jeszcze raz przesunął lufę pistoletu. O kilka milimetrów. Zacisnął zęby i pociągnął za spust.

Huk wystrzału załomotał echem w podziemnym korytarzu, wrył się piskiem w przewody słuchowe i wywołał chwilowe ukłucie bólu.

Policjanci natychmiast wysunęli się z załomu ściany. Światła latarek padły na drzwi. Z zewnątrz zamek wydawał się nienaruszony, ale patrząc pod kątem, Deryło dostrzegł uszkodzony element konstrukcji. Podniósł się i gwałtownie pociągnął za rygiel. Jęczyczek wysunął się posłusznie, po czym spadł na ziemię. Pchnięte drzwi poruszyły się, nie wydając już żadnego dźwięku i stanęły otworem.

Na dany znak Wiertel przesunął się wzdłuż krawędzi muru. Asekurowany przez wycelowane pistolety i popychany światłem latarek wpadł do tonącego w półmroku pomieszczenia. Lewo-prawo. Pusto. Nie dostrzegł żadnego ruchu, żadnego zarysu sylwetki ani niebezpieczeństwa.

Przy samym wejściu znajdowała się szeroka dźwignia. Prowadziły do niej wiązki kabli, odstające od ściany jak szykujące się do ataku węże.

– Uważaj, może być pod napięciem. – Deryło, mrużąc oczy, wsunął się do pomieszczenia.

Wiertel zatrzymał dłoń tuż nad wajchą. Wzdrygnął się jak mokry pies. Wyciągnął z kieszeni skórzaną rękawiczkę i złożył ją na pół. Przez tę prowizoryczną izolację pociągnął dźwignię. Ustąpiła bez problemu, a po chwili z głębi budynku, niczym z piekielnych odmetów, dobiegło buczenie. Kilka sekund później zamrugały zawieszony pod samym stropem żarówki.

– Musi być jakiś autonomiczny generator – mruknął Brzeski. Już nie trzeba było mówić szeptem. – Silnik spalinowy albo coś takiego. Słyszycie to?

Deryło skinął głową. Przez chwilę wszyscy policjanci stali, przyzwyczajając wzrok do nagłej jasności. Wzajemnie asekurowali kierunki, z których mogliby zostać zaatakowani. Po kilku sekundach rozległy się jęki grozy.

Dwie ściany pomieszczenia przecinały długie, stalowe półki. Te znajdujące się w głębi okrywał półmrok. Wystarczyło jednak, że zobaczyli to, co znajduje się tuż przy nich. Tuż przy wejściu, niczym rekwizyty witające nieproszonych gości.

Dziesiątki słoików wypełnionych zielonkawą substancją. Nie musieli podchodzić bliżej, by zrozumieć, co się w nich znajduje. Gałki oczne, języki, płuca, palce... Przynajmniej tyle mogli rozpoznać. Poza tym organy, których kształty niczego im nie mówiły. Niektóre wyglądały jak upchnięte do szklanych pojemników podroby zwierzęce. Mieszaniny wątróbek, maleńkich serc i żołądków. Wystawa przerażającego zakładu rzeźnickiego.

Nie mogli oderwać wzroku. Spoglądali na wystające ze zbrylonych kawałów mięsa odsłonięte tchawice, białe fragmenty chrząstek i pookrawanych kości. Czarne, obrzmiałe od krwi małe cząstki wycięte gdzieś z trzewi. Męskie przyrodzenie upchnięte pod fałdą przypominającą wykrojony płat skóry...

Pełną napięcia ciszę przerywał jedynie rżący stukot generatora energii. Pierwszy odezwał się Wiertel:

– Jezu Chryste... – Prysłonił usta wierzchem dłoni. – Dobry Boże...

To, co zobaczyli, nie było najgorsze. Najgorsze dostrzegła posterunkowa Nowak.

– Usiadłaś?

– Daj mi spokój, jestem tak wkurwiona, że nic mnie nie zwali z nóg.

– No dobra, na twoją odpowiedzialność.

– Maria, wydusisz to wreszcie? Czeka na mnie winda.

W rzeczywistości Lipner nie przywołała jeszcze kabiny. Odeszła od metalowych drzwi i zaskoczona tonem przyjaciółki stanęła przy parapecie. Wyrzała za okno. Wiatr niósł pojedyncze, drobne płatki śniegu, które osiadały na szybie i zaraz zamieniały się w mokre kropelki.

Pawin milczała przez kilka sekund, z mistrzowską precyzją dozując napięcie. Dramatyzmu nigdy nie można jej było odmówić.

– Ta kobieta, spalona dziś rano...

– No?

– To Repecka. Anka Repecka. Dajesz wiarę?

Lipner odwróciła się od okna. Oparła plecami o parapet i przygryzła wargi.

– To oficjalny komunikat? – zapytała po chwili. – Czy jakaś ściema internetowa?

– Całkowicie oficjalny. Rozwodzą się nad tym wszystkie portale.

– Jezu.

– Nie rozklejaj się. Po prostu pomyślałam, że będziesz chciała wiedzieć, nim rzuci ci to ktoś w szpitalu.

– Tak... Dzięki – wydusiła słabym głosem. – Muszę to tylko przetrwać.

– Ej, co ty taka? – zdziwiła się Pawin. – Przecież to ani brat, ani swat. To, co się stało, jest okropne, ale...

Lipner odsunęła telefon od ucha i nacisnęła klawisz kończący połączenie. To, co się stało,

było znacznie gorsze, niż wydawało się Marii. To było... – znalazła tylko jedno pasujące słowo – upiorne...

Przypomniała sobie wstępny wywiad lekarski, jaki chciała przeprowadzić zeszłego wieczoru z Dyczem. Niewiele z tego wyszło. Jednak podczas kilkuminutowej rozmowy mężczyzna rzucił zdanie, które utkwiło jej w pamięci.

Wokół mnie zawsze będzie strach.

Jego mowa ciała nie zdradzała przy tym żadnych emocji. Powiedział to, jakby oznajmiał, że właśnie wyszło słońce albo spadł śnieg. Komunikat, którego nie wzbogacał żaden komentarz. Znacznie więcej Dycz wyraził chwilę później, wypytując ją o bal donatora. Okazywał zainteresowanie, powracał do tego tematu, żartował, że przez ściany słyszy wznoszone toasty. Rozmowa wbrew jej zamierzeniom skupiła się przede wszystkim na tym.

Wówczas ciekawość skrępowanego na czas jej wizyty człowieka zdziwiła ją.

Lecz teraz napełniła strachem.

Przez drąg zawieszony tuż pod sufitem została przerzucona podłużna płachta. Zwisła niczym suszący się w wędzarni kawał kiszeki. I tak samo jak na wyrobach tkwiących w porządnym wędzarniach przybito na niej stempel. Przypominał czarną kulę bilardową ze stylizowanym numerem trzynaście oraz rozmytym napisem.

Brzeski dopiero po chwili uświadomił sobie, że patrzy na kawałek skóry zdartej z ludzkiej nogi. Stempel był jedynie wyblakniętym tatuażem. O mdłości przyprawiały doskonale wypreparowane palce, dyndające jak pięciopalkowa korona.

Aspirant poczuł niesmak w ustach. Z trudem przełknął ślinę i przeniósł wzrok dalej. W tym samym momencie usłyszał krzyk posterunkowej Nowak.

– Tutaj, patrzcie tutaj!

Momentalnie, niczym wyrwani z transu, wszyscy rzucili się w jej stronę. Posterunkowa stała jak zamurowana i wskazywała na coś dłonią. Aby to dostrzec, musieli precyzyjnie się za jej plecami.

Pierwszy postąpił Deryło. Już w progu poczuł łagodny, słodkawy zapach. Przy kolejnym kroku woń nasiliła się i zgęstniała, przekształcając w otepiający odór. Pod samym stropem biegł szeroki kanał wentylacyjny, przez co smród nie rozniósł się po reszcie budynku.

W pomieszczeniu paliła się pojedyncza, naga żarówka. Zwisła z sufitu na metalowym pałaku, wokół którego owinięty był kabel. Rzucała słabsze, bardziej żółte światło niż to padające na metalowe półki.

Było jednak wystarczająco jasno, aby dostrzec drobną, zwiniętą w kącie sylwetkę.

A obok niej drugą.

I trzecią...

Trzy postaci tkwiły tuż obok ściany. Dwie całkowicie nieruchomo, ale jedna, zwinięta na

ziemi, zdawała się poruszać. Deryło wyraźnie dostrzegł drgnięcie głowy. Długie, ciemne włosy również przesunęły się po betonowym podłożu.

– Oślaniam!

Krótki komunikat rzucony zza pleców uświadomił mu, że tkwi w bezruchu. Z pomieszczenia nie było innego wyjścia, a poza otworem wentylacyjnym nie dostrzegł żadnych zakamarków. Opuścił pistolet i rzucił się w stronę skrzepowanych postaci.

Już w połowie drogi zrozumiał, że kobieta znajdująca się po prawej stronie nie żyje. Jej ciało było łukowato wygięte, wsparte na łokciu. Całość podtrzymywała metalowa uprząż krępująca klatkę piersiową. Twarz kobiety była szaroczarna, a skóra odchodziła z niej całymi płatami. Zewsząd sączyły się soki gnilne, znacząc wokół posadzkę. Strzępy oczu zapadły się w grobowej ciemności oczodołów, a pozbawione warg usta lekko rozwarły. Na podkulonej dłoni nie było już prawie miękkich tkanek. Nagie kości wystawały spośród resztek szerniałego mięsa.

W prosektorium pachniało.

Zapach sekcji był odświeżającym aromatem.

Drugie ciało znajdowało się w niewiele lepszym stanie. Mimo że Deryło widział głowę jedynie z profilu, nie miał złudzeń. Napięta, woskowata skóra ciemniała. Jej poszarpany kawał zwiślał na podbródku, odsłaniając linię białych, zaskakująco dużych zębów. To przez procesy pośmiertne odsłoniły się już niemal całe ich szyjki. Dziąsła nie różniły się odcieniem od skóry twarzy. Całość przypominała upiorny rekwizyt, który upchnięto w teatralnej szafie. Tyle że ubłocone pantofle, rozwichrzone włosy i podarty strój wyglądały zbyt naturalnie. Podobnej pozy rozpaczy nie dało się zamarkować.

Porzuć wszelką nadzieję...

Pozostała jeszcze trzecia sylwetka. Ta, która poruszyła się kilka sekund wcześniej. Leżąca tyłem do niego, na boku, z rozrzuconymi wokół głowy włosami. Ich odcień jako jedyny kontrastował z monochromią pomieszczenia. Przypominał wilgotną rdzę. Ciemną, rudobrazową rdzę.

Deryło doskoczył do ciała i uklęknął. Wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć podkulonego ramienia. Znowu dostrzegł ruch. Dziewczyna drgnęła, jakby chciała się przekręcić na bok. Jej bluza zaszurała o beton. Chwycił za kościsty bark i w tej samej chwili paraliżująca odraza rozlała się po jego ciele. Niewidzialna dłoń zacisnęła się na sercu, a lodowate dreszcze spętały mięśnie nóg tak, że runął na ziemię. W ostatniej chwili podparł się dłońmi.

Głowa dziewczyny odpadła od korpusu. Rdzawe włosy omotały niemal całkowicie wysuszoną czaszkę. Puste oczodoły utkwily w nim pełne pretensji spojrzenie, a szczęka rozwarła się w bezgłośnym krzyku. Pomiedzy zwojami bluzy coś zatrzeszczało. Po chwili krępy szczur wybiegł gdzieś z przeżartych trzewi. Jego łysy, długi ogon otarł się o dłoń komisarza.

– Nigdy więcej. Jeśli jeszcze raz wpadniecie na pomysł zrobienia ze mnie aktora cholernego teatrzyku lalek, to obiecuję, że kończę z tym. Zabieram manatki i spadam w Bieszczady. A zdajesz sobie sprawę, że na moje miejsce czeka banda niedouczonej debili. Zapomnij o oznaczaniu czasu zgonu z godzinową precyzją. Zapomnij o telefonach o północy!

Deryło cierpliwie znosił słowotok Gawińskiego. I tak nie miał nic lepszego do roboty. Ekipa techników przeczesywała podziemia bunkra, część materiału dowodowego trafiła już do laboratorium, podobnie jak przedmiot upchnięty w gardle topielca.

Po powrocie na komendę wziął długi prysznic i zmienił ubranie. Składowane w gabinecie rozmaite części garderoby okazywały się przydatne w najmniej spodziewanych momentach. Poczul się nieco odświeżony. Płaszcz skropił perfumami, lecz gruby materiał dożywno nasiąkł smrodem zgnilizny. Powiesił go na klamce uchylonego okna.

Czul głód i niesmak jednocześnie. Przez ostatnie godziny kilkakrotnie obrócił mu się żołądek. Frytki ze stołówki, nie dość że zimne i przesolone, to ociekały śmierdzącym tłuszczem. Nawet maczane w keczupie (a raczej rozrzedzonym przecierze pomidorowym) przypominały przesiąknięte stęchlizną trociny. Chociaż, być może, posmak stęchlizny pozostał mu na języku. Tak samo jak widok odpadającej czaszki wciąż tkwił przed oczami. Wyrył się na powiekach jak wizerunek Zbawiciela na Całunie Turyńskim.

To było możliwe.

– Ta kobieta – Gawiński deliberował coraz to bardziej podniesionym tonem – miała naprawdę paskudną śmierć. Na zewnątrz grillowana skóra, a w środku poparzone drogi oddechowe. Pomyśl o tym, że ogień pobudza nocycyptory, więc odczuwanie bólu jest zwielokrotnione. W uproszczeniu można powiedzieć, że ciało toczy stan zapalny. Dlatego...

Deryło odłożył frytkę. Tego nie miał zamiaru słuchać.

– Interesuje mnie tylko przyczyna zgonu – wszedł patologowi w słowo. – I ewentualne ciekawostki, a nie przebieg jej agonii.

– Ale to poniekąd agonia jest tą przyczyną. Przynajmniej w tym przypadku. Ciało nie wytrzymuje bólu, mózg w pewnej chwili mówi pa-pa i po wszystkim. Pozamiatane.

– Do czegoś zmierzasz czy tylko mi się tak wydaje?

– Tylko do tego, że niewiele brakowało, aby przeżyła. – Gawiński sapnął w słuchawkę. – Tkanka nie została jeszcze makabrycznie zniszczona. Płomienie zostały szybko stłumione. Obrażenia jednak były zbyt rozległe i to układ nerwowy odłączył od komputera wtyczkę. Wywalił error o przeciążeniu systemu.

– Nie sądzę, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie...

– Ja tylko mówię.

– Rozumiem. I tak dzięki. I za ten teatrzyk lalek też. Bez tego nie...

Gawiński się rozłączył. Być może dostał już informację o kolejnych zwłokach, które do niego jechały. O trzech kolejnych trupach, w tym jednym pozbawionym głowy...

Deryło odsunął od siebie porcję frytek. Ich zapach drażnił mu gardło. Aromat tłuszczu mieszający się ze wspomnieniem smrodu zgnilizny. Przełknął ślinę i sięgnął po filiżankę kawy. Został ostatni, zimny łyk. Jej cierpki, mocny smak działał jak środek dezynfekujący i pasta do zębów w jednym.

Przynajmniej na kilka godzin zapomniał o Romanie... Jak zwykle pozornie pocieszająca myśl zostawiła po sobie zgryzotę. Do obrazów spieprzonego dnia dołączył obraz spieprzonego organizmu brata. Nie dało się tego łagodniej określić. Przede wszystkim nie było potrzeby okłamywania się i szukania łagodniejszych określeń.

Karuzela wspomnień została puszczona w ruch. Jak w kalejdoskopie to, co wydarzyło się przed wieloma laty, mieszało się z wydarzeniami ostatnich godzin. Gdyby tak patrzeć na życie, wyglądałoby na naprawdę spieprzone. Mózg umyślnie wyszukiwał najbardziej ponure chwile i wklejał je na korkową tablicę z napisem życiorys.

Deryło sięgnął po bloczek kwadratowych kartek i położył go na biurku. W momencie, gdy z trzaskiem zamknął szufladę, zadzwonił telefon.

Numer wewnętrzny.

Podniósł słuchawkę i przyciągnął aparat do siebie. Kabel się naprężył, ale na szczęście nie wyciągnął wtyczki z gniazdka. Deryło przesunął się bliżej biurka.

– Panie komisarzu, mamy już analizę z laboratorium.

Brzeski sprawiał wrażenie jeszcze bardziej podenerwowanego niż wcześniej.

– Analizę czego?

– Tego, co Gawiński znalazł w trupie...

– Możesz jaśniej?

Aspirant ciężko westchnął.

– Lepiej, żeby zobaczył pan to osobiście.

– Mógłby to pan obejrzeć na wewnętrznym dysku, ale wszystko już zgrałem. Tak będzie wygodniej.

Deryło nie skupiał się na wywodach Brzeskiego. Rozumiał, o czym ten mówi, ale chciał jak najszybciej przejść do rzeczy. Rozsiadł się obok niego w skórzanym fotelu i założył nogę na nogę. Obaj spoglądali w ekran komputera. Aspirant operował kursorem, otwierając kolejne foldery.

– Miałem przyjść na gotowe. – Deryło pociągnął za dźwignię podwyższającą oparcie. – Nie interesuje mnie baba, którą masz na pulpicie.

– Chwileczkę. Chcę, żeby wszystko było cacy.

– A nie jest?

– Nie. I w zasadzie nie będzie. Nic dziwnego, że tego pendrive'a wsunięto facetowi do gęby już po śmierci.

– Pendrive'a?

Brzeski zatrzymał myszkę. Zdał sobie sprawę, że komisarz nie przeczytał raportu rozesłanego na maila grupy śledczej.

– Metalowy krzyżyk – wyjaśnił pospiesznie – to był pendrive. Całkiem pasuje do naszego sprawy, co? Kryminaliści go zbadali i przesłali nam zawartość.

Deryło dał sobie spokój z regulowaniem wysokości fotela. Nie dość, że był za niski, to jeszcze czuł się w nim, jakby wsadził dupę w imadło. Wiadomość o krzyżyku będącym pendrive'em wzmogła jego zainteresowanie. W bezruchu gapił się na okienka otwierane przez Brzeskiego.

– Dlaczego miałby go wsadzić trupowi do gardła? – dopytał.

– Zaraz sam pan zobaczy. O, proszę.

– Mam się nie nastawiać na dobry serial?

Aspirant nie odpowiedział. Odchylił się w fotelu i założył dłonie na piersi. Ekran komputera zrobił się czarny, po chwili zamrugał, wreszcie uruchomił się film. Był niezłej jakości, wykonany umieszczoną na statywie kamerą.

Nagi, przykuty do rury ciepłowniczej mężczyzna podniósł głowę. Jego ciało połyskiwało oświetlane boczną żarówką. Napięte mięśnie drgały, jakby pod skórą pełzały wielkie glisty, a rozwarłe w przerażeniu oczy wpatrywały się w coś gdzieś poza kamerą. Deryło od razu rozpoznał fragment piwnicy, w którym sam leżał spętany przed dwoma dniami. Pamiętał ceglaste, pozbawione tynku ściany i brudną posadzkę. Wciąż czuł jej zapach.

– Co to jest? Co chcesz zrobić?! – wrzasnął mężczyzna i zaczął wierzgać. Więzy były jednak zbyt mocne, by mógł je choćby poluzować.

W tym momencie zza kamery wynurzyła się postać w długiej, ciemnej szacie przypominającej zakonny habit. Była jednak obszerniejsza i dłuższa, tak że ciągnęła się po ziemi. Mikrofon odnotował nucone charkotliwe tony.

Saaanctum quoque.

Paraclitum Spiritum.

Tu Rex gloriae, Christee.

Postać zamilkła i postawiła obok siebie dwa wielkie wiadra. Z obu unosiła się mgielka pary.

– Jak niosłem, to trochę przestygła – szepnęła dość wyraźnie, by wychwycił to mikrofon.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Najazd. Kamera zrobiła zbliżenie na skrępowanego mężczyznę. Niemal cały obraz wypełniało jego drżące popiersie. Nagle wokół rozbryzgnęła się wrząca woda, a mężczyzna wygiął się w makabrycznym wrzasku. Rozpaczliwym i spazmatycznym. Strużki wrzątku ściekły po ciele, znacząc je lśniącymi kanalikami. Skóra w jednym momencie nabrała czerwonego odcienia. Żyły nabrzmiały i zaczęły pulsować w rytmie krwi wyrzucanej z serca.

Deryło mocno zaczerpnął powietrza. Miał przed sobą nagranie katuszy jednej z ostatnich ofiar Cztery Iksa. Tragiczna satyra męczeństwa świętego Tomasza? Nie, nie. To był święty Bartłomiej. Żywcem obdarty ze skóry. Gorąca woda miała służyć przygotowaniu go do prawdziwej męki skórowania, kawałek po kawałeczku.

Obracając w kieszeni szczęśliwą, srebrną monetę, powstrzymywał obrzydzenie. Niepojęte cierpienia zadawane ofierze, nieludzki krzyk dobywający się z jej piersi, wreszcie kawał zakrwawionego płatu skóry zwisającego z jej ręki, wszystko to przyprawiało o dreszcze. Nieważne, ile się w życiu widziało. Nieważne, czy było się empatycznym wrażliwcem, czy zimnym sukinsynem. Normalny człowiek patrzył na coś takiego z bezgranicznym wstrętem.

Nagle nagranie się urwało, a ekran zamrugał.

– To nie wszystko – mruknął Brzeski. – To cholera nie wszystko...

Nim Deryło zdążył się odezwać, wyświetlił się dalszy ciąg filmu.

– Nieeeee! – Przez gabinet przebiegł błagalny kobiecy krzyk. – Nie musisz go zabijać! Proszę, nie rób tego!

Tym razem kamera obejmowała mężczyznę skrępowanego na wózku inwalidzkim. O ironio, w całkiem podobny sposób jak Dycz podczas autopsji. Obok niego ustawiona była metalowa balia, do której prowadził długi wąż.

Po kilku sekundach zamaskowana postać pojawiła się w kadrze. Najpierw przemaszerowała powolnym krokiem wzdłuż pomieszczenia, by nagle drapieźnie dopaść do swojej ofiary. Jak najdłuzsze zwierzę szarpnęła głowę mężczyzny i z pluskiem zanurzyła ją w wodzie. Oparła się na niej ciężarem całego ciała. Niczym boa dusiciel rozgniatający wszystkie

kosteczki upolowanego kurczęcia.

Skrępowany człowiek drżał i szarpał wózkami. Tłukł spazmatycznie stopami o metalową podpórkę, ale wszystkie wysiłki były daremne. Nie mógł zerwać więzów ani powstrzymać furii zamaskowanego. Kobięcy krzyk dobiegał gdzieś spoza kadru. Mieszał się z chlupotem i pluskiem przypominającym odgłos wody spuszczonej z wanny. Gardło topionego było jak odpływ...

Nagle mężczyzna znieruchomiał, jego mięśnie się rozluźniły, a ramiona opadły. Kamera wykonała zbliżenie na zastygłą w spazmie pierś.

Przybliżyła się i oddaliła.

Potem ponownie.

I znów, całkowicie gubiąc ostrość.

– To ktoś kręcił – mruknął posępnie Deryło. – Trzymał kamerę na statywie, ale teraz bawi się ustawieniami.

Brzeski przygryzł wargi. Nie odezwał się, zaabsorbowany najdrobniejszym pikselem filmu.

– On się chwali tym, że z kimś współdziała – ciągnął komisarz. – Chce pokazać, że nie jest sam, i dlatego ten kutas włożył nagrania do trupa. To po prostu kolejny element jego chorej gry.

– Nie do końca. Niech pan patrzy dalej, komisarzu.

Seria przybliżeń i oddaleń nabrała tempa. Jakość nagrania ledwie pozwalała na rozróżnienie kształtów. Z głośników nie dobiegały już żadne dźwięki. Wrzask kobiety się urwał, a spazmy topionego ustały.

Nagle obraz zatrzymał się, ukazując podchodzącą do kamery postać w długiej szacie. Na ceramiczną maskę padały ruchome cienie, a wstawione w miejsce oczu kawałki szkła odbijały światło.

Postać zatrzymała się kilka kroków od obiektywu. Nachyliła się do niego i przekręciła głowę, jakby chcąc przyjrzeć się odbiorcom filmu. Zupełnie jakby miała moc przenoszenia się w czasie.

Z jej gardła dobiegło ciche rżenie. W ułamku sekundy zamaskowany wycelował w kamerę szpiczasty palec okryty dopasowaną czarną rękawiczką.

– Buuu... – syknął.

Rżenie zamieniło się w chichot, a potem suchy charkot.

Nagle obraz przełączył się, pokazując zupełnie inną część pomieszczenia. Na nagie cegły padał cień upiornej postaci.

Deryło od razu zrozumiał zdenerwowanie Brzeskiego. Po raz kolejny tego dnia pot oblał mu plecy, a lodowaty powiew zmroził kark. Film został nakręcony telefonem komórkowym lub dwustronną kamerą, której obiektyw został przełączony.

Tylko że nikt za nią nie stał.

Deryło jak po katuszach powlókł się do gabinetu. Po drodze zgarnął kolejną kawę i opakowanie orzeszków piniowych. Nie był głodny. Musiał czymś zająć ręce, a flotylla upadłych żurawi wyczerpała niemal wszystkie kartki. Orzeszki miały stanowić ich marne zastępstwo.

Ciężko opadł na fotel i przysunął się do biurka. Albo niczego już nie rozumiał, albo mieszało mu się w głowie. Zakładając, że zamaskowanym mężczyzną był Cztery Iks, przy kręceniu mógł skorzystać z pomocy domniemanych współników. Jednak tego nie zrobił. Chciał, żeby śledczy myśleli, że ktoś mu towarzyszy, a potem ostentacyjnie rozwiął to przypuszczenie.

Tylko po co?

Iks siedział w wariatkowie, a jednocześnie ktoś dokonał morderstwa. Jakiś chory szaleniec, z podobną do niego fantazją, zhajcował główną donatorkę szpitala. Zupełnie jakby to Dycz znalazł się w dwóch miejscach. W tym samym czasie.

Deryło upił łyk kawy i zagryzł ją całą garścią orzeszków. To było niemożliwe. Wchodzenie na grunt fantastyki mógł zostawić jasnowidzom, ewentualnie księżom, ale sam musiał działać racjonalnie.

„Ra-cjo-nał-nie” – przesyłabizował w myślach.

Miał sztywne dowody, akta, zeznania i to ich musiał się trzymać.

Sięgnął po leżącą na biurku teczkę. W tekturowe okładki upchnięto tyle kartek, że metalowe mocowanie gumki rozdarło ich krawędź. Ostrożnie, aby nie rozsypać wszystkiego wokół, przyjrzał się dokumentom z wierzchu. Ksero jego raportu, kilka fotografii, zeznania, analiza konstrukcji, którą zabójca zamontował na ciągniętym przez osła śmietniku. A więc poranne zabójstwo już przypisano do sprawy Dycza. I doskonale z nią wymieszano.

Położył teczkę na biurku, po czym przez kwadrans starał się uporządkować dokumenty. Burdel. Ten, kto zrobił taki bajzel, powinien wylecieć.

Wreszcie dokopał się do tego, czego szukał. Wóz śmieciarski odebrano z magazynu przedsiębiorstwa komunalnego poprzedniego popołudnia. Nikt nie wiedział, kto go wziął, ani nie zwrócił uwagi, że brakowało go przez noc na stanie. Zakład miał trzy podobne pojazdy oraz utrzymywał pięć osłów. Trzy z nich sprzątały na terenie skansenu i miały lokum w jednej z zagród, a dwa pracowały na Starym Mieście. Zostały wypożyczone do szopki bożonarodzeniowej i to z niej skradziono tego, który posłużył mordercy. Monitoring miejski odnotował jedynie postać, której nie było sposobu zidentyfikować. Straż się nie zainteresowała, gdyż wcześniej zgłoszono zapotrzebowanie na osiołka do usług śmieciarskich. Nikt oczywiście nie kwapił się tego zweryfikować.

Analiza śladów odnalezionych na spalonym wozie nie została jeszcze zakończona. Zauważono jednak, że ze względu na działania ognia wartość dowodowa pozostaje znikoma.

Pod odręcznie nakreślonym raportem znajdowały się zeznania nastolatków wyciągniętych z piwnicy. Wcześniej uznał je za nieciekawe, skoro sam wszystko widział osobiście, lecz teraz postanowił je przewertować. Skrupulatność zapewniała święty spokój. Przynajmniej miał taką nadzieję...

Nim przejrzał wszystkie kartki i opróżnił opakowanie orzeszków, zdał sobie sprawę, że coś się nie zgadza. We wszystkich zeznaniach brakowało istotnego elementu. Zupełnie, jakby pominięto...

W jednej chwili chwycił słuchawkę telefonu i wybrał numer. Inspektor Knap odebrał niemal od razu.

– Co jest? – odezwał się szorstkim tonem. – Właśnie się zbieram do domu, więc mam nadzieję, że...

Deryło nie dał mu skończyć.

– Czytał pan, inspektorze, ostatnie newsy ze sprawy Iksa?

– Czytał – z niechęcią przyznał Knap.

– Widzę pańską pieczętkę utajnijącą jakiś dokument. Nie ma go w aktach.

– I dobrze widzisz.

Deryło nienawidził przeciągania liny. Rozmowa powinna się zakończyć jak najszybciej. Siłując się, obaj tracili tylko czas.

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć? Utajnił pan coś, do cholery, przede mną?

– Nie przed tobą. W ogóle.

– Co to takiego? – fuknął komisarz. – Nie mogę pracować na jakichś niedomówieniach!

– Utajnienie ma to do siebie, że się o nim nie mówi.

– Do diabła, niech pan z tym skończy. Możemy zawracać sobie głowę, ale nie pogrywajmy w ten sposób. To nie jest ciuciubabka, tylko pieprzona sprawa seryjnego zabójcy.

Knap westchnął. Musiał dokonać błyskawicznej kalkulacji zysków i strat. Znając upór Deryły, tych drugich mogło być znacznie więcej.

– Szybka piłka – mruknął zrezygnowany. – Twierdzisz, że tam była jeszcze jedna kobieta. Tak wynika z twojego raportu.

Właśnie to było sednem.

– Zgadza się. I o dziwo nie ma o niej słowa w żadnych innych zeznaniach. Ani innych uwięzionych, ani techników. Jakby wyparowała.

– Wszyscy twierdzą, że nikogo takiego nie pamiętają.

– Niech ich szlag! Jaki to ma związek z tym cholernym utajnianiem? Chyba nie twierdzi pan, że ją sobie zmyśliłem?

– Oczywiście, że nie. Ale jest coś jeszcze. I pewnie niezbyt ci się spodoba.

Pokój przesłuchań był urządony wbrew amerykańskim standardom. Zbyt wiele rozpraszających wzrok elementów, biurko, które zgodnie z najnowszą techniką nie powinno dzielić rozmówców, wreszcie długie lustro, które nawet największemu laikowi musiało wydać się podejrzane. I słusznie, bo tak jak na filmach z lat dziewięćdziesiątych było to lustro weneckie. Konstrukcja, od której odchodziło się na rzecz nowocześniejszych technologii.

Przy laptopie w rogu pomieszczenia siedziała posterunkowa Nowak. Z całym swym nordyckim skupieniem wpatrywała się w elektroniczny wzór protokołu zeznań. Przynajmniej w tym przypadku komenda poszła z duchem czasu i niedawnym zarządzeniem Knapa zakazano wypełniania podobnych formularzy pisemnie. Również maszyny do pisania pamiętające PRL w większości trafiły na śmietnik historii.

Brzeski przeczytał regulaminowe pouczenia i zamierzał szybko przejść do rzeczy. Po drugiej stronie biurka siedział postawny policjant. Przypominał Goliata przycupniętego na krześle dla lalek. Nawet Deryło wydawałby się przy nim filigranowy.

Po fazie swobodnej wypowiedzi, która ograniczyła się do kilkudzaniowego opisu zdarzenia, Brzeski uznał, że lepiej będzie po prostu dopytywać. Pytanie – odpowiedź. Bez tego systemu przesłuchiwany posterunkowy zdawał się uosobieniem chaosu.

– A więc nie jesteście w stanie opisać mężczyzny na śmieciarce?
– Jestem w stanie opisać jego strój. – Olbrzym miał zaskakująco łagodny głos. – Nic więcej.

– To on?

Brzeski podał mu fotografię wyodrębnioną z monitoringu miejskiego.

– Tak – potwierdził przesłuchiwany. – Bez wątpienia.

– W takim razie jego ubiór znamy. A twarz?

– Przez cały czas miał ją opatuloną szalikiem. Właściwie długim, grubym szalem, poza tym narzucił kaptur. Chyba nosił też czapkę, ale tego nie jestem pewny.

– Powiedzieliście, że zatrzymaliście się przy tej śmieciarce i zamieniliście parę zdań.

Posterunkowy ponuro skinął głową. Na jego twarzy było widoczne zmieszanie i pokora. Normalne, jeśli po jednej z pierwszych przejazdów radiowozem jest się przesłuchiwanym w sprawie zabójstwa.

– No tak. – Skinął raz jeszcze. – Takie noworoczne pierdoły, znaczy się...

– Uprzejmości – Brzeski pomógł mu znaleźć słowo, przy czym wymownie spoglądał na Nowak. Obawiał się, żeby jej kancelaryjna skrupulatność nie kazała jej protokołować zbyt dosłownie. – I tylko tyle?

– Chyba padło coś o pogodzie. Że jest mróz. Aaa... i jeszcze o tym, że to całe ustrojstwo to tylko męczenie zwierzęcia. Tak powiedziała sierżant Marlecka.

– Czy bylibyście w stanie rozpoznać jego głos?

Tym razem Goliat ostentacyjnie pokręcił głową.

– Trudna sprawa, panie aspirancie. Trudna sprawa.

– Dlaczego? – Brzeski zaczynał się irytować. Komisarz w tym momencie wyszedłby z siebie i walnął w łeb obok.

– Ten szalik jakby go zniekształcał. Poza tym wiało, a on mówił do nas z wysokości tego wozu.

– Ale jesteście pewni, że to był mężczyzna?

– Raczej tak. Albo bardzo jajeczna babka.

Posterunkowy klepnął obiema dłońmi w kolana, ale widząc, że Brzeski pozostał śmiertelnie poważny, natychmiast powrócił do dawnej pozycji.

– Chociaż sam już nie wiem.

– Czyli mogła to być kobieta? – drażył aspirant. – Jest taka szansa?

– Myślę, że przy odpowiedniej zmianie głosu tak. W ogóle ten ktoś – olbrzym uniósł dłonie i złożył palce, kreśląc w powietrzu znak cudzysłowu – mówił bardzo zachrypniętym tonem. Wtedy wydawało mi się, że jest po prostu paskudnie zaziębiony.

– I nie jesteście w stanie określić płci nawet po tym odsłoniętym wycinku twarzy?

– Proszę sobie wyobrazić, panie aspirancie, jak to wyglądało. – Posterunkowy wbił wzrok w podłogę. Odechciało mu się gestykulować. – My w radiowozie szorujący tyłkami o ziemię, a on, czy tam ona, dobry metr wyżej. Do tego zacinający śnieg, wiatr i w ogóle... Nie chcę być ciągnany za zeznawanie nieprawdy, to dla mnie pierwsza taka sytuacja, dlatego jestem szczerzy do bólu. Nie będę mówił, że mi się coś wydawało, jak mi się wcale nie wydawało, bo o tym nie myślałem.

Brzeski ukradkiem wyciągnął telefon. Niezgodne ze standardami biurko pozwalało przynajmniej na tyle. Podświetlił ekran, ale nie nadeszły żadne wiadomości. Alicja nie odezwała się po wizycie u ginekologa, co raczej należało zakwalifikować do złych znaków. W sumie nie spieszyło mu się do domu.

Z nową energią w głosie i brakiem nadziei na przełom przystąpił do zadawania dalszych pytań.

- Złe wieści? – zapytał Deryło.
- Złe – potwierdził Knap. – Zastanawiałem się, czy w ogóle się nimi dzielić. Uznałem, że lepiej, żeby pozostały utajnione i nie trafiły do akt.
- Dlaczego?
- Bo jestem dla ciebie dobry wujcio, który od lat kryje ci dupę. Chociaż nigdy tego nie zauważyłeś. A jedyne, czym się odwdzięczasz, to trucie mi dupy.
- Dalej nie rozumiem, inspektorze.
- „Do dupy te metafory” – przyszło na myśl Deryle, ale nie miał nastroju choćby próbować żartować.
- Byłeś naćpany – wypalił inspektor. – Znam cię i nie podejrzewam, żebyś sam z siebie walił w żyłę, a patrząc na okoliczności sprawy...
- Co takiego? Naćpany? Czym?
- Salwa... coś tam. Ponoć dość niebezpieczny środek, ale u ciebie wykryto znikomą dawkę.
- Salwinoryna.
- Środek, którego Iks użył, aby manipulować podświadomością swoich ofiar. Dzięki niemu potrafił wtłoczyć w nie fałszywe wspomnienia. Potrafił zmusić do absurdalnego zachowania, całkowicie niezgodnego z tym, do czego były zdolne w normalnych okolicznościach. Dość się już o tym nasłuchał, prowadząc tę sprawę.
- Wiadomość poraziła Deryłę. Nie miał żadnych zaburzeń postrzegania rzeczywistości. Obraz z piwnicy był ostry jak brzytwa. Mimo bólu, strachu i wszystkich innych emocji. Nic nie wskazywało, żeby utworzył swoją własną historię. Alternatywną wobec rzeczywistości. Doskonale pamiętał kobietę, której Cztery Iks zrobił w klatce piersiowej tunel wielkości pięści.

– ...dlatego lepiej niech to zostanie między nami – ciągnął Knap. – Po co komplikować sprawę?

– Ona tam była.

– Nie ma na to żadnego dowodu. Poza twoim słowem, a to ze względu na zaaplikowany środek...

– Chcieliście ukryć przede mną fakt, że byłem na pieprzonym hajcu? – zapienił się Deryło.

– Dostaliście wyniki ze szpitala? Przecież to kurwa absurd!

Knap zignorował jego protesty.

– Słuchaj, jeszcze raz powtórzę, nie było żadnej dziewczyny. Mamy sprawcę i akta idą do zamknięcia.

– Ale...

– Malczewski pisze akt oskarżenia, wszystko jest cacy. Nie róbmy z tego kolejnej afery, bo nigdy nie wynurzymy się z szamba.

– W takim razie skąd ślady sztucznej krwi? Przynajmniej tyle znalazłem w raporcie techników. Mówiłem, że ta dziewczyna została postrzelona i to mogło być jedyne, co mi się wydawało.

– Mówisz o syropie malinowym i soli? A nie, czekaj, dodano tam chyba coś jeszcze? Kakao?

Deryło nie cierpiał podobnego sarkazmu. Traktowania jak upośledzone dziecko, któremu próbuje się wmówić, że wszystko z nim dobrze.

– A ten trup z rana? – warknął. – A trupy, które znaleźliśmy po południu?

– Przy tych ostatnich znajdziemy pewnie sporo haków na Dycza.

– A przy tym gównie z placu po farze? Taaak... Dycz wyszedł z wariatkowa, zrobił sobie Joannę d'Arc i wrócił do izolatki.

Knap fuknął poirytowany. Rozmowa z obu stron nabierała nieprzyjemnego napięcia.

– Nie wiem, kurwa. Jesteś jak kleszcz uczepony dupy – zawiesił na moment głos. – Prowadź śledztwo w sprawie porannej afery, ale daj Malczewskiemu rozpocząć proces Iksa. Tego oczekują ode mnie wszyscy. Ministerstwo, prokuratura i pieprzone media.

– A potem wypłyną nowe dowody?

– Gównu mnie to obchodzi. Jeżeli chcą, to niech uznają, że Dycz jest szatanem i morduje telekinezą. Ja pierdolę! Mam na dzisiaj dość.

Inspektor rzucił słuchawką.

Deryło jeszcze przez chwilę trzymał telefon w dłoni i wsłuchiwał się w denerwujące pikanie. Wreszcie również cisnął nim na bazę.

Był pewny, że dziewczyna istniała. Widział ją nie tylko w piwnicy, ale podczas śledztwa zetknęli się kilkakrotnie. Widział nawet jej cholerne gołe cycki. To też miał sobie wymyślić? Albo to, że z dziurą pomiędzy nimi wstała i wyszła z piwnicy. A wcześniej jeszcze zdezynfekowała okolicę.

Wysłał zapytanie do rejestru ministerstwa, aby ustalić jej adres zamieszkania. Patrycja Krzyska. Przynajmniej tak mu się przedstawiła. Chociaż nie miał nadziei na to, że nie posługiwała się pseudonimem. Jeżeli istniała naprawdę, musiała być współniczką sprawcy.

A istniała. Bez dwóch zdań.

Gdy na powrót zakopał się w papierach, dostał SMS-a. Brzeski informował, że przesłuchanie dwóch policjantów, którzy rozmawiali z mężczyzną na wozie śmieciarskim, było czystą stratą czasu. W kilku zdaniach aspirant streścił jego przebieg. Dziwne, że nie zadzwonił, tylko zajął się stukaniem w telefon. Być może chronił się w ten sposób przed niezasłużonym ochrzanem?

Deryło dopił zimną kawę i starał się uspokoić. Sprawa wyślizgiwała mu się z rąk. Samo dopuszczenie możliwości, że Dycz był jakimś nadnaturalnym gnojem potrafiącym mordować z za krat, świadczyło o tym, że potrzebował odpoczynku. Ostrego resetu tego, co po bezsennych nocach pozostało mu z mózgu.

Kiedy szykował się, aby samemu zadzwonić do Brzeskiego, zabrzączał telefon.

Knap? Może się zreflektował.

Jednak na wąskim ekranie wyświetlił się nieznanym mu numer zewnętrzny.

– Halo?

– Cześć Eryk... Nie poznajesz?

Poznawał. Krystyna Olecka z laboratorium kryminalistycznego. Bratnia dusza, która od dawna była jego wtyką. Nie korzystał z jej możliwości, odkąd doszły go słuchy, że cudownym strzałem tuż przed pięćdziesiątką wylądowała na macierzyńskim.

– Oczywiście, że poznaję – wysilił się na sympatyczny ton. – Z powrotem w robocie?

– Na szczęście. Wiesz, co to znaczy mieć niemowlaka?

– Coś niecoś o tym słyszałem. Nawet brałem udział w operacji o kryptonimie tacierzyństwo.

Olecka zachichotała. Po chwili jednak przeszła do meritum.

– Dzwonię, bo właśnie dostałam do analizy materiały z twojej sprawy.

– Które materiały?

– Między innymi preparaty ludzkie. Zakonserwowane organy i tak dalej...

– No tak, jak zawsze dostajesz to, co najsmaczniejsze. Co z nimi?

Laborantka zrobiła przerwę. Kiedy Deryło miał już zamiar przekląć wszystkich dramatyzujących współpracowników, odezwała się usprawiedliwiającym tonem:

– Przepraszam, mam tu magiel i robię kilka rzeczy naraz. W sumie powinnam się przyzwyczać, ale nawet przy podzielnej uwadze zaczynam się zawieszać.

– W takim razie co z tymi analizami? – komisarz powtórzył pytanie.

– A właśnie. O ile znam materiały śledztwa, pojawił się pewien problem. Bardzo poważny problem.

Po bezowocnych przesłuchaniach Brzeskiemu pozostało do odhaczenia już tylko jedno zadanie. Tego dnia lista punktów była wyjątkowo długa, ale w sumie mu to nie przeszkadzało. Powrót do domu i przeżywanie emocji urojonej ciąży nie stanowiły kuszącej alternatywy. Prawdę mówiąc, w ogóle nie stanowiły alternatywy.

Wywiad środowiskowy również nie zapowiadał się zbyt przyjemnie, lecz przynajmniej tłukł nadgodziny. Gdyby był cynikiem, stwierdziłby, że Cztery Iks dał mu już trochę zarobić. Ale że za sprawką Deryły został jedynie początkującym cynikiem, nieobecność w domu usprawiedliwił koniecznością podreperowania finansów. Przygotowywanie się do rodzicielstwa to nie tylko orgie zakończone przez kobietę w pozycji świecy. Poza tym, po tym czego się dziś naoglądał, nie miał najmniejszej ochoty na seks. Podobnie jak komisarz ciągle czuł w ustach mdły posmak śmierci. Zmyć go mógł tylko pchnięciem sprawy do przodu.

Anna Repecka nie utrzymywała kontaktów z rodziną. Po śmierci ojca, który wyposażył ją w całkiem obfity spadek, nie utrzymywała kontaktów właściwie z nikim. Podążając zagmatwanym labiryntem jej powiązań osobistych i biznesowych, okazało się, że jedyną osobą, która cokolwiek mogła wiedzieć o jej życiu, była Regina Omertnicka. Podstarzała księgowa od lat nadzorująca rodzinny interes.

Mając na uwadze służbowy, dystygowany głos, jaki Brzeski usłyszał w słuchawce telefonu, spodziewał się najgorszego. Wynurzającego się z głębin Krakena o fioletowej trwałej, za dużej sztucznej szczęce i domalowanych brwiach. Stojąc na progu domu wielorodzinnego przebierał z zimna stopami. Trzykrotnie naciśnięty guzik domofonu nie wywołał żadnej reakcji.

Kraken mógł zdjąć aparat i pozostać głuchy.

Kraken mógł nie wynurzyć się z oceanicznych toni skupiony na rozgniataniu niekulturalnych dzieci.

Kraken mógł...

– Co pan tak stoi? – Usłyszał nad sobą. Podniósł głowę i zobaczył na balkonie opatuloną chustą starowinę. – Domofon jest zepsuty, ale drzwi są otwarte! Szarpnąć trzeba.

Brzeski westchnął. Złe gorszego początku. Szarpnął za metalową gałkę i drzwi rzeczywiście ustąpiły. Po wypolerowanych na glanc schodach wszedł na pierwsze piętro.

Zapukał.

Nim zdążył się obejrzeć, siedział przy stoliku kawowym, obok stała parująca herbata (jak woda w balii przed świętym Bartłojem), a nieco dalej talerzyk z herbatnikami (ryzykownymi dla zbyt dużych protez). Regina Omertnicka bardziej niż Krakena przypominała elegancką guwernantkę z angielskich salonów. Wąskie usta, orli nos, bystre oczy i zebrane w kok siwe włosy nie sprawiały przerażającego wrażenia. Wręcz przeciwnie, pod pozorem nobliwego dystansu kryła się zupełnie łagodna osobowość. Śmierć wieloletniej szefowej odcisnęła na niej wyraźne piętno. Choć w tym wypadku żałobę można było pomylić po prostu ze starością.

– Miejsmy to już za sobą – odezwała się po chwili milczenia, obracając w dłoni szklaneczkę z czymś przypominającym sok wiśniowy. – Choć nie wydaje mi się, abym mogła panu pomóc.

– To się okaże. – Brzeski wyciągnął notes i położył go przed sobą. – Znałyście się panie od dawna, prawda?

– Znałam Anię od dziecka.

– W takim razie na pewno wiele pani o niej wiedziała.

Omertnicka odstawiała szklankę na stolik.

– Tyle, ile można wiedzieć o najbardziej skrytej osobie pod słońcem – mruknęła. – Czyli prawie nic.

– Czy wiadomo pani, aby Anna Repecka nawiązała ostatnio jakieś nowe relacje?

– Biznesowo jak najbardziej. Chiny i Kazachstan. W te rynki celujemy... To znaczy celowaliśmy.

– Mam raczej na myśli znajomości osobiste.

– Chyba niezbyt dobrze zapoznał się pan ze sprawą. Naprawdę to pytanie...

Brzeski poczuł się, jakby przytknięto go właśnie w czubek nosa. Omertnicka wygięła wargi w smutnym uśmiechu i zaraz podjęła temat:

– Bez obrazu, panie władzo, to jakby roztrząsać kwadraturę koła. Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Aspirant przybrał wyraz twarzy poczciwego idioty. To zazwyczaj rozwiązywało języki. Rzeczywiście, i tym razem starowina głośno sapnęła, pogładziła obrus, po czym gotowa do dłuższej tyrady nabrała powietrza.

– Wszyscy wiedzieli, że dla Anny liczy... liczyła się tylko firma. Żadnych mężczyzn, żadnych dzieci, tylko firma. Pracowała po szesnaście godzin na dobę. Tabele, ustalenia, konferencje, strategia... Nie chciała zaprzepaścić dziedzictwa ojca. Bardziej niż o pieniądze chodziło jej o to, żeby nie zawieść go nawet po śmierci. Przynajmniej takie miałam wrażenie. Żaden ze mnie psycholog, ale widzi się podobne rzeczy, obserwując drugiego człowieka przez całe życie.

– Ale może poznała kogoś ostatnio? – Brzeski pstryknął długopisem. – Zwierzyła się z jakiegoś nietypowego spotkania? Podejrzaną osoby na jednej z tych konferencji?

– Nie przypominam sobie.

– Nie wspominała o tym, że coś ją niepokoi?

– Nie.

– Żadnych głuchych telefonów czy podejrzanych listów? A może nękających maili?

– Nie.

– Proszę się zastanowić. Czy na pewno nic nie zwróciło pani uwagi w jej zachowaniu?

Staruszka zmarszczyła brwi i ścisnęła wargi. Przez chwilę wpatrywała się gdzieś za Brzeskiego, wreszcie przeniosła wzrok prosto na niego.

– Właściwie była jedna sprawa – odezwała się zamyślonym tonem.

I dopiero wtedy aspirant usłyszał coś interesującego.

Nim Olecka zdążyła wyłożyć, jaki problem pojawił się w śledztwie, ktoś ponownie zajął ją rozmową. Deryło, bębniąc palcami w stół, słyszał pojedyncze słowa. Kobieta musiała odsunąć telefon od ucha, więc zlewały się z resztą odgłosów. Po kilku sekundach w słuchawce znowu rozległ się świst jej oddechu.

– Przepraszam, naprawdę mamy tu sajgon. Urwanie łba do kwadratu, a do tego...

– Dobra, już dobra, nie tłumacz się – komisarz uciął potok usprawiedliwień. – Zanim znowu nam przerwą, powiedz, co to za problem. Bo jak słyszę to słowo, to mi się zbiera na wymioty. A ostatnio dzieje się to tak często, że w ogóle odehciewa mi się jeść.

Laborantka westchnęła.

– Opieram się na plotkach, więc musisz mi coś potwierdzić.

– Wal.

– Ten podejrzany, Dycz, miał trafić do kraju trzy lata temu? Wcześniej podobno był księdzem egzorcystą gdzieś w Afryce?

– Konkretnie w Beninie.

– Jak długo?

– Kilkanaście lat, może nawet około dwudziestu, już nie pamiętam. Piszesz jego biografię?

Olecka zignorowała ten docinek.

– W międzyczasie przyjeżdżał do Polski? – dopytywała.

– Jeśli tak, to na krótko. Nic mi o tym nie wiadomo. – Deryło zaczął się domyślać, do czego zmierza analityczka. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że...

– Część preparatów ma około pięciu, sześciu lat. Niektóre są starsze. A jak się pewnie domyślasz, do ich przygotowania nie wystarczy parogodzinny urlop.

- Szlag.
- Co powiedziałaś?

Deryło zaczerpnął powietrza. W jednej chwili pracownicy układana kostka Rubika znowu się rozjechała. Najchętniej wyrwałby jej poszczególne elementy i zdeptał. Zaczynał tracić cierpliwość jak dziecko. Tylko że nie mógł wyrzucić swojej zabawki i wracając do domu, pokazać wała wszystkim zebranym na podwórku kolegom. Szlag.

- Jesteś tego pewna? – zapytał bez cienia nadziei.
- Inaczej bym nie dzwoniła.
- A może to próbki zwinięte z jakiegoś uniwersytetu czy Bóg wie skąd?

– Nie sądzę. Organy pozyskano zbyt amatorsko, nawet jak na telepiącego się z nerwów studenta. Za taką robotę profesor poucinałby prędzej ręce, niż pozwolił dalej ciąć. Poza tym są zbyt zanieczyszczone, co świadczy o, że tak to nazwę, domowych warunkach przeprowadzania preparacji.

- Szlag.

Deryło podziękował i szybko zakończył rozmowę. Przez chwilę siedział, tępo gapiąc się w swoje odbicie w wyłączonym monitorze komputera. Nieludzka, sterana twarz otoczona aureolą emitowanego przez jarzeniówki światła.

– Jak to możliwe? – zapytał mężczyznę tkwiącego po drugiej stronie ekranu. – Jak to, kurwa, możliwe?

Dziewczyna, którą widział, ponoć nie istniała. Dycz, z którym stał twarzą w twarz, ponoć nie mógł być Dyczem. W podziemiach bunkra trafiają na istny gabinet doktora Frankensteina, a do tego ktoś bawi się zapalkami. Czy to możliwe, żeby Iks...

Nim sformułował pytanie, rozbrzmiały tony *Komm, süßer Tod* Bacha. Przed kilkoma dniami w przypływie gorszego humoru wydały mu się doskonałym dzwonkiem. Wtedy najwyraźniej nie wiedział, czym jest gorszy humor. Powinien wybrać Sibeliusa albo Rezső Seressa. Albo jeszcze lepiej któryś z marszów pogrzebowych.

Dzwonił Brzeski. A jednak nie bał się nieuzasadnionych ochrzanów ani się nie obraził. Chyba że pojawiło się coś, co kładło obie możliwości na łopatki.

– Rozmawiałem właśnie z księgową Repeckiej – sapnął, gdy tylko Deryło odebrał. – To jedyna osoba, która cokolwiek o niej wiedziała.

- No i?
- Ogólnie nie dowiedziałem się niczego nadzwyczajnego.
- A szczególnie?

– Planowała w najbliższym czasie zabrać się za politykę. Dlatego wiadomość o tym, że przekaze darowiznę na rzecz szpitala psychiatrycznego, kontrolowanie wyciekła już jakiś czas temu do mediów. Zaledwie kilka drobnych wzmianek, ale były.

– Nie słyszałem... – Deryło z chęcią potraktowałby telefon jak kostkę Rubika. – Co z tego?

– To, że Iks mógł się przygotować i z góry obrać cel. Symbolicznie dać się aresztować, a współnikowi polecić zabójstwo.

- Powiadasz współnikowi? A mnie się wmawia, że widzę duchy. Nieistniejących ludzi.
- Jakich nieistniejących ludzi?

Komisarz w przypływie ckliwej wylewności opowiedział Brzeskiemu o rozmowach odbytych z Olecką i Knapem. Aspirant nie wydawał się zaskoczony, ale wysłuchał go do końca.

– Inspektor chce koniecznie zamknąć sprawę i odwalić sygnaturę do zakończonych – skwitował. – Lepiej mieć jednego sprawcę niż całą grupę. Chociaż mnie myśl o tym, że mogli wszystko zaplanować, sprawiła ulgę. Bogu dzięki, że ten świr mógł mieć współnika.

- Co ty pleciesz?
- Dzięki temu podtrzymuję nadzieję, że to tylko banda popaprańców. A nie jakiś cholerny diabeł.

Jeśli wyobrazić sobie życie jako drogę, to u Romana Deryły najpierw była to szalona autostrada, potem stabilna ekspresówka, a na końcu tonący w gnojówce ściek. Tylko czy tonący w gnojówce ściek w ogóle można nazwać drogą? Nie. Przynajmniej takie od samego początku było zdanie jego brata. Oczywiście, jak to często bywa, było to zdanie całkowicie odosobnione i niemiłe stanowisku reszty rodziny.

Ale po kolei.

Roman, o dwa lata młodszy od Eryka, dorastał jako wychuchane dziecko. Na podwórku i w szkole miał w nim osobistego ochroniarza, który gotów był rozwalić głowę każdemu, kto śmiałby tknąć Wesołego Remiego. Dzięki takiemu układowi zamiast wykształcać tężyznę fizyczną, wykształcał uczucia. Stał się najmłodszym romantykiem w szkole. Już w zerówce wzdychał do dziewczynek, a one wzdychały do niego. W podstawówce chodził z dwiema starszaczkami, a w liceum wdał się w niezliczoną ilość stałych związków.

Zazwyczaj uśmiechnięty, czasem nostalgicznie zamyślony, przypominał Wertera o niedźwiedziej posturze. Bo wspomnieć należy, że choć nigdy sobie tego nie uświadomił, sylwetką niemal dorównywał starszemu bratu. W naturalny sposób nie rozwinęła się w nim zwierzęca agresja. Stanowił tak wyraźne przeciwieństwo Eryka, że gdyby nie rysy, można by mieć pewność, że w szpitalu doszło do podmiany.

To on w czasach dziecięcych natchnął brata do porzucenia pistoletu i procy na rzecz poetycznych statków origami. Odpływające w stronę słońca okręty tonęły wraz z rozmakającą kartką. Czasem spotykało je większe nieszczęście. Niczym w upiornym śnie Goethego czy innego romantyka spadał na nie grad drobnych kamyczków, które przebijały pokład i dziesiątkowały załogę. Taki los spotkał nad zalewem zrobionego przez Eryka Titanica, taki sam los spotkał też dziesiątki innych żaglowców (gdy do papierowej konstrukcji załączono folie),

okrętów (gdy dodano działa z patyków) lub szkunerów (przewożących drogie towary – na przykład garść piasku).

Już w szkole Remi przykładał szczególną wagę do muzyki i sztuki. To właśnie on zaszczerpił w tępouchym Eryku fascynację Lullym, Cabanillesem i Pasquinim, tropiąc w szarych czasach kolorowe płyty gramofonowe. Miłość do kobiet przerodziła się w stałe uczucie wobec koleżanki, a miłość do sztuki w kierunek studiów.

Gdy tylko obronił pracę magisterską dotyczącą reminiscencji obrazów w osiemnastowiecznej kantacie, zaoferowano mu angaż na uczelni, a on ochoczo przystał na propozycję. Mniej więcej w tym samym okresie zakończył kolejny stały związek i ustabilizował się jako kawaler. „Skoro ty masz żonę, to tak jakbyśmy mieli ją obaj” – powtarzał Erykowi z okazji każdego święta i spędów rodzinnych. Gdy na świecie pojawiła się Wiktoria, natychmiast stała się jego oczkiem w głowie. Sam już nigdy nie przedstawił rodzinie żadnej sympatii.

Być może po prostu nie zdążył.

Najpierw dopadły go przewlekłe *Kopfschmerzen*. Na jednym z wykładów napad był tak silny, że upadł na katedrę i wybił barkiem deskę w półwiecznej konstrukcji. Niedźwiedzi bark pozostał na szczęście cały.

Niedługo później do zawrotów głowy dołączyły zaburzenia widzenia. Skarżył się na to, że nie może zbyt długo czytać, a litery wirują mu jak czarownice podczas szabasu. Gdy Eryk nadmienił, iż zapewne chodziło mu o sabat, bodaj po raz pierwszy w życiu się na niego obraził. Przez kilka dni nie odezwał się nawet słowem. Wtedy powinni podejrzewać, że dzieje się coś złego, że to nie jest normalne, by Wesoły Remi wpadał w kilkudniowe urazy. Zrzucili to na karb wielogodzinnych badań, które wówczas prowadził.

Jednak zaburzenia psychiki były trzecim, przedostatnim – jak się miało okazać, etapem na drodze Remiego Deryły. Gdy po kilku dniach Eryk przyjechał, by odbyć braterską rozmowę, zawiesić topór wojenny i przegnać niesnaski, nikt go nie powitał. Walił do drzwi, za którymi panowała grobowa cisza.

Zamek nie był jednak przekręcony.

Wszedł do środka i wiedziony niepokojem błyskawicznie przeczesał mieszkanie. Roman leżał na podłodze w sypialni. Jedną dłoń miał podłożoną pod głowę, a drugą zaczeponą o materac, jakby do ostatnich chwil chciał wspiąć się na łóżko. Pomiędzy rozrzuconymi nogami rozlała się kałuża moczu. W pomieszczeniu cuchnęło odchodami, potem i duchotą.

Nie był jednak martwy.

Wyczuwało się bardzo delikatny i nieregularny puls.

Już pół godziny później znaleźli się w szpitalu, a machina Hipokratesa rozkręciła się w poszukiwaniu nie tylko antidotum, ale i przyczyny. Nie była to najlepiej naoliwiona machina. Brzmiącą krótko diagnozę rodzina Deryłów poznała dopiero wieczorem następnego dnia.

Kryptokokoza. Słowo, które wówczas nikomu z nich nic nie mówiło. Brzmiało równie obco jak opis tego, co miało wydarzyć się w kolejnych tygodniach. Jednak szybko nadrobili zaległości.

Kryptokokoza powoduje śpiączkę, a ją z kolei powoduje grzyb występujący między innymi w odchodach gołębi. Bo do tego źródła katastrofy dotarł po krótkim prywatnym śledztwie Deryło. Bez problemu ustalił, że Roman kilka dni przed pojawieniem się pierwszych objawów zabezpieczał obrazy odnalezione na strychu jednej z lubelskich kamienic. Poddasze pokrywał nie tylko kurz, ale przede wszystkim kilkucentymetrowa warstwa ptasiego gówna, które w połączeniu z nagrzewającym się stropem parowało niczym opary bojowe. Wbrew zaleceniom nie pracował w maseczce ochronnej. Wbrew zaleceniom pracował bez przerwy, dopóki nie wywieziono wszystkich płócien.

Zaniesiona do sanepidu próbka wystarczyła do stwierdzenia obecności *Cryptococcus neoformans*, inaczej mówiąc nitkopodstawkówki wodnej. Kolejne słowa, które nic nie mówiły, a po latach wryły się w pamięć jak pacierz.

Cryptococcus neoformans.

Nitkopodstawkówka wodna.

Eryk wyrwany ze snu w środku nocy mógłby je recytować. Tygodniami recytował je zresztą przez sen, walcząc z najgorszymi koszmarami.

Teraz wpatrywał się w drobne ciało, w którym nie pozostało już nic z niedźwiedzia. W zapadnięte rysy i kształty wyostrome niczym na katafalku.

Błada, zakonserwowana kremami skóra. Przerzedzone, rozwichrzony włosy. Wessane przez usta suche wargi.

Wyciągnął z kieszeni złożonego w gabinecie żurawia. Postawił go na metalowym blacie i poprawił załamany ogon. Przez chwilę miał ochotę go zmiąć. Wreszcie opanował się, powstrzymał łzy i oparł o zimną krawędź. Zaciskając zęby, uśmiechnął się.

Przecież Wesoły Remi nie odpuściłby takiej okazji. Okazji, żeby ironicznie zaśmiać się na myśl, że oto gołębie gównem odebrało życie jednego człowieka i zniszczyło całą rodzinę.

- Co pan czuł podczas hipnozy?
- A co można wtedy czuć?
- Osoby, które pamiętają jej przebieg, zazwyczaj wskazują pewne emocje.
- Nie powiedziałem, że cokolwiek pamiętam. Powiedziałem, że wiem, o co mnie pytano.
- Wie pan i nie pamięta? Mógłby to pan szerzej opisać?
- Droga pani doktor...
- Lipner.

– Tak, Lipner. A więc, może już pani zapisać w swoim kajeciku, że w moim przypadku pamięć i świadomość to dwa zupełnie różne elementy.

Iks obrócił się do lekarki. Do tej pory wpatrywał się w skórzany rzemień opleciony o podłokietnik wózka i krępujący mu prawą dłoń. Psychiatra siedziała na skraju łóżka naprzeciw niego. Na kolanach miała rozłożony gruby notes, za którego okładkę wsunęła elegancki długopis. Nie zapisała jeszcze ani słowa. W ogóle rzadko kiedy prowadziła notatki na bieżąco, zajmując się nimi dopiero po sesji, gdy nie musiała już obserwować pacjenta. Tak było najpraktyczniej. Znajdując się naprzeciw tego człowieka, czuła lęk i skrępowanie. Całą uwagę starała się skupić na prowadzonej rozmowie i tłumieniu nieprofesjonalnych emocji. Notowanie mogłoby pomóc w ich maskowaniu, ale dla baczego obserwatora stanowiło również szerokie pole do analizy. A ostatnie, czego potrzebował psychiatra, to analiza ze strony pacjenta.

– Nadal nie rozumiem. – Nieznacznie podniosła podbródek. – Czy mógłby pan sprecyzować, co ma na myśli, mówiąc o swoim przypadku?

– Oczywiście. Po prostu nie zawsze pamiętam o tym, co się wydarzyło. Ale to nic nienormalnego.

- Zaburzeń pamięci nie powinno się lekceważyć.

– Posiada pani dar czynienia podchodów. – Oczy Iksa poruszyły się w prawo, w lewo i jeszcze raz. – Mam zaprotestować, że to żadne zaburzenie, tak? Bo oczywiście, że to kurwa mać, żadne zaburzenie.

Lipner chciała odnotować ten nagły wybuch, ale jedynie smagnęła palcem skuwkę długopisu. Nie było takiej potrzeby. Obraz psychiczny obserwowanego stawał się dla niej układanką, którą będzie skrzętnie przez wiele tygodni montowała w myślach.

– Mówiliśmy o tym, co pamiętają tylko niektórzy. – Iks powiódł wzrokiem wzdłuż ciała lekarki. Góra-dół. Stop. – Nie traktujmy więc tego jako zaburzenia. Poza tym, czy pamięta pani, jaki kolor oczu miał pielęgniarz, który tu panią przyprowadził?

– Nie. Chyba ciemne.

– Właśnie. Chyba. A ja choć nie pamiętam, to z całą pewnością wiem, co się wydarzyło, gdy ten rudy pajac mnie hipnotyzował.

– Jak to możliwe?

Iks wzruszył ramionami – na tyle, na ile pozwalały mu więzy.

– Po prostu. Tak już czasem bywa.

– Czyli to nie jedyne takie doświadczenie?

– W ogóle chyba powinna mnie pani przeprosić – zmienił temat, nie zwracając uwagi na zadane pytanie. – Nie sądzę, żeby hipnoza i ten cały cyrk dobrze służyły pani opiniowaniu.

Lipner wytrzymała jego czujne spojrzenie. Odnotowała nagły, drapieżny ruch języka po białych wargach. Nie było w nim niczego seksualnego, ale nie pasowało do obrazu sprzed kilku minut.

– Miałabym więc przeproszać za coś, co mi samej komplikuje życie? – zapytała, odbijając piłeczkę. – Za coś, co zrobiono wbrew mojej woli?

– Była pani u dyrektora. Nie protestowała jednak dość mocno albo wcześniej okazała się zbyt spolegliwa.

– Skąd pan wie, że byłam w tej sprawie u dyrektora?

Iks przechylił głowę tak, że prawym uchem niemal dotykał ramienia. Nabrał przy tym powietrza, napinając krępujące mu pierś pasy. Nie wyglądał teraz groźnie. Wyglądał niepokojąco. Tak jak pacynka pozostawiona na nagrobku. Niby martwa i kolorowa, ale jednocześnie skłaniająca do pytań, skąd się tam wzięła.

– Mogę nie odpowiadać i sam o coś zapytać?

Lipner skinęła głową.

– Jeżeli obieca mi pan, że później poznam odpowiedź.

– Zgoda. Obiecuję. – Iks ponownie napał piersią na skórzane pasy. – Jest pani jednym z dwojga psychiatrów mających wydać opinię o mojej poczytalności, prawda?

– Zgadza się.

– Co by pani w niej napisała?

– Jeszcze...

– Tak, wiem, jeszcze za wcześnie na wyroki. Ale po tych dwóch spotkaniach. Pytam z ciekawości.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Bo odpowiedzią mógłbym się zasugerować? Czy to pani nią by się zasugerowała, pani doktor? Choć brak odpowiedzi to dla mnie również odpowiedź...

– Powinniśmy wrócić do mojego pytania – zaproponowała Lipner. Dyskusja zmierzała w złą stronę. – Skąd pan wiedział o mojej wizycie u dyrektora? Taka była umowa.

Iks podniósł głowę do pionu, jakby się gwałtownie obudził. Otworzył oczy jeszcze szerzej. Wydawało się, że nie ma powiek. Żółtawe białka poruszyły się targnięte oczopląsem.

– Wie pani, do czego Kościół potrzebował Trójcy Świętej? – zapytał. – W wielu wyznaniach po latach zbuntowano się przeciw temu schematowi.

– Proszę najpierw odpowiedzieć na moje pytanie.

– Dokończmy tylko ten temat. To kilka sekund, a dowie się pani o mnie czegoś istotnego.

Niby czego? Iks rzucił jej przynętę nabitą na ostry haczyk. Pacjenci nierzadko rozmyślnie chwalili się swoimi zachowaniami, do czego przy opornym opiniowaniu można było dojść dopiero po wielu dniach. Albo nigdy. Zazwyczaj były to nic niewarte zmyłki mające służyć uznaniu ich za niepoczytalnych. A w przypadku niepoczytalnych przeciwnie. Mimo wszystko warto było spróbować.

– No dobrze. – Lipner poprawiła się na łóżku. – Trójca miała obrazować to, co ludzkie, duchowe i boskie. Przyciągnąć wiernych innych religii, w których upatrywano mistycyzmu w zwierzętach, powietrzu, świętych osobach i tak dalej. Chwył piarowy.

– Wszystko, co teraz powiem, niech pani potraktuje dokładnie tak samo. Jako zwykły chwyt PR-owy.

– Chyba nie rozumiem.

Iks podniósł górną wargę, odsłaniając palczkowate zęby.

– Również bywam jednocześnie jedną, dwiema lub kilkorgiem osób – powiedział, gnąc język. – Moje drugie ja może teraz siedzieć dokładnie za pani plecami. Nie czuje pani lekkiego łaskotania na karku? Nie ma pani wrażenia, że ktoś wypuszcza powietrze prosto w nagą skórę pod pani włosami? To właśnie ja. Jestem tam. Akuku.

Kakofonia głosów nasilała się jak pchany ciśnieniem strumień wody. Wytryskiwały razem ze łzami, potem, lepkiem śluzem w ustach, a nawet szturmowały od spodu każdą cebulkę włosów. Bębniły w uszach, odbijając się od zębów.

Cisza, cisza, cisza, do diabła!

Przez całą rozmowę z Lipner Casanova i de Sade starali się współpracować. Chwała im za to. Po tym, co wydarzyło się przed południem, wszyscy byli podenerwowani. Wszyscy poza jednym jedynym złamasem, który wciąż tkwił w hipnotycznej hibernacji. Może to i dobrze. Może w ten sposób raz na zawsze uciszył sam siebie?

Świętojebliwy gnój.

O mało nie doprowadził do katastrofy. Religijna pinda, która dała się zahipnotyzować, a potem wygadywała wszystko, co jej ślina na język przyniosła, powinna zostać zlikwidowana. Jedyne słabe ogniwo ich łańcucha pokarmowego. To, co uwiódł Casanova, upolował Ciul i obrobił de Sade, wypuszczał na wolność Świętojebliwy. No, dobra. Tak źle nigdy nie było. Chciał wypuścić, ale nigdy mu się nie udało i nie uda.

Uwolniony z pasów Iks siedział na łóżku. Dokładnie w tym samym miejscu, które niespełna kwadrans wcześniej rozgrzewał zgrabny tyłek Lipner. Ułożył nogi tak samo jak lekarka. Wypiął pierś i udał, że trzyma na kolanach notes. Pogładził fikcyjny długopis takim samym ruchem, jakim ona dwukrotnie dotykała swojego. Otworzył oczy, naśladowując jej niekontrolowane zdziwienie, i delikatnie rozchylił wargi.

– Jeżeli obieca mi pan, że później poznam odpowiedź.

Wymówił te słowa, niemal doskonale imitując głos psychiatry. Dodał jednak szyderczą nutę.

Spojrzał w oko kamery i wydał wargi.

– Obiecacie mi, że nie będziecie podglądać – powiedział tym samym tonem. – No, obiecacie.

Zachęcony tym, jak dobrze mu idzie, jeszcze przez kilka minut odgrywał swoje przedstawienie, po czym zszedł z łóżka i usiadł przy ścianie. Osłonięty od padającego z jarzeniówki światła mógł lepiej zebrać myśli. Harmonia głosów lepiej zlewała się w całość. Tym bardziej że Świętojebliwy nie mógł zaprotestować.

Podciągnął rękawy koszuli, odsłaniając ręce. Popatrzył po poskręcanych, siwych włosach. Ich kępki rosły nawet na palcach, a pojedyncze dotykały dużych, niekształtnych paznokci. Opuścił głowę, sięgając podbródkiem piersi. Z jego ust wypłynęła nitka śliny. Z dziecięcą radością wciągnął ją z powrotem.

Ciul żądał krwi. Chciał widzieć ból i coraz głośniej dobijał się w podświadomości. Był drugi, a może trzeci w kolejce. Dopóki nie połączył się z de Sade'em, nie był zbyt groźny, ale należały mu się ochłapy. Nienasycony stawał się takim samym zagrożeniem jak każdy z nich, gdy olewano jego instynkty.

Iks przesunął się do łóżka i sięgnął po róg pościeli. Nie dało się jej zdjąć z materaca, lecz odstający rąbek mu wystarczył. Wsunął cienki materiał tak głęboko pod paznokieć kciuka, jak tylko był w stanie. Poruszał palcem, wciskając go jeszcze dalej. I jeszcze, aż pociekła cienka strużka krwi.

Zgiętym ramieniem zasłaniał całą operację, aby oko kamery śledziło tylko jego przypominające modlitwę ruchy. Klęczał przy łóżku w religijnym uniesieniu.

Coś w tym było.

Głosy, głosy, głosy. Krzyk Ciula. Wrzask de Sade'a. Chichot Dzieciaka. Mamrotanie Borgii. A nad tym wszystkim rozlegający się niczym grzmot żalony charkot Bestii. Opętany koncert, na którym każdy śpiewał swoją furiacką piosenkę.

Oparł się czołem o róg materaca i napiął pościel. Szarpnął lewą dłonią, czując, jak materiał stawia na sztorc paznokieć, a krew ścieka po opuszcze palca. Rozoraną tkanką przeciągnął po kawałku tkaniny. Paznokieć odpadł, a nerwy stanęły dęba.

Ciul zaczął cichnąć.

A de Sade na szczęście czekał w ukryciu.

Polityka zawsze kusiła największych cwaniaków. Dokładnie w ten sposób informację o planach wyborczych Repeckiej skwitował Deryło. Nie poruszył już więcej tego tematu, a Brzeski uznał, że nie będzie go drażył. Może potrzebowali wszystko przetrwać w swoim tempie. Może ta rzucona przelotnie ocena była zalążkiem głębszej myśli, ale komisarz zachował ją dla siebie. W ogóle od kilku dni zdawał się popadać w stan coraz głębszego przygnębienia. Telefon Repeckiej do sędziwej księgowej o czwartej nad ranem uznał za przejaw depresji. Może miał rację. Może doskonale rozumiał ten stan.

Brzeski upił łyk piwa. Zauważył, że w czasie, gdy opróżnił niecałą butelkę perły, Alicja uporała się z połową flaszki limoncello. Niezłe tempo. Po takiej dawce już dawno zwymiotowałyby sfermentowanym cukrem.

Przynajmniej była w dobrym humorze.

Przez cały dzień Brzeski obawiał się, że wizyta u lekarza wywoła kolejną falę nieuzasadnionej rozpacz, ale jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. Tym razem brak konkretnych wyników jego żona postrzegała optymistycznie. Do tego opóźniająca się miesiączka i symboliczne krwawienie, które pojawiło się ostatnim razem, wprowadziły ją w euforię. Poza lekarskimi najwyraźniej korzystała już z konsultacji internetowych. Kobiece fora, porady znachorów, blogi nadgorliwych studentów medycyny. Wszystko to od góry do dołu wypełniało zakładkę ulubionych stron. Do tego astrologia i przesady. Cały wachlarz środków stosowanych w desperacji.

– Patrz!

Wyciągnęła przed siebie dłonie i obróciła je wierzchem do Brzeskiego. Siedzieli w kuchni, przy niewielkim szklanym stole. Poza butelkami i kieliszkiem na jego blacie stały dwa talerze pełne okruchów.

– Co takiego?

– No, patrz!

– Na co?

– Moje paznokcie.

Zerknął na jej ładne, zadbane palce i mimowolnie przypomniały mu się połamane, postawione na sztorc paznokcie ofiar. Wzdrygnął się. Piwo mu się odbiło, a w ustach pojawił niesmak. Powstrzymał grymas.

– Chyba nie rozumiem.

– Są kruche – wyjaśniła Alicja. – Doktor powiedziała, że czasami to jeden z pierwszych namacalnych dowodów. Pobrała mi też dzisiaj krew...

Już od dawna nie interesowała jej jego robota. Kiedyś, zafascynowana policyjnymi sprawami, godzinami potrafiła słuchać przejawianych opowieści. Teraz, gdy działo się naprawdę coś poważnego, a on cholernie chciałby pogadać, miała tylko jeden cel. Leonarda, Leona czy tam Leonida. Podejrzał, że nie oglądała też żadnych wiadomości. Pewnie przez ostatnie godziny wpatrywała się w swój brzuch.

– Myślisz, że jesteś w ciąży, i pijesz? – Brzeski odstawił piwo. Ciężko sapnął i przygładził włosy. – To chyba nie jest najlepsze połączenie.

– Może...

Alicja obojętnie spojrzała na butelkę wypełnioną włoską cytrynowką. Brzeski był gotów się założyć, że opóźniająca się miesiączka to drobne kłamstewko. Podobne do kruszących się paznokci, zaokrąglonego brzucha czy Bóg jeden wie czego jeszcze. Jego żona żyła marzeniami, choć w głębi zdawała sobie sprawę z ich nieracjonalności. Gdyby naprawdę podejrzewała, że jest w ciąży, zamiast limoncello popijałaby napar z rumianku i mleko.

Być może powinien się martwić. W ciągu ostatnich tygodni pochłonęła niemal całą zawartość zasobnego barku. Do tego w wieczory, kiedy nie piła – płakała. A że wolał mieć ciszę, rachunek był prosty...

– Dopóki wyniki się nie wyklarują, to podobno nieszkodliwe. Choć masz rację. Czas się przetrzucić na... – Przytknęła dłoń do podbródka i zmarszczyła czoło. – Cholera, napiłabym się po prostu coli. Nie piliśmy jej już z pół roku.

Brzeski westchnął. Przewijał na komórce kolejne informacje. Trzymał dłoń tak, by Alicja nie mogła dostrzec, o czym czyta.

Bunkier śmierci.

Fabryka morderców.

Ksiądz egzorcysta – wiedziony przez diabła za rękę.

Dobre. Naprawdę niektórzy dziennikarze mieli talent do nadawania dramatycznych tytułów. Zresztą całe nagłówki brzmiały jak pierwsze akapity solidnego thrillera. I nakręcały go. Wiedział, że tej nocy będzie miał problem z zaśnięciem.

– Przejdę się na stację. – Zablokował telefon i podniósł się od stołu. – Kupię colę i hot doga.

– Chce ci się?

Co miał odpowiedzieć? Że cholernie nie? Czy że musi sobie poukładać pewne rzeczy i spacer dobrze mu zrobi? Przynajmniej miał pretekst do wyjścia.

A jednak szczęście potrafiło się do niego uśmiechnąć.

Starając się zasnąć, Deryło zanurzył się we wspomnieniach. Przebłyłszy tego, co wydarzyło się w ciągu dnia, stanowiły ledwie migotanie. Pytania na chwilę przycichły, a odpowiedzi straciły na znaczeniu.

Przed oczami miał ciepły, letni dzień. Jeden z tych, gdy Amerykanie organizują grilla, Hiszpanie aż do zmroku siedzą w domach, a Polacy ciągną gromadnie nad morze lub jeziora. Z Lublina nad morze jest kilkaset kilometrów, lecz na pojezierze można dotrzeć w pół godziny. No, chyba że jest dzień podobny do tego, który stanął przed oczami komisarza. Wtedy pokonanie pięćdziesięciu kilometrów trwa znacznie dłużej, a trasa przypomina kondukt żałobny.

Pięć metrów do przodu – stop. Salwa honorowa.

I powtórka.

Stary wartburg nie miał ani klimatyzacji, ani wydajnego nawiewu, a prędkość nie pozwalała na najwydajniejszą wentylację – pędem powietrza. W środku panował ukrop jeszcze większy niż na zewnątrz. Kraciasta koszula przywarła do pleców Deryły, a plama potu na piersi powiększała się z każdym sapiącym oddechem. Wszyscy troje byli bardziej mokrzy niż niejedno dziecko po podwórkowej bitwie w lany poniedziałek. Wszyscy troje, bo w aucie poza przyszłym komisarzem rozpuszczał się również jego brat oraz Miłka, wspólna koleżanka pamiętająca beztrioskie zabawy w piaskownicy i błocie.

Były to czasy, kiedy Deryło nie poznał jeszcze Ewy, Roman cierpiał po seryjnych rozstaniach, a Miłka nie myślała o facetach. W ogóle była młodą kobietą pełną sprzecznosci. Zbyt atrakcyjna jak na studentkę fizyki, zbyt seksowna na samotność, a do tego zbyt aktywna, by przeczytać tyle książek, ile przeczytała. Najważniejsze jednak, że od dziecka była ich najlepszą kumpelką. Właściwie kumplem, który dla żartu założył górę od stroju kąpielowego.

Kiedy wreszcie dotarli nad jezioro, ciążyło nad nimi widmo udaru. Ich twarze

przypominały świeżo zroszone mżawką pomidory. Dwulitrowa butelka wody kupiona w cuchnącym sklepiku przy rozpadającej się promenadzie ugasiła tylko pierwsze pragnienie. Uzupełniła to, co wypocili przez ostatni kwadrans.

Wtopili się w nieprzebraną rzeszę ludzką i pomaszerowali ku brzegom jeziora. Wśród lasu parasoli sterczących jak piki, w aromacie kremów do opalania i symfonii zniecierpliwionych krzyków dzieci.

Niebo pozostawało bezchmurne. Słońce przypominało białą kulę zawieszoną na tle bladego prześcieradła, które drżało tuż nad horyzontem. Cień drzew dawał niewiele ochłody, a szuwary hamowały chęć wskoczenia do jeziora. Na tym odcinku woda była brudna, pełna śmieci i cuchnęła zgnilizną. Gdy doszli do pierwszej zatoczki, spomiędzy ręczników nie przebijało się nawet źdźbło trawy czy ziarnko piasku.

Podobnie w dwóch następnych.

Obchodząc jezioro niemal do połowy, trafili wreszcie na maleńką błotnistą plażyczkę, świeżo zwolnioną przez podpitych już nastolatków. Chłopcy wyrzucili puste butelki i najwyraźniej poszli uzupełnić zapasy. Ot, przywileje młodości.

Miłka natychmiast rozłożyła ręczniki nad samym brzegiem i obciążyła je torbą.

– Zajęte!

Deryło pamiętał, jak krzyknęła, równocześnie puszczając do nich oko. Pamiętał jej rozwiane przez delikatną bryzę brązowe włosy i kontrastujące z nimi (a jakże) niebieskie oczy. Wspaniałe czasy.

Pospiesznie zrzucili ubrania i niczym ściągnięte z plaży kaszaloty wpadli do jeziora. Nie zważając na wiecznie powtarzane przestrogi, natychmiast plasnęli, zanurzając się w wodzie. Jak opętani wrzeszczeli, krzyczeli i ochlapywali Miłkę, która rewanżowała się panicznym piskiem. Pamiętał ich śmiechy. Pamiętał, jak niosły się nad taflą jeziora i ginęły gdzieś w białym upale.

Kilkanaście metrów od zaanektowanego przez nich fragmentu akwenu, rodzice bawili się z kilkuletnim chłopczykiem na rowerku wodnym. Stali zanurzeni po pas w jeziorze, sięgając co chwila do torby z napojami i kanapkami. Typowa rodzinna sielanka.

Wspaniałe czasy.

Z nieodległych szuwarów w wodę wrzynało się stare, drewniane molo. Właściciele pobliskich posesji wzniesli wiele podobnych konstrukcji, które przecinały brzeg jak falochron. Kilka drągów, nierówno zbite deski, czasem drabinka prowadząca wprost do jeziora. Budowle na tyle długie, by z ich końców można bez ryzyka skoczyć choćby na główkę. W dzień źródło dziecinnych uciech, a nocą podkładki pod dzikie miłosne wygibasy. Rzewne wspomnienia.

Kiedy wszyscy byli już mokrzy, a woda nie wydawała się lodowata, popędzili na brzeg, by wśród zarośli odszukać przejście. Nagrzane deski przyjemnie parzyły stopy. Pamiętał ich suchość i szorstkość.

Roman jako pierwszy pobiegł do końca i rzucił się do jeziora. Po chwili wynurzył się, rycząc ze śmiechu, bryzgając wodą i ponaglając ich, by do niego dołączyli. Wtedy wszyscy cofnęli się w czasie i byli jak dzieci. Przeniesione wprost z piaskownicy, lecz tak samo szczęśliwe.

Deryło popychał Miłkę. Dziewczyna jak zwykle udawała, że jeszcze się waha i kąpiele nie są jej w głowie. Wzbraniała się przed namowami. Zapewniała, że na molo chce się jedynie poopalać. Jej opór powoli topniał, aż wreszcie całkowicie rozpuścił się w żarze. Śladem Romana, śmiejąc się, popędziła ku końcowi podestu.

– Patrz mamó. Łódka wypływa w rejs!

Nim Deryło zdążył zrozumieć te słowa, bawiący się przy rodzicach chłopczyk pchnął rower wodny prosto pod molo. Dokładnie w tym samym momencie, gdy stopy Miłki oderwały

się od drewnianego podłoża.

Następnym, co usłyszał, było głuchoe uderzenie, chlupot wody, a potem zaległa wymowna cisza.

Dopuszczała tylko dwie możliwości. Albo lustra windy zniekształcały odbicie, albo czyniła to rozplywająca się po ciele ulga. Z niechęcią skłaniała się do tej drugiej opcji.

Szkliste spojrzenie, rozszerzone źrenice, a nawet przebijające przez makijaż zaczerwienienie policzków. Do tego mgiełka potu na karku, którą poczuła pod strumieniem nawiewu.

Co z tego mógł dostrzec Iks?

Daria Lipner wyciągnęła z torebki chusteczkę i przyłożyła ją pomiędzy kołnierzykiem koszuli a linią włosów. Dokładnie w tym miejscu, o którym mówił zwyrodnialec. Podświadome oddziaływanie bodźcami. Wystarczająco się o tym naczytała, by nie zachować się w tak amatorski sposób. Powiedz człowiekowi, że swędzi go ramię, a zaraz się podrapie. Powiedz, że chce mu się ziewać, a zaraz ziewnie.

Powiedz mu, że czuje czyjś oddech na karku, a na pewno będzie miał takie wrażenie...

Zmięła chusteczkę i włożyła ją z powrotem do torebki. W myślach analizowała wszystko, co usłyszała od Iksa. Już w trakcie rozmowy uwagę skupiła na jego słowach dotyczących hipnozy. Nie pasowało jej przede wszystkim jedno.

„Gdy ten rudy pajac hipnotyzował”.

Nie dodał „mnie”. Hipnotyzował. Nas, jego, ich? Na zadane na początku wizyty pytanie, z którą osobowością właśnie rozmawia, Iks ponownie ją zlekceważył. Nie odgrywał nieudolnego koncertu jak pacjenci symulujący osobowość wieloraką. Jego świadomość pozostawała pojedynczym aktorem, który czasem wygłasza cudze kwestie. Jednak nie robił tego w tak ostentacyjny sposób jak przy ich pierwszym spotkaniu.

Ping.

Drzwi windy się rozsunęły. Lipner wyszła na podziemny parking, gmerając dłonią

w torebce, tym razem w poszukiwaniu kluczyków.

Doskonale rozumiała, na czym polega dylemat Iksa z wiedzą i pamiętaniem. Gdy posiada się kilka osobowości, najprostsze kwestie stają się monumentalnie rozbudowane. Jedno ego nabywa wspomnienia i może je dzielić z innymi, choć nie jest to regułą. Każde z nich może być odrębną indywidualnością. Wtedy osobowość, która była u szczytu świadomości, zapamiętuje to, co się dzieje. Dopiero w chaotycznym dialogu wewnętrznym przekazuje wiadomości innym. Dlatego te nie tyle pamiętają, ile wiedzą o niedotyczących ich wydarzeniach i polegają na łasce alter ego. Gorzej, gdy osobowości nie współpracują ze sobą lub są do siebie wrogo nastawione. Nieliczne zdiagnozowane przypadki cierpiących na tak skomplikowane zaburzenie jednoznacznie wskazywały, że niemożliwe jest ich funkcjonowanie w społeczeństwie. Tego nie można było powiedzieć o Iksie. On zachowywał się jak kameleon przybierający różne kolory i zawsze doskonale wkomponowany w otoczenie.

Szur, szur.

Usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się, lecz parking był pusty. Poza nią i autami wokół nie dostrzegła nikogo. Wciąż nie zeszyły z niej emocje spotkania. Podświadome oddziaływanie bodźcami.

To można udawać. Symulowanie osobowości wielorakiej było usiłowaniem oszustwa, do którego dochodziło odwrotnie proporcjonalnie często do jego autentycznego występowania. Osób cierpiących na to zaburzenie jest statystycznie kilka na milion. Biorąc pod uwagę tendencję do zaniżania danych maksymalnie dziesięć. W czterdziestomilionowym kraju mogło się trafić czterystu chorych. Przebieg choroby u osiemdziesięciu procent z nich bywa tak łagodny, że nie wymaga stałych konsultacji psychiatrycznych.

To były fakty.

Szur, szurrrr...

Lipner gwałtownie odwróciła się w stronę, skąd dobiegł dźwięk.

Pusto. Dwa SUV-y, rura ciepłownicza i szara, goła ściana. Mózg stroił sobie z niej dziecinne żarty.

Znalazła wreszcie kluczyki i obróciła je w dłoni. Nacisnęła klawisz odblokowujący drzwi stojącej kilkanaście metrów dalej mazdy. Światła awaryjne mrugnęły, odcinając się pomarańczem na białych powierzchniach.

Skąd Iks wiedział, że pojawiła się u dyrektora? Nietrudno się było domyślić. Mógł najzwyczajniej strzelić, zaobserwować jej reakcję i wtedy wszystko stawało się jasne. Sama mu to potwierdziła.

Ominęła wystające lustro białej furgonetki i jeszcze przyspieszyła kroku. Stukot jej obcasów niósł się pustym echem. Żadnego innego odgłosu. Żadnego szurania ani tupania.

Coś zgrzytnęło.

Tuż obok.

Kątem oka dostrzegła, że tylne drzwi otwierają się, niemal uderzając ją w ramię. Nim zdążyła odskoczyć, czyjaś dłoń zacisnęła się na jej ustach.

Ktoś szarpnął ją brutalnie do tyłu i wciągnął do luku transportowego. Próbowała się bronić, lecz niemal natychmiast opadła z sił.

– Dobry wieczór, doktor Lipner. Miłych snów.

5 STYCZNIA

43

– To nasze ostatnie spotkanie.

– Zgadza się, dlatego może wreszcie je spożytkujemy?

– Coś pan proponuje?

– A pan?

– Uwaga, uwaga, napięcie rośnie! Zaraz się spieszę... – Deryło ostentacyjnie założył ręce na piersi. – Proponuję, żeby wystawił mi pan kwitek i spadamy.

– Kwitek?

– No, a w jakim celu odciskam sobie tyłek w tym pluszu? Swoją drogą w gabinecie nie powinno być leżanki? Na filmach zawsze są kolorowe kozetki.

Psycholog złożył dłonie w piramidkę. Przez chwilę uważnie przyglądał się komisarzowi, jakby z jego twarzy miał wyczytać syndromy obłądu. Gabinet rzeczywiście nie przypominał typowego lokum terapeuty. Poza biurkiem znajdowały się w nim jedynie dwie szafy, biblioteczka i wieszak. Całą panoramę za oknem wypełniała ściana sąsiedniego budynku, pokryta kolorowym graffiti z herbem Motoru Lublin. Nie był to raczej chwyt terapeutyczny.

– Odpowiadając na pana pierwsze pytanie, nie wystawiam żadnego kwitka, tylko musimy odbębnić to czysto formalnie – sprecyzował psycholog. – Trzykrotny wywiad terapeutyczny po incydencie noszącym znamiona ładunku traumatycznego.

– Jezu. Naprawdę tak to się nazywa?

– Nie. Nazwa z rozporządzenia jest znacznie bardziej skomplikowana.

Deryło zerknął na zegarek. Poczciwy tissot wskazywał, że minęła już dziewiąta. Pora na trzecią lub czwartą kawę, a nie marnowanie czasu na udzielanie wywiadu terapeutycznego, cokolwiek by to znaczyło. Przymusowe zesłanie po akcji, w której użyto broni.

– Obiecał pan, że zdradzi mi, dlaczego to robi. – Psycholog skinął głową w stronę

komisarza. – Skoro to nasze ostatnie spotkanie, mam nadzieję, że dowiem się choć tyle.

– Robię co?

– Obraca nią między palcami.

Deryło dopiero po chwili uświadomił sobie, że trzyma w dłoni monetę. Czy to możliwe, żeby psycholog wyczuł jakiś podtekst? Żeby umyślnie przywołał skrzętnie zakopywane wspomnienie? A może diagnozował w nim właśnie syndrom niespełnionego hazardzisty, któremu pozostało tylko wspomnienie kasyn.

Zacisnął pięść.

– Mój ojciec mawia, że przepuszczanie pieniędzy i marnowanie czasu to najcięższe grzechy – mruknął oględnie. – Ani jednego, ani drugiego nikt nam nie zwróci.

– Mądre słowa.

– Moneta miała mi pomóc się skupić i nie tracić czasu. Przy odrabianiu prac domowych, nauce i tak dalej. Wie pan, byłem dość nerwowym i roztrzępłym dzieckiem... Takie macanie szybko weszło mi w krew. A od dzieciństwa mam ją zawsze ze sobą. – Deryło nagle rozwarł dłoń. – To rzymski sesterc. Nie wiem, gdzie ojciec go zdobył, jakie muzeum obrobił, ale to kawał historii.

Psycholog pochylił się i oparł łokcie o blat biurka. Popatrzył na wyslizganą monetę z ledwie widocznym popiersiem jednego z rzymskich imperatorów.

– Chciałby pan porozmawiać o rodzicach? – Powoli podniósł wzrok. – Mam wrażenie, że...

Deryło nie dał mu skończyć.

– Niech pan nawet nie zaczyna! – warknął, chowając monetę do kieszeni. – Mieliśmy odbębnić te spotkania dla świętego spokoju obu stron. Ja nie bluzgam, a pan nie pyta o swoje psychologiczne duperele.

– Dlaczego?

– Kij panu do moich rodziców.

– Na tym polegają wizyty u psychologa.

– Jeżeli ktoś ma ochotę chlipać nad tym, że ojciec przed pół wiekiem tłukł go na kwaśne jabłko, droga wolna. Ja tu jestem z przymusu i nie będziemy gadać ani o moich staruszkach, ani o tym, czy się moczyłem na myśl o zgaszeniu światła.

Instytucja obligatoryjnych spotkań terapeutycznych była najwyraźniej zupełnie niewydolna. Deryło podniósł się z fotela i podszedł do wieszaka. Zamaszystym ruchem sięgnął po płaszcz.

– Wie pan co? – Odwrócił się do psychologa. – Właśnie zmarnowaliśmy dość czasu. A ja muszę się w końcu zabrać za mieszanie w szambie.

Pomysł, który mu przyszedł do głowy, był niewiele przyjemniejszy.

Zapach kościoła to wymieszany aromat kadzideł, wilgoci i starości. Nawet w nowych kościołach czuć uświęconą woń mijającego czasu. Tak samo pachniało w niewielkim gabinecie, na trzecim piętrze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jednak pomieszczenie było znacznie przytulniejsze od lokalu terapeuty. Rozciągał się z niego odprężający widok na bezlistne szczyty drzew w Parku Saskim i panoramę oddalonych o kilka kilometrów Górek Czechowskich.

Dwie ściany w całości kryły się za książkami. Poupychano je na wszelkie możliwe sposoby, byle tylko nie powypadały. Stosik pozycji ustawionych na podłodze był na tyle wysoki, że groził zawaleniem. Podobnie dwie piramidy rozłożone na prostym, dębowym biurku. Na jednej z nich dłoń położył wysoki szczupły mężczyzna z sympatyczną twarzą pogodnego staruszka. Miał niemal śnieżnobiałe włosy i delikatny zarost tej samej barwy, co współgrało z koloratką wystającą zza czarnego swetra. Obraz siedemnastowiecznego jezuita w towarzystwie nieokrzesanego Indianina.

Ojciec Adam Erst, rzecznik Archidiecezji Lubelskiej, był ponoć człowiekiem, który bez problemu zdobędzie wszelkie potrzebne komisarzowi informacje. Zaanonsowano go jako prawdziwą złotą rączkę kościoła. Siedział naprzeciw Deryły, z jedną dłonią opartą o stos książek, a drugą ułożoną na wolnej przestrzeni biurka.

– Nie mamy w zwyczaju prowadzenia lustracji i weryfikowania każdego pisma, które dostaniemy – tłumaczył łagodnym tonem. – Kościół jest oparty na zaufaniu. Może to się wydawać naiwne, ale funkcjonuje w ten sposób od dwóch tysiącleci i dzięki temu ustrzegł się skostnienia. Rozumie pan, co mam na myśli, panie komisarzu?

– Rozumiem. Mimo wszystko zależy mi przynajmniej na weryfikacji.

– Naszych dokumentów?

– W przeciwieństwie do was, nie mogę opierać się na zaufaniu. – Deryło przygładził

nogawkę spodni. – Wyobraża pan sobie, co by było, gdybym ogłosił, że nie zbieram dalej dowodów, bo wierzę w czyjąś cholerną niewinność?

Jak zwykle ani nie ojcował, ani nie bawił się w lingwistyczne niuanse, jakie w powszechnym mniemaniu należały się duchownym. Był tu służbowo, jako przedstawiciel państwa, a nie jako wierny. Nawet jeżeli prokurator Malczewski nieoficjalnie zabronił mu drażnienia kościelnych hierarchów, w tej chwili miał to po prostu gdzieś. I to bardzo głęboko.

– I tak cała sytuacja postawiła nas w bardzo złym świetle – Erst znacząco zawiesił głos. – Spowodowała osobiście nienawistne reakcje niektórych mediów.

– Chyba mówimy o całkowicie różnych sprawach. Nie interesuje mnie reakcja mediów, chcę tylko zakończyć śledztwo.

– Grzebiąc w przeszłości?

– Weryfikując informacje!

Deryło spodziewał się ciężkiej przeprawy, ale od kilku minut miał wrażenie, że wali głową w ambonę. Powinien tu przysłać Brzeskiego. Anielska cierpliwość aspiranta wreszcie zostałaby wynagrodzona. Tymczasem na wieść, że rzecznik prowadzi zajęcia na KUL-u, postanowił przyjść tu osobiście i przepchnąwszy się przez tłum studentów, wylądował przed łagodnym obliczem inkwizycji.

– Proszę. Pana – odezwał się, wyraźnie akcentując oba słowa. – Nie przyjechałem tu na pogawędkę. Albo zdobędzie pan te informacje, albo będę musiał wystąpić o nie formalnie. Wtedy szum medialny zrobi się znacznie wcześniej, a do tego z pewnością narodzi się jeszcze więcej domysłów.

Erst przeniósł dłoń ze stosu książek i przykrył nią drugą. Skinął głową, oznajmiając, że właśnie podjął decyzję.

– Nie zamierzam czegokolwiek utrudniać. Nie mogę jednak zagwarantować, czy uda mi się ustalić wszystko, o co pan prosi.

– Im więcej pan ustali, tym mniej pola do domysłów będzie miała prasa.

Książd nie odpowiedział na tę próbę szantażu. Obrócił się i sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na parapecie. Zerknął na leżącą przy nim rozpiskę. Wybrał numer, poprosił o przełączenie, potem jeszcze dwukrotnie, wreszcie odbył krótką rozmowę po angielsku i odłożył telefon na bazę. Wszystko trwało kilkanaście minut, podczas których Deryło nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– Poprosili o kwadrans – oznajmił wreszcie surowym tonem duchowny. – I wszystko będzie wiadomo.

– Dziękuję.

Kwadrans pustosłownej rozmowy wypełniało napięcie. Z jednej strony komisarz oczekiwał jakiegokolwiek potwierdzenia swojej koncepcji, a z drugiej również rzecznik archidiecezji powinien być zainteresowany napływającymi informacjami. Obaj mogli wyciągnąć z nich pozytywy.

Zapach kadzideł i starości przebijała jednak atmosfera wzajemnej niechęci. Deryło zastanawiał się, dlaczego w kontaktach służbowych tak często wzbudzał animozje. Również wśród tych, których główną dewizą było miłowanie bliźniego.

Pal diabli...

Kiedy telefon wreszcie zadzwonił, poczuł ulgę. Przed wszystkim dlatego, że nie musi już ciągnąć tej bezsensownej rozmowy. Miał przemożną potrzebę działania i aż go skręcało na myśl, że beczynnienie tkwi tu, gdzie go nie chcą. Po odwiedzeniu brata poczuł się znacznie lepiej. Rzecz jasna nikomu o tym nie wspomniał. Do rodziców nie zadzwonił z czystej przekory, a Ewy nie chciał zdręzczać psychologicznymi dylematami. Jeszcze nie pora na to. Ich czas pewnie niedługo

nadejdzie.

– Tak. Rozumiem. – Rzecznik przytknął telefon mocniej do ucha i zerknął na Deryłę. Na jego twarzy odmalowała się konsternacja. – Oczywiście, że przekażę. Będę cierpliwie czekał. Nie, nie trzeba, to komisarz policji.

Delikatnie odłożył słuchawkę. Przez chwilę trzymał na niej dłoń, jakby się spodziewał, że telefon zaraz oddzwoni. Wreszcie się wyprostował i przeniósł rękę na wyższy ze stosów książek.

– Panie komisarzu, to wydaje się niemożliwe, ale...

Zawiesił głos i przełknął ślinę. Poblądł tak, że jego skóra złała się niemal z zarostem.

Troska nie znała hierarchii służbowych. Zaginięcie doktor Lipner zgłosił osobiście dyrektor Rowiński. Działał szybko, zaalarmowany tym, że lekarka po raz pierwszy bez usprawiedliwienia nie stawiała się w pracy, a jej telefon milczał. Po śmierci Anny Repeckiej wzmógł czujność. Wokół szpitala psychiatrycznego czaiło się zło. Przynajmniej tak to określił w myślach.

Aspirant Brzeski wparował do gabinetu dyrektora tuż przed dziesiątą. Również na komisariacie, który przyjął zgłoszenie, zaginięcie zostało szybko powiązane ze sprawą Iksa i śmiercią Anny Repeckiej. Sieć powiązań, a przede wszystkim nadgorliwa psychologia w ciągu kilkunastu minut przywiodła sprawę do wydziału kryminalnego. Gdyby lekarka została porwana przez tę samą osobę co donatorka szpitala, znaczyłoby, że są tuż za sprawcą.

Choć kilkanaście godzin to też cholerny szmat czasu.

– Czyli doktor Lipner została wczoraj po godzinach? – dopytywał Brzeski.

– Portier widział, jak około dwudziestej wsiada do windy. O dziewiętnastej dwanaście rozpoczęła wywiad z Dyczem. Sanitariusze odnotowali to w raporcie i znajdzie się to też na monitoringu. Chce pan z nimi porozmawiać?

– Później. Najpierw zakończmy z panem.

– Oczywiście.

– Czy pani doktor przyjeżdża do pracy autem?

– Przeważnie tak – odpowiedział bez wahania dyrektor. – Mieszka pod Lublinem i o ile wiem, komunikacji miejskiej w jej okolicy wyjątkowo nie po drodze.

Brzeski kiwnął głową.

– Widziałem, że parking przed szpitalem jest w remoncie. Może są jakieś inne?

– Tak. Personel może korzystać z miejsc na parkingu podziemnym. Co prawda nie jest

imponujący, ale zazwyczaj wystarcza.

Aspirant zwietrzył dobry grunt.

– Czy wie pan, jakim samochodem jeździ doktor Lipner?

– Tak... O ile jestem na bieżąco, to CX piątką.

– Mazdą?

– Mhm.

– W jakim kolorze?

– Chyba niebieskim. Jakiś przydymiony niebieski.

Auto popularne, chociaż Brzeski miał wrażenie, że najczęściej występujące w białym i czerwonym kolorze. Wersji niebieskiej nawet nie kojarzył. To zwiększało szanse ewentualnej wstępnej identyfikacji. Kontaktowanie się z urzędem komunikacji i próba ustalenia numeru rejestracyjnego samochodu lekarki potrwa co najmniej kilka godzin. Wcześniej można było zweryfikować przynajmniej fakt, czy wyjechała z parkingu. Zdarzało się, że pracownicy zostawali na noc w swoich gabinetach, przekręcali się na zawał w firmowych kiblach lub zatrzaszywali w schowku podczas romantycznych uniesień. Po pierwsze należało wykluczyć te możliwości.

– Chodźmy tam. – Brzeski, nie czekając na reakcję dyrektora, ruszył do drzwi. – Mówił pan, że z podziemnego parkingu korzystają pracownicy. Jest zamknięty na szlaban? A może ma przypisane miejsca?

Rowiński niechętnie powlókł się za aspirantem.

– Nie. Po prostu praktycznie nikt inny o nim nie wie. Trzeba objechać budynek dookoła, a poza tym ustawiliśmy znaki...

– Słabe zabezpieczenie – skwitował Brzeski.

Po niespełna kwadransie kluczyli między rzędami samochodów. Parking miał około stu miejsc, był niemal regularnym kwadratem ze stropem wspartym na grubych kolumnach. Niektóre z nich obklejono gumowymi okładzinami, inne nosiły ślady otarcia lakieru. Rzeczywiście aleje były wąskie i zakręcały pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Manewrowanie większym autem musiało przypominać lawirowanie tankowcem w porcie jachtowym.

Nagle dyrektor przyspieszył kroku. Wyciągnął dłoń i wskazał przed siebie.

– Tam. To jej auto.

Mazda CX 5 w kolorze bardziej podpadającym pod turkus niż przydymiony niebieski, była zaparkowana przy samej ścianie. Biorąc pod uwagę dwa auta stojące niemal zderzak w zderzak obok, istniały poważne wątpliwości co do możliwości wyjechania. Bez wątpienia musiała być pierwszym z szeregu zaparkowanych samochodów. Chyba że lekarka była mistrzynią precyzyjnego manewrowania.

– To ta?

– Nie pamiętam numeru rejestracyjnego. Ale tak sędę.

Mężczyźni podeszli do przednich drzwi. Równocześnie zajrzeli przez szybę. Brzeski przyłożył dłoń, przyciemniając własne odbicie. Na fotelu pasażera leżał brązowy zimowy kapelusz z szerokim rondem.

– Tak, to bez wątpienia jej auto – mruknął Rowiński.

Brzeski wyprostował się i rozejrzał wokół.

– Są tu kamery?

– Niestety. – Dyrektor bezradnie rozłożył ręce. – Planowaliśmy je zamontować, ale ciągle były ważniejsze wydatki. Jak już mówiłem, to parking tylko służbowy, a...

Rowińskiemu przerwał dzwonek telefonu aspiranta. Brzeski uniósł przeprasząco dłoń, wyciągnął komórkę i zerknął na wyświetlacz.

Komisarz Deryło. Poza wydanymi z samego rana przez telefon dyspozycjami nie dawał znaku życia. Brzeski nie miał pojęcia o jego wyprawie na uniwersytet.

Odebrał i odszedł kilka kroków od dyrektora. Przez chwilę słuchał, wreszcie odezwał się, nie kryjąc zaskoczenia.

– Co takiego? Przecież to jakiś absurd...

– Żaden absurd. – Deryło bębnił w kierownicę, stojąc na czerwonym świetle. – Wszystko się zgadza. Ten cholerny szalenciec działał od dawna, i to w Lublinie. Na tym afrykańskim zadupiu mógł pojawić się tylko przelotnie.

– Z zamiarem zamordowania Dycza?

– Tak. To znaczy, diabli wiedzą, czy to planował, czy wyszło mu w praniu.

– Jakim cudem mógłby się tam pod niego podszywać? Nie stawiamy chyba tezy, że to jacyś bracia bliźniacy...

– Nie podszywał. – Komisarz wreszcie opuścił zakorkowane skrzyżowanie. Na kolejnej ulicy nie było lepiej. – Napisał swoją rezygnację, przesłał do tamtejszego biskupa i zniknął.

– I obstawia pan, że wtedy Dycz już nie żył?

– Tak.

– Dalej nie rozumiem, jak pojawił się w diecezji lubelskiej, został księdzem, a do tego funkcjonował jako...

Deryło odłożył telefon i przełączył się na tryb głośnomówiący. W takich warunkach nerwy koło jedynie oburęczne bębnienie w kierownicę.

– Bardzo prosto – wyłożył bez ogródek. – Komunikacja Beninu z Lublinem to wydarzenie równie częste jak mrozy na równiku. Iks pojawił się z podrobionymi listami referencyjnymi, a Watykan nie miał odnotowanego zaginięcia Dycza. Albo Murzyni olali sprawę, albo jakoś ich ubiegł. W każdym razie Józef Dycz oficjalnie nadal figurował jako duchowny, więc nikt niczego nie podejrzewał. Ot, kolejny klecha powracający z misji, do tego przez lata zajmujący się egzorcyzmami.

– To musiało mu komplikować sprawę.

– Właśnie nie. Jako ksiądz egzorcysta został zwolniony od wszelkich innych posług.

Działał na samych rubieżach struktur kościelnych.

Brzeski wypuścił powietrze w słuchawkę. Głośniki zaszemrały, jakby uderzył w nie powiew lodowatego wiatru.

– Zdziwią się ci, którzy uczestniczyli w odprawianych przez niego egzorcyzmach...

– Nie było tego wiele. – Deryło wykorzystał buspas i pomknął nim wzdłuż tkwiących w korku aut. Dawniej był przeciwnikiem zwężania jezdni dla komunikacji miejskiej, ale odkąd sam zaczął poruszać się jej trasami, błogosławił to rozwiązanie. – A sam wiesz, jak się skończyło przynajmniej za jednym razem.

– Niby tak...

– Swoją drogą, gdzie jesteś? Jak tylko się przebiję przez korki, będę na komendzie.

Brzeski pokrótce opowiedział o zaginięciu Darii Lipner, o jej samochodzie pozostawionym na parkingu oraz o tym, że stróż widział, jak zajeżdża na parking.

– Może wczoraj wyjechała, wróciła dziś rano i poszła coś załatwić – zasugerował Deryło.

– Nie możemy lekceważyć żadnych sygnałów, ale...

Z głośników dobiegły trzaski. Aspirant najwyraźniej odsunął telefon od ucha i z kimś rozmawiał. Strzępy rozmowy docierały do Deryły, lecz nie mógł ich ułożyć w żadną logiczną całość. Po chwili Brzeski odchrząknął.

– Przepraszam. Właśnie znaleźliśmy notes doktor Lipner...

– Ot, tak? Leżał sobie na parkingu?

– Właściwie kilka kroków od jej auta.

– Hmm... – komisarz się zafrasował. – I sprawa się skomplikowała... Lepiej niech okolicę obejrzą technicy. To zamknięty teren?

– Formalnie tak. Zakaz wjazdu dla osób nienależących do personelu, wewnętrzna uliczka... Ale nie ma żadnego szlabanu.

Deryło chwycił mocniej kierownicę. Jakiś fragment tego, co powiedział aspirant, miał znaczenie. Ulotne skojarzenie przemknęło mu przez głowę, ale zaraz się rozwiało. Zwolnił, starając się jeszcze raz odtworzyć słowa Brzeskiego. Natchnęły go dobrym pomysłem, ale czego dotyczył?

Zaraz, zaraz...

Jest. Ulotna myśl powróciła.

Miał koncepcję, w jaki sposób się dowiedzieć, kim naprawdę był Cztery Iks.

Zjazd kofeinowy to przeciwieństwo dołu alkoholowego. Zamiast pobudzenia pośród gorączkowych wymiotów i marzeń o śmierci, przejawia się marzeniem o życiu. Tak przynajmniej to widział Deryło. Spragniony kawy wyobrażał sobie chwilę, gdy wreszcie do niej dopadnie. A planowanie to przecież antyteza myśli samobójczych.

Gdy tylko wrócił do gabinetu, od razu doskoczył do dawno nieużywanego czajnika. Zrobił sobie pioruńsko mocną czarną i wypił ją duszkiem. Zaraz po niej zaparzył jeszcze jedną, nieco słabszą, choć również mogącą przyprawić o palpitacje serce nawet słonia. Tak nastrojony był wreszcie gotów do działania.

„Formalnie tak, zakaz wjazdu dla osób nienależących do personelu...”

To jedno zdanie wypowiedziane przez Brzeskiego natchnęło go nadzieją. Rozsiadł się w fotelu, przyciągnął klawiaturę i wystukał kilka haseł. Starał się skupić tylko na otrzymanych wynikach, lecz podświadomość wciąż bombardowała go upiornymi obrazami. Była jak drugi głos tkwiący w głowie. Jak urok, którego nie potrafi odczynić.

Widok zastany w zrujnowanym bunkrze przez całą noc przewijał mu się pod powiekami na przemian ze wspomnieniami znad jeziora. Do tej pory nie mógł się go wyzbyć. Słyszał chrupnięcie głowy odpadającej od korpusu. Czuł wilgotny zapach śmierci. W ustach nadal miał jej mdły posmak. Wszystkie zmysły zostały przesycone i emitowały wspomnienia jak nagrzana blacha oddająca otoczeniu ciepło. To, co do tej pory Iksowi się nie udawało, przyszło całkiem nieoczekiwanie. Deryło poczuł strach.

Kolejne hasła wyszukiwane w internecie przynosiły konkretne odpowiedzi. Kolejne informacje odciągały go od nachalnych wizji.

Wreszcie wyprostował się, wyjął z szuflady długopis i spisał wyświetlone na ekranie numery telefonu i faksu. Ten przeżytek technologii ciągle bywał przydatny. W pewnych,

nadzwyczajnych, okolicznościach służył uwierzytelnianiu danych. To, czego skan traktowano jako falsyfikat, przefaksowane uosabiało powagę oryginału. Jakkolwiek bezzasadnie by to brzmiało.

Mimo wszystko postanowił najpierw zadzwonić. Miał nadzieję, że w ambasadzie Beninu w Berlinie znajdzie kogoś mówiącego po angielsku. Po francusku umiał się tylko przedstawić i zacytować prawdziwą odpowiedź Pierre'a Cambronne'a na wezwanie starej gwardii do złożenia broni. Sentencja o umieraniu, a nie poddawaniu się, była jednym z najbardziej chodliwych wymysłów historii.

Wybrał numer i przytrzymał telefon między ramieniem i uchem. Sieć zaskakująco długo rozpracowywała jego polecenie.

– Merde – powtórzył za generałem, gdy go automatycznie rozłączyło.

Jeszcze raz upewnił się, że spisał właściwe liczby, i zdał sobie sprawę, że pominął kierunkowy. Ponownie wstukał numer. Tym razem po chwili rozległo się kliknięcie, odezwał się sygnał nawiązywanego połączenia, a po kolejnych kilku sekundach usłyszał przyjemny kobiecy głos.

– *Secrétariat de l'ambassade, que puis-je pour vous?*

Okazało się, że francuskojęzyczna sekretarka nie miała problemu z przejściem na angielski. Deryło gimnastykował się, próbując mówić możliwe prosto i zrozumiale. Gramatyka nie miała znaczenia. Tworzone konstrukcje słowne jemu samemu jeżyły włosy na głowie.

Wysiłek się opłacił. Zgodnie z przypuszczeniami poproszono go o przesłanie faksem oficjalnego zapytania na uwierzytelnionych drukach komendy. Procedura, której nie stosował od lat, ale pomagająca ominąć znacznie poważniejsze kanały formalne. Gdyby trafił na oporny personel, musiałby się pewnie zwracać aż do ministerstwa. A od świata polityki, choćby w skali mikro, wolał się trzymać jak najdalej. Lepkie dłonie kleiły się nie tylko do pieniędzy podatników, ale odruchowo również do każdej innej sprawy.

Odświeżając pamięć, zrobił wszystko zgodnie z instrukcjami. Upewnił się, że wstukał do faksu numer kierunkowy, i przesłał żądane dokumenty. Niemal natychmiast otrzymał informację, że jego wiadomość została odebrana. Przynajmniej tyle zrozumiał z krótkiej, napisanej po francusku notki.

Teraz musiał tylko czekać.

Nie spodziewał się, żeby pracownicy ambasady wyrobili się przed południem. Zapytanie pozostawało na tyle nieprecyzyjne, że dodawał im sporo roboty, a adnotacja „pilne” dla Benińczyków mogła być równie niezrozumiała jak odpoczynek dla Japończyków.

Chcąc zabić czas, zabrał się do przeglądania raportów. Od wczorajszego poranka przybyło ich niewiele. Informacja o tym, że wszystkie ślady z bunkra zostały zabezpieczone, ale ich analiza potrwa co najmniej kilka dni, wzmianka o krystalicznej czystości domu Repeckiej, skrócony protokół od Gawińskiego... Tym razem w ciele spalonej kobiety nie natrafiono na żadne wiadomości od zabójcy. Najwidoczniej brutalne morderstwo samo w sobie miało stanowić przekaz.

Deryło zastanowił się nad tym przez chwilę. Czy zbrodnie należało traktować jako pewną formę wyrazu? Sposób kontaktowania się przez współnika Iksa? Przypomniał sobie o tym, co mówił Tracz. Pierwsze ofiary łączyły dawne egzorcyzmy, kolejne stanowiły upodlenie świętych, a śmierć Repeckiej? A zamordowane kobiety z bunkra? Nie otrzymał jeszcze wyników autopsji, lecz przyczyn ich śmierci nawet nie starał się domyślać. Nie chciał ponownie przywoływać makabrycznych obrazów.

Pół godziny po tym, jak wysłał faks, z głośników komputera dobiegło piknięcie. Powiadomienie o otrzymanym mailu. Deryło natychmiast odłożył raporty i przytrzymując się

blatu, przeciągnął fotel ku monitorowi.

Otworzył aplikację poczty i zamarł.

Na górze figurował jeden nieodczytany mail. Nadany niespełna minutę wcześniej i podpisany czterema literami.

X XXX

Zamrugła.

Pustka.

Czerń.

Straciła wzrok? Wyłupił jej oczy?

Gnany strachem oddech przyspieszył jak tłoki rozpędzającej się lokomotywy. Nie, to niemożliwe. Czuła jedynie ból skrępowanych na piersi nadgarstków i pustynną suchość w gardle. Nic więcej.

Zamrugła jeszcze raz. Cienka jasna linia pojawiła się niczym blizna na oku. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to światło wpadające przez szczelinę pod drzwiami.

Widziała. To była najważniejsza wiadomość.

Choć może wcale nie najlepsza.

Pociągnęła metalowym łańcuchem, ale nie pozwalał na zbyt dużą swobodę ruchu. Miał najwyżej półtora metra długości i sięgał ściany. Wyczuła jej zimną krawędź. Nawet gdyby się położyła, nie dałaby rady dosięgnąć do drzwi. Poza tym zamek na pewno był przekreślony. Światło nie wpadało przez dziurkę od klucza.

Daria Lipner podciągnęła nogi, przenosząc na nie ciężar całego ciała. Poruszyła nadgarstkami. Były zdrętwiałe, ale miała pełne czucie w dłoniach.

Spróbowała przełknąć ślinę. Sucha gula utknęła jej w gardle, wywołując ból.

Odchrząknęła.

Starła się zebrać myśli i przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Wspomnienia powoli układały się w całość. Uczucie strachu narastało. Budziła się z okrutnego niebytu i trafiała do jeszcze gorszej rzeczywistości.

Miała nadzieję, że ktoś dostrzeżęł porzucony na parkingu notes. Miała nadzieję, że to nie

był On.

Usłyszała szelest, a jasna blizna pod drzwiami zadrżała. Poruszyła się niczym płomień świecy smagnięty wiatrem.

Lipner w ułamku sekundy przywarła do ściany. W tej samej chwili zasuwa zgrzytnęła i ktoś pchnął drzwi. W progu pojawił się cień. Światło z sąsiedniego pomieszczenia otaczało go jak aureola, sprawiając wrażenie, że jest jedynie czarnym konturem. Nie pozwalało na jakąkolwiek identyfikację.

Cień się poruszył. Lipner bez słowa obserwowała, jak idzie w jej stronę, ale zatrzymał się kilka kroków od wejścia. Próba ataku z zaskoczenia była niemożliwa. Zanim by do niego dopadła, wymierzyłyby jej zapewne solidnego kopniaka.

Albo zrobił coś jeszcze gorszego...

Nie poruszyła się. Przymknęła oczy tak, że wszystko obserwowała przez gęsty szpaler rzęs. Starła się uspokoić oddech, ale wbrew jej wysiłkom tłoki lokomotywy przyspieszały. Miała wrażenie, że świst powietrza i dudnienie krwi niosą się echem. Pulsujący mózg rozsadzał czaszkę od środka.

Zamaskowany popatrzył na jej zwiniętą sylwetkę. Był całkiem zadowolony. Wszyscy zgodzili się, żeby stworzyć maila. Kilka razy czytali go przed wysłaniem i niebezpieczeństwo, że Deryło dowiedział się zbyt wiele, zostało chwilowo zażegnane. Wspólna uzgodniona wersja powinna zrobić miłą niespodziankę pierdołowatemu komisarzowi.

Teraz nadszedł czas na dalsze przyjemności.

– Jak się masz, Daria? – zapytał wesoło. – Wszystko gra?

Lipner rozwarła oczy i zadarła podbródek. W ten sam sposób jak podczas rozmowy z Iksem.

– Miałeś wszystko skończyć, pieprzony kłamco.

– Miałem. Ale się rozmyśliłem.

– Wypuść mnie.

– Wiesz, że tego nie zrobię. Po prostu, kurczę, nawet jakbym bardzo chciał, to nie mogę.

– Niby dlaczego?

– Próbowалаś nas zdradzić.

Postać zbliżyła się, jednocześnie czymś potrząsając.

– Co nieco znalazłem u ciebie w domu, a co nieco chciałaś wyrzucić.

Kartka. Lipner nie potrzebowała światła, by zrozumieć, że to ostatnia kartka wyrwana z jej notesu.

– Zapłacisz za to. – Postać pochyliła się nad nią. – Wreszcie sama zrozumiesz, co znaczy szaleństwo. A droga do niego jest tylko jedna. Doskonale wiesz jaka.

Cień szeptał jej prawie do ucha.

– Wiesz jaka? – powtórzył nieco głośniejsze.

Lipner zacisnęła oczy. Nie chciała go słuchać, nie chciała niczego widzieć, chciała tylko uciec, obudzić się... Pisnęła jak przed laty, gdy Marek opadł na nią po swojej zabawie w akademiku.

– Ból – wycedziła postać. – Tą drogą jest ból.

Pierwsze dwie godziny pracy nie przyniosły praktycznie żadnych rezultatów. Notes Darii Lipner nadal był jedynym istotnym śladem, na który trafili. Jedynym i, co zauważył Brzeski, wybrakowanym. Rozpytani pracownicy nie widzieli ani nie słyszeli niczego podejrzanego. Trop się urywał.

Aspirant zaczekał na szpitalnym parkingu na ekipę kryminalistyczną, zarządził zamknięcie terenu i nakazał ponowne przeszukanie budynku. Na wszelki wypadek, byle uniknąć spektakularnej wpadki. Gdyby przez parę godzin zbierali każdy pyłek z okolicy, a potem okazało się, że Lipner była zamknięta w kiblu, musiałby uciekać. Najlepiej daleko za granicę. A tak, obdarzony plenipotencją komisarza, przystąpił do roboty z pełną werwą.

Kiedy w szpitalu nie był już potrzebny, postanowił wrócić na komisariat. Spodziewał się, że mogły spłynąć nowe informacje. Szczególnie niecierpliwie wyglądał analizy nagrania wideo oraz raportu techników z bunkra. Poza tym w każdej chwili mogły pojawić się nowe ciekawostki. Oby te pozytywne... Zważywszy, że Deryło odbębnił kawał roboty na KUL-u, mogli być dobrej myśli.

Od wczoraj nurtowała go jedna wątpliwość. Ile? Ile osób mógł mieć na koncie seryjny zabójca i jego współtowarzysze? Nawet w Polsce znane były przypadki morderców mających na sumieniu kilkadziesiąt ofiar. Jeden trup na miesiąc po pięciu latach rozmnażał się do sześćdziesięciu nacięć na kolbie, trzonku noża czy tasaka. Jak długo mógł mordować ktoś w wieku Iksa? Trzy dekady? Cztery? Porzucając najczęstszą rolę zabójców – samotnego wilka, a polując w stadzie, wszystko należało pomnożyć przez... x.

Ciekawa myśl. Cztery ikсы? Może właśnie o to chodziło? O czterech sprawców? Odsunął tę myśl jako kolejne, nieznajdujące żadnego potwierdzenia domysły. Powinni się skupić nie na ilości, a na tropie, który go do nich lub niego doprowadzi. I to jak najszybciej.

Gdy zapukał do gabinetu komisarza, odpowiedziała mu cisza.

Zapukał ponownie, a wtedy dobiegło go niewyraźne mruknięcie. Potraktował je jako zachętę do wejścia i nacisnął klawisz.

Deryło siedział przy biurku, wgapiony w ekran komputera. Wyglądał, jakby chciał go polizać. Jego nos niemal dotykał tafli monitora. Wyraz skupienia na twarzy upodabniał go do medytującego mnicha. Poza zygzakującymi źrenicami jego ciało pozostawało w zupełnym bezruchu. Dłoń zastygła na myszce z palcem uniesionym do góry.

Gdy Brzeski podszedł do biurka, komisarz drgnął. Wyprostował się, oddalając od ekranu, i nerwowo przeczesał włosy. Jego nabrzmiałe policzki były zarumienione. Nie wyglądał optymistycznie. Podobną barwę najczęściej przybierał tuż przed wybuchem furii. Jednak tym razem zaczerpnął powietrza i bez słowa skinął w stronę ekranu.

Na stare lata się cywilizował.

– Co się stało? – Brzeski obszedł biurko. – Coś nowego?

– Kurewsko nowego.

– Mail? Z laboratorium?

– Mail, ale nie z laboratorium – cierpko odparł Deryło. – Znowu do nas napisał.

Brzeski nie musiał dopytywać, kim jest tajemniczy on. Choć teraz do jego osobowości miał więcej zastrzeżeń niż kiedykolwiek wcześniej. Tym bardziej że w wariatkowie raczej nie rozdawali osadzonym komputerów z dostępem do internetu. Sorry, ale to nie Norwegia. Sorry, taki mamy klimat.

– Co takiego? – zapytał, omijając zdychającą jukę.

– Sam to przeczytaj.

Stał za plecami Deryły i pochylił się ku monitorowi. Zminimalizowana czcionka była tak drobna, że musiał zmrużyć oczy. Komisarz pewnie kolejny raz przypadkowo zmienił powiększenie. Litery zlewały się w ciągi maleńkich znaków, przypominając szaradę.

Zaczął czytać.

– Przecież to bełkot. – Brzeski gwałtownie się wyprostował. – Rozumie pan coś z tego?
– Poza tym, że autor ma niezłe w czubie, to niewiele – przyznał Deryło. – Ani nie rzuca wyzwania, ani nie straszy, podstawowe kategorie można lekko odwalić. Domyślam się, że nie napisał tego z nudów, ale innego wytłumaczenia nie widzę.

– Może zawarł w tym jakiś ukryty przekaz.

– Czytanie co drugie słowo? Od tyłu? Niczego takiego nie znalazłem.

– Ciekawe, co powie na to Tracz...

– Nie wiesz? – Komisarz obrócił się w fotelu i sparodiował ton profilerka: – Można to rozumieć wielorako. Istnieje wiele płaszczyzn. Autor chce nam przekazać dokładnie to, co chce. Ple, ple...

Brzeski parsknął. Sięgnął po myszkę i jeszcze raz pochylił się nad ekranem. Grzebiąc w ustawieniach, powiększył czcionkę do dających się odczytać rozmiarów. Ponownie zaczął czytać wiadomość.

Dzień dobry Panie Komisarzu!

Zacniemy od górnego C. Tego, które zawsze ma najwięcej do powiedzenia.

W księdze Izajasza napisano:

*„Przygotujcie rzeź dla jego synów
z powodu niegodziwości ich ojca”.*

Niech Pan tylko nie myśli, że traktuję Biblię obrazoburczo. Po prostu ta księga ludzkości

to doskonale źródło cytatów, a ten zawsze mi się podobał. Gdybym był księdzem, czy moja trzódka byłaby moimi synami? A co, gdyby posługiwały tam same kobiety? Zawsze tylko synowie, synowcowie i synalki.

Choć to nieważne. Przejdźmy do meritum.

Myśli pan, że kraty stanowią jakąkolwiek barierę? Grube ściany? Korpus pielęgniarzy i skórzane rzemienie? To wszystko tylko materialne ramy, które nie mogą mi w niczym przeszkodzić. One są tylko tu. A ja jestem tu i tam, panie komisarzu.

Tu i tam.

Myślę, iż nadal Pan nie rozumie (proszę tego nie postrzegać jako przytyk, a raczej zarzut przeciw mojej własnej przyjemności komplikowania). Gdy zetknęliśmy się po raz pierwszy, bardzo zależało mi na Strachu. Na upodleniu i wywróceniu wszystkiego do góry nogami. Nawiedzeniu tego, co miało być zbawione. Dostrzeżeniu Szatana na miejscu Boga. Wszystko świadczyło, iż mi się udało. Cierpienie, ból, to było najważniejsze.

Potem poznaliśmy się po raz kolejny. Znacznie bliżej. Znacznie lepiej. To było wręcz intymne, ekscytujące spotkanie. Cierpłem na myśl o tym, że to niemal braterska miłość. Bo nie ma nic piękniejszego od miłości, prawda? Wszyscy bezbrzeżnie chcemy kochać.

Proszę się tylko na mnie nie złościć za tę wiadomość. Po prostu chciałem pana ostrzec, że jestem tuż obok. Bo wszyscy przecież jesteśmy jak rodzina. Od samego początku. I nic tego nie zmieni. Nawet podrzutek i dwa bliźniacze domy.

Do tego wszystkiego wrócimy i wracać będziemy zawsze. Czas jest jak pętla i przez to życie również jest podobne do pętli.

Wcale nie mam tu na myśli tego zwoju lin, który zaraz zaciśnie się na pewnej delikatnej szyi.

Zna Pan odgłos pękającego kręgosłupa? Dla mnie zawsze przypominał dźwięk łamanego patyka. Proszę sobie wyobrazić, Panie komisarzu, spacer po lesie, gdy z każdym krokiem ma Pan wrażenie, że stąpa, przetrącając kręgosłupy. Jeden za drugim. Chrup, chrup. Trzask, trzask.

Ale by stać się tym, kim się jest, potrzeba samotności. Uduchowienia. Przybranie nowych szat zawsze czyni lepszym. Przepoczwarczenie czasem zajmuje lata, a czasem ledwie dwa dni, bo na więcej nie starcza czasu.

Ja przepoczwarczę się wkrótce ponownie. A Pan, panie komisarzu?

X XXX

Brzeski ostatnie linijki przeczytał po kilka razy. Nadal nie naszło go żadne olśnienie. Komisarz również wytrzeszczał oczy, jakby rozszyfrowywał tekst w języku urdu. I to napisany przez urduńskiego dyslektyka.

– Musimy to przekazać informatykom – mruknął aspirant.

– Musimy – zgodził się Deryło. – Ale obaj wiemy, że będzie jak ostatnim razem. Rosyjskie łącza, radzieckie serwery, radzieckie metody. Jednym słowem, gówno. Zamiast maczać ręce w szambie, powinniśmy skupić się na tekście.

– Niech się nim zajmą szyfrolodzy...

– Nic nie znajdą. Przy pierwszych listach Iks dawał nam wskazówki, które można było zrozumieć, mając komplet danych.

– Iks. A Iks jest w czubkowie.

– Do napisania listu nie trzeba współnika. – Deryło westchnął. Miał wrażenie, że tępy

aforyzm jest w tym przypadku zaskakująco trafny. Choć nie mógł jeszcze wyczuć dlaczego. –
Ściągnij tu Tracza – zdecydował. – Może dzisiaj wykaże się swoimi sztuczkami.

W tym momencie odezwał się sygnał faksu.

Drukarka wypluwała kolejne kartki, jakby sama brzydziła się ich treścią. Deryło stał obok, coraz bardziej zdeprimowany rosnącym stosikiem. Na każdej stronie znajdowało się kilkanaście pozycji i choć niektóre powtarzały się po kilka razy, plik pozbawił go złudzeń. Magiczna metoda mająca pozwolić namierzyć sprawcę okazała się klapą. Równie dobrze mógłby drukować książkę telefoniczną, a później stać nad nią i wahadełkiem wyszukiwać podejrzanych.

– Zdradzi mi pan, co to za tajne tabele?

Brzeski siedział na krześle w kącie gabinetu i czekał na przybycie profilerów. Wszyscy trzej mieli pochylić się nad treścią maila, zanim w głowach namieszają im teorie analityków. Jednak odkąd nadszedł faks, Deryło jeszcze mocniej zamknął się w swoim świecie. Wiadomość od Iksa oderwała go od rzeczywistości tylko na chwilę, a teraz zachowywał się tak, jakby ponownie dostał coś w głowę. Lekko pochylony nad drukarką gładził kolejne wyrzucane przez maszynę kartki. Z każdą kolejną coraz głośniejsze mlaskały.

– Zwróciłem się do ambasady Beninu w Berlinie – mruknął, nie odrywając wzroku od wydruków – bo sędzę, że nie wiesz, ale nie mają swojej ambasady w Polsce.

– Po co?

Drukarka wreszcie zamilkła i Deryło wydał z siebie żalosne sapnięcie. Poślinił opuszki palców, po czym pospiesznie przeliczył kartki.

Jedenaście.

Jedenaście razy kilkanaście daje ponad sto.

– Wizy – wyjaśnił ponurym tonem. – Liczyłem na to, że niewielu Polaków ubiegało się o nie w ostatnim czasie.

– Wtedy, gdy Dycz oficjalnie zrezygnował ze swojej misji?

– Mniej więcej. Skoro nasz zabójca go sprzątnął, musiał być tam w tym samym czasie.

Ograniczyłem zapytanie do miesiąca, choć to może być optymistyczne założenie. Jeżeli zrobił tam sobie dłuższe wakacje...

Wywód komisarza przerwało pukanie. Do gabinetu sprężystym krokiem wszedł Miłosz Tracz. Jak zwykle miał na sobie znoszone džinsy i džinsową koszulę. Pod pachą trzymał zrolowaną kurtkę puchową.

– Grobowe miny? – zapytał, wyciągając rękę do policjantów. – To materiały dla mnie?

Brzeski wymienił z nim uścisk i pokrótce wyjaśnił pomysł komisarza.

– Sto kilkadziesiąt osób do sprawdzenia – zakończył cierpko, po czym jeszcze dorzucił: – Być może całkowicie w ciemno.

– Współczuję. – Tracz wzruszył ramionami. Jak zawsze interesowała go tylko własna robota. – Rozumiem, że nie jestem potrzebny do analizowania suchego wyciągu? Raczej mało w nim psychologii.

Deryło bez słowa podał mu kartkę z wydrukowanym mailem. Profiler przyjrzał się jej, obrócił w dłoni i podszedł do okna. Przez kolejne kilka minut uważnie czytał. Wreszcie wyjął z kieszeni tandetny długopis i poruszając biodrami w rytmie niemej melodii, zaczął zakreślać poszczególne fragmenty.

Policjanci, nie zważając na wygibasy Tracza, zajęli się przeglądaniem wydruków otrzymanych z berlińskiej ambasady. Żadne nazwisko nie przewinęło się wcześniej w toku śledztwa. Żadne nie łączyło się z kimkolwiek, z kim mieli kontakt podczas rozgryzania Cztery Iksa. Koncepcja była dobra, ale mogła ich wepchnąć w ślepy zaułek.

Deryło wreszcie odłożył kartki i przytknął dłoń do boku. Rana od kilku godzin intensywnie go swędziała. Miał ochotę włożyć palec pod opatrunek i wyrwać szwy. Podrapał się po koszuli. Ulga była chwilowa, a swędzenie zaraz się wzmoгло. W chwili gdy delikatnie poruszył bandażem, Tracz odwrócił się od okna. Kartka, którą ścisnął w dłoni, pełna była zaznaczeń, podkreśleń i adnotacji.

– Mam wrażenie, jakby ten list pisały różne osoby – odezwał się, znacząco wymachując palcem przy skroni. – Sądzę, że właśnie do tego odnosi się fragment o przepoczwarzaniu. Zmiana jednej formy w inną, zupełnie jak wymienianie się własnymi alter ego. Podobny proces można zobaczyć w zachowaniu naszego osadzonego.

Profiler zrobił krok w stronę biurka i zastukał długopisem w papier, upewniając się, że skupił na sobie wystarczającą uwagę.

– Na przykład „Gdyby posługiwały tam same kobiety” – zacytował. – To wskazuje bardziej na sferę seksualności niż na religijność. Proszę zwrócić uwagę na sposób pisania. W dwóch akapitach nadawca posługuje się formą „iż”, a we wszystkich pozostałych „że”. Nie stosuje ich zamiennie. Fragment o Biblii świadczy o jej znajomości, wyraża się też o niej z szacunkiem. Parę linijek niżej już drwi, pisząc o szatanie w miejscu Boga. Zaraz znów odcina się od dywagacji religijnych i skupia na bólu i cierpieniu, co jest sednem kolejnego przekazu... – Tracz zawiesił na chwilę głos i spojrzał na policjantów. Widząc, że słuchają go z uwagą, podjął swój wywód: – Mamy też akapit o miłości. Podobne zachowania dosłownie skalkowano z wypowiedzi alter ego, które dostrzegłem podczas rozmowy z Iksem. Pisząc o zapętleniu życia, autor daje nam wskazówkę do cyklu świadomości naprzemiennie dochodzących u niego do głosu... Jedna za drugą, bez końca. Przynajmniej tyle mogę powiedzieć na szybko.

Profiler zamilkł. Deryło podszedł do laptopa i poruszył myszką, rozjaśniając ekran. Po raz enty zerknął na treść maila.

– A te kręgosłupy? – parsknął. – Braterska miłość? O co, do cholery, w ogóle chodzi?

– Sądzę, że podtekstowo odnosi się do kręgosłupa moralnego. To taka gra. Epatuje tym, że depcze wszelkie normy etyczne i robi to na każdym kroku, choć odczuwa ich reperkusje.

Odgłosy łamania najwyraźniej nie są mu takie obojętne.

– A motyw? – dopytał Brzeski.

Tracz opuścił kartkę i odwrócił się w jego stronę. Wierzchem lewej dłoni potarł brodę.

– Daje pole do popisu swoim osobowościom – mruknął. – Każdej z nich pozwala wreszcie działać, wkładając w rękę przysłowiowe pióro. Każde alter ego Iksa napisało kilka słów od siebie...

– Siedząc w wariatkowie? Stworzył maila siłą umysłu?

– Tego nie powiedziałem...

– Więc skąd to wszystko wiedział? – Deryło machnął dłonią, jakby odsłaniał przed publicznością wielkie odkrycie. – Mamy brata bliźniaka? Klona? Pieprzonego jasnowidza?

Tracz cofnął się do okna. Oparł się o parapet i jeszcze raz zerknął na kartkę. Przybrał wyraz twarzy lekarza mającego do przekazania najgorsze wiadomości.

– Tendencje do posiadania osobowości wielorakiej są dziedziczne – powiedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Skoro nasz Iks siedzi w izolatce, najbardziej prawdopodobną opcją jest, że szukamy jego krewniaka. I to bardzo bliskiego.

Brzeski pokręcił głową i głośno wypuścił powietrze. W tej samej chwili Deryło ciężko opadł na fotel.

– Rodzina pojebów? – zakpił. – Naprawdę?

– Być może właśnie to sugerował, pisząc o synowcach i synalkach.

– Zróbmy mu testy DNA. A potem damy do prasy ogłoszenie „szukam dziecka”.

Banalne.

– Zaraz... zaraz... – Tracz podniósł wzrok i zerknął na komisarza. – Wspomniał pan, że uzyskał wykaz osób, które otrzymały wizy Beninu?

– Tak. Ale nawet w to nie brnij, bo...

Tracz nie tracił entuzjazmu. Ponownie zerknął na wydruk i coś podkreślił.

– Na jak długo otrzymuje się taką wizę?

– Zależy od kategorii... Od dwóch dni do miesiąca.

Profilier uśmiechnął się.

– Mam wrażenie, że nadawca albo nie wie o tym, że pan dysponuje tymi danymi, albo wie doskonale. I mimo to znacznie zawęży krąg podejrzewanych.

Gdy dobre wiadomości są rzadkie jak włosy niemowlaka, byle iskra nadziei potrafi uskrzydlić. Po przefiltrowaniu listy wizowej zgodnie z koncepcją Tracza pozostało tylko kilka nazwisk.

Przepoczwarczenie czasem zajmuje lata, a czasem ledwie dwa dni, bo na więcej nie starcza czasu.

Trzydzieści jeden osób ubiegało się i otrzymało najkrótszą, dwudniową wizę. Osiem z nich podróżowało w pojedynkę.

By stać się tym, kim się jest, potrzeba samotności.

Nikt z figurujących na liście nie był w wieku podobnym do Dycza. Czyniło to bardziej prawdopodobną teorię o tym, że mieli do czynienia z psychopatyczną rodziną. Księdza zamordował ktoś, kto był jego współnikiem. I ktoś, kto podawał się teraz za Cztery Iksa. Syn? Wnuk?

Zweryfikowanie ośmiu osób pozostałych na liście powinno zająć niewiele czasu. Noc wydawała się wystarczająca. Tym bardziej że posterunkowa Nowak zabrała się do pracy ze swoją nordycką skwapliwością. Krajowy Rejestr Karny, dane meldunkowe, osobowe, te informacje mogła zdobyć w ciągu kilku godzin. Przebrnie przez nie jak przez listy jeńców wojennych. Następnie przyjdzie czas na telefoniczne rozpytanie dzielnicowych, ewentualnie w dalszej kolejności pozyskanie informacji z zakładów pracy i zebranie opinii środowiskowych. Do pomocy dostała znacznie mniej skwapliwego Wiertla, a jeśli będzie trzeba, miała obiecane dodatkowe wsparcie.

Pozostało tylko czekać, aż na coś trafią.

Deryło zadzwonił jeszcze do Gawińskiego, ale patolog nadal podchodził do niego jak pies do jeża. Oznajmił, że wszystkie raporty przekaże w ciągu dwudziestu czterech godzin, i się

rozłączył. Laboratorium również miało ponure wieści. Materiał zabezpieczony w bunkrze w przeważającej mierze był tak zanieczyszczony, że przypominał dowodowe śmietnisko. Ślady biologiczne zostały zniszczone, a czas i temperatura odcisnęły na każdym z nich swoje piętno. Wszystko wskazywało na to, że w leśnym domu horroru nikt nie pojawiał się od wielu tygodni. Deryło zrozumiał, co miał na myśli Gawiński, rzucając na pożegnanie, że zabiera się do swojej krypty.

Kiedy wrócił do domu, dochodziła dwudziesta. Z ulgą odnotował pod blokiem nieoznakowany radiowóz i tajniaka płaczącego się po korytarzu. Zgodnie z jego prośbą całodobową ochronę powierzono funkcjonariuszom o stażu dłuższym niż ostatnia zima. O dziwo był spokojny. Podświadomie wyczuwał, że rozgrywka Iksa lub Iksów skupiła się teraz na czymś innym. Nie na jego rodzinie, nawet nie na nim. Ten etap minął, teraz do głosu dochodziły inne namiętności.

Walczyli sami ze sobą?

Ta myśl zaprzątnęła mu cały wieczór. Mimo utyskiwań Ewy zjadł kolację w milczeniu, potem zamienił kilka słów z córką i na powrót pograżył się w swoim świecie. W drodze powrotnej kupił bloczek papieru do origami, więc kolejne żurawie powstawały niemal maszynowo. Powstawały i zaraz zmięte trafiały do kosza. Jeden po drugim.

Zdał sobie sprawę, że przez cały czas wyczekuje dzwonka telefonu. Nie komórki, a domowego aparatu, na który dzwoniła już tylko jedna osoba. Spodziewał się, że klasyczne brzęczenie będzie tym razem brzmiało jak wrzask kruka. Stukot nadchodzącej kostuchy.

Walczyli sami ze sobą?

Ponoć Beethoven przed przystąpieniem do tworzenia kolejnych kompozycji rytualnie wkładał głowę do lodowatej wody. Utrzymywał, że pozwala mu to zrobić miejsce na kolejne pomysły. Może powinien postąpić dokładnie tak samo? Wpakować łeb do balii z wodą albo lepiej wprost do zamrażalnika? Czasem dobrze jest spróbować wszystkiego...

Walczyli sami ze sobą?

Powracające pytanie nieprzyjemnie łaskotało mu kark. Odpędzało myśl o śnie i nerwowo przyspieszało puls. Wiedział, że musi coś zrobić. Że kilka takich nocy i sam zwariuje. Wspomnienie odrywającej się głowy przeleciało mu przed oczami. A raczej się przetoczyło.

Karuzela myśli nabierała tempa.

Po kolejnym kwadransie zmusił się do uśmiechu i wyszedł z gabinetu. Ewa z Wiktorią oglądały w salonie film. Usiadł pomiędzy nimi i objął je szerokimi ramionami. Na chwilę myśli się uspokoiły. Puls zwolnił. Poczul wreszcie upragnioną senność.

Nawet nie odnotował, kiedy oczy zaczęły mu się kleić. Po raz pierwszy od wielu dni jego mięśnie się rozluźniły, a kalejdoskop nękających obrazów wyhamował.

Obudził go dzwonek telefonu. Tony *Komm, süßer Tod* okazały się złowieszczo prorocze.

Kiedy zaspanym głosem odebrał, posterunkowa Nowak wypowiedziała tylko trzy słowa.

– Chyba go namierzylismy.

– Daria, Daria, Daria...

Cień zasyczał prosto w ucho Lipner. Jego język zadrżał jak u żmii, ale nie dotknął jej ciała. Potwór gwałtownie się wyprostował i obszedł ją dokoła. Wreszcie znów kucnął. Chwyił kobietę za skrępowane dłonie i pogładził je kciukami. Delikatnie i zmysłowo, nasilając ruchy na wrażliwym punkcie pomiędzy kłykciami.

Nagle z całej siły zacisnął palce. Lipner jęknęła i szarpnęła się, lecz Cień był silniejszy. Przytrzymał jej dłonie w żelaznym uścisku.

– Wiergasz? To dobrze. Bardzo dobrze.

Kobieta nie odpowiedziała. Z zaciśniętymi ustami przesunęła się, szorując plecami o ścianę. Była zmuszona do trzymania rąk wyciągniętych przed siebie. Śliski dotyk Cienia brzydził ją. Czowała zapach jego perfum zmieszanych z kwaśnym potem.

Cień przysunął się bliżej. Puścił jej dłonie i złapał przez bluzkę za pierś. Roześmiał się, gdy bezradnie chciała go odtrącić.

Zrobił kolejny krok.

Nagle opadł na kolana i chwycił za jej nadgarstki. Przez moment światło padające z drugiego pomieszczenia oświetlało jego twarz. Nie założył maski. Wiedziała, że jej nie potrzebuje, i zrobi z nią wszystko, o czym zamarzy. Wiedziała, że jej nie uwolni.

– Nie rób niczego, czego będziesz żałować – wyszeptwała przerażona. – Jeszcze wszystko możesz naprawić.

– Naprawić?

Cień zastygł w pół ruchu. Opierał się na niej, przytykając nadgarstki do ściany. Jego pierś dotykała jej piersi. Twarz była niewiele wyżej. Opuścił głowę.

– Nie sądzę, żebym mógł cokolwiek naprawić – parsknął. – Nie sądzę, żebym w ogóle

chciał cokolwiek naprawiać.

– Może nie teraz. Ale wiesz, że będziesz żałować.

Terapeutyczne strzały były kierowane w próżnię. Lipner doskonale wiedziała, że osobowość Cienia pochłania je jak czarna dziura. Zasysa zupełnie niewrażliwa na próby wzruszenia. Była przeciwieństwem tego, co dostrzegła u Cztery Iksa.

– Ja nigdy nie żałuję.

Cień wypuścił ustami powietrze prosto w jej twarz. Razem z jego wilgotnym ciepłem poczuła drobne kropelki śliny. Nagle poderwał się i czołem wymierzył cios prosto w jej podbródek.

Zabrzęczały zęby.

Lipner poczuła, że z rozciętej skóry sączy się krew. Lepki strumyk popłynął ku szyi. Była zamroczona, ale językiem przesunęła wzdłuż linii dziąseł. Poza słodkim posmakiem nie natrafiła na fragmenty zębów. Końcówka podbródka paliła. Zapewne puchła w przerażającym tempie.

– To za to, że spróbowałaś.

Rozumiała. Właściwie była naiwna, przez ułamek sekundy mając nadzieję, że Cień da się wykpić. Poniosła karę. Jednocześnie jej analityczny umysł alarmował, że osobowość brutalna nie koreluje z osobowością popędliwą. Chęć gwałtu zastępowała chęcią wyżycia się.

Chyba że obie najdą na siebie...

Zacisnęła w pięści uwolnione dłonie, ale Cień podniósł się i otrzepał kolana. Kopnął metalową miskę, która służyła jej za nocnik. Mocz rozbryztał się, ochlapując jej udo.

Lipner nie zwróciła na to uwagi. Przywarła do ściany, jakby mogła przez nią przeniknąć. Jej dłonie bezwiednie otarły się o szorstkie krawędzie w poszukiwaniu najmniejszej szczeliny. Dopiero po chwili mózg wysłał informację o bezcelowości tych prób.

Cień włożył ręce do kieszeni i ruszył do wyjścia.

– Jesteśmy. Tacy. Sami – powiedział dobitnie, stanąwszy w progu. Lubował się momentem, gdy jego sylwetkę z tyłu oświetlały lampy. – Tacy. Sami.

– Nieprawda – wycedziła Lipner.

– Różnią nas tylko drobne detale.

– Nieprawda!

– Już kiedyś to przerabialiśmy, pamiętasz?

– Sukinsyn...

– Wtedy się wszystko zaczęło... Pamiętasz?

6 STYCZNIA

54

– Gdzie byłeś?

– Wyszedłem pobiegać. I tak nie mogłem spać.

– Pobiegać? W dzinsach?

– Były na wierzchu, a nie chciałem cię budzić tłuczeniem się po szafkach.

Alicja Brzeska odgięła do tyłu głowę i się przeciągnęła. Kołdra zsunęła się jej na kolana, a koszula nocna opięła się na wypukłości piersi.

– Która godzina?

– Niedługo będzie siódma. Zrobić ci śniadanie?

– Jeszcze nie.

– Na pewno?

Brzeski obszedł łóżko i zdjął sweter. Złożył go na pół. Nagle rozmyślił się, trzepnął nim i zwinął w kłębek.

– Przeпоcony – mruknął, idąc w stronę przedpokoju. – Nadaje się tylko do prania.

– Andrzej...

– Tak?

– Spałam jak zabita... Nawet nie słyszałam, kiedy się zbierałeś.

– Staralem się być cicho. – Brzeski zatrzymał się w progu. – Ale owszem, spałaś jak zabita. Nawet chrapałaś i pojękiwałaś coś przez sen. Przyznaj się, z kim romansowałaś...

– Przestań.

– No, kochana, który amant cię podrywał?

– Mówię, przestań. I nie pakuj mi na Boga tego swetra do pralki. Włóż go do brudownika.

– Może od razu nastawię pranie. Ma spaść mocno poniżej zera, więc dobrze, gdyby wysechł.

Alicja usiadła na łóżku i uważnie popatrzyła na męża. Odgarnęła z czoła kosmyk rozwichrzonych włosów.

– Nie biegałeś. Prawda? – Odszukała stopą kapcie i je wsunęła. – Gdzie byłeś?

– Poszedłem się przejść. – Brzeski wzruszył ramionami. Odwrócił się i ruszył w stronę łazienki. – Miałem pobiegać, ale uznałem, że wystarczy mi spacer. Chyba brak snu podsunął mi zbyt dużo energii. – Poza tym coś mi mówi, że dziś nabiegam się w robocie...

Słyszała, jak wchodzi do łazienki i otwiera bęben pralki. Po chwili zaszumiała woda. Kilka sekund później jej mąż ponownie pojawił się w sypialni. Podeszedł do szafki nocnej i sięgnął po zegarek. Alicja złapała go za rękę.

– Masz kochankę? – syknęła. – Czy gdzieś ty był?

Brzeski wyrwał się z jej uścisku i zrobił krok do tyłu.

– Jezu, czyś ty zdurniała?! – sapnęła z irytacją. – Naprawdę nie masz już...

– Gdzie byłeś?

– Już ci odpowiedziałem.

– Nagle zachciało ci się spacerków nad ranem? Uznałeś, że dobrze się przejść po pieprzonym osiedlu?

Wiedział, że musi zmienić temat. Jeżeli będą rozmawiać w ten sposób, zaraz wybuchnie karczemna awantura. Pewne jak śmierć i podatki. A karczemne awantury nie prowadzą do niczego dobrego. Ten dzień wolał rozpocząć cicho.

– Chciałem pomyśleć...

– Niby nad czym?

– Leonard brzmi dobrze – wypalił i ponownie wyciągnął dłoń po zegarek. Tym razem Alicja mu nie przeszkodziła.

– Słucham?

– Powiedziałem, że Leonard brzmi dobrze. Ciągłe się o to dopytywałaś i wydaje mi się, że moglibyśmy tak nazwać syna.

– Jesteś tego pewny?

– Oczywiście. Skoro tobie też się podoba...

Podobało się. Choć Alicja miała też pewne wątpliwości.

Siedząc na tyle radiowozu, Deryło przeglądał plik dokumentów. Do teczki od zewnątrz przytwierdzono spinaczem kolorowe zdjęcie. Przedstawiało kanciastą twarz trzydziestokilkuletniego mężczyzny. Miał mocne, niemal kobiece kości policzkowe, wystający podbródek i szerokie czoło. Nie był w żaden sposób przystojny, lecz jego urodę można by nazwać interesującą. Para błękitnych oczu spoglądała prosto w obiektyw. Przedzielala je rumieniaca się blizna, spływająca zza linii włosów ku nosowi. Uszy były kształtne, a żyły na skroniach obrzmiałe. Pełne usta rozchylał kpiący uśmieszek.

Na okładce czarnym markerem napisano dwa słowa.

Dariusz Duber.

– Chłopak wychował się w bidulu, nikt się nim nie zainteresował – wyjaśniła Nowak. – Typowy wyrzutek.

Posterunkowa siedziała z przodu, obok Brzeskiego, który w pełnym skupieniu obserwował drogę. Posypana solą nawierzchnia nie zapewniała zadowalającej przyczepności.

– Rodzice nieznani – Nowak z żelazną dyscypliną kontynuowała relację. – W wieku osiemnastu lat skończył lubelskiego mechanika. Potem historia się urywa. Mamy tylko akta karne. Rozbój, włamanie, dwie próby gwałtu. Wszystko w ciągu dwóch lat. Kolejnym dokumentem, na którym się pojawia, jest wniosek wizowy, rozpatrzony na miesiąc przed tym, jak Dycz pożegnał się ze swoją misją.

– Wiemy, kiedy pojawił się w Beninie?

– Nie. Staralam się to ustalić, ale tych danych nie mają w elektronicznych rejestrach.

– Ładny zbieg okoliczności.

– Prawda? Aż zbyt ładny.

– I mamy przyjąć, że Iks cudownie odnalazł syna po latach?

Posterunkowa, nie odwracając się, wzruszyła ramionami.

– Ich relacje chyba są nam na razie niepotrzebne.

– Nie wierzę w ckliwe historie.

– To nie jest ckliwa historia, panie komisarzu. W jego życiu naprawdę nie widać niczego ckliwego.

Przytyk otrzymany od podwładnej rozsierdził Deryłę. Już miał coś odpowiedzieć, gdy jego uwagę zwrócił jeden z dokumentów. Przeczytał go uważnie, zatrzymując wzrok na ostatniej linijce.

– W podaniu wizowym jako powód wjazdu wskazał polowanie – odczytał. – Niezłe poczucie humoru...

– Biorąc pod uwagę, że w więzieniu nie deklarował się jako wegetarianin, brzmi jeszcze lepiej.

Deryło odłożył teczkę. Najwidoczniej nie istniały dokumenty, których nie zgłębiłaby posterunkowa Nowak.

– Jeżeli pośród tych ludzi jest nasz zabójca, to musi być on – powiedziała z naciskiem. – Wszyscy pozostali to albo podstarzali tatuśkowie, albo *carte blanche* policji. No i żaden nie mieszka choćby w okolicach Lublina, a nawet w naszym województwie.

Kilka minut później Brzeski zatrzymał auto na tylnym podjeździe domu wielorodzinnego. Posterunkowa miała zostać w środku i obstawiać plecy, a on razem z komisarzem bezzwłocznie skierowali się ku frontowi. Okoliczności wymagały, aby sami stanowili brygadę uderzeniową. Podejrzenie było formalnie tak słabe, że po raz kolejny Deryło nie mógł angażować większych sił. Limit pomyłek już dawno został wyczerpany. Knap nie powinien się o niczym dowiedzieć.

Nowak odwaliła kawał dobrej roboty. Dariusz Duber nie figurował w żadnym formularzu meldunkowym, a ostatnie miejsce zamieszkania wskazywało na wyburzoną przed dekadą kamienicę. Jakimś cudem posterunkowa dotarła do zgłoszenia, które przykładny obywatel przedłożył skarbówce. Wskazano w nim, że za kwotę tysiąca złotych miesięcznie wynajmuje Duberowi kawalerkę we własnym domu.

Wzorowa postawa okazała się zbawienna nie tylko dla budżetu.

Architektoniczny potworek rodem z lat sześćdziesiątych, przebudowany z zamysłem godnym projektanta nagrobków, mieścił dwa mieszkania. Kawalerka musiała znajdować się na poddaszu. Deryło podszedł do domofonu i nagle naszły go wątpliwości. Biorąc pod uwagę, że kilka metrów nad nim mógł ukrywać się najbardziej poszukiwany człowiek w kraju, czy nie powinien zaryzykować ochrzaniu i zapewnić sobie wsparcia SPA? Ochrona antyterrorystów była warta wylanych pomyj. Szukając bunkra, nie pomylił się, a teraz...

Z zamyślenia wyrwał go odgłos zasuwki przesuwanej się w drzwiach. W jednej chwili sięgnął do kabury, ale w tym samym momencie stanął przed nim mężczyzna, który w żadnym stopniu nie przypominał Dubera. Zamiast o mordercze skłonności, można go było tylko posądzać o słabość do nagrobnych trendów architektonicznych. Był przygiętym do ziemi staruszkciem wspartym na bambusowej lasce. Nosił czarny, lśniący plamami sweter i również czarne i lśniące jeszcze większymi plamami dresy. Razem z nim z korytarza doleciał zapach mijającego czasu.

– Słucham panów? – zachrypiał.

Kiedy przyszli, musiał się płatać przy oknie. Albo, co było najbardziej prawdopodobne, spędzał w nim cały dzień.

– Policja. – Deryło wyciągnął legitymację i przedstawił siebie oraz Brzeskiego. – Czy pan jest...

– Właścicielem tego domu. O co chodzi?

– Chcieliśmy porozmawiać z panem Duberem.

– Nie ma go.

– Teraz?

– Teraz też. – Staruszek wygiął cienkie usta w przepaszającym uśmiechu. – Zapłacił z góry za cały kwartał, ale nie widziałem go już od jakiegoś czasu. Może pojawia się nocami, jak z żoną śpimy. Coś się stało?

Deryło wymienił z Brzeskim porozumiewawcze spojrzenie.

– Musimy obejrzeć jego mieszkanie.

– Macie panowie nakaz? Cokolwiek?

– Podejrzenie popełnienia przestępstwa. – Komisarz wymownie sapnął. – Nakaz możemy zdobyć w ciągu kilku godzin, ale nie chcemy bez potrzeby dorzucać pana nazwiska do i tak za grubych akt.

Przykładny obywatel nie zamierzał protestować. Być może wiedział, że musi wpuścić policję, a być może na tym polegała jego filozofia życiowa. Posłusznie poczłapał w głąb mieszkania po klucze.

Staruszek zatrzymał się w połowie piętra. Był zadyszany, a laska drżała mu w dłoni jak młot udarowy. W wolnej dłoni gniótł grubą chusteczkę, którą co rusz przykładał do czoła.

– Powiecie mi, panowie... – sapnął, nabierając tchu – o co chodzi?

Deryło miał ochotę wziąć od niego klucze i kazać zostać na dole. W tym tempie droga przez dwa poziomy zajmie im wieki, a przy okazji ryzykowali życie staruszka. Dla niego był to taki wysiłek, jakby zdobywał himalajski szczyt. I to bez aparatu tlenowego.

– Wcześniej też znikał na dłuższe okresy? – zapytał, opierając się o drewnianą barierkę.

– Słucham?

– Pytam, czy zdarzało mu się znikać na dłuższy czas.

Najwyraźniej słuch staruszka również nie domagał. Deryło zastanowił się, w jakim stanie była jego żona, skoro nawet nie wyściubiła nosa. Zrobiło mu się ich żal. Starość jest zawsze okrutna, ale przynajmniej mieli siebie.

– Wynajmowałem mu lokum... od tamtych wakacji. – Właściciel, sapiąc, pokonał kilka kolejnych stopni. – Wszystko zgłosiłem do właściwych urzędów... ja naprawdę nie chcę mieć problemów. Tylko tego mi na sta... rość brakuje. Człowiek chce do węgla dorobić, wy... najmuje klitkę, a tu same kłopoty.

Brzeski zrobił krok za nim, jakby się bał, że mężczyzna się nagle zachwieje i polecą do tyłu. Deryło ruszył na końcu, zamykając posępny pochód. Z szacunku dla wieku nawet nie westchnął. Potulnie, krok za krokiem, wspinał się po schodach. Włożył dłonie do kieszeni, szukając monety. Znalazł ją w lewej, kilkakrotnie obrócił i zostawił.

Byli na pierwszym piętrze. Zostało im jeszcze około dwudziestu stopni.

Staruszek ponownie przystanął i wsparł się na lasce.

– Nie będę... miał kłopotów? – zapytał, łapczywie chwytając powietrze. Nim zdążyli

odpowiedzieć, rozkaszłał się, zasłaniając usta chusteczką. Kiedy kaszel ustał, szukając ratunku, spojrział na Brzeskiego. – Żona by mnie zabiła. Mówiła... że wynajmowanie to fanaberia. Że mi na stare lata odbiło.

– Niech się pan nie martwi – odparł aspirant. – Wszystko zrobił pan jak najlepiej.

– Mówi pan?

– Tak. Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości.

Deryło ominął ich i wymownie ruszył po schodach.

– Chodźmy – mruknął. – Porozmawiamy na górze.

Brzeski z rozbawieniem pokręcił głową. Podstawił rękę staruszkowi, ale ten zlekceważył gest pomocy. Pokrzepiony myślą, że nic mu nie grozi, nagle nabrał energii. Pokonywał stopnie szybciej i sprawniej niż dotąd, a zadyszka cudownie ustąpiła.

Wkrótce znaleźli się przy sosnowych drzwiach z pojedynczym zamkiem. Właściciel domu wyciągnął pęk kluczy i zaczął je przekładać. Jeden po drugim, trzymając drżącą dłoń opartą na lasce. Przy siódmym lub ósmym Deryło nie wytrzymał. Podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Mogę?

Nie chcąc urazić staruszkę, delikatnie wziął komplet z jego dłoni. Odgarnął klucze, które nie pasowały już na pierwszy rzut oka, i przytrzymał trzy pozostałe. Drugi z nich okazał się tym właściwym.

– *Voilà*. – Komisarz nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Otworzyły się, cicho skrzypiąc. – Musimy prosić, aby został pan tutaj – zwrócił się wprost do właściciela domu. – Lepiej, jeżeli pójdziemy tam sami.

Staruszek posłusznie skinął głową. Policjanci zostawili go na korytarzu i weszli do środka. Znaleźli się w ciasnym przedpokoju, w którym jedynym meblem była rozpadająca się szafka na buty. Deryło uchylił ją przez rękaw płaszcza i zobaczył dwie pary skórzanych męskich pantofli. Wyprostował się, po czym przeszedł do sporego pokoju. Znajdowało się w nim kilka regałów, stół, mebel przypominający obrąbaną meblościankę oraz wersalka w standardzie przytułków dla bezdomnych.

Brzeski głęboko wciągnął powietrze.

– Niezły zaduch – powiedział, zakładając ochronne rękawiczki.

– Lepsze to niż smród trupa. – Deryło rozejrzał się wokół i również wyciągnął lateksowe rękawiczki. – No, do roboty.

Kątem oka dostrzegł, że staruszek wciąż tkwi w progu mieszkania. Przez brudne szkła okularów bacznie obserwował ich ruchy, ale nie ruszył się z miejsca.

Deryło przeszedł w głąb pomieszczenia i kucnął przy szafce z książkami. Drewniane półki pokrywała cienka warstwa kurzu. Pobieźnie przejrzał tytuły. Kilka podręczników technicznych, kilka słowników, rozpadająca się książka kucharska. Mikry księgozbiór mógł być na wyposażeniu mieszkania. Bonus od dziadków.

Przesunął się do kolejnej szafki. Stał na niej stary telewizor, antena i kilka kryształów. Otworzył jedną z szuflad.

Była pusta.

W drugiej leżał pilot do telewizora i dwa markery.

Zrezygnowany podniósł się i przyglądał płaszcz. Mógł go zostawić w aucie. Choć kaloryfery były zakręcone, temperatura w mieszkaniu solidnie przekraczała dwadzieścia stopni. Zysk z najmu staruszkowie bez dwóch zdań w całości przepalali.

Poluzował pasek i rozchylił kołnierz. Podszedł do kolejnej, ustawionej przy oknie szafki. Stała na niej lampka kryta materiałowym abażurem z frędzelkami. Arcydzieło sztuki ludowej

sprzed pół wieku. Na czterech półkach ustawiono porcelanowe słoniki, kilka książek o różnej tematyce i mosiężny budzik. Przez moment Deryło miał zamiar zestawić wszystkie sprzęty na podłogę i upewnić się, że niczego nie schowano za nimi, ale porzucił tę myśl. Najpierw powinni wszystko obejrzeć pobieżnie. Istniała szansa, że znajdowali się w mieszkaniu niewinnego człowieka.

Brzeski skrupulatnie przeczesywał zakamarki meblościanki, obok której pozostała już tylko wersalka. Potencjalnie ciekawe miejsce, gdzie przestępcy z upodobaniem gromadzili swoje artefakty. Z psychologicznej perspektywy cieszyli się ich bliskością, jednocześnie mając wrażenie, że są dobrze ukryte przed nieproszonymi gośćmi.

– Sprawdź materac i kufer – odezwał się Deryło, zaglądając pod zakurzony dywan. – Idę dalej.

Kuchnia znajdowała się za najdłuższą ścianą salonu. Prowadziło do niej wejście z korytarza, na którym wciąż tkwił staruszek. Była niewielka, oparta na planie kwadratu, z oknem naprzeciwko wejścia. Tuż za drzwiami stał niewielki stolik kawowy z rozeschniętego drewna.

Uwagę Deryły przykuł przedmiot leżący na jego blacie. Szara tekturka obwiedziona tandetną, plastikową ramką. Ostrożnie ją podniósł i obrócił. W ułamku sekundy zrobiło mu się jeszcze goręcej.

– Szlag!

Jeżeli Iks czuł jakikolwiek dyskomfort, nie dał tego po sobie poznać. Siedział spętany na wózku, ale sprawiał wrażenie odprężonego. Przeszywającym wzrokiem patrzył prosto w oczy Miłosza Tracza. Mimo że zgodnie z relacją pielęgniarki obudził się już o piątej, jego twarz nie zdradzała senności. Lekko zażółconych gałek ocznych nie znaczyła nawet jedna przekrwiona żyłka. Rezolutnie zabębnił palcami lewej ręki w krawędź oparcia. Napięty rzemień zatrzeszczał. Kciukami obu dłoni poruszył niczym batutą.

– Chciałbym jeszcze raz poddać pana hipnozie. – Tracz pochylił się, przesuwając lekko stołek.

– W jakim celu?

– Ostatnio nie zakończyliśmy całej sesji. Być może, że tak to określe, część pana osobowości wciąż pozostaje we śnie hipnotycznym.

– Jestem o tym wręcz przekonany. Wreszcie uciszylimy pyskatego gnojka.

Iks uśmiechnął się, odsłaniając nieco zęby. Jednak w mgnieniu oka jego usta znów się zacisnęły.

– To może być niebezpieczne – profiler przybrał mentorski ton. – Z medycznego punktu widzenia...

– Dla mnie czy dla niego? – przerwał mu Iks.

– Jakby pan tego nie postrzegał, dla tożsamości pańskiej świadomości.

– Tożsamość mojej pańskiej świadomości? A cóż to w ogóle jest do cholery?

Tracz obserwował jego mimikę, lecz mimo podniesionego głosu twarz pozostawała całkowicie obojętna. Szerokie nozdrza rozchyłały się rytmicznie, a każdy oddech poruszał kilkoma włoskami.

– Dostał pan na to zgodę doktor Lipner? – Iks przyłożył palec do podbródka. – A nie,

przepraszam, doktor Lipner chyba zaginęła?

– Owszem.

– I ślad po niej się urwał?

– Nie będziemy o tym rozmawiać.

– Powinna umrzeć. Była wulgarnie wyszczekaną gówniarą. Prawdziwą suką ujadającą podczas rui.

Znowu nawet drgnięcia mięśnia. Zrelaksowana twarz, spokojne spojrzenie, regularny oddech.

– Mimo wszystko... – Tracz położył dłonie na kolanach. – Mimo wszystko chciałbym...

– Dość – Iks uciął ostro. – Żadnej hipnozy.

Przymknął powieki, a jego gałki oczne zatrzepotały. Dokładnie tak, jak przy pierwszym spotkaniu, gdy przypominał osobę opadającą w fazę REM. Wszystkie pozostałe mięśnie wydawały się całkowicie rozluźnione. Opuścił głowę na pierś i wyprostował palce.

– Zawsze chciałem usnąć tego potulnego kutasa – szepnął. – Zrobił pan to za mnie. Dziękuję.

Deryło, ciężko oddychając, patrzył na fotografię przedstawiającą szczupłą blondynkę. Była to jedna z tych kobiet, których rysy się zapamiętuje. Nie piękność z okładki „Playboya”, ale subtelna elegantka o dużych oczach i pełnych ustach z lekko uniesionymi kącikami. Swobodnie opadające włosy były delikatnie kręcone, a grzywka przycięta na wysokości brwi. I mimo że ich kolor i styl nie pasował do wspomnień komisarza, wszystko inne było na swoim miejscu.

Patrzył na Patrycję Krzyską.

Kobietę, która miała być tylko wytworem jego wyobraźni. Postnarkotyczną wizją. Kobietę, która stanowiła część rozgrywki Iksa, zmanipulowała go i zwabiła do makabrycznych lochów. Tę, której pierś miał przeszyć strzał, a która potem cudownie zniknęła.

Przez chwilę czuł się, jakby wspomnienia ponownie scalały mu mózg. To, co zaczynał sam kwestionować, wracało na swoje miejsce i utwierdzało go w przekonaniu, że się nie pomylił. Od początku powinien obstawać przy swoim.

Głośno odsapnął, spoglądając w oczy kobiety. Wydawało mu się, że poza peruką podczas ich ostatniego spotkania miała szkła kontaktowe, ale nie był już pewny. Równie dobrze mogła założyć kolorowe soczewki, pozując do zdjęcia. Głęboki błękit jej spojrzenia był całkowicie niewinny. Gdyby stworzyć skalę niebezpieczeństwa przestępców na podstawie ich wzroku, przyznając dziesiątkę świrookiemu Mansonowi, jej i tak należałoby dać notę ujemną.

Podszedł do okna, złapał więcej światła i ostrożnie obejrzał ramkę. Była złożona z czterech listewek, pomiędzy których wypłynął klej. Najzwyklejsza tandeta, jaką można kupić za kilka złotych w każdym markecie. Przez rękawiczkę nie mógł wyczuć struktury szybki, ale wyglądała na pleksiglas, a nie prawdziwe szkło.

Odwrócił ramkę i przyjrzał się jej z drugiej strony. Tekturka podtrzymująca zdjęcie została osadzona na czterech metalowych blaszkach i dodatkowo zagiętym haczyku.

– Znalazł pan coś?

Deryło drgnął, słysząc tuż obok Brzeskiego. Aspirant wślizgnął się bezgłośnie do kuchni.

– Bo jak dla mnie, to straciliśmy czas. Niczego podejrzanego. Można ściągnąć chłopaków z ultravioletem, ale nie sądzę, żeby kogokolwiek tu...

Brzeski urwał w pół słowa. Podeszedł do komisarza i zerknął na oglądany przez niego przedmiot. Również na jego twarzy pojawiło się bezgraniczne zdumienie.

– Jezu, a więc to on – szepnął. – Trafiliśmy na niego...

Deryło spojrzał na podwładnego. Nie miał pojęcia, skąd wiedział, jak wyglądała Krzyska. Nigdy jej nie zobaczył, a on ani razu mu o niej nie wspomniał. A już na pewno nie opisywał jej ze szczegółami wystarczającymi do identyfikacji ze zdjęcia.

– Skąd wiesz, jak wyglądała? – zapytał podejrziwie.

– Co takiego?

– Nigdy jej nie widziałeś.

Brzeski wziął fotografię, obrócił ją w dłoni i odłożył na stół.

– Choćby w aktach, dziś rano – powiedział zaskoczony krzywym spojrzeniem Deryły. – Albo we wczorajszym raporcie...

– Jakim raporcie? Przecież Knap dał mi jasno do zrozumienia, żebym w tym nie babrał.

– Chyba nie rozumiem. Niby dlaczego?

– Rozmawialiśmy o tym. – Deryło stanął tuż przed aspirantem. Górował nad nim co najmniej o głowę i kilkadziesiąt centymetrów w ramionach. W brzuchu pewnie też. – Przyznałeś, że chce zamknąć sprawę.

Brzeski zaskoczony pokręcił głową. Zrobił krok do tyłu, jakby obawiał się, że komisarz zwariował i zaraz mu przyłoży.

– Ma pan na myśli tę kobietę, którą niby pan widział, a wcale nie widział? W podziemiach kamienicy?

– O jak miło. Już kojarzysz?

– Ale ta na zdjęciu to przecież Lipner. Daria Lipner.

Wszechświat śledztw nie znosi próżni. Niespełna godzinę po tym, jak Deryło i Brzeski opuścili mieszkanie wynajmowane przez Dubera, zjawiała się w nim ekipa kryminalistyczna. Gnani pospieszającymi poleceniami niezwłocznie przystąpili do badań.

– Jak ci idzie, Kowal?

Kowal, któremu w udziale przypadła robota w kuchni, wcale nie wyglądał jak Kowal. W rzeczywistości Paweł Kowalczyk był drobnym, niskim mężczyzną, na którym najmniejszy kombinezon ochronny zwisał jak worek pokutny. Z męską dumą nie chciał założyć rozmiaru damskiego, choć i ten mógłby okazać się na niego za duży.

Odsunął od twarzy maseczkę i zaczerpnął powietrza. Po kilkudziesięciu minutach wdychania wilgoci nawet zaduch mieszkania wydawał się przyjemnym zapachem.

– Praktycznie skończone – krzyknął w stronę salonu. – A jak tam?

Zamiast odpowiedzi rozległy się kroki. Drugi technik, Artur Waniewski, po chwili stanął w progu kuchni. W kontraście do Kowala był wysokim i dość postawnym mężczyzną. Miał zsunięty kaptur kombinezonu, a maseczka zwisała mu na piersi.

– Mogę wejść?

Technika pobierania śladów i zabezpieczania dowodów polegała na obchodzeniu pomieszczenia kręgami. Niektórzy technicy zaczynali od środka, a inni od zewnątrz, ale dopóki nie przebadano całego terenu, nikt nie mógł im przeszkodzić. Bez względu na to, czy nosił strój ochronny, czy był wyżej w hierarchii i jak bardzo nalegał.

W centrum kuchni, niemal dokładnie pod okrytą mlecznym szkłem lampą, stała walizka z przyborami kryminalistycznymi. Mikroprzenośne laboratorium mieściło wszystkie niezbędne do pracy narzędzia. Znajdowały się w niej między innymi folie daktyloskopijne oraz zmywacze tuszu, folie pozytywowe, a także rozmaite proszki, utwardzacze i szpatułki. W bocznej

przegródce upchnięto pędzle, nożyczki, a za nimi metalowe lustro. Buteleczka płynnego silikonu Silmark miała osobną kieszonkę, podobnie jak osiem sztuk pojemników na dowody rzeczowe, sześć próbek oraz magnes z uchwytem.

Kowal odszedł od parapetu i machnął przyzwalająco ręką.

– Śmiało, już wszystko uprzątnięte.

– Wszystko? – Waniewski wskazał na leżącą na stole ramkę z fotografią. – Nie zabierasz tego?

– Zabieram. Zostawiłem na koniec, żeby patrzyła na mnie i motywowała do starannej roboty.

Postawniejszy technik pokręcił z niedowierzaniem głową. Kowal z miesiąca na miesiąc dziwaczał. Wprowadzał co rusz nowe rytuały, które miały a to motywować go do wyętej pracy, a to sprzyjać staranności lub zapobiegać pomyłkom. Gdyby strój ochronny miał dodatkowe kieszenie, wyładowałyby je zajęczymi łapkami, kasztanami i ususzonymi czterolistnymi koniczynami. Laboratorium kryminalistyczne nie potrzebowało świrów, ale on był naprawdę dobry.

– To ta poszukiwana psychiatra? – zapytał, nachylając się nad zdjęciem.

Kowal bez słowa skinął głową.

– Całkiem fajna dupa.

– Niczego sobie. Choć jeśli to sprawa Cztery Iksa...

Waniewski poprawił maseczkę i poluzował górę kombinezonu. Czuł, że pot ścieka mu po plecach, osiadając na linii majtek.

– Nie znalazłem ani kropli krwi – mruknął. – Na ścianach, podłodze, nigdzie. To mieszkanie musiało mu służyć jako baza wypadowa. A w bazie nie robi się burdelu.

– Ale zdjęcie jest wymowne.

– Może to jego dawna dziewczyna, przez którą tak mu odpaliło? Psychiatrzy potrafią popsuć w głowie. W Stanach grasowała terapeutka, która nakłaniała pacjentów do popełnienia samobójstwa. Dajesz wiarę?

– Zdarza się.

– Zdarza się? Człowieku, ona ponoć wykończyła gadaniną prawie sto osób!

– Jak to niejedna kobieta.

Waniewski rozprostował worek dowodowy i sięgnął po fotografię. Obrócił ją tak, że światło padło prosto na cienką tekturkę pleców. Kowal zmrużył oczy. Kiedy znacznie bardziej kowalska dłoń drugiego technika przesunęła się ku workowi, powstrzymał go.

– Czekaj, coś tutaj jest. – Wskazał na ramkę.

– Niby co? Wszystko sprawdzi się u nas na miejscu.

– Szef nadał sprawie najwyższy priorytet. Wiesz, co to znaczy.

– Tyle co zwracanie głowy.

– W razie jakichkolwiek wątpliwości powinniśmy weryfikować ślady możliwie szybko.

Przytrzymaj mi to.

Waniewski westchnął. Położył ramkę na stole i przycisnął palcem jej skraj. Kowal wyciągnął z walizki scyzoryk. Najmniejszym ostrzem podważył metalowe zatrzaski, a następnie odgiął blokujący tekturkę haczyk. Podniósł ją i głośno wypuścił powietrze.

– Sukinsyn!

Napływ informacji pobudził Deryłę jak wiadro krwi lwa. Albo wiadro kawy jego układ krwionośny. Styki w mózgu starały się połączyć fakty, ale miał wrażenie, że ich przepływ powoduje tylko spięcia. Sieć nerwów została przeciążona.

Jakim cholernym cudem psychopata zdołał nakłonić szanowaną lekarkę do odegrania przed nim idiotycznych scenek? A może porwanie tylko upozorowano i gra toczyła się nadal? Był skłonny naciskać, by Daria Lipner zamiast zaginionej stała się podejrzaną. Najgorsze, że nie miał na to żadnych dowodów, a naczelnik nie zamierzał po raz kolejny nadstawiać za niego tyłka.

Do tego ten Duber. Kim był dla psychiatry? Kochankiem? Wspólnikiem?

A jeżeli ją szantażował? To była prawdopodobna opcja. Tylko czym można szantażować człowieka, zmuszając do udziału w makabrycznej zbrodni?

Życiem? Życiem najbliższych?

Pytania dudniły jak kościelne dzwony. Bez kolejnych informacji śledztwo brnęło w koleinach. A zarówno laboratorium, jak i patolog nie raczyli się od rana odezwać.

– Zawieź mnie pod kliniczny – mruknął w stronę Brzeskiego.

– Nie jedziemy na komendę?

– Nie. Muszę się najpierw rozmówić z Gawińskim.

– Wkurzył się za tę sekcję? – Aspirant zerknął na Deryłę w lusterku. – Myślałem, że szybko mu przejdzie.

– Jak się więcej czasu spędza z trupami niż z żywymi, ludzie dziwaczej. A ja zbyt lubię tego myszowatego skurczybyka, żeby dać mu zdziwaczeć.

Brzeski posłusznie zmienił planowaną trasę i na najbliższym skrzyżowaniu zawrócił. Tuż przed południem ruch nie był duży, więc już kwadrans później komisarz pędził podziemiami szpitala. Zakład medycyny znajdował się w jego najniższych czeluściach.

Korytarz pomalowano na obskurny zielony kolor, który zamiast z nadzieją, kojarzyć mógł się tylko i wyłącznie ze zwłokami. Od lat nieodświeżany przypominał pękającą, łuszczącą się skórę. Nie pomagały nawet nowe jarzeniówki rzucające intensywne białe światło.

Gabinet Gawińskiego, oznakowany maleńkim szyldem, znajdował się na samym końcu. Deryło zapukał w szarozółte drzwi i nie czekając na pozwolenie, wparował do środka. Nie ryzykował, że jakiś pacjent pozwie go za najście w trakcie intymnego badania.

Patolog siedział przy drewnianym biurku i pochylał się nad stertą papierów. Pomieszczenie wypełniał gęsty kłęb papierosowego dymu, do którego jedynie symbolicznie dokładał się niedogaszony pet w popielnicze.

– Mam ci kupić czekoladki? – wybuchnął Deryło. – Bukiet róż i wino?

Gawiński podniósł głowę i zerknął na niego zza grubych okularów. Ich szkła powiększały jego małe, szczurze oczka.

– Mam piekielny armagedon, a twoje fochy wyrastają mi jak wrzody na dupie. Obraziłeś się? – Komisarz nerwowo podniósł ręce i zaraz z plaśnięciem opuścił je do boków. – Okej, przyznaję, spieprzyłem. To chciałeś usłyszeć? A może mam po prostu przeprosić i pocałować rączki? Wtedy będziemy kwita?

Patolog odłożył długopis i sięgnął po paczkę papierosów. Wskazał Deryle rozkładane metalowe krzesło stojące przy drzwiach, ale ten tylko machnął ręką.

– Usiądź.

– Dzięki, postoję.

– Prostując to, co powiedziałaś – Gawiński odpalił papierosa – nie jestem obrażony. To, że narobiliście mi burdelu, nie ma żadnego wpływu na nasze relacje.

– Daruj sobie te patetyczne tony – fuknął Deryło.. – Pieprzyć je.

– Ogarnąć trzy stare trupy to nie jest łatwa sprawa. Ale jeżeli cię to interesuje, to już się z nimi obrobiłem.

– Co takiego? I nic nie mówisz?

Komisarz z rezygnacją chwycił krzesło, po czym rozłożył je naprzeciw patologa. Ciężko usiadł, podkulając nogi.

– Dzwoniłem właśnie na komendę – wyjaśnił Gawiński. – Powiedziano mi, że jesteś w terenie i raczej cię nie złapię przez komórkę.

– No dobrze, a teraz korzystając z okazji...

– Wiesz, że zawsze najciekawsze zostawiam na koniec. Ale tym razem nie ma nic ciekawego.

– W trzech trupach nie ma nic ciekawego?

Patolog otarł papierosa o rant popielniczki. Zaciągnął się i wypuścił dym w sufit.

– Zmarły na skutek ogólnego wyczerpania organizmu. – Wzruszył ramionami. – Z zimna, głodu i tak dalej. Nie ma żadnych śladów nadzwyczajnych tortur.

– Ale jakieś są? Nienadzwyczajne?

– Zwał jak zwał. Dwie z nich zostały zgwałcone. Trzecia pewnie też, ale ze względu na stan zwłok nie jestem w stanie tego stwierdzić.

– Zostawił ślady?

– Nie. Sprawca zakładał gumę, ale równie dobrze mogły za nią posłużyć bakterie gnilne. I szczury.

Deryło wzdrygnął się na wspomnienie gryzonia wybiegającego z trzewi rozkładającego się ciała. Znowu w myślach usłyszał dźwięk pękającego kręgosłupa. Dźwięk, o którym w liście wspominał Iks.

– A więc Tracz miał rację – mruknął, odchylając się przed kolejnym kłębem dymu.

– Że co?

– Że zabójca kieruje się różnymi motywami. Przy jednych ofiarach działał obrazoburczo, przy kolejnych żywił się ich strachem, a na tych po prostu się wyżył i zostawił.

Gawiński uniósł dłonie. Z gwałtownie podniesionego papierosa na biurko spadł popiół. Patolog zdmuchnął go na podłogę i zagasił peta.

– Stop. Nie chcę nic więcej wiedzieć. Nie interesuje mnie to.

– Jak uważasz – mruknął Deryło.

Odgrywali swój stary rytuał. Patolog udawał całkowicie niezainteresowanego sprawą, a mimo to liczył, że komisarz podzieli się z nim spostrzeżeniami. Wzajemne relacje wracały do normy.

– Cholernie zastanawia mnie jedno. – Komisarz podniósł się i złożył krzesło.

– No?

– Jaki motyw kierował nim tym razem?

Wyznawanie zasady, że lepiej nie zabierać pracy do domu, było problematyczne. Zazwyczaj kończyło się nadgodzinowym tkwieniem w papierach, ale równie często polegało tylko na czekaniu. Choć Deryło nie był żarliwym wyznawcą żadnych zasad, tego popołudnia został na komendzie.

Po raz kolejny zapowiadało się, że na obiad przekąsi frytki okraszone zbyt hojnie tłuszczem i solą. W najbliższym czasie (czym jest najbliższy czas?) miały nadejść wyniki z laboratorium, więc postanowił na nie poczekać. Nawet gdyby niczego nie wniosły, chciał przeczytać je jako pierwszy. Po prostu. Dla samej przyjemności dotknięcia dziewiczego elementu śledztwa. Niezmaconego wcześniejszymi uwagami i komentarzami. Poza tym miał zaległości. Już rano powinien zapoznać się z raportem dotyczącym zaginięcia Lipner. Dzięki temu nie zrobiłby z siebie idioty. A przede wszystkim miałyby więcej czasu na przemyślenia.

Jedyną sensowną konkluzją wielogodzinnych rozmyślań była decyzja o przydzieleniu ochrony doktorowi Iwańskiemu, drugiemu biegłemu opiniującemu Iksa, oraz zwiększenie liczby patroli w okolicach szpitala psychiatrycznego. Poza tym Malczewski miał wystawić list gończy za Duberem, a cały sztab ludzi starał się zdobyć o nim i o Lipner więcej informacji. A właściwie – jakiegokolwiek informacje.

Kiedy po raz setny Deryło przeglądał akta, a kiszki wygrywały mu marsza w rytmie rapu, do gabinetu wparował Brzeski. Bez słowa podszedł do parapetu i położył na nim torbę termoizolacyjną. Otworzył ją, po czym z rozbijającym uśmiechem postawił przed komisarzem piankowe opakowanie wypełnione pierogami ociekającymi tłuszczem.

– Proszę. – Odwinął z serwetki plastikowe sztucce. – Moja żona ma dzisiaj dzień z gotowaniem.

Deryło, wciąż zaskoczony bezpardonowym najściem, obrócił w dłoni widelec. Zazwyczaj

irytował go każdy przejaw rozluźnienia stosunków służbowych, ale tym razem głód zwyciężył. Zignorował i wejście bez pukania, i zaserwowanie mu posiłku, i kumoterstwo.

- Dzięki – mruknął, krojąc na pół pieroga. – Nie krępuj się, zjedz ze mną.
- Jasne.

Brzeski natychmiast wyciągnął swoją porcję i otworzył wieko pojemnika. Najwyraźniej miał zamiar jeść na stojąco, a Deryło swoim zwyczajem nie zaoferował mu krzesła. Wiedział, że aspirant nie odważy się sam po nie sięgnąć.

- Dobrze – powiedział z emfazą. – Gratulować żony. Naprawdę pyszne.

– Żeby jeszcze tak zawsze było czego gratulować. Wie pan, jak to jest, komisarzu. Raz się ugotuje dobrze, a raz wszystko się spali na cholerny węgiel.

Deryło odłożył widelec. Jeżeli Brzeski miał zamiar czynić mu teraz kulinarne aluzje do swojego związku, to lepiej, żeby wyszedł. Kilka razy sam zaczynał ten temat, ale wtedy nie chciał się wysypać. Teraz nie miał głowy do robienia za terapeutę całego świata. A z drugiej strony, pomimo cholerycznego diabła, który bódł go, by się wściekł, coś go powstrzymywało. Na szczęście żale aspiranta przerwał dzwonek telefonu.

Komisarz przełknął, otarł usta serwetką i sięgnął po słuchawkę.

Już po szumie rozmów w tle rozpoznał, kto jest po drugiej stronie linii. Krystyna Olecka. Laboratorium kryminalistyczne.

- Zostałam wyznaczona na posłańca – odezwała się na powitanie.

– Przynajmniej dobrych nowin? – Deryło przymknął pojemnik z pierogami, aby zupełnie nie wystygły. – Bo tych ze złymi mamy w zwyczaju ścinać.

- Nowin. A w naszym przypadku chyba to o nie chodzi?

– No dobra, niech będzie. Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze, chłopaki z informatycznego stwierdzili, że możliwe jest takie nastawienie kamery, by nagrywała z obu stron bez ingerencji człowieka.

Komisarz nie spodziewał się, by było inaczej, ale ta wiadomość niespodziewanie go uspokoiła. Wyrzuciła ze sprawy mistyczny pierwiastek, który przez cały czas przyprawiał go o nieprzyjemny dreszcz na karku. Mimo chłodnej kalkulacji i zdrowego myślenia.

- ...w papierach znajdziesz listę modeli, których mógł używać sprawca.

– Listę?

– Trochę tego jest. Udało się zawęzić do mniej niż dziesięciu, ale i tak nie sądzę, żebyś na ich podstawie do czegoś doszedł.

- Okej. Idźmy dalej.

Tym razem Oleckiej nikt nie przeszkadzał. Relacjonowała mu wszystko punkt po punkcie. Mogłyby się zbratać z posterunkową Nowak.

– Z notesu doktor Lipner wyrwano ostatnią kartkę. Pracujemy nad odtworzeniem tekstu. Mamy pojedyncze litery, ale do jutra powinna być całość.

- Do jutra? – Deryło się skrzywił. – Na wszystko ciągle muszę czekać.

– Nie bądź taki niecierpliwy. Bo prawdziwy hit dopiero przed nami.

– Wal.

- Technicy pracujący w mieszkaniu tego Dubera znaleźli coś bardzo ciekawego.

Kiedy Deryło odłożył słuchawkę, nie miał już ochoty na jedzenie. Brzeski wciąż stał przy oknie, wyczekując jakiegokolwiek komentarza. Zanim komisarz się odezwał, wyciągnął kartkę papieru i złożył ją na pół. Tym razem dłonie nie poruszyły się automatycznie, rzeźbiąc żurawia. Zastygły w bezruchu.

– Technicy stwierdzili, że do tamtego nagrania nie trzeba było dodatkowej obsługi człowieka – powiedział bezbarwnym tonem. – Wystarczył tryb auto.

Brzeski wyrzucił do kosza puste opakowanie i plastikowy widelec.

– To powinno nas uspokoić?

– Chyba nie spodziewaliśmy się, że mogłoby być inaczej? – Deryło założył ręce na piersi i odchylił się w fotelu. Wciąż mierzwił kartkę. – Ale jest jeszcze jedna informacja. Znacznie bardziej interesująca. Za zdjęciem Lipner technicy znaleźli kawałek skóry. Spreparowany jak do badań laboratoryjnych. Został wsunięty między dwa szkiełka i profesjonalnie zabezpieczony.

– Wiedzą, czy to... jej skóra?

– Jeszcze nie. Całość poszła do dalszych badań, żeby nie naruszyć ewentualnych mikrośladów.

Aspirant zrobił kilka nerwowych kroków ze wzrokiem wbitym w podłogę. Zupełnie jakby upewniał się, że ma czyste buty.

– Po co za zdjęciem chował kawałek skóry? – zastanowił się na głos. – To trofeum? Pamiątka?

– Nie wiem, do licha. W bunkrze miał całą stertę takich pamiątek, ale schował tylko tę...

Nie potrzebował Tracza, by stwierdzić, że coś w tym zgrzyta. Wśród śladów behawioralnych składających się na portret seryjnych zabójców istotną rolę stanowi zbieranie trofeów. Najczęściej ma na celu przypominanie o dokonanej zbrodni, przeżywanie emocji, jakie

sprawca odczuwał podczas mordowania i tuż po nim. Podobne znaczenie mają nagrania i zdjęcia wykonane w związku ze zbrodnią. W tym przypadku było jednak inaczej. Wszystkie czynności sprawiały wrażenie wykonanych bardziej na pokaz niż dla własnego użytku sprawcy. Natomiast ukrycie fragmentu skóry za fotografią wykraczało poza pośpiesznie kreślony portret psychologiczny.

W przypadku większości ofiar Iksa i być może Dubera pojawiały się wszelkie elementy omawiane na szkoleniach z behawiorystyki. Inscenizacja miejsc zbrodni, podkładanie fałszywych dowodów, a przede wszystkim mutilacja, czyli okaleczanie ciał zamordowanych osób oraz tak zwane nadzabijanie, czyli powodowanie większych obrażeń, niż potrzeba do uśmiercenia. Psychologicznie świadczyło to o potężnych emocjach nagromadzonych w umyśle sprawcy. Emocjach, których nie potrafił rozładować sam akt morderstwa. Jednak z drugiej strony pojawiają się trzy kobiety zgwałcone i porzucone na łaskę losu...

– Ale to nie koniec ciekawostek. – Deryło zmiął kartkę i odłożył ją na brzeg biurka. – Jest jeszcze coś.

– Proszę się nade mną nie pastwić, komisarzy.

– Zgadnij, w jakim kształcie wycięto tę skórę.

Brzeski wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie dłonie.

– Pentagramu. Pieprzonego pentagramu.

Pamiętał, że sala pooperacyjna nie pachniała środkami czystości, lecz panował w niej gęsty jak mgła zaduch. Aż dziwne, że nie miał swojego odcienia, który przysłoniłby wszystko jak cieniuteńki całun. Był tak samo bezbarwny jak twarz Miłki. Z jej ust i nosa wyprowadzono zwoje rurki, które jako jedyne podtrzymywały wrażenie, że kobieta żyje. Poruszały się razem z jej oddechem, nie korelując z rytmem elektrokardiografu.

Od czasu, gdy wyciągnęli jej bezwładne ciało z wody, minęło już prawie osiem godzin. Upalny dzień zamienił się w gorący wieczór, który kładł długie cienie na wieloosobowej sali. Rzęzenie pacjentów mieszało się z szumem pracujących aparatów.

Miłka nie zareagowała na ich przyjście. Miała lekko rozwarte oczy, wzrok skierowany w stronę wejścia, ale nawet najdrobniejszym drgnięciem mięśnia nie zasygnalizowała przebłyску świadomości. Kąciki jej pełnych warg były opuszczone, płatki nosa nienaturalnie zapadnięte, a skóra napięta.

Roman złapał się brzegu łóżka.

– Cześć, Miłka. – Pochylił się, usiłując zwrócić jej uwagę. – Jak się masz?

Kobieta nawet nie drgnęła. Odpowiedział mu szum powietrza wypompowywanego przez rurkę. Przez chwilę bracia stali w milczeniu, lekko zgarbieni, niczym wierni podchodzący do komunii. Być może nawet obaj się wtedy modlili.

Pamiętał, że lekarz, który pospiesznym krokiem wszedł na salę, miał siwą brodę i okulary w prostokątnych oprawkach. Poruszał się zwinnie, przeskakując od łóżka do łóżka. Jego kitel był zszarzały, a za kieszonką tkwił elegancki długopis. Szczegóły, na które Deryło zwrócił uwagę i zachował w pamięci na zawsze.

Na swoje zawsze.

– Kiedy odzyska przytomność? – zapytał, gdy doktor do nich podszedł.

– Ona jest przytomna. – Lekarz miał niski, surowy tembr głosu. – Słyszy nas, widzi, doskonale zdaje sobie sprawę z naszej obecności.

– Jezu... Może chociaż zamrugać?

– Nie. Uszkodzenie nerwów spowodowało całkowity paraliż. Mózg nie ma kontroli nad ani jednym mięśniem ciała.

Deryło chwycił lekarza pod ramię i odciągnął od łóżka. Roman, jak wbity w ziemię, został przy Miłce. Zacisnął ręce na oparciu tak, że zbieleły mu kłykcie.

– Chce pan powiedzieć, że zostanie w takim stanie? – Deryło nie zważał na drżenie głosu.

– Sparaliżowana?

– Niestety, nie można tego wykluczyć.

– Jak długo?

– Przepraszam, chyba nie zrozumiałem.

– Jak długo będzie w ten sposób wegetowała?

– Pyta się mnie pan, kiedy umrze?

– Raczej, kiedy przestanie cierpieć.

Lekarz zaczerpnął powietrza i wydał policzki.

– Nie da się tego przewidzieć – powiedział, kręcąc ponuro głową. – Niektórzy tkwią w takim stanie latami. Inni odpuszczają i po prostu odchodzą.

– Odchodzą? Sami z siebie postanawiają umrzeć, nie mogąc nawet kiwnąć palcem?

– Obrazowo mówiąc, można to porównać do przeciążenia mózgu. Przynajmniej statystycznie. Po prostu organ chce dokonać zbyt wielu operacji naraz, procesy elektryczne przyspieszają i następuje spięcie.

Deryle przemknęło przez myśl, czym może się przeciążyć mózg osoby pozbawionej kontroli nad własnym ciałem. Zamkniętej jak w puszczy i niemogącej się w żaden sposób porozumieć ze światem. Szaleństwo. To ono musiało rozgrzewać tę papkę neuronów do czerwoności. Było wyczekiwana ulgą i jedynym ratunkiem od najgorszego wyroku dożywania, jaki można otrzymać.

Wiedział, że Roman, choć oddalony od nich o kilka kroków, słuchał każdego słowa. Wiedział, że Miłka, jeżeli nie ogłuchła, czego teraz chyba nie można było nawet zweryfikować, również ich słyszy. Zaczął się pocić. Już nie z gorąca, nie z powodu lepkiego zaduchu, a z niepohamowanej rozpacz. W ciągu ośmiu godzin wspañiałe życie obróciło się do nich plecami i odeszło.

A wtedy nie mieli jeszcze pojęcia, jak daleko.

– Gdybym kiedykolwiek był w takim stanie, wolałbym umrzeć – to były pierwsze słowa, jakie wypowiedział Roman, gdy wyszli z sali. – Jezu, wyobrazasz to sobie? Obudzić się w sparaliżowanym ciele? Przecież to gorsze, niż obudzić się w trumnie...

Było to sześć lat przed dniem, w którym Wesoły Remi osunął się w nicość śpiączki.

Dokładnie, jak kiedyś wyliczył, sześć lat cztery miesiące i dzień wcześniej. W liczbach doszukiwał się znaczeń.

Deryło miał te obrazy przed oczami, gdy wchodził po schodach do domu. Teraz też czekał na wieści. Otworzył zamki, ciężko pchnął drzwi i wszedł do mieszkania. Tu wciąż było czuć święta. Zamiast szpitalnego zaduchu wciągnął zapach choinki i pieczonego mięsa.

Wspomnienia wzmogły w nim czujność. Wyostrzyły wrażliwość na każdy dźwięk i ruch. Ściągając płaszcz, wsłuchał się w rytm kroków Ewy.

Żona pocałowała go i złapała za rękę. Gwałtownie zdrętwiał, doszukując się w jej geście zwiastuna złych wieści. Oczyma wyobraźni słyszał już, jak mówi, że dzwoniła jego matka. Wiedział, w jaki sposób układa usta i przybiera współczujący wyraz twarzy.

Nic takiego się jednak nie stało.

Ewa puściła jego dłoń i uśmiechnęła się. Nie w sposób, który miałby go pocieszyć, a całkowicie naturalnie. Po trzydziestu latach małżeństwa człowiek potrafi rozpoznać takie niuanse od razu.

– Chodź. – Skinęła głową w stronę salonu. – Przynajmniej zjemy razem kolację.

A więc nie dzwoniła.

Jeszcze nie.

– Spokojnie. Jeszcze cię nie zabiję. Ostatnio coraz częściej mam miłosne usposobienie. Myślę o różnych sztuczkach, o ile jak to mówią na zachodzie, *you know, what I mean*. Ale to, co zaraz zrobimy, powinno być całkiem przyjemne. Jakaś część mnie cholernie lubi zapach topionych świec, kręci ją to jak diabli. Dziwne, prawda? Na pewno znalazłoby się na to jakieś psychiatryczne wytłumaczenie. Świecofilia? Tylko że to brzmi strasznie banalnie, a ja wcale nie mam ochoty wsadzić sobie knota w dupę. O, nie. Na to nie licz. Widziałem w twoich oczach, że chciałaś to zobaczyć. Zboczuszk. Na razie niech się te świece palą, tyle wystarczy. A swoich własnych upodobań nie będę komentował. Już dawno nauczyłem się z nimi żyć. Swoją drogą, wiesz, że kiedyś spędziłem pół dnia w kościele, w którym poczułem przyjemny aromat topionego wosku i kadzideł? Nie mogłem wyjść, tak bardzo mnie kręcił. Zapach działał na mnie jak lep na muchy, świat odpłynął, zniknął, zjednoczyłem się z dymem i z Bogiem.

No, nie rób takich oczu! Właśnie po to są świece. Dym ulatuje do nieba i tworzy więź pomiędzy nami a tym co boskie. Ach, wiem, o czym myślisz. O tej kobiecie, którą spaliłem na Starym Mieście? Z twojej twarzy mogę wyczytać każdą myśl. Powiem ci w zaufaniu, że trochę to spieprzyłem. Niepotrzebnie polałem benzyną całe jej ciało. Powinienem zacząć profesjonalnie od dołu, tak jak przez lata robiła to inkwizycja. Ci to mieli doświadczenie. A ja...

Wyobraź sobie ten płomień, który buchnął w ułamku sekundy. Baaachhh! A raczej BAAACH! To brzmiało naprawdę jak wybuch. I w wybuchowym tempie odebrało mi całą przyjemność podziwiania widowiska. Nim zdążyłem mrugnąć, cała jej skóra przypominała okopcony pergamin. Łuszczyła się, odchodząc płatami od mięsa, tik nerwowo wygiął jej twarz tak, że zobrazowała powiedzenie o oczach wychodzących z orbit. Rozumiesz? Nie bawi cię to? No dobra, mnie też nie bawiło. Liczyłem na lepsze efekty.

Teraz też wiem, co myślisz. Podpowiada mi to sposób, w jaki mrugasz. Jak? A no robisz

takie klik, klik. Klik, klik, klik. Coś w ten deseń, a ja potrafię odczytać, co mówi przerażony mózg. Boisz się, że będę chciał na tobie poprawić to, co spieprzyłem z tamtą suką? O, nie, nie! Nie przewiduję powtórek. Każdy dostaje swoją szansę, a nie ma czasu na roztrząsanie szczegółów. Powiedziałem, że cię na razie nie zabiję, a nie że nic ci nie zrobię. Zresztą to nie mój pomysł, ale chwilowo muszę się podporządkować. Jeśli tego nie zrobię, zaraz zjawi się ten sadystyczny psychol i potraktuje cię znacznie gorzej. Zaufaj mi. Jęczenie nic ci nie da, a może tylko skomplikować sprawę. W tym przypadku to ja jestem tym dobrym gliną.

Cień pochylił się nad Lipner. W rozwartych ustach kobiety tkwiła metalowa szyna, której obie krawędzi tkwiły na umieszczonych po bokach prowadnicach. Konstrukcja przypominała narzędzia stosowane w zakładach stomatologicznych, by pacjenci nie zamykali mimowolnie szczęk.

Do tego też miała służyć.

Cień uniósł szerokie szczypczyki do lodu i z całej siły chwycił jej język. Pociągnął go do góry, napinając jak kawałek mięsa przygotowany do filetowania. Nie zważając na jęk bólu, drugą dłonią przełożył pomiędzy fragmentami szyny nożyczki krawieckie. Cięcie było jednorazowe. Mniej więcej dwie trzecie trzonu języka pozostało zaciśnięte w szczypczykach, a obficie krwawiąca reszta opadła ku gardłu. Gdyby nadal obowiązywała teoria stref smakowych Edwina Boringa, twierdzono by, że kobieta już nigdy nie poczuje niczego słodkiego ani słonego.

Lipner zaczęła gwałtownie się dławić mieszaną spienioną krwią oraz śliny. Cień poluźnił jej więzy. Jednym szarpnięciem podciągnął kobietę do pozycji półleżącej.

– Już, już, nie martw się. To przecież lekka kara. Długo musiałem się powstrzymywać, a pewnie wiesz, że niełatwo się dogadać ze wszystkimi.

Cień sięgnął po leżącą na szklanej tacy strzykawkę. Wycelował nią w strzep języka i nacisnął tłoczek. Strumień spirytusu dołączył do kałuży krwi i płwocin. Rzęzący wrzask dobył się z gardła Lipner.

Długi, przerażający wrzask rozrywanej przez psy jałówki.

Jej szeroko otwarte oczy zaskrzyły się od łez. Źrenice rozszerzyły się i zaraz zaciśnęły do maleńkich punkcików.

– Ciii... Ciii... Naprawdę mogło być gorzej.

Oprawca rozluźnił śruby i metalowe szyny z brzękiem upadły na podłogę. Lipner pochyliła się, próbując splunąć, lecz kikut języka jedynie zatrzepotał jej w gardle.

– Śmiało. Przyzwyczajasz się.

Odpowiedzią był jęk.

– No, ale póki jestem u głosu, czas, żebym też odniósł jakieś korzyści.

Cień popatrzył na nagie ciało kobiety. Przesunął palcem po jej ramieniu i wzdłuż ociekającej krwią żuchwy. Wreszcie utkwiał spojrzenie na ściśniętych przez ramiona piersiach. Uśmiechnął się. Sięgnął po podgrzany na świecy pojemnik i chlusnął jego zawartość na podkulony brzuch Lipner.

– Nie dramatyzuj. To tylko gorący wosk. Niektórych nawet podnieca, wiesz? Miałem kiedyś dziewczynę, którą naprawdę to kręciło. A teraz ją sobie przypomnę, w porządku?

Znowu jęk. Ciało kobiety zdrząło, jakby mięśnie chciały się obrócić na drugą stronę. Cień ostrożnie odstawił pojemnik i chwycił za jej kolano.

– Musimy się spieszyć, bo niedługo będę musiał się dać pobawić komuś innemu. Komuś, kto ma znacznie lepsze pomysły. Wręcz niewyobrażalne.

7 STYCZNIA

65

Zbawienny wpływ snu odczuwa się ponoć dopiero po przespanych pełnych czterech godzinach. Deryło miał wrażenie, że nie przespał z tego nawet połowy. Obudził się zlany potem, na długo przed budzikiem. Cicho wstał, przygotował dla wszystkich śniadanie i postanowił pobiegać. Dawno zaniechane regularne treningi zaczynały się odbijać na jego formie. Widział to codziennie rano, gdy stawał przed lustrem, a podkoszulka wydatnie opinała się na jego brzuchu. Widział to codziennie, gdy wbiegając po schodach bloku, dostawał zadyszki.

Bieg pozwalał lepiej myśleć. Nieraz podczas treningu układał sobie w głowie wydarzenia ostatnich dni. Segregował je niczym akta w archiwum i wyciągał tylko to, co potrzebne. Plan wydawał się naprawdę dobry. Włożył spodnie dresowe i znalazł grubą bluzę. Jednak kiedy zaczął ją wkładać, jak na zawołanie przypomniała o sobie rana w boku. Irytujące swędzenie narastało i stawało się trudne do zniesienia. Czuł, jakby spomiędzy szwów wymaszerowywała armia mrówek.

Klnąc, zdjął dres, na powrót zarzucił na siebie szlafrok i powlókł się do gabinetu. Kolejną godzinę spędził na składaniu żurawi, które ledwie się narodziwszy, zmięte trafiały do kosza. Przyjemnie byłoby posłuchać muzyki, lecz nie chciał obudzić żony i córki. Nie akceptował przy tym słuchawek ani odtwarzania klasyki z czegokolwiek poza wysłużonym gramofonem. A w nim regulacja głośności przebiegała od ryczących trzasków do stonowanego wycia, które i tak przenikało przez ściany. Wobec tego, w absolutnej ciszy, z rękami założonymi za głowę, bujał się w głębokim skórzanym fotelu.

Każda myśl urywała się jednak, jakby umysł uparcie mu podpowiadał, że zmierza w złą stronę. Że Dariusz Duber pogrywa z nimi, podrzucając błędne tropy niczym ochłapy nieświeżego mięsa. Rozłożył sprawę na części pierwsze, aby mieć wszystko jak na dłoni, i dalej gubił się w jej fragmentach. Benin, Lublin, Berlin, potencjalne dziesiątki ofiar... Sprawcy mogli być jak

obwoźny cyrk, który wszędzie oferuje swoje przedstawienie, lecz zawsze powraca do punktu wyjścia. Miał wrażenie, że Duber znajduje się w ciągłym ruchu, a wynajmowane przez niego mieszkanie to tylko pozorna odskocznia.

Jerzyki od momentu opuszczenia gniazda przez całe życie pozostają w powietrzu. W locie jedzą, piją krople deszczu i śpią. Nigdy się nie zatrzymują.

Tę myśl przerwał Pompatyczny Jaśnie Pan Bach.

Deryło zerknął na zegarek i odebrał. Za kwadrans siódma. Doskonała pora na fantastyczne wiadomości lub nagłe zwierzenia.

– Wiem, że rano wstajesz. – Inspektor Knap już na wstępie się usprawiedliwił. – Ale chciałem ci zaoszczędzić czasu.

– Miło z pana strony, ale niby w jaki sposób?

Knap ziewnął. Najwyraźniej dopiero się obudził i wpadł na pomysł rządzenia w stanie półśpiącym.

– Nie mam pojęcia, czy wiesz, ale nasz profiler nie będzie już gościem w psychiatryku. Przynajmniej formalnie jego wizyty są skończone.

– To znaczy?

– To znaczy, że osadzony, którego-kurwa-nawet-imienia-nie-znamy, powiedział, że nie będzie z nim rozmawiał.

– Niby dlaczego?

– Może obraził się za tę manianę z hipnozą?

Deryło wstrzymał oddech. Starał się przeanalizować ton, jakim naczelnik wypowiedział ostatnie słowa.

– Myślałeś, że się nie dowiem? – sapnął Knap. – Skoro Malczewski to przyklepał, naprawdę mam w dupie, jak go zmobilizujecie do gadania.

– Dzięki temu trafiliśmy do bunkra.

– Naprawdę nie musisz mi wymieniać, co osiągnęliście. Ale Tracz jest spalony.

W kontekście tej sprawy określenie użyte przez naczelnika brzmiało wyjątkowo niefortunnie.

– Czego pan oczekuje, inspektorze?

– Tego, że sam pojedziesz i spróbujesz z niego coś wyciągnąć. Ponoć powiedział, że chętnie z tobą porozmawia.

Dzień dobry państwu, informacje, minęła ósma.

Po makabrycznym zabójstwie na lubelskim starym mieście wydaje się, że śledczy utknęli w miejscu. Zintensyfikowane wysiłki nie przynoszą zadowalających rezultatów. Wszystko wskazuje na to, że w mieście działa zorganizowana grupa ludzi dokonujących zabójstw. Rzecznik komendy podczas ostatniego spotkania z dziennikarzami użył dokładnie tego sformułowania. Nie pojawiło się w nim słowo „sektą”, co również wywołało falę komentarzy dotyczących charakteru tych zbrodni.

Z nieoficjalnych informacji dowiedzieliśmy się, że specjalna jednostka prowadząca sprawę wytypowała kolejnego podejrzanego. Jednocześnie coraz więcej wątpliwości budzi rola Józefa Dycza, umieszczonego w zakładzie psychiatrycznym w celu oceny jego poczytalności. Z kurii lubelskiej wypłynęła rano informacja, że jeszcze przed południem wygłoszone ma zostać oświadczenie rzecznika. Jedna z rozważanych teorii kwestionuje tożsamość podejrzanego i spekuluje się, że w rzeczywistości podszywał się on jedynie pod księdza egzorcystę. Szczegóły powinniśmy poznać w ciągu najbliższych godzin...

Deryło przełączył stację. RMF Classic serwowało właśnie *Georgia On My Mind* Raya Charlesa. Zdecydowanie wolał wykonanie Deana Martina, ale nawet chrypienie niewidomego geniusza było lepsze od słuchania medialnych domysłów. Choć te były zaskakująco trafne.

Kwadrans później w asyście pielęgniarskiej przemierzał szpitalny korytarz. Na bloku A dopiero rozpoczynał się dzień, pachniało kawą i rozwożonym jedzeniem. Na bloku B panowało poranne ożywienie. Zamiast kawy czuć było kwaśną woń moczu, kurwy mieszały się z niezrozumiałymi krzykami, a bełkotliwe błagania niosły szmer, jakby w pobliżu znajdowała się kaplica.

– Kawał pieprzonego gnoja. Ja bym go spacyfikował środkami i niech tak sobie wegetuje

– pielęgniarz od kilku minut ciągnął swój wywód. – Musimy się z nim użerać, a on w duchu pewnie z nas wszystkich kpi. Rozumie pan? Jak go widzę, to jestem przekonany, że w duszy ma ubaw po pachy i aż go skręca, żeby się nie polać ze śmiechu. A to tylko dlatego, że nie ma u nas kary śmierci.

– Kiedyś też byłem za pocziwym, amerykańskim fotelem – mruknął Deryło. – Ale od jakiegoś czasu myślę, że to tylko ułatwiłoby sprawę. Przeszłomcom.

– Ułatwiało?

– Nie musieliby próbować się zabić. Wie pan, ilu skazanych na dożywocie chce popełnić samobójstwo?

– Nie mam pojęcia.

– Szacuje się, że nawet siedemdziesiąt procent. Siedemdziesiąt cholernych procent. Dlatego powinniśmy zrobić wszystko, żeby im nie pozwolić się zabić. Powinniśmy na siłę podtrzymywać ich przy życiu. Powinni gnąć w celach, czując się jak cholerni paralitycy, którzy nie mogą poruszyć się w swoich ciałach. To byłaby dla nich słuszna kara.

– Coś w tym jest. – Pielęgniarz pchnął kratę i znaleźli się na ostatniej prostej. – Ale uważam, że na te gnidy szkoda pieniędzy. Moich, pana i każdego podatnika.

Minęli tablicę informującą, że wkraczają do bloku Z. To w tym miejscu przed dwoma dniami Iks zapewnił sobie pobyt w izolatce. Deryło przyspieszył kroku, jakby podświadomie wyczuł energię miejsca i nie mógł się doczekać spotkania. W rzeczywistości był coraz bardziej spięty, rana wciąż paliła, a obracana w dłoni moneta nie przynosiła ukojenia. Chciał mieć to jak najszybciej za sobą.

– Jestem w stanie zafundować im cholerną miskę wody – powiedział, patrząc za okno. Śnieg prószył, oblepiając je drobinkami. – Jak to leciało w reklamie? Niektórych rzeczy kupić nie można?

– Zemsty?

– A tam zemsty. Poprzedni ustrój nazywał to sprawiedliwością społeczną. Brzmi znacznie lepiej.

– Ja bym go powiesił.

Pielęgniarz najwidoczniej stanowił gorszą część elektoratu, która nie mając argumentów, powtarzała zasłyszane prawdy. Szkodząc przy tym całej reszcie.

– Jest i pan dyrektor.

Zwolnił kroku, przepuszczając Deryłę niczym honorowego gościa odprowadzanego przez odźwiernego.

– Dzień dobry, komisarzu.

Gerhard Rowiński wyciągnął do niego dłoń. Ostatnie wydarzenia wycisnęły na jego pełnej twarzy piętno zmęczenia. Ten mężczyzna, niemal równie postawny jak komisarz (lecz z wydatniejszym brzuchem – co z satysfakcją odnotował), w ciągu dwóch dni zapadł się w sobie. Prosta sylwetka pochyliła się, a ramiona obniżyły.

– Oby dobry – odparł Deryło. – Zaczyna się nieciekawie.

– Czeka na pana... – Dyrektor skinął głową na stalowe drzwi ryglowane zasuwą. –

Wczoraj wyśpiewał w kamerę, że chciałby się z panem spotkać.

– Wyśpiewał? Jakbym cholera był szczęśliwym numerkiem?

– Coś w tym rodzaju.

Deryło sapnął.

– Świetnie. Jeszcze jakieś ciekawostki?

– Jest z nim adwokat. Spotkania z psychologiem mogliśmy odbębnić bez formalności, ale z panem... Woleliśmy nie strzelić sobie w kolano.

- Rozumiem.
- Oczywiście, nasz osadzony od dwudziestu minut obrzuca go stkiem bluzgów.
- To też mnie nie dziwi. – Komisarz obrócił się w stronę drzwi. – Zaczynajmy.
- Mam nadzieję, że pan bardziej przypadnie mu do gustu.

Rowiński dał znać pielęgniarzowi, aby otworzył zamek izolatki. Po chwili zasuwą szcęknęła.

– Ta jebana prawnicza pipa siedzi tu jak jakiś pierdolony kabel. I co ja mam mu powiedzieć? Pieprz się, pieprz, pieprz! Eprz, ep, ep, ep!

Iks ze wzrokiem wbitym w puciołowatego adwokata naśladował szczekanie psa. Mecenas splótł ręce na piersi i zerknął na komisarza.

– Dzień dobry – powiedział, lekko się podnosząc. Każdy jego gest świadczył o zażenowaniu, że znajduje się akurat tutaj. Przewrócił oczami, dając znać, że nie zamierza w niczym przeszkadzać.

– Oby dobry – powtórzył Deryło i uściśnął mu dłoń. – Się okaże.

Usiadł na łóżku naprzeciw Iksa. Również do niego delikatnie skinął głową, ale się nie odezwał. W niewielkim pomieszczeniu zapadła cisza. Przerwało ją rytmiczne bębnienie kciuka o oparcie wózka.

– Nie spieszy się panu, komisarzu? – Iks poruszał głową w rytm słów: – Tik-tak. Tik-tak.

– Nie zamierzam marnować czasu.

– Dlaczego więc pan milczy, zamiast atakować z miejsca jak zwykle?

Komisarz wytrzymał spojrzenie Iksa. Rozluźnił się, głośno wypuszczając powietrze.

– Jak się mam do pana zwracać? – zapytał sarkastycznym tonem. – Panie Dycz? A może po prostu Iks?

Skrepowany mężczyzna lekko przechylił głowę. Przez chwilę Deryło wydało się, że w jego oczach dostrzega zaskoczenie. Jednak w ułamku sekundy na bladą twarz powrócił kpiący uśmiešek.

– Cztery Iks brzmi chyba dobrze?

– Prawie tak dobrze jak Józef Dycz.

– A więc się połapaliście? Lubelska policja wreszcie zdała sobie sprawę, że ksiądz nie jest

księdzem. – Szarpnął dłońmi, naprężając rzemienie. – Gdyby nie to cholerstwo, musiałbym teraz zaklaskać. Ale skoro sam eksceleńcja biskup się nie połapał...

Deryło pochylił się, potęgując świerzbienie rany.

– Jak się pan nazywa, do cholery? – zapytał, przytykając dłoń do boku. Widząc, że Iks przypatruje się tej reakcji, natychmiast złożył ręce między nogami.

– A jeśli nie powiem? Ponoć to przestępstwo, ale chyba specjalnie nie zawyży mi kary? Jak pan sądzi? Dożywocie plus dożywocie to, o ironio, nadal tylko dożywocie.

– Pański syn to Dariusz Duber, prawda?

Iks sapnął ironicznie. Wygiął głowę, dotykając potylicą oparcia wózka. Bandaż okalający szyję zrolował się i odsłonił fragment szwu spinającego rozpaloną ranę.

– Mamusia mówiła, że nie dobrze rozmawiac s opcymi o rodzinie – powiedział głosem bezzębego dziecka. – Nie bede o tym nicego mówił.

– Dlaczego? Powiedział pan ponoć, że chce ze mną porozmawiać.

– To nie ja. To ten duzi, co casem mnie psegania.

– W takim razie chciałbym z nim pomówić.

Deryło kątem oka dostrzegł, że adwokat przygląda się całej scenie z rosnącym zdumieniem. Początkowo znużony, teraz założył nogę na nogę i poprawił okulary. Wypieki rozlały się na jego policzkach jak plamy różyczki. Jedynie usta pozostały surowo zaciśnięte, wyrażając pogardliwą kontestację wobec wyglupów jego własnego klienta.

– Nie chce pan jus rozmawiac ze mną?

– Może później. Teraz proszę do cholery o konkrety. Jeżeli mamy gadać w ten sposób, pieprzę to i wychodzę.

– Dobrze, już dobrze. – Powieki Iksa zatrzepotały, a oczy poruszyły się z lewa na prawo, lustrując pomieszczenie. Mówił chrapliwym, ostrym tonem, który Deryło przed paroma dniami słyszał przez telefon. – Młody też chciał się wygadać.

– Świetnie, możemy przejść do sedna?

– A jakie jest sedno?

– Duber to pański syn? A może kuzyn? Wszystko, co pan teraz powie, może mieć wpływ na decyzję sądu w sprawie...

– Panie komisarzu – adwokat nieoczekiwanie wszedł Deryło w słowo – proszę nie zwodzić mojego klienta...

– Cisza, chujku! – Iks wycelował w niego palcem. Wygiął dłoń, napinając rzemień i brzęcząc łańcuchem. – Morda w kubeł.

– Spokojnie! Ja tylko bronię pańskich interesów.

Nim Deryło się odezwał, Iks ponownie utkwiał w nim spojrzenie.

– Już Świętojebliwy dość się nagadał – wycedził. – Doliczyliście się chociaż, ile osób tam poskładaliśmy? Kilka razy liczyłem i zawsze gubiłem rachubę, bo mam wrażenie, że niektórzy z nas – z uśmiechem poruszył kciukiem, tym razem wskazując na siebie – ukrywają statystyki. A już na pewno nikt się nie doliczy, ile kurewek ze staromiejskich melin nie wróciło na noc do domu. To nie Los Angeles, ale ludzie też nagle pakują się i wyjeżdżają. O ile w ogóle mają co spakować. Nie myślą o biznesie filmowym, ale o holenderskich truskawkach czy szwajcarskich winnicach. Rozumie pan?

– Rozumiem, że to powód do dumy? To, że nikt ich nie szukał?

– To, że ich nikt nie znalazł, dopóki ich nie pokazałem. Sam też nigdy się im nie pokazałem. Do czasu.

Deryło wyprostował się i siłą woli powstrzymał przed podrapaniem rany. Napiął mięśnie brzucha, aby ból zagłuszył swędzenie.

– Dlaczego do cholery mordowaliście niewinne osoby? – zapytał. – Według klucza? Według nastroju?

– To płytkie, o czym pan mówi. Ciągłe to samo...

– W pierdłu będzie jeszcze mniej urozmaiceń.

Iks wydał sarkastycznie wargi.

– Czego pan tak naprawdę chce, komisarzu? Niech pan zada główne pytanie, a nie bawi się w półśrodki. Gdzie się ukrywa Duber? Odpowiadam szczerze. Nie wiem. Ilu ludzi zamordował? Nie wiem. Kogo chce zabić? Być może nikogo, ale to nie jest kwestia chęci. Już ostrzeżliście bogobojne społeczeństwo przed grasującym mordercą? W mediach przewija się jego zdjęcie albo portret pamięciowy?

Deryło powstrzymał narastający wybuch złości. Obrzucanie inwektywami, podnoszenie tonu i użycie gróźb sprawiłyby tylko, że Iks poczułby się silniejszy. Nie tędy droga. Poprawił się na materacu, zerknął na tkwiącego w kącie adwokata i przeniósł wzrok na Iksa. Mógł mu odpłacić tym samym. Od początku chciał zagrać na jedną kartę, ale obawiał się, że zamiast efektów dostanie jedynie rozczarowanie. Teraz nie pozostało mu nic innego, tylko spróbować. Iks sam się podłożył.

– Jeszcze nie mamy jego wizerunku – powiedział zgodnie z prawdą. – Ale to niepotrzebne, Duber nie będzie podejrzewał, że go szukamy. Nie ostrzeżę go żadną notką w mediach. Dopóki wydaje mu się, że nie mamy o nim pojęcia, będzie mniej czujny.

– Mądre posunięcie, panie komisarzu.

Ani krzty złości. Ani krzty zaskoczenia. Iks nawet rozchylił usta w szerszym uśmiechu, zahaczając górnymi kłami o dolną wargę. Za to Deryło ogarnęła rezygnacja. Pozostał mu już tylko jeden atut, który mógł się okazać jedynie rozmokniętym fajerwerkiem.

– A swoją drogą, ta skóra za zdjęciem to trofeum? – zapytał, podnosząc się z pryczy. – Czy może służyła w innym celu?

– Co takiego?

– Skóra w kształcie pentagramu.

– Sukinsyn.

Iks wyszczał kilka niezrozumiałych słów irytacji, lecz zaraz się uspokoił. Jego twarz wciąż pozostała blada. Nie odezwał się więcej. Opadł w półsen podobny do tego, którym odprawił Tracza.

Gdy kwadrans później Deryło opuszczał hałaśliwe mury szpitala, towarzyszyło mu nieprzyjemne klucie w żołądku. Wrażenie, że zaraz wydarzy się coś niespodziewanego lub że właśnie wydarzyło się coś istotnego, co bezpowrotnie mu umknęło. Pomyślał, że tylko parszywe dni zaczynają się tak parszywie.

Diabeł tkwi w szczegółach. To prawda, która zawsze była dla Deryły kluczowa. Przez całą drogę na komisariat zastanawiał się nad przyczyną reakcji Iksa. Trwające ułamki sekund zdenerwowanie było pierwszą emocją, którą do tej pory okazał. Wszystkie pozostałe zdawały się stanowić element teatralnego przedstawienia. Pozbawiony ceramicznej maski, prawdziwe oblicze zasłaniał przeglądem min.

Deryło nie spodziewał się żadnych rewelacji. Miał nawet swoje przypuszczenia co do kawałka skóry zza zdjęcia. Pierwsza ofiara Iksa, odnaleziona przy stacji benzynowej, została pozbawiona wycinka w kształcie pentagramu. To musiała być ona, nikt inny.

Ale co to zmieniało? Gdyby się okazało, że to trofeum pochodzi z pierwszej upozowanej kobiety? Ironia? Iks spinał klamrą wszystkie dotychczasowe zbrodnie? Jeżeli tak, powinien być raczej dumny z tego, że jego przesłanie zostało odczytane.

Pełen wątpliwości zaszedł do gabinetu Brzeskiego, ale nie zastał w nim aspiranta. Zniechęcony powłókł się do siebie. Wezwał posterunkowych Nowak i Wiertelę, po czym zajął się parzeniem kawy. Umysł domagał się kofeiny.

Po kilku minutach z filiżanką podwójnego espresso przysłuchiwał się relacji Germanki.

– Sprawdziliśmy rejestry urzędów pracy, ośrodki socjalne i społeczne, ale nie znaleźliśmy tam choćby śladu Dubera. Wiza to właściwie ostatni ślad, jaki mamy. Czekamy na dane Interpolu i FBI, a prokurator Malczewski rano przyklepał międzynarodowy list gończy.

– Idiotyzm – zachnął się Deryło. – Jak na razie sprawca aż kipi lokalnym patriotyzmem...

– Ale to dobrze brzmi dla prasy.

– Co takiego? Złotousty chce to upublicznić?

– Inspektor coś przebąkiwał o konferencji – odezwał się Wiertel. – Pewnie prokurator chce błysnąć zębami przed kamerą.

– Dziś?

– Chyba jutro. Lepiej, żeby sam pan z nim porozmawiał, komisarzu.

Deryło był wyznawcą złotej zasady nakazującej ograniczenie kontaktów z przełożonymi do minimum. Dzięki temu ograniczał też jakąkolwiek presję z ich strony. Ale konferencja nie była dobrym pomysłem.

– A co z tą Lipner? – zapytał. – Mamy o niej coś nowego?

– Ciągle niewiele. Praca, praca, praca... Zawsze najlepsza studentka, podczas specjalizacji dwukrotnie nagradzana za publikacje naukowe, od dwóch lat biegła sądowa. Nic nie wiemy o związkach, partnerach czy... ekhm, partnerkach. Aspirant Brzeski pojechał porozmawiać z jej jedyną przyjaciółką. Jakies kontakty utrzymywała też z dyrektorem szpitala. Przynajmniej zgodnie z zeznaniami chodzi o relację czysto służbową.

– Strasznie pozamykani w sobie ci dzisiejsi ludzie. – Deryło cmoknął sarkastycznie. – Później się dziwić, że nikt nikogo nie szuka.

– Ustaliliśmy jeszcze jedno – posterunkowa Nowak zniżyła konspiracyjne ton.

– No?

– Trzy dni temu, wtedy, gdy pan komisarz miał ją widzieć...

– Tak?

– Przez tydzień była na zwolnieniu, a co za tym idzie, nie miała dyżuru. Nie mamy żadnej relacji, co mogłaby robić wieczorami.

Deryło odstawił pustą filiżankę i oparł się łokciami o biurko. Właściwie nie spodziewał się niczego innego. Czym można zaszantażować kobietę, aby pomogła w zbrodni? Po raz kolejny zadał sobie to pytanie, ale pozostało bez odpowiedzi.

Kiedy miał się odezwać, głośnik laptopa wydał z siebie melodyjne brzęknięcie. Zrezygnowany poruszył myszką, rozjaśniając ekran. W dolnym rogu wyświetliło się powiadomienie.

– Przyszedł mail z laboratorium – mruknął bardziej do siebie niż kogokolwiek innego. – Pewnie zaraz będą dzwoniли, a za dwie godziny dostaniemy papiery. Tylko co oni...

Uruchomił aplikację i czekał, aż zamulony komputer wreszcie wypluje wynik. W duchu gratulował sobie cierpliwości. Gdy tylko zobaczył temat i pierwsze słowa wiadomości, miał ochotę pięścią wymusić szybszą pracę procesora.

Żadna praca nie hańbi, ale są zawody, które, oględnie mówiąc, nie wzbudzają euforycznych reakcji. Brzeski pomyślał o tym, wchodząc do gabinetu stomatologicznego spółki „Pawin i Karczewski”. Wyfiokowana staruszka siedząca przy recepcji spojrzała na niego zza szkieł okularów. Pacjenci w policyjnych mundurach musieli stanowić zjawisko rodem z koszmaru, bo z góry przybrała postawę niechęci i zakłopotania. Jej dorysowane kredką brwi ściągnęły się ponad haczykowanym nosem w jedną linię. Zamiast zwyczajowego „w czym mogę pomóc” albo choćby „dzień dobry”, staruszka sapnęła, wezwała szeptem Jezusa i nieco głośniejszym głosem zapytała, co się stało.

Po kilku kolejnych Jezusikach i Matkach Boskich przywołanych z przerażaniem w oczach recepcjonistka oznajmiła wreszcie, że Maria Pawin ma właśnie pacjenta. Dwie osoby kulące się na kanapie poczekalni z zainteresowaniem przysłuchiwały się wymianie zdań. U nich, o dziwo, na widok policjanta zaszła reakcja euforyczna. Być może mieli nadzieję, że wybawiono ich od rozdziawiania ust przed potencjalną morderczynią.

Wkrótce z gabinetu na końcu korytarza pomalowanego farbą w odcieniu śnieżnobiałych zębów wyłoniła się trzydziestokilkuletnia brunetka. Zaprosiła Brzeskiego do niewielkiego pokoju socjalnego. Zamknęła drzwi i wyciągnęła papierosa elektronicznego. Po chwili powietrze wypełnił kłęb brzoskwiniowego dymu. Miała wąskie wargi, które niemal całkiem nikły, zaciskając się na ustniku. Przypominała rybę przeczesującą wodę w poszukiwaniu planktonu.

– Jak tylko przeczytałam w internecie, że zamordowana to Anna Repecka, zadzwoniłam do Darii – odpowiedziała na pytanie aspiranta.

Brzeski przypatrywał się zaskoczony intensywnością, z jaką zaciągała się papierosem.

– Pomyślała pani, że warto ją o tym poinformować?

– Wydało mi się, że to będzie news w jej środowisku. Zresztą jak w każdym.

– Wiedziała już o tym?
– Nie. Dowiedziała się ode mnie.
– Jak zareagowała?
– Kurczę. – Pawin ostentacyjnie wzruszyła ramionami. – Nie wiem, wydawała się bardzo zasmucona.
– Znała Annę Repecką?
– Nie.
– Ale informacja o jej śmierci, jak to pani określiła, bardzo ją zasmuciła.
– To dziwne, no nie? Nawet wtedy zwróciłam uwagę, że to właściwie obca osoba. Jasne, wszyscy współczujemy jej rodzinie i jesteśmy zszokowani tym, co się stało, ale smutek to przesadna reakcja. Przynajmniej tak mi się zdaje.
– Rozumiem. I dziękuję za szczerość. Kobieta najwyraźniej polechtało podziękowanie policjanta. Skinęła głową, wypuściła kolejny obłoczek dymu i zaraz dodała:
– W ogóle Daria ostatnio zachowywała się inaczej niż zwykle.
– Mogłaby to pani sprecyzować? – Brzeski żałował, że nie wziął dyktafonu. Bazgrołąc, zapisywał najważniejsze kwestie w małym, wysłużonym notatniku. – Dlaczego miała pani takie wrażenie?
– Trudno mi to określić. Po prostu rzadziej dzwoniła, zamknęła się w sobie, wydawała się bardziej oschła. Rozumie pan? Jako jej przyjaciółka od wielu lat byłam w stanie to wyczuć. Nawet minimalną zmianę, a to nie była kwestia zwykłego PMS-a. Dentystka uśmiechnęła się, maskując załamanie głosu. Brzeski zczekał, aż się uspokoi. Kobieta sięgnęła po leżący na zlewie papierowy ręcznik i delikatnie otarła nim oczy. Zaciągnęła się papierosem tak mocno, że wypuszczony kłąb dymu wypełnił pomieszczenie jak gęsta mgła.
– Czy może spotkały się panie wieczorem drugiego stycznia? – Aspirant wykorzystał chwilę rozluźnienia.
– Hmm... – Pawin tępo patrzyła gdzieś za jego ramię. – Nie. W tym roku jeszcze nie widziałyśmy się osobiście. Dzwonimy co kilka dni, ale widujemy się rzadziej.
– A może rozmawiały panie przez telefon?
– Nie pamiętam godzin swoich rozmów sprzed paru dni.
– Mogłaby pani sprawdzić? To istotne.
Dentystka niechętnie wyciągnęła z kieszeni komórkę i otworzyła zapis połączeń. Po chwili z powrotem utkwiała martwe spojrzenie w oknie.
– Dzwoniłam do niej trzeciego stycznia o dwudziestej siedem. Nie pamiętam już, czego chciałam, ale nie odebrała.
Oddzwoniła?
Kobieta ponownie zerknęła na wyświetlacz telefonu.
– Dopiero kolejnego dnia rano.
– W porządku, naprawdę pani dziękuję. Jeszcze jedno pytanie i obiecuję, że dam spokój.
– Czekają na mnie pacjenci.
– Czy spotkały się panie w sylwestra? – zapytał Brzeski niby mimochodem. – Może spędzały go panie razem?
– Nie. Jak już mówiłam, Daria zachowywała się ostatnio dziwnie. Proponowałam jej wspólny wypad, ale stanowczo odmówiła.
– Jakoś to argumentowała? Domyślałam się, że przyjaciółki nie mówią sobie po prostu, że się nie spotkają. Tym bardziej że nie chodziło o lampkę wina w byle weekend.
– Właśnie nie. – Pawin pokręciła głową. – Rzuciła coś o innych planach, a ja uznałam, że nie będę dopytywać.

- Miała pani jakieś podejrzenia, dlaczego zrezygnowała ze wspólnej zabawy?
- Powiedziałam panu, że jako jej przyjaciółka jestem w stanie wyczuć każdą zmianę nastroju. Myślę, że właśnie dlatego. Nie chciała dać poznać, że coś się stało. Tylko może mnie pan wziąć na tortury, ale nie powiem panu, co takiego.

Brak osobowości.

Próby nieudane.

Dwa zdania odtworzone z wyrwanej kartki notatnika nic Deryle nie mówiły. Odczytał je kilkakrotnie na głos, ale Wiertel i Nowak również wymienili zakłopotane spojrzenia. W gabinecie zapanowała grobowa cisza.

– Ktoś coś? – rzucił wreszcie komisarz. – Jakies pomysły?

Odpowiedziało mu milczenie. Nowak przestąpiła z nogi na nogę, szurając o posadzkę. Wiertel stał bezmyślnie w miejscu, na przemian zaciskając i rozluźniając dłonie.

Z każdym oddechem Deryłę ogarniało coraz silniejsze poczucie porażki. Kolejny rzekomy postęp śledztwa okazywał się ślepym zaułkiem. W jaki sposób te słowa mogły się łączyć z Duberem? Jeżeli osobiście wyrwał kartkę z notatnika psychiatry, musiał obawiać się jej treści. Mogła to zrobić również sama Lipner, uznając notatkę za niepotrzebną. To było najbardziej prawdopodobne, zważywszy jej pesymistyczną treść.

Pamiętał, jak przed kilku laty stołeczna komenda zorganizowała szkolenie dla śledczych. Głównym tematem była metodyka dochodzeń oraz postępowania ze szczególnie przebiegłymi przestępcami. Specjalista z FBI, zapowiadany jako gwiazda parodniowego sympozjum chłania i wspominek, wyraził sedno jednym słowem:

Act, act, act.

Działanie zawsze miało prowadzić do ujęcia sprawcy. Pośród wszystkich przebadanych dowodów, schodzonych ślepych uliczek i fałszywych tropów zawsze miała znajdować się wskazówka do jego bezpośredniego ujęcia. Antyteza zbrodni doskonałej. Niczym trener personalny, agent Federalnego Biura powtarzał, aby nigdy nie odpuszczać. Specjalne sekcje FBI zajmują się nierozwiązanymi zbrodniami bez przerwy. W kółko, do upadłego, analizują dowody

z nadzieją, że coś przegapiono. Nie umarza się żadnych śledztw.

Tylko że on nie nadawał się do podobnego scenariusza. Miał węszyć nie z nadzieją na wywąchanie starego tropu, a z zamiarem rzucenia się w pościg. Amerykanie nazywają gliniarzy *cops* – kłębkami przędzy, w Polsce są po prostu psami. I chyba na tym polegała cała różnica.

Z zamyślenia wyrwał go głos Nowak.

– Panie komisarzu... – Posterunkowa wskazywała na coś dłonią.

– He?

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dzwoni telefon. Niechętnie sięgnął po słuchawkę.

– Halo? – odezwał się, jakby wyrwano go ze snu.

– Łączymy z dyżurki.

– Proszę.

Kliknięcie. Po zbyt długim ułamku sekundy odezwał się dźwięczny, rozemocjonowany głos posterunkowej Lubeckiej.

– Ktoś właśnie wszedł na klatkę schodową. Miał zasłoniętą twarz, ale jestem pewna, że wcześniej śledził Iwańskiego. Ewidentnie przyspieszył, bo nie miał klucza do drzwi. Poza tym...

– Ruszajcie za nim – przerwał jej Deryło, zrywając się z miejsca. – Zachowajcie cholerną ostrożność i grajcie na czas. Wysyłam wsparcie!

Rzucił słuchawkę i popędził do wyjścia. Polowanie na drugiego biegłego rozpoczęło się szybciej, niż myślał.

Szczelina między framugą a drzwiami do mieszkania doktora Iwańskiego miała szerokość zrenicy ściśniętej strachem. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Lubecka przyłożyła ucho do zimnej powierzchni i przymknęła oczy. Wstrzymała oddech. Teraz nie świst powietrza, a łomot serca był jedynym, co wypełniało jej umysł. Miała wrażenie, że niesie się echem po korytarzu i odbija od każdego zakamarka.

Spojrzała na sierżanta Fyndlera. Z wyrazu jej twarzy mógł wyczytać każdą myśl. Wyciągnął broń i zastygł w pozie asekuracji. Mimo że był starszy stopniem, Lubecka wołała służbę w towarzystwie Wiertela. Posterunkowy, choć nieco infantylny, przynajmniej sprawiał wrażenie szybkiego i zdecydowanego. W przeciwieństwie do Fyndlera. Ten niemal dwumetrowy drań miał posturę anorektycznej kostuchy. Policyjna kamizelka wydawała się mu ciężać i przyginać klatkę piersiową do ziemi. Pociągła, wysuszona twarz przypominała z mumifikowane zwłoki, jakie przed laty oglądała na wakacjach w Palermo. Najgorsze, że w jego oczach widziała strach.

Fyndler zrobił krok do tyłu i na migi pokazał, że zamierza zadzwonić na numer domowy Iwańskiego. Już wczorajszego wieczoru Brzeski kazał im go zapisać. Przy kilku telefonach kontrolnych technicy zweryfikowali też obecność podsłuchów na linii. Żadnych nie stwierdzono. Nie była to tak dobra wiadomość, jak się wówczas spodziewali.

Drrrrr...

Lubecka wyraźnie usłyszała dzwonek. Poza nim być może coś jeszcze, ale...

Nie była pewna.

Drrrrr...

Odgłos, jakby coś spadło i uderzyło o podłogę. Tak stłumiony, że równie dobrze mógł dobiegać z innego mieszkania. Tylko czy na pewno? Mógł przecież stłumić go dywan. Albo...

Drrrrr...

Łomot serca, płacz dziecka dobiegający z całą pewnością gdzieś z góry i znowu brzęknięcie. Stłumione, ledwie słyszalne, a jednak złowrogo bliskie. Jakby zasłona drzwi zamieniła się w kartkę papieru.

Drrrrr...

Żeby tylko nikt nie pojawił się na korytarzu. Dwupiętrowy blok o tej porze był zapewne niemal wyludniony. Większość mieszkańców powinna zasnąć w robocie. Większość, ale nie wszyscy.

Doktor przecież musiał być w domu. Oboje widzieli, jak wchodzi do klatki. Lubecka nie słyszała szumu wody w rurach, a wskaźnik wodomierza zawieszzonego w skrzynce obok drzwi pozostawał w bezruchu.

Drrrrr...

Nic. Płacz dziecka na górze i nic więcej.

Wymieniła z sierżantem zaniepokojone spojrzenia. Oczy Fyndlera były zaszkłone, a po jego zapadniętym policzku spłynęła kropla potu. Osadziła się razem z innymi na ostrym zaroście przy ustach.

Policjant dał jej do zrozumienia, że włączyła się automatyczna sekretarka. Schował telefon, pokręcił zdenerwowany głową i podszedł do drzwi. Lubecka wstała. Domyślała się, co chce teraz zrobić.

Na dany znak odsunęła się i odbezpieczyła pistolet. Fyndler uniósł dłoń, aby zapukać, lecz kiedy jego kłykieć zmierzał do płaszczyzny drzwi, usłyszeli trzask.

A potem szloch.

Krótki, ale pełen rozpaczy.

Większy wcale nie znaczy bardziej niebezpieczny. Potwierdzały to od lat wszelkie badania urzędów statystycznych. Najwięcej przestępstw w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców popełnia się we Włoszczowej, Kazimierze Wielkiej i Skalbmierzu, trzech miasteczkach rozsianych po województwie świętokrzyskim. W niechlubnej pierwszej dziesiątce z dużych miast znajdują się jedynie Chorzów i Katowice. Zmienia się jednak proporcja wykrywalności przestępstw. We wspomnianej świętokrzyskiej trójce sięga dziewięćdziesięciu kilku procent. We Wrocławiu i Poznaniu jest o połowę niższa.

Należy jednak zwrócić uwagę na klasyfikację popełnianych czynów. We Włoszczowej sześć z dziesięciu dotyczy przestępczości gospodarczej, a ledwie pięć na sto to przestępstwa kryminalne. W Sopocie te proporcje niemal się odwracają. Statystyka bywa jednak niemiernodajna. Działalność kilkuosobowej grupy przestępczej mogłaby wypaczyć jej wyniki o dziesiątki procent. Ulokowanie serwera, z którego dokonuje się setek pirackich bądź fałszerskich operacji, może spowodować, że w kilkudziesięcioosobowej wsi czynnik przestępstw gospodarczych rozgrzeje się do czerwoności.

Dlatego samodzielne pododdziały antyterrorystyczne, przezywane prześmiewczo SPA, antkami lub antykami mieszczą się przy komendach policji jedynie w największych miastach. Są to jednostki przygotowane do zadań specjalnych, składające się z funkcjonariuszy biegłych w sztukach walki, najlepszych strzelców, a nawet przeszkolonych w skokach spadochronowych i w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi.

Po zniknięciu Lipner obserwacja, a poniekąd także śledzenie drugiego z biegłych mających opiniować Iksa, była postępowaniem wręcz proceduralnym. Dlatego na wieść o informacjach od Lubeckiej inspektor Knap natychmiast zarządził akcję oddziału antyterrorystycznego. Na miejsce mieli dotrzeć w mniej niż kwadrans od przyjęcia zgłoszenia.

Deryle ponownie przypadła rola widza we własnym przedstawieniu.

Pojawił się na parkingu komendy równocześnie z Brzeskim. Aspirant właśnie wrócił od Pawin i ustawiał auto równoległe do wytyczonych linii. Nie zdążył jeszcze zgasić silnika, gdy komisarz z progu budynku dał mu znak, aby podjechał w jego stronę. Po chwili razem z posterunkowym Wiertlem wpadli do radiowozu. Słowa powitania Deryły zastąpił pospiesznie rzucony adres.

Kolejne informacje spowodowały, że Brzeski wyjechał na główną ulicę z piskiem opon. Wbił gaz do dechy i włączył stroboskop. Zmodyfikowany na potrzeby policyjne opel wystrzelił do przodu.

– Myśli pan, że on rzeczywiście chce dopaść tego lekarza? – zapytał, kiedy znaleźli się na trzypasmówce. – Jaki miałby w tym cel?

Deryło beznamytnie patrzył za okno. Auta zjeżdżały na bok, robiąc im miejsce.

– Może chce opóźnić proces? – zamiast komisarza odezwał się Wiertel. – Liczy, że opinia nie zostanie sporządzona na czas?

– To niczego nie zmieni. Iks i tak będzie siedział do końca życia.

– Poza tym warunki w izolatce ma gorsze niż w pace – zauważył Brzeski. – Duber nie może liczyć na przedłużenie mu jakichkolwiek wygód. Zresztą nie jest aż tak naiwny.

– On w ogóle nie jest naiwny. Dlatego działa z pieprzoną premedytacją. Śmierć głównej donatorki szpitala w dniu, kiedy trafia do niego Iks, to tylko symbol.

– Niby czego?

– Tego, że jego dzieło jest kontynuowane. Że tak naprawdę gównu nam dało jego zatrzymanie.

– Coś jak szantaż, tylko bez stawianych warunków?

– Myślę, że w każdej chwili możemy się ich spodziewać – jęknął Deryło. – Bardziej zastanawia mnie, co to będą za warunki.

– Jezu... – Wiertel poruszył ramionami, rozluźniając kark. – A jeśli go nie dorwiemy, wymorduje cały personel psychiatryka? Jak jakiś Rambo mściciel?

– Związki tych ludzi ze szpitalem mogą go wcale nie interesować. Tłucze mi się po łbie myśl, że może mu chodzić o coś zupełnie innego.

W aucie zaległa pełna napięcia cisza.

* * *

Cisza w biurze Knapa była natomiast przesiąknięta potem. Po lewej stronie inspektora siedział nadkomisarz odpowiedzialny za kontakty z komendą główną, a po prawej dowódca samodzielnego pododdziału antyterrorystycznego. Wszyscy pochylali się nad szyfrowanym radioodbiornikiem. Czerwona lampka pulsowała, informując, że łącze pozostaje wolne.

Czekali.

Ostatni meldunek podniósł ciśnienie każdego z nich. Została jeszcze minuta.

Przez te sześćdziesiąt sekund żaden z mężczyzn się nie odezwał. Zastygli w swoich pozycjach jak posągi ustawione przy zaimprovizowanym przez performerę biurku. Niemalże nie mrugali. Nie chcieli przeoczyć pierwszego zielonego mrugnięcia, które będzie zwiastunem rozpoczynającej się akcji.

Jest.

W tym momencie serca ich wszystkich wyrzuciły podwójną porcję krwi.

Knap natychmiast wcisnął klawisz odbioru.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się szorstki głos. – Mamy do celu mniej niż dwadzieścia metrów.

– Zrozumiałem.

– Za pięć sekund wchodzimy.

„Z Bogiem” – pomyślał inspektor.

Drzwi nie były zamknięte. Pchnięte przez Fyndlera rąbnęły z impetem w ścianę. Obłoczek obłupanego tynku uniósł się w powietrze i opadł na lśniące kafelki.

– Policja! – wrzasnął sierżant, wyciągając przed siebie pistolet.

– Panie Iwański?! – zawtórowała mu Lubecka. – Jest pan tam?

Weszli na króciutki korytarz. Tym razem to posterunkowa ubezpieczała Fyndlera, zatrzymując się tuż za progiem. Na podłodze leżał czarny kaszmirowy płaszcz doktora.

Postąpili kilka kroków naprzód. Korytarz miał kształt litery T. Wpadało do niego niewiele światła, a po układzie cieni można było stwierdzić, że w obu odnogach znajdowały się pomieszczenia z oknami.

– Panie Iwański?

Cisza trwała tylko ułamek sekundy. Po jego upływie szloch się powtórzył. Przypominał stłumione jęknięcie, które gwałtownie się urwało. Był tak krótki, że trudno było zlokalizować, z której części mieszkania dobiegał.

Fyndler skinął głową w prawą stronę.

Posterunkowa przyłgnęła do ściany, starając się nie zrzucić wiszących obok kurtek. Z tej pozycji miała najszerszą perspektywę i możliwość asekuracji partnera. Czowała, że poca się jej dłonie, a palec drży.

Ktoś był w mieszkaniu.

I ktoś się na nich czaił.

Sierżant dał znać, że zamierza zrobić kolejny krok i wypaść na rozwidlenie. Lubecka zauważyła, że jego zmumifikowana twarz przybrała odcień piaskowca. Skóra opinająca wysunięty do przodu podbródek groziła pęknięciem.

Trzy palce lewej dłoni Fyndlera oderwały się od broni.

Jeden z powrotem do niej przyległ.

Drugi.

Wreszcie trzeci.

W tym samym momencie, gdy sierżant wpadł do głównego przedpokoju, posterunkowa wysunęła się, zabezpieczając jego plecy. To, co dostrzegła, zmroziło jej krew w żyłach.

Postać w długim, czarnym płaszczu z zarzuconym na głowę kapturem stała na dużym krześle obok Iwańskiego. Wcześniej kaptur musiał być starannie ukryty pod wierzchnim ubraniem. Na twarzy nosiła maskę, taką samą jak ta, którą w chwili zatrzymania miał na sobie Iks.

Kiedy śledzący Iwańskiego mijali ich radiowóz, miał twarz obwiązaną szalikiem. Szedł na tyle pochylony, by nie zauważyli tego upiornego elementu. Choć równie dobrze mógł się przygotować już po wejściu na klatkę schodową. Na pewno co najmniej przez kilka sekund podążał za doktorem...

– Stój, policja!

Krzyk Fyndlera nie zrobił na zamaskowanym żadnego wrażenia. Poruszył głowę i spojrzał na dwójkę policjantów zza cząstek lustra weneckiego. Padające z przeciwległego pomieszczenia światło odbijało się w nich białym blaskiem.

Dopiero po chwili Lubecka zdała sobie sprawę, że na szyi psychiatry zapleciona jest lina. Jej drugi koniec został omotany o żyrandol i zakończony solidnym węzłem. Znajdowali się w wypełnionym książkami salonie, a konstrukcja przypominała bloczek służący do przenoszenia kamieni. Była całkowicie nierealna. Wielki klosz żyrandola zastygł ponad stojącymi na krześle postaciami niczym kopuła wieńcząca katedrę.

Fyndler, ciężko dysząc, zrobił krok do przodu.

W tym samym momencie zamaskowany obrócił dłoń znajdującą się tuż przy szyi Iwańskiego. Nie pozostawił wątpliwości, że jest gotów użyć zakrzywionego, płaskiego jak brzytwa noża. Szybkim cięciem mógł rozharatać gardło psychiatry na pół.

– Jeden ruch... – wycharczał.

Nie musiał kończyć zdania, aby zrozumieli, co się stanie, jeżeli się zbliżą.

Lubecka domyśliła się, że doktor ma dłonie skrępowane za plecami. Wytrzeszczonymi oczami zerkał raz na nią, raz na sierżanta. Jego grdyka przesuwiała się pod splotem z ręcznie przewiązanej liny. Smugi potu wokół kołnierzyka i pod pachami błękitnej koszuli pociemniały jak plamy opadowe na zwłokach. Starał się coś powiedzieć, ale srebrna taśma oklejająca mu usta blokowała wszystkie dźwięki. Poruszała się jak tłoczek respiratora w rytmie jego przyspieszonego oddechu.

– Dobrze. Nie ruszamy się – Fyndler zdobył się na uspokajający ton. – Nie chcemy tu żadnego gówna.

Zamaskowany nie odpowiedział. Wskazał jedynie ostrzem noża w stronę żyrandola, dając im do zrozumienia, że psychiatra może pożegnać się z życiem nie tylko z poderżniętym gardłem. Powoli zszedł z krzesła.

– Nie zrobimy niczego głupiego – ciągnął sierżant. – Możemy to zakończyć bez ofiar...

Postać w czarnym płaszczu opuściła na podłogę koniec liny. Błyskawicznie przywiązała go do nogi krzesła, na którym dreptał Iwański. Gdyby przesunęło się choćby o kilka centymetrów, psychiatra zadyndałby ze złamanym karkiem. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, powieszenie nie polega na pozbawieniu powietrza, a na gwałtownym rozerwaniu kręgosłupa.

– Rzuć to. Nie pogarszaj swojej sytuacji... Jest jeszcze szansa, żeby to wszystko zakończyć bez problemów.

Równie dobrze Fyndler mógłby tłumaczyć zasady fizyki atomowej dwulatкови. Zresztą sam z całej sytuacji rozumiał niewiele więcej. Zamaskowany ponownie spojrzął w ich stronę, ale krok po kroku się cofał. Rozplątywał linę i idąc do tyłu, kierował się ku drzwiom balkonowym.

– Opuśćcie broń – syknął, gdy zatrzymał się przy parapecie. Jego zdeformowany głos przypominał pomruk zwierzęcia. – Opuśćcie te pieprzone zabawki i cofnijcie się do przedpokoju.

Lubecka i Fyndler wciąż do niego mierzyli.

– Jeszcze sekunda, a ten gnój będzie martwy.

– Nie musisz tego robić. – Posterunkowa starała się grać na czas. – Lepiej...

– Zamknij się.

Pociągnięta lina naprężyła się kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą. Taśma na ustach Iwańskiego tańczyła opętaniczą lambadę. Zasysała się i wydymała jak zbyt sztywny balonik. Psychiatra starał się obrócić, lecz każdy jego ruch mógł spowodować katastrofę.

– Dobrze, już dobrze. – Fyndler opuścił pistolet. – Spokojnie.

Lubecka zrobiła to samo.

– A teraz połóżcie je na podłodze i pchnijcie w moją stronę. Bez żadnych numerów.

Policjanci wymienili spojrzenia, ale wciąż zaciskali dłonie na pistoletach.

– No dobra, wiem, że wasza broń zgodnie z procedurami jest ważniejsza niż życie tego sukinsyna. Dokonujecie słusznej kalkulacji. Ale nikt wam niczego nie zrobi, jeżeli się teraz posłusznie cofniecie. A ja po prostu wyjdę.

Po chwili wahania Fyndler zrobił kilka kroków do tyłu. Lubecka również się cofnęła. Znaleźli się w korytarzu, niemal dziesięć metrów od Iwańskiego.

Zamaskowany przekręcił klamkę i otworzył drzwi balkonowe. Wiatr wtłoczył do pomieszczenia wirujące płatki śniegu. Napięta lina z tęnym jęknięciem przesunęła o milimetry krzesło. Psychiatra panicznie zadreptał, starając się utrzymać równowagę.

Kiedy zamaskowany znalazł się na balkonie, wyczerpał cały zapas sznura. Na chwilę zatrzymał się, nie spuszczać z oka policjantów.

Nagle pociągnął za linę.

Krzesło zachybotowało się.

Choć krata i wypust dachu zasłaniały niebo, po barwie światła można się było domyślić, że pada śnieg. Drobne płatki w specyficzny sposób rozszczepiają przebijające się promienie słoneczne. Iks nie musiał zmieniać perspektywy, by ocenić, że właśnie zaczęło sypać. Wzdrygnął się na samą myśl o zimnie panującym na zewnątrz.

W sumie wszystko rozgrywało się tak, jak się miało rozegrać.

Mimo wszystko doskwierała mu samotność. Rozmowa z doktorem Iwańskim nie nastrojała optymistycznie. Zaserwował mu kilka sztuczek z repertuaru Dzieciaka, trochę perwersji de Sade'a i po tym zamilkł. To też był element rozgrywki, zresztą być może najważniejszy. Odegrany z całą pewnością wybornie. Prawdziwy kunszt. Wielki, cholerny kunszt.

Jednak miał wrażenie, że coś w tej rozmowie poszło nie tak, jak powinno. Jakiś detal, którego istoty nie mógł uchwycić. Poruszał się w meandrach jego umysłu jak drzazga pod skórą. Kłuł, szczypał, ale był zbyt cienki, by dostrzec go bez okularów.

Liczył, że psychiatra pojawi się jeszcze raz przed południem, ale nikt nie przyszedł. Musiał skończyć nocny dyżur i delektować się wolnym. Po dobie spędzonej ze świrami nawet najodporniejsi pewnie dostają kręcka. W ich przypadku sen nie regeneruje zmęczenia, a scala osobowość do kupy. Zresztą z marnym rezultatem, bo większość pracowników zakładów dla czubków to przynajmniej połowiczne świry. Nie podają się co prawda za Jezusów, ale w oczach mają ten sam obłąd. Zupełnie jakby przez całą noc z wariackim śmiechem ładowali sobie zastrzyki z pavulonu i zapijali eterem.

Na przykład pielęgniarz, który dał mu jedzenie. To znaczy, tackę z czymś, co tylko chory psychicznie mógłby nazwać jedzeniem. A on mówi: „Paaaaanie Iks, smakołyki dla pana”. Debil jeden. Sam mógłby je sobie napchać do mordy, wtedy zrozumiałby, o czym mówi.

Wystarczyłoby, żeby później srał z odrzutem radzieckiej haubicy, to nigdy więcej nie nazwałby tej diabelnej papki smakołykiem.

Nawet w żartach.

W ogóle poziom żartów całego personelu wołał o pomstę do nieba. Nawet ten Iwański. Przychodzi do niego, siada jak turecki pasza, po czym pyta, czy chce o czymś porozmawiać. Ot, tak. Jakby zamienili się miejscami. Jakies problemy? Żadnych. Jakies skargi? Żadnych? Tylko te skórzane rzemienie pewnie niewygodne? Miewał ciekawsze fetysze. Tak? Na przykład jakie?

Rozmowa jak z dzieckiem, które chce przejrzeć „Playboya”. Trochę słabo, że sam znajdował się na jego głównej rozkładówce.

Życie jednak polegało na tym, aby sobie radzić z niedogodnościami. Tak zawsze powtarzał tata. Mówił też, że zawsze należy polegać na przeczuciach. Przeczucia nigdy cię nie zawiodą – dokładnie tak mawiał tym swoim lekko uniesionym, przepitym głosem. Jeżeli miał rację, to działo się właśnie coś ciekawego.

Kark swędział go tak mocno, że z chęcią rozdrapałby sobie skórę aż do kręgow, szpiczastym paznokciem wydłubał z nich rdzeń i wessał jako deser po tych obrzydlistwach.

Przechucie podpowiadało mu, że w każdej sekundzie gdzieś na świecie dzieje się coś ciekawego. Coś, czego jemu niestety nie jest dane doświadczyć.

Ale sam również zapewniał światu całkiem niezłą rozrywkę. Nikt nie mógłby narzekać, że się z nim nudzi, nawet gdy siedział jak inwalida przykuty do cholernego wózka. Miał swoje chwytły. Potrafił stopniowo zainteresować doktorka albo policję.

Czekała na nich na przykład wiadomość, że nigdy nikogo nie zabił.

Choć chyba jeszcze nie nadszedł czas, by o tym powiedzieć.

Jeszcze nie.

Rzut oka na minę komisarza dowodzącego jednostką antyków zdradzał, jak bardzo jest wkurwiony. Mimo że na twarzy miał kominiarkę, z dwóch małych otworów wyzierało jadowite spojrzenie.

– Dorwalibyśmy sukinsyna, gdyby nie twoje ćwoki! – przywitał Deryło.

– Raczej znaleźlibyście psychiatrę dyndającego na żyrandolu – odcięła mu się Lubecka. – Zanimbyście przyjechali, zdążyłby zamówić taksówkę i odjechać.

– Posterunkowa, jeszcze słowo...

Deryło miał wrażenie, że wszedł w sam środek pola walki. Tylko że na szczęście nigdzie nie widział trupów.

Znajdowali się przy wozie antyterrorystów, kilka metrów od wejścia na klatkę schodową trzypiętrowego bloku. Wokół zdążył się już zebrać niewielki tłum, ale nie było jeszcze dziennikarzy. Świadczyło to o tym, że słowa Lubeckiej o taksówce stanowiły co najmniej lekką przesadę. Reporterzy zlatywali się do sensacji jak wygłodniałe gepardy.

Deryło podszedł do policjanta w kominiarce i wyciągnął do niego rękę. Wymienili silny uścisk.

– Nie nazywaj moich ludzi ćwokami – mruknął. – Przynajmniej nie w mojej obecności.

– Debile? Idioci? Kretyni? Co się do cholery stało?

Lubecka zdała mu pośpieszną relację. Przez cały czas zerkiała to na Fyndlera, to na antyterrorystę. Ten o dziwo nie przerywał jej, lecz kiedy skończyła, natychmiast ciężko sapnął.

– Po diabła kazałeś im tam wchodzić?

– Czy teraz nie ma ważniejszych spraw niż drażnienie, kto i co? – Deryło zwrócił się do Fyndlera: – Jakim autem odjechał?

– Białym vanem – antyterrorysta odpowiedział sarkastycznym tonem za sierżanta. –

Informacje już przekazaliśmy do wszystkich jednostek. Helikopter jest w powietrzu.

– Białym vanem? Serio tyle wiemy?

– Ford transit lub coś podobnego – sprecyzował Fyndler.

– Numery rejestracyjne?

– Niestety. Ratując Iwańskiego, straciliśmy zbyt wiele czasu...

– Cechy charakterystyczne? Otarcia? Naklejki? Wgniecenia?

Sierżant bezradnie rozłożył dłonie.

– Niech to szlag! Nie damy rady sprawdzić każdego cholernego białego vana, poruszającego się w promieniu kilkunastu kilometrów. To niewykonalne.

– Gdyby nie to, że krzesło się poruszyło, doktor byłby trupem – usprawiedliwiająco wtrąciła się Lubecka. – Miał cholerny fart.

– Posterunkowa złapała go dosłownie w ostatniej chwili. – Fyndler dla zaakcentowania słów głośno wypuścił powietrze. – Stryczek był tak ukrecony, że tylko czekałem, aż usłyszę chrupnięcie kręgów.

Dźwięk chrupiących kręgów jak odgłos łamanych gałązek.

Deryło przypomniał sobie słowa z maila. Nie był w stanie uwierzyć, że Duber zaplanował wszystko z takimi szczegółami. Realizacja żadnego planu nie mogła opierać się na podobnych detalach.

A jednak...

– Pętla zsunęła się i wbiła mu w gardło – kontynuował sierżant. – Dusił się, ja go podtrzymywałem, a posterunkowa odcinała. Zresztą przez cały czas się podduszał, miał taśmę na ustach i przez nią problemy z oddychaniem. Stracił przytomność.

– Nie wiadomo, czy w mózgu nie ma uszkodzeń – skwitował dowódca antyterrorystów. – Dlatego cała zabawa mogła być gównem warta. Karetka zabrała go tuż przed twoim przyjazdem.

Deryło uderzył pięścią w lewą dłoń. Odwrócił się do stojącego kilka kroków dalej Brzeskiego.

– Potrzebujemy wrywkowych kontroli na wylotówkach, szczególnie od północnej strony miasta. Na Lubartów i Warszawę – mówił szybko, jakby wyrzucał z siebie gorycz sytuacji. – W systemie chłopaki mają już biały pojazd w typie transita, ale niech zwracają uwagę na wszystkie auta z paką. Poza tym nikt nie ma prawa wchodzić do mieszkania, dopóki nie przyturlają się technicy. – Gdy tylko Brzeski skinął głową, komisarz zwrócił się do Lubeckiej i Fyndlera: – Możecie na razie odejść. Mogę wam już teraz powiedzieć, że w tej sprawie z całą pewnością będzie wszczęte postępowanie. Oczywiście macie moje pełne wsparcie, ale domyślam się – Deryło wymownie popatrzył na antyterrorystę – że inspektor dostał już szczegółową relację.

Nie czekając na jakąkolwiek reakcję, poprawił poły płaszcza i skierował się w stronę balkonu, przy którym stało dwóch policjantów. Dokładnie obejrzał jego niską barierkę, po czym, nie chcąc zacierać śladów, wrócił na oblodzony chodnik.

Pierwszy wóz telewizyjny zjawił się kilka sekund później. Natomiast pierwsze ujęcie nakręcono dokładnie wtedy, gdy klnąc, poślizgnął się na zmrożonej kałuży. Miał ochotę krzyczeć. Marzył o tym, by podejść do reporterów i rozbić kamery na ich szakalich łbach.

– Panie komisarzu! Mam tu coś!

Krzyk jednego z policjantów rozciągających biało-niebieską taśmę przykuł uwagę wszystkich zebranych. Deryło ruszył w jego stronę. Podążyło za nim dwóch rosnących antyterrorystów.

W śnieżnym puchu leżał przyprószony śniegiem przedmiot. Komisarz rozpoznał go już z daleka.

Iks, Alter Iks, Cztery Iks, Duber...

Niech go nazywają, jak chcą. Stawał się kimś zupełnie innym. Już niedługo pozostawi daleko za sobą wszystkie przepoczwarczające się postaci. Junior, de Sade, Borgia, Świętojebliwy... Ci gnoje odejdą na śmietnik historii.

– Tak, tak, tak... – wysyczał, pochylając się nad kierownicą. Przez cały czas pilnował, aby nawet na moment nie przekroczyć pięćdziesiątki. Choć znał trasę, obserwował wszystkie znaki, jakby w ciągu ostatniej godziny mogły wyrosnąć nieoczekiwane zakazy lub objazdy.

– Nie, nie nie. – Uderzył się dwukrotnie w głowę.

Na tyle mocno, żeby rozchodzący się ból zagłuszał narastające szepty. Ich świszczące tony lizały mu korę mózgową jak języki ognia. Tuż nad karkiem czuł nieustanne nerwowe napięcie. Ostre igielki bodły go w tempie maszynki do tatuażu. Formowały posępny wzór na przeklętym umyśle.

Postanowił, że teraz utrzyma kontrolę nad samym sobą jak najdłużej. Dziesiątki głosów chóralnie nucących z tyłu jego głowy musiało poczekać. Mógł polegać tylko na sobie. Gdyby oddał kierownicę de Sade'owi, rozpieprzyłoby się na najbliższym zakręcie. Ten psychopata czerpał przyjemność z jazdy na krawędzi bezpieczeństwa. Nawet gdyby jakimś cudem wyjechał na dwupasmówkę, zwróciłby na siebie uwagę. Nigdy nie mógł się opanować. Czy to w trakcie seksu, czy zabawiania się z przyszłą ofiarą, czy nawet podczas jazdy autem. Psychopata w czystej postaci. To właśnie on teraz najgłośniejszy żądał uwagi.

Słyszał też głos Borgii. Stary zboreznik wymyślił motyw z szatami i maską. Niewiele brakowało, a przez ten pieprzony kaptur zostałby rozpoznany. Pieprzony idiota marzący tylko o tym, żeby nalać trupom w dupy wody święconej. Plujący na wszystko, co ma związek z religią. To przez niego w młodości przed dwa dni i dwie noce katował ich egzorcysta.

– Pieprzony księżulek, co?

Musiał wypowiedzieć te słowa na głos. Musiał zrobić to zamiast Borgii i na złość Świętojebliwemu.

Pocił się. Zrolowana góra szaty leżała na siedzeniu obok. Pod płaszczem miał tylko koszulę, ale i tak czuł, że jest cały mokry. Jeżeli się nie uspokoi, zatrzyma go byle patrol. Z daleka będzie widać jego spoconą jak świnia twarz. Choć świnie przecież się nie pocą. Świecił się raczej jak rozorane flaki jałówki.

– Kurwa... – Otarł czoło rękawem. – Kurwa mać!

Nabrał głęboko powietrza i wstrzymał oddech. Przez kilkaset metrów cierpliwie włókł się za fiatem zapewne pamiętającym czasy Czerwonych Brygad. Co za ironia. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, miałby teraz swojego Aldo Moro na pace.

Poprzedniego wieczoru opracował każdy metr trasy. Kiedy wyjechał z feralnego osiedla, przesunął zasłony w oknach na tyle auta i przykleił do szyby kartoniki z debilnymi napisami. Nie wierzył, że to cokolwiek pomoże, ale z pewnością wpasowywało go w tłum kretyńskich kierowców. *Uwaga, Tomuś w aucie. Jedźcie z nami Zuzia. Jasio on board.* Jakby kolorowe przysawki mogły uchronić dziecko przed przemienieniem pod maską nadjeżdżającego tira.

W końcu nie wytrzymał i wyprzedził starego rżęcha. Dynamiczny manewr omal nie zakończył się poślizgiem. Ustabilizował tor jazdy, zwolnił do przepisowej prędkości i zjechał w boczną uliczkę. Planował poruszać się tylko przez osiedla, unikając głównych arterii. Teraz dostrzegał słabe strony tej koncepcji. Źle odśnieżone wewnętrzne drogi groziły utknięciem na zbrylonej plusze.

Zastanowił się, czy nie porzucić furgonetki już tutaj. Bez problemu mógł pojechać dalej autobusem lub nawet przejść się na piechotę. Osiem czy dziewięć kilometrów w taką pogodę to długi dystans, ale do pokonania.

– Pieprzony księżulek.

Kolejny raz musiał odezwać się do Świętojebliwego. Teraz to on dobijał się najgłośniejszym do drzwi świadomości. Udało mu się nawet przekrzyczeć Ciula i de Sade'a. Niech zje gówno.

Nie wyłączając silnika, zatrzymał się przy metalowym kontenerze PCK. Kocim ruchem chwycił leżący obok strój za kaptur i zwinął go w kłębek. Bez sentymentu wepchnął go w otwór na odzież. Niech Tomuś, Zuzia i Jasio mają w co się ubrać, jeżeli stracili rodziców.

Teraz był całkowicie wolny. Nie znajdowało się przy nim nic podejrzanego, nic, co mogłoby wzbudzić uwagę policjantów. Ta myśl go pokrzepiła.

Nastawił wycieraczki na najszybszy tryb pracy i pochylił się nad kierownicą.

Musiał zrobić jeszcze tylko jedno.

Zakończyć zabawę z tą suką Lipner.

Zmierzch zbliżał się wielkimi krokami. W śnieżne zimowe dni trwa tylko kilka chwil, gdy grafit nieba przełamuje się z szarością chmur. Deryło z filiżanką kawy w dłoni patrzył na horyzont. W dole zapalono już latarnie. Ich światło rozpraszało się w drobnych płatkach zacinającego śniegu. Wiatr napierał na okno, jakby chciał je wyważyć i wpaść do ciepłego gabinetu.

Komisarz odstawił filiżankę na stojący na parapecie spodeczek. Przeczesał palcami włosy i dotknął czołem zimnej szyby. Przez kilka sekund stał pochylony w tej dziwnej pozycji. Gdyby ktokolwiek teraz wszedł do gabinetu, pomyślałby, że stary, pocziwy Deryło zwariował. Że przy jednym z wybuchów wściekłości pękła mu żyłka i poluzowała piątą klepkę.

Tymczasem w całkowitej samotności przenosił ciężar z obolałych pięt na palce i z powrotem. Pocierał przy tym czołem o szybę i intensywnie myślał. A właściwie zasypywał się ciągiem wątpliwości przeplecionych z wyrzutami sumienia.

Znaleziona w śniegu maska była identyczna z tą, którą chciał zerwać z twarzy Iksa. Co z tego, że wysłali ją do laboratorium, skoro nie dysponowali żadnym materiałem porównawczym. Nie trafili też na jakiegokolwiek tropy prowadzące do jej wykonawcy.

U żadnej z ofiar Gawiński nie odnalazł dających się odtworzyć śladów biologicznych sprawy. Fragmentów naskórka za paznokciami, śladów nasienia ani nawet najdrobniejszego włosa. Nie nastrajało to optymistycznie.

Co innego z materiałem zebrany w kamienicy i bunkrze. W obu miejscach zabezpieczono tyle próbek, że ich analiza potrwa tygodniami. Udało się już wyszczególnić kilka kodów DNA, ale na ich segregację trzeba było jeszcze poczekać. Ponadto wyodrębnione zostały ślady daktyloskopijne należące co najmniej do ośmiu osób, z czego cztery przypisano już znanym ofiarom.

Mimo przeszłości kryminalnej Dubera w aktach nie przechowywano odcisków jego palców. Przed dwudziestu laty pobrano je tylko na potrzeby prowadzonego postępowania. Po dekadzie razem z większością archiwum trafiły do lamusa, z którego wydobyć okazało się niemożliwe. Przynajmniej do tej pory. Deryło odsunął czoło od szyby, pozostawiając na niej tłusty ślad. Jeszcze dwukrotnie przeniósł ciężar ciała z palców na pięty i rozluźnił łydki. Czuł się, jakby przebiegł maraton, a później truchtem wrócił do punktu startu. Mściło się odruchowe nerwowe zaciskanie mięśni. Mścił się wiek. Może powinien z tym wszystkim skończyć? Powiedzieć pas, kiedy jeszcze miał przy sobie jakiegokolwiek żetony?

Potarł w kieszeni srebrnego sesterca i odwrócił się od okna. W tym samym momencie rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł inspektor Knap. Był już ubrany w płaszcz, w jednej dłoni trzymał teczkę, a w drugiej ścisnął rękawiczki. W półmroku jego szczeciniasty zarost przypominał ponury, opadnięty pióropusz.

– Powinniśmy opublikować wizerunek Dubera – oznajmił, jakby przed chwilą podjął tę decyzję. – Może ktoś go wreszcie rozpozna.

Deryło zrobił krok w stronę inspektora, ale zatrzymał się przy biurku. Wyjął rękę z kieszeni i oparł się o blat. Pochylił się, przenosząc ciężar na palce.

– Mamy zdjęcie sprzed kilkunastu lat. Nic więcej.

– Graficy zrobili już kilka symulacji, jak może wyglądać teraz.

– Rozdmuchując to w mediach, jedynie go ostrzeżemy. – Deryło starał się grać racjonalnymi kartami. – Dopóki nie ma pojęcia, że znamy jego dane, jest mniej ostrożny. W końcu popełni błąd.

Knap pokręcił głową.

– Nie popełnił go od dawna. W przeciwieństwie do nas.

– Moi ludzie nie mogli zrobić nic innego. – Komisarz zabębnił palcami w blat biurka. – Zachowali się regulaminowo.

– Nie mówię o tym. Przez dwa pieprzone tygodnie ścigaliśmy cholernego Dycza, którego truchło od paru lat gnije na jakimś zadupiu w Afryce.

Knap włożył rękawiczki do kieszeni płaszcza i uchylił drzwi.

– Jutro konferencja – oznajmił kategorycznym tonem. – Lepiej się do niej przygotuj.

– Niby o czym miałbym mówić?

– Mówić będzie jak zwykle Malczewski. Ty będziesz odpowiadał na pytania.

Deryło się nie odezwał. Przez chwilę mierzył się z Knapem wzrokiem, wreszcie inspektor skinął głową i wyszedł z pokoju. Pozostawił po sobie kwaśny aromat tytoniu.

Komisarz uderzył otwartą dłonią w blat biurka. Przekleństwo uwięzło mu w gardle, zagłuszone brzęczeniem telefonu. Sięgnął po słuchawkę i pochylił się, aby nie naprężyć kabla.

– Halo? – rzucił w eter.

– Znaleźli go.

Napisanie dwóch raportów, w tym jednego w zastępstwie komisarza, było jeszcze gorsze niż wiadomość o tym, że Duber prysnął im sprzed nosa. W zasadzie dopiero pisanie o tym unaoczniało rozmiary tragedii. Trzy minuty. Mniej więcej tyle dzieliło antyterrorystów od sukcesu. Zgodnie z wykazami połączeń i stenopisem komunikatów, dokładnie dwie minuty dwanaście sekund przed tym, jak wybiegli z wozu bojowego, posterunkowa Lubecka wezwała pogotowie. Zgodnie z jej relacją razem z Fynderem zdążyli wcześniej zdjąć pętlę z szyi Iwańskiego, ułożyć go na podłodze, a następnie rzucić się w daremny pościg za Duberem.

Po dwóch godzinach spędzonych nad klawiaturą komputera aspirantowi zeszytniał kark, a oczy zaszyły mgłą zmęczenia. Co chwila odrywał wzrok, starając się patrzeć w przeciwległy kąt pokoju. Gimnastyka równie skuteczna co joga po pijaku.

W końcu przesłał oba raporty na wewnętrzny adres komisarza, upewnił się, że nie czekają na nich żadne nowe wiadomości, i zebrał się do wyjścia. Po drodze zawahał się, czy nie wstąpić do Deryły, ale zarzucił ten pomysł. Mógł się spodziewać albo potoku bluzgów, albo sugestywnego wyproszenia. Dopóki nie nadejdą dalsze analizy, w zasadzie nie mieli o czym rozmawiać.

Brzeski przemknął korytarzami komendy i wyszedł na parking. Zaledwie osiem godzin temu rozmawiał z Marią Pawin, a wydawało mu się, jakby minęły całe dni. Wsiadł do auta i przypomniał sobie zapach jej papierosa elektronicznego. Pomyślał o wąskich wargach zaciskających się na ustniku. Powoli wytoczył się na główną ulicę.

Nie spieszyło mu się. Śnieg przestał padać, pługi oczyściły nawierzchnie i ruch się upłynął. Mimo że nie przejechał na ani jednym czerwonym i nawet przez chwilę nie przekroczył dozwolonej prędkości, po niespełna półgodzinie był w domu. Kiedy tylko otworzył drzwi, na jego szyi uwiesiła się Alicja. Poczul od niej mdły zapach wina. Oczy jej lśniły, a twarz była

zarumieniona.

Znowu to samo.

Już to przerabiali.

Choć tym razem najwyraźniej na wesoło.

Brzeski delikatnie odsunął żonę i zdjął kurtkę. Odezwał się dopiero po chwili, gdy Alicja ponownie zaczęła się do niego tulić.

– Dawno wróciłaś?

Roześmiała się beztrąsko.

– Nie byłam dziś w robocie. Wzięłam wolne na żądanie.

– Jezu. Dlaczego?

– Po prostu.

– Po prostu? I cały dzień przesiedziałaś w domu z butelką wina?

– Nie. Byłam też w poradni.

Brzeski, przytrzymując podeszwy, zsunął buty i gwałtownie się podniósł.

– Po jaką cholere?

– Chciałam popatrzeć na matki z dziećmi. To podobno pomaga w... A właśnie, nadal jesteś pewny, że Leonard będzie ładnie?

– Jezu. Nie chcę o tym myśleć. Rozmawialiśmy wczoraj rano...

– Andrzej...

– Tak, właśnie tak się nazywam.

Przeszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Nie spodziewał się, że znajdzie cokolwiek przygotowanego na obiad. Dwie puste butelki po winie leżały na półkach obok serów i warzyw. Koło szyjki jednego z nich zebrała się lepka, czerwona plama.

– Co to jest, do cholery? – zapytał, odwracając się. – Dlaczego ich nie wyrzuciłaś?

– Zapomniałam. – Alicja wzruszyła ramionami. – Miałam zrobić ci też coś do jedzenia...

– Ale nie zrobiłaś.

Brzeski wziął talerz z resztkami wczorajszego leczy. Chciał usiąść przy stole, ale cały blat pokrywały plamy po winie.

– Jezu!

Wściekły przeszedł obok żony i rzucił się na kanapę w salonie. Obok stała choinka z zapalonymi świecącymi. Mrugały w nieodgadnionym rytmie. Brzeski zanurzył łyżkę w zimnej papce i zaraz odstawił ją na bok. Wstał, aby wyłączyć dekorację z kontaktu.

– Dlaczego nie chcesz o tym myśleć? – Alicja przydreptała za nim z kuchni i zatrzymała się w progu. Oparła głowę o framugę drzwi. Żyłka na jej smukłej szyi wyprężyła się ciemnogrnatowym łukiem. – Prosiłam cię...

– Lucjan, Leonard, Leszek, po co o tym myśleć? Może być i pieprzony Leonid!

– Nie będziemy musieli się zastanawiać później. Przecież to miłe!

– Co w tym miłego? – Brzeski wreszcie znalazł wyłącznik świecących. – Co w tym, do cholery, miłego?!

Alicja wciąż prężyła się przy futrynie.

– Pomyśl, że święta za rok może spędzimy już w trójkę.

Brzeski poczuł niepohamowaną złość. Chwycił za gałąź choinki i szarpnął ją do siebie. Drzewko zabujało się, przeważało stojak, po czym w akompaniamencie brzęku tłukących się bombek wylądowało na podłodze.

Chwilę później pomyślał, że również potrzebuje urlopu na żądanie.

– Znaleźliśmy tego cholernego opla – powtórzył Wiertel. – A właściwie to, co z niego zostało.

– Gdzie?

– Na bocznej drodze przed Elizówką. Dostaliśmy wtykę od straży pożarnej, więc pojechaliśmy to sprawdzić...

– Podpalił go?

– Panie komisarzu, ten wrak przypomina szkielet po bombardowaniu atomowym. Chyba wybuchł zbiornik z benzyną i to jakby był zatankowany pod korek. Kupa pogiętego żelastwa. Musiał czymś je nafaszerować.

Deryło wyciągnął z szuflady notes i długopis.

– Niczego nie ruszajcie. Zaraz dam cynk technikom. Strażacy też niech się upewnią, że nic więcej nie pierdyknie, i jazda do domu. Podaj mi tylko dokładne namiary.

Trzy minuty później dodzwonił się do pionu kryminalistycznego. Przekazał adres i opis zdarzenia, aby technicy wiedzieli, jaki sprzęt wziąć ze sobą. Właściwie na miejscu nie liczył na zabezpieczenie zbyt wielu śladów. Dopiero po przebadaniu wraku na policyjnym parkingu mogli dowiedzieć się więcej. Deryło był przekonany, że Duber miał podstawiony drugi samochód, ale odciski opon czy obuwia były zbierane tylko dla formalności. Przydawały się raczej do potwierdzenia podejrzeń niż do wytypowania podejrzanego. Teraz znajdowali się dokładnie pośrodku.

W pół drogi od niczego, w pół drogi do kolejnego ślepego zaułka.

Oleckiej niestety nie było już w laboratorium. Po tym jak Deryło poprosił o zweryfikowanie, czy nie ma dla niego żadnych nowych informacji, na łączu zaległa cisza. Dałby głowę, że pojedyncze trzaski układały się w powtarzane raz za razem „zawracanie dupy”.

Wreszcie usłyszał sapanie tuż przy słuchawce.

– Jest tam pan, komisarzu?

– Oczywiście.

– Rozmawiałem z kolegami z laboratorium – zdanie zostało wypowiedziane takim tonem, jakby koledzy z laboratorium byli nosicielami dżumy. – Ostatnie informacje nie zostały jeszcze do was przesłane...

– Ale są?

– Zbadaliśmy ten kawałek skóry w kształcie pięcioramiennej gwiazdy.

Deryło zaczynał się niecierpliwie.

– Co z nim?

– Nie należy do Darii Lipner. Materiał genetyczny zgadza się ze zwłokami znalezionymi jeszcze przed Wigilią.

Na stacji benzynowej. Nic nowego. Właściwie od początku się tego spodziewał.

– Ale coś innego zwróciło naszą uwagę. Choć to nieoficjalne, bo dopiero pierwszy komputer wypuł wyniki...

No tak, Deryło wiedział o dwupoziomowej weryfikacji śladów daktyloskopijnych. W ten sposób wykluczano błędy przy analizie porównawczej kilku milionów zgromadzonych w systemie próbek. Zdarzało się, że pojedynczy sprzęt zatrzymywał się na zgodności sięgającej dziewięćdziesięciu kilku procent i nie wyszukiwał już dalej. Loteryjna praca drugiego algorytmu pozwalała wyeliminować zbiegi okoliczności.

– Niby co takiego?

– Znaleźliśmy na tej skórze odcisk palca. Niech pan zgadnie, do kogo należy.

– Siedzi już tak prawie od godziny.

Pielęgniarz zapukał w monitor wyświetlający podgląd z kamer. Na cały ekran powiększony był obraz z izolatki, w której znajdował się Cztery Iks. Mężczyzna opierał się plecami o ścianę, a nogi podkulił pod pośladki. Jego lewe ramię spoczywało na oparciu łóżka. Sprawiał wrażenie pacynki bezwładnie rzuconej na łóżko.

– Niech pan popatrzy na jego pierś.

Doktor Starecki zmrużył oczy. Koszula poruszała się w regularnym, ale przyspieszonym tempie.

– Przez pewien czas zaciskał kurczowo dłonie – ciągnął pielęgniarz. – Nagle przestał, ale jego oddech wyraźnie przyspieszył.

– Dostał wszystkie leki?

– No pewnie. Sam sprawdzałem.

– Mówił coś?

– Od rana nie odezwał się nawet słowem.

Lekarz wymownie cmoknął. Nie podobało mu się to, co widział. Nie podobało mu się to, że tego popołudnia trafił na osiemnastogodzinny dyżur, a przede wszystkim nie podobało mu się to, że pod nadzór dostał izolatkę. Normalnie pozostawała pod wyłącznym zwierzchnictwem ordynatora lub jego zastępcy, ale akurat tej nocy obaj mieli wolne. Zbieg okoliczności, który nastąpił bodaj po raz pierwszy w historii oddziału. Nie podobały mu się zbiegi okoliczności.

– Co on, do diabła, kombinuje?

– Myśli pan, że chce coś wywinąć, doktorze?

– Oby nie. – Lekarz przycisnął guzik intercomu i nachylił się do niewielkiego głośnika. – Tu Starecki, dajcie mi dwóch pielęgniarzy do solówki. Niech będą gotowi na ewentualną

pacyfikację.

Dyżurna natychmiast wydała właściwe dyspozycje. Lekarz wyszedł z pomieszczenia monitoringowego i ruszył w głąb bloku Z. Za pomocą karty magnetycznej otwierał kolejne drzwi. Przed zbliżającą się porą kolacji większość sal była otwarta, a osadzeni mieli czas wolny.

Szesnaście spaczonych dusz.

Trzynaście z potwierdzonymi dysfunkcjami psychiatrycznymi i trzy, które w tym momencie poddawano opiniowaniu. Jednak uwaga całego personelu skupiona była na tym jednym, odseparowanym numerze siedemnastym. Z każdą godziną coraz łatwiej było wyczuć, że nie jest to uwaga czysto medyczna. Wzrastała nienawiść, strach, a także kontestacja warunków, jakie oferowała izolatka.

Ten sam mechanizm pojawił się w mediach. Ten sam mechanizm pojawiał się w nim samym. Niespełna pięć metrów kwadratowych nagle zaczęło wydawać się luksusowym apartamentem, trzykrotny posiłek w ciągu dnia rozpustą, a nadzór medyczny opieką kurortową. All inclusive.

Starecki usiłował pozbyć się podobnych myśli. Minał dwójkę pacjentów zajętych kontemplowaniem fragmentu odkruszonego tynku i przeszedł obok dyżurki. Drzwi były otwarte, a monitory komputerów delikatnie rozpraszały panujący w środku półmrok. Nie był pewny, czy widzi pielęgniarkę, ale i tak odruchowo skinął głową.

Używając karty, otworzył kolejną śluzę. Dwaj postawni mężczyźni w białych kitlach już na niego czekali. Stali obok solidnych drzwi izolatki i rozmawiali przyciszonymi głosami. Żywiołowe gesty obrazowały temat dyskusji. Słyszając kroki lekarza, zamilkli i odwrócili się w jego stronę. W ich niepewnych spojrzeniach z daleka widać było niepokój. Podobni jak bracia, obaj przypominali Gołotę po pierwszych sekundach walki z Tysonem.

Starecki przywitał się z nimi i podszedł do drzwi izolatki. Najpierw odchylił wizjer, a następnie powoli przytknął do niego oko. Iks pozostawał w tej samej pozycji, w której obserwował go przez obiektyw kamery. Pochylony w stronę skraju łóżka, z podkulonymi nogami i ręką przewieszoną za barierkę.

Zastukał kluczem, ale mężczyzna się nie poruszył. Wyraźnie widział ruch klatki piersiowej pod jego koszulą.

Wymienił z pielęgniarkami znaczące spojrzenia, po czym wsunął kartę magnetyczną do czytnika. Zamek natychmiast odskoczył. Starecki jednym ruchem otworzył drzwi i wpadł do środka. Mimo przemożnej chęci pozostawienia Iksa samemu sobie, by dogorywał, zmusił się do działania. To obiektywy kamer, a nie przysięga lekarska stanowiły główną mobilizację.

Dopał do łóżka i pochylił się nad Ikssem. Potrząsnął go za ramię.

– Halo, proszę pana?

Puls przyspieszony. Oddech nieregularny. Dłonie nienaturalnie gorące.

– Słyszysz mnie pan?

Klepięcie w policzek.

Nic. Żadnej reakcji.

– Przytrzymajcie mu głowę, na wypadek gdyby chciał mnie ugryźć.

Jeden z pielęgniarzy posłusznie położył dłoń na zroszonym potem czole Iksa. Drugi oburącz przycisnął jego klatkę piersiową. Starecki zauważył, że być może nieumyślnie robili to o wiele za mocno, niż było potrzeba. Sięgnął po latarkę i podwinął powiekę leżącego. Światelko błysnęło dopiero za drugim razem.

Gałka oczna była podkrwawiona i wywrócona do góry. Reakcję źrenicy jedynie optymistycznie można by określić jako symboliczną.

Analiza jest żmudnym procesem porządkowania faktów i wyciągania z nich logicznych wniosków. Deryło za kierownicą C6 przypominał komputer mielący dane. Niemal zupełnie ściszył radio i mruczał coś pod nosem. Jechał wolno, starając się dzielić uwagę pomiędzy drogę a burzę myśli. Na zmianę gładził palcem drążek zmiany biegów i wystukiwał na nim sobie tylko znany rytm.

Fakt pierwszy – wycięty kawałek skóry pochodził z ciała kobiety znalezionej przed prawie dwoma tygodniami na stacji benzynowej. Fakt drugi – odkryto na nim odcisk palca. Fakt trzeci – odcisk palca należał do Darii Lipner. Wnioski wyciągał w odwrotnej kolejności. Po pierwsze, wbrew malkontentom wprowadzenie śladów daktyloskopijnych ofiar i osób poszukiwanych do porównawczej bazy danych było rozsądnym posunięciem. Po drugie, Daria Lipner musiała mieć coś wspólnego z Iksem znacznie wcześniej, niż poznał ją jako Patrycję Krzyską. Po trzecie, spreparowanie i ukrycie wykrojonego płatu skóry miało dla sprawcy konkretne znaczenie.

Pytania były oczywiste i nie musiał ich wyraźnie artykułować. Odpowiedzi na niektóre z nich kłębiły mu się gdzieś w tyle głowy. Składał z nich coraz bardziej przekonującą konstrukcję, ale jej rusztowania wciąż pozostawały kruche. Istniało kilka możliwości, które należało sprawdzić. Jedną z nich było...

Nagły przeblysk został stłumiony przez całkiem odmienną myśl.

Wystarczyło, żeby obrócił kierownicę w drugą stronę i za kilka minut znalazłby się pod szpitalem, w którym leżało sztucznie podtrzymywane ciało jego brata. Kilometr, może nieco więcej, dzielił go od tego, co na ziemskim padole pozostało z Wesołego Remka. Z całych sił zacisnął dłoń. Fizycznym wysiłkiem powstrzymywał się od skrętu. Tkwił w nim taki sam drugi głos jak w głowie Ikxa. Tylko że nie zamierzał mu się podporządkować choćby na moment.

Przed oczami miał minę matki, gdy po dwuletniej walce prawników sędzia nie wyraziła zgody na zaniechanie uporczywej terapii. Sędzia, która niemal razem z nimi płakała nad sprawą. Rozdarta emocjami kobieta przyodziana w togę bezuczuciowej sprawiedliwości. Nie przekonały jej opinie biegłych, zgodnie twierdzących, że mózg Romana Deryły pracuje niejako w trybie wiecznego uśpienia. Nie przekonało jej, że z pewnością nie wyraziłby zgody na takie traktowanie. Chciała być humanitarna, choć w rzeczywistości stawała się okrutnikiem – nie dla Romana, a dla jego rodziny.

Matka musiała walczyć o podtrzymywanie funkcji życiowych. Taka była jej rola i z biegiem lat Deryło coraz wyraźniej sobie to uświadamiał. Jej rolą było też mieć nadzieję i podtrzymywać tę nadzieję w innych. Postanowienie o zaniechaniu uporczywej terapii najpierw sprawiłoby jej ból, lecz z upływem czasu również by je zaakceptowała. Zmuszając lekarzy do sztucznego wtłaczania pozorów życia, sędzia odebrała normalne życie Brygidzie Deryło. Skazała ją na trwanie w wiecznej męce i oczekiwaniu. Przede wszystkim natchnęła moralnym zakazem wycofania się z raz obranej drogi.

Ojciec nawet nie wszedł na salę, w której decydowano o dozgonnym udręczeniu splotu mięśni i ścięgien. Potulnie czekał na korytarzu pogodzony z każdym ludzkim wyrokiem. Zawsze zachowywał się w taki sposób. Zamykał się w sobie, uciekał od problemu i okrywał się skorupą surowej niedostępności. Cierpiał tylko w duszy, zmuszając do cierpienia każdego, kto widział jego stan.

Deryło nigdy im nie wybaczył, że nie zaakceptowali woli Romana. Że w imię egoistycznych pobudek nie pozwolili mu odejść tak, jak by sam tego chciał i jak na to zasłużył.

Mimo wszystko nie spodziewał się, że będzie to trwało tak długo. Dlatego wiadomość, że ciało Romana zaatakował wirus, powinna przynieść ulgę. A jednak napawała go niepokojem. Stłumione wspomnienie brata odżyło na nowo. Powracało każdego dnia. Przeszkadzało w pracy i w wyciąganiu logicznych wniosków. Torpedowało analityczny umysł komisarza.

Wciąż zaciskając lewą dłoń na kierownicy, a prawą na dźwigni zmiany biegów, kierował się do domu. Silnik citroena warczał na wysokich obrotach. Nigdy nie lubił zimy. Odtrącając sentymenty, trzymał się tego, co realne. Wiedział, że tylko w ten sposób uratuje tych, których jeszcze dało się uratować. Potencjalne ofiary. A może i te, które już przygotowano do złożenia.

Wciąż czuł, że coś mu umyka. Musiał to tylko uchwycić.

Matka nadal nie dzwoniła. Po raz pierwszy od wielu dni Deryło zasiadł z rodziną do późnego obiadu. Po raz pierwszy od wielu dni na twarzy córki zobaczył niewymuszony uśmiech. Jedli lasagne, rozmawiali na nic nieznaczące tematy i cieszyli się sobą. Ewa i Wiktoria sączyły wino, a komisarz sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy.

Święta, święta i po świętach...

W jego sercu zagościł pozór normalności. Jednak mózg wciąż analizował zebrane dowody. Raz po raz z każdej możliwej perspektywy.

– Na pewno nie napijesz się z nami? – Ewa wskazała na opróżnioną w dwóch trzecich butelkę. – Może choć kapkę?

– Nie mogę. Mam piekielną ochotę na coś mocniejszego, ale wolę zachować trzeźwą głowę.

– Przyjedziecie do mnie do Mediolanu?

Pytanie Wiktorii przecięło załazek niepotrzebnej dyskusji. Deryło chciał pogłodzić jej długie, kręcone włosy, ale w ostatniej chwili powstrzymał rękę. Nie potrzebowała teraz ckliwości. Zresztą sam wolał powstrzymać napływ wzruszenia.

– Z wielką chęcią. – Ewa popatrzyła na męża. – Jak tylko uda się nam zgrać urlopy.

Komisarz wzruszył ramionami. Wielkim łykiem soku dał sobie chwilę na opanowanie niezrozumiałego napływu emocji.

– Uda się – zapewnił.

– Kiedy?

– Może w połowie lutego? Wtedy te parę stopni więcej zrobi różnicę.

– Nie spodziewałabym się upałów. – Wiktorię wyraźnie ucieszyła reakcja ojca. – Ale moglibyśmy pojechać nad Gardę albo zrobić jednodniowy wypad na narty.

- Nie wiem, czy dam radę wcisnąć kombinezon.
- Deryło wypiął brzuch.
- Nie przesadzaj. – Ewa się uśmiechnęła. – Włosi mają zaniżoną rozmiarówkę. Na pewno coś wykombinujemy. Nawet na ciebie.
- Kiedyś zjeżdżało się w kozuchu i nikt w tym nie widział problemu.
- W Polsce. A we Włoszech poza fluorescencyjnym kombinezonym niezbędny jest jeszcze markowy kask i okulary.
- Gdzieś w piwnicy leży ten, który dostałem na pięćdziesiątkę.
- Z napisem „Piwo to moje paliwo”?
- Chłopcy nie mieli lepszego pomysłu.

Poprzekomarzali się jeszcze przez chwilę, wspominając nietrafione prezenty, jakimi od lat zarzucali go podwładni. W pewnym momencie Deryło przeprosił i popędził do gabinetu. Szwendająca się z tyłu głowy myśl zaczęła maszerować ku językowi. Zaczęła się klarować na tyle wyraźnie, że lada moment mógłby ją wyartykułować.

Tylko dlaczego tego nie robił?

Dopadł do biurka i wyciągnął część notatek, które wziął ze sobą do domu. Kilka zdjęć, kserówki raportów, odręczne zapiski. Wszystko schludnie ułożone, posegregowane w oddzielnych koszulkach i poznakowane samoprzylepnymi karteczkami.

Przez godzinę skrupulatnie przeglądał kolejne dokumenty. Wreszcie wstał, podszedł do zabytkowego gramofonu i ze zbioru płyt wybrał *Bal maskowy* Verdiego. Opera, która rozogniła włoskie dążenia narodowyzwolenicze, pod batutą von Karajana zyskała unikalny wydźwięk. Atmosfera spisków i zakulisowych intryg doskonale oddawała nastrój komisarza.

Kotłowanina niedopowiedzeń...

Deryło wrócił do biurka, wyciągnął bloczek papieru i położył go obok kilku stosików dokumentów. Nagle przypomniał sobie słowa Tracza po rozmowie z Iksem.

Ludzie z tą przypadłością potrafią się doskonale maskować, a on odegrał przede mną całe przedstawienie osobowości. Na pewno miał w tym jakiś cel.

Igła delikatnie złobiła rowki płyty. Melodia zgrała się z myślami.

Deryło wyciągnął notes i pośpiesznie wyszukał w nim numer telefonu. Kolejny odnalazł w internecie, licząc, że mimo późnej pory nie tylko on jeden na tym popapranym świecie robi nadgodziny.

Kilka minut później z podekscytowaniem słuchał rozmówcy.

– Już niedługo wszystko skończymy – odezwał się Cień beznamiętnym tonem. – Strasznie nabałaganiliśmy.

Daria Lipner leżała bez ruchu na zimnej, nagiej posadzce. Okrywał ją gruby, wełniany koc, ale nie miała siły się nim owinąć. Po tym, gdy krew i strzępy języka zaległy w jej gardle, straciła przytomność. Ocknęła się po kilku godzinach. Na stojaku obok żaloznego legowiska wisiała kroplówka. Bezbarwny płyn ściekał ku wenflonowi umieszczonemu w jej ramieniu.

Przez chwilę nie mogła się zorientować, czy ręce ma skrępowane czy całkowicie bezwładne. Dopiero gdy wyczuła opór stawiany nadgarstkom, zrozumiała, że nie została sparaliżowana. To odkrycie wcale jej nie ucieszyło.

Nie czuła bólu. Cała jama ustna pozostawała pod wpływem środka znieczulającego. Odrętwienie, jakie powodują specyfiki używane miejscowo przez dentystów, obejmowało wszystkie zęby, oba policzki, wargi i tylną ściankę gardła.

Nie miała żadnej kontroli nad ustami. Nie potrafiła choćby jęknąć. Czuła chłód wdychanego powietrza w nosie i ruch klatki piersiowej. Miała wrażenie, jakby pozostała część układu oddechowego została wykrojona z jej ciała. Słyszała jedynie monotony skrzek. Odgłos przypominający dziecko, które z przyłożoną do języka szpatułką ma wymówić literę „a”. Dziecko, które w niej tkwiło, najwyraźniej nie miało siły. Z jej trzewi wydobywało się tylko jednostajne, ciche rżenie.

– Już niedługo wszystko skończymy – powtórzył Cień, jakby chciał się upewnić, że usłyszała. – Ale jeszcze nie teraz.

Odszedł w głąb pomieszczenia, znikając Lipner z oczu. Podeszwy jego butów szurały o żwir, piasek i warstwę śmieci. Zatrzymał się przy drzwiach. Słyszała, że wkłada w nie klucz, ale go nie przekreca. Po chwili zawrócił w jej stronę. Stanął tuż nad nią i splótł dłonie na piersi.

Widziała, jak falują w rytmie jego głębokiego oddechu.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że oddycha w takim samym tempie jak ona. Kiedy tylko wstrzymała na kilka sekund powietrze, on zrobił to samo. Wypuściła je, wzmagając rżenie własnych trzewi, a Cień wydał z siebie identyczny odgłos.

– Radziliśmy sobie tak dobrze – mruknął, teatralnie wzdychając. – Ale zaczęłaś się buntować. Kto by przypuszczał, że wyrośnie z ciebie tak rozkapryszona dziewczynka?

Obszedł Lipner i kucnął tuż za jej głową. Poczula jego zapach. Poczula, jak dotyka jej ramienia, a potem jego dłoń wędruje wzdłuż jej boku i ku piersi. Chciała się obrócić, ale nie miała siły. Ciężar senności opadł na jej powieki. Ciągnął je ku sobie i spowalniał bieg myśli.

Cień nagle wstał. Usłyszała, że robi coś przy stojaku z kroplówką. Następnie schylił się, chwycił jej dłoń i sprawdził wenflon. Poczula szczypanie. Zupełnie jakby do żył wtłoczył jej drażniący kwas.

Senność rozviała się w ułamku sekundy. Serce zakołatało, oddech mimowolnie przyspieszył, a rżenie dobywające się z jej gardła przypomniało stłumiony krzyk.

– Chyba będę ci musiał wyciąć powieki. – Cień stał tuż nad nią, obrócony plecami do żarówki. Stukał palcem w podbródek. – Zamykasz oczy tak samo jak wtedy w akademiku – sapnął, po czym nagle zmienił głos: – Moja najdrozsza siostsycko.

Hydropneumatyczne zawieszenie C6 walczyło z nierównym podłożem. Nad wąską drogą garbiły się powykręcane drzewa, dzięki czemu nie pokrywała jej zbyt gruba warstwa śniegu. Szalejący wiatr zwiął drobne płatki i odsłonił lodowe tory.

Deryło zdawał sobie sprawę, że zatrzymanie się lub choćby wytracenie prędkości będzie się równało końcowi podróży. Na takiej nawierzchni nie poradziłby sobie nawet traktor. Redukując biegi, sunął do przodu. Modlił się, aby nic nie wyskoczyło mu przed maskę. Choć do celu miał jeszcze ponad kilometr, jechał tylko na światłach postojowych. Wolał dmuchać na zimne. A raczej na lodowate, bo o ile francuski termometr nie oszalał, na zewnątrz było minus dwanaście stopni.

Przynajmniej nie padało. Z pracującego pełną parą ogrzewania buchało ledwie letnie powietrze. Niczym czerwcową bryza znad Bałtyku. Tylko że zamiast przyjemnego powiewu ozonu niesło smród stęchlizny. Od zakupu auta Deryło ani razu nie zajął się odgrzybianiem ani zmienianiem filtrów. Nigdy nie było na to czasu.

Używając hamulca ręcznego, wszedł w ostry zakręt. Autem zarzuciło, ale utrzymał właściwą trajektorię jazdy. Gdyby znalazł się tu w innych okolicznościach, podróż mogłaby nawet sprawiać mu frajdę. Trochę zabawy na podmiejskich bezdrożach.

Zamiast czerpać jakąkolwiek przyjemność, porządkował wszystkie zdobyte informacje. Wreszcie nie chybił. O ile przesłanki bezsprzecznie były logicznie poprawne, to nie miał pewności co do wyciąganych wniosków. Mógł myśleć po prostu życzeniowo. Mógł być równie naiwny jak pies wabiony zatrutą kiełbasą.

Ponownie myśli o Romanie zaczęły dobijać się z podświadomości. Wywołało je samolubne pytanie o przyszłość. W takich chwilach jak ta padało niemal za każdym razem. Czy gdyby coś mu się stało, rodzice cierpieliby tak samo? Tak samo przez całe lata tłumiliby w sobie

gniew, stając się wreszcie wyzutymi z emocji cieniami? O ile cień mógłby stać się czymkolwiek innym niż cieniem.

Jeżeli taką samą logiką kierował się, jadąc tutaj, to mógł już wracać do domu. Bezsensowność myśli i wyrzutów sumienia nie pozostawiała złudzeń. A jednak ciążyła mu od wielu lat. Nawet najbardziej racjonalny człowiek przegrywa walkę z własnymi demonami. Uświadomił to sobie wystarczająco dawno temu, by wiedzieć, że nigdy się z tym nie pogodzi.

Droga dobiegała końca. Zwęzłała się, gubiła wśród płataniny zmrożonych krzewów, by zamienić się w szczelinę ograniczoną szpalerami drzew. Bezlistna gałąź otarła się z jękiem o prawe okna samochodu. Drobne, drewniane koniuszki ułożyły się w kształt omdlałej dłoni chcącej dostać się do auta.

Zaskrzypiały.

Deryło zwolnił i zjechał maksymalnie na bok. Zostawienie auta na śniegu było lepszym pomysłem niż zatrzymanie się na wyczyszczonym przez wiatr lodzie. Koła zacharczały i wbiły się w biały puch. Samochód stracił przyczepność, a komisarz pozwolił mu spokojnie osiąść na symbolicznym poboczu. Nie było czasu na zastanawianie się, w jaki sposób miałby wrócić.

Improwizował.

Wyłączył silnik i zgasił światła. Przez chwilę starał się przyzwyczaić oczy do ciemności. Zimowe, śnieżne noce są zawsze jaśniejsze od letnich. Mimo to wziął ze sobą latarkę oraz zapasową baterię, która obijała się w kieszeni o rzymski sesterce. Doświadczenie nauczyło go, że bieganie z włączonym fleszem telefonu bywa upierdliwe.

Postawił kołnierz płaszcza i wysiadł z samochodu. Lodowaty wiatr niczym bicz smagnął go po twarzy. Minus dwanaście było tylko pobożnym życzeniem francuskiego miernika. Odczuwalna temperatura musiała być znacznie niższa.

Komisarz włączył latarkę i oświetlił nią złożoną w niewielki kwadrat mapę. Oznaczona na niej ścieżka kończyła się w połowie przejechanej przez niego drogi, więc musiał odtworzyć jej rzeczywisty przebieg. Analizując pokonane zakręty, był w stanie określić swoją pozycję w przybliżeniu do kilkudziesięciu metrów. Obrócił się, starając ustalić, gdzie dokładnie jest północ. Chyba po raz pierwszy w życiu przydałby mu się kompas.

Zdając się na wyczucie, ruszył w głąb lasu. Skórzane podeszwy ślizgały się, ale nie zwalniał kroku.

Jeżeli miał rację, od bestii dzielił go niespełna kilometr.

Otwarcie oczu, oślepiająca jasność, suchość w ustach. Światło wrzynające się w źrenice jak szpilki.

Palący ból przełyku, szyi i karku. Powracające pierwsze wspomnienia ostatnich chwil świadomości. Droga do domu po dyżurze, SMS od żony, która dwie godziny wcześniej wyszła do pracy, nieoczekiwany dzwonek do drzwi. A przy tym myśli, które przez całą noc kołatały mu się w głowie. Słowa wypowiedziane przez napastnika.

– Proszę pani... Siostrze...

(Doktorze! Pan Iwański się obudził!).

– Siostrze...

– Słucham pana? Jak się pan czuje?

– Muszę...

Głęboki oddech. Iwański sapnął i zakaszał, usiłując odcharknąć ślinę. Na szyi miał fioletowo-bordowy pas kontrastujący z bladą skórą. Jego oczy były przekrwione, a bruzdy pod nimi głębokie i ziemiste. Zakaszał raz jeszcze. Pielęgniarka zatrzymała się przy łóżku i sięgnęła po stojący na metalowej szafce kubek. Nalała z butelki wody i podała go Iwańskiemu.

Mężczyzna drżącą dłonią podniósł go, ale nie mógł trafić do ust. Kilka kropel wody rozlało się na pościel i białą, bawełnianą koszulkę. Pielęgniarka pomogła mu się napić. Pojedynczy łyk uwiązł w gardle psychiatry, wywołując napad rżężącego kaszlu.

Iwański odstawił kubek i podciągnął się na łóżku. Oparł głowę o poduszkę.

– Muszę natychmiast rozmawiać z policją – wychrypiał. – Proszę mi...

Kolejny napad kaszlu wstrząsnął jego ciałem.

„Brak czucia w stopach będzie następnym etapem”. Ta myśl mogłaby być pocieszeniem, gdyby etap poprzedzający nie przypominał średniowiecznych tortur. Miażdżenia kończyn imadłami i łamania kołem w jednym. Deryło starał się poruszać palcami. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak oblane ciekłym azotem pękałyby, rozsypując się na drobne kryształki.

Przynajmniej płaszcz był ciepły. Model wzorowany na kroju zimowego okrycia amerykańskich żołnierzy z drugiej wojny światowej niemalże nie przepuszczał wiatru. Zaskakujące, że jego porywy potrafiły przedrzeć się przez gąszcz lasu i nacierać z siłą utrudniającą marsz. Łomotały wśród gałęzi, po czym ze świstem kierowały się ku oprószonej śniegiem ściółce.

Deryło miał wrażenie, że w świetle latarki błysnęły ślepia dzikiego zwierzęcia. Dwie skrzące się plamki wzierające spośród drapieżnej pustki. Refleks trwał tylko ułamek sekundy, po którym wzdłuż linii drzew przemknął giętki cień.

Wilk? Raczej nie było ich w tej okolicy. Chociaż w ostatnich latach zdarzało się, że docierały daleko poza dotychczasowe niewielkie stanowiska w południowej Polsce. Migrowały w poszukiwaniu nowych żerowisk i rozprzestrzeniały się wraz z odtwarzającymi się populacjami.

Wilk nie wydawał się niczym groźnym. Niewiele dalej w gęstwinie lasu mogło się czaić znacznie większe zło.

Klucząc wśród drzew, Deryło dotarł do krawędzi łagodnego jaru. Kilka metrów niżej, pod taflą lodu wił się wąski strumyk. Spodziewał się, że będzie go musiał przekroczyć dopiero za kilka minut, ale znaczyło to, że przynajmniej kierował się we właściwą stronę.

Przystanął, oświetlając mapę. Kształt jaru mógł się zmienić pod wpływem rozłożenia mas śniegu, ale ostry zakręt stanowił dogodny punkt orientacyjny. Nie dało się go pomylić z niczym innym w promieniu paru kilometrów. Wcześniej planował pokonać go, idąc dnem wąwozu, lecz

plany wymagały modyfikacji wraz z rozwojem wydarzeń. W ciemności musiał przegapić łagodne zejście, a obrona trasa stanowiła zarazem najkrótszą.

Miażdżone przez mróz stopy zagłuszały przezorność.

Komisarz schował mapę i ledwo utrzymując równowagę, zsunął się po zboczu. Zmrożona gałąź, której chwycił się niemal nad samym strumieniem, trzasnęła pod jego ciężarem. Bez jakiegokolwiek oparcia, mając śliski grunt pod stopami, wylądował na rozcinającej jar na dwie części oblodzonej ścieżce.

Usłyszał trzask i w ostatniej chwili zdążył się przeturłać na ośnieżony brzeg. Podniósł się, klnąc pod nosem. Otrzeptał spodnie, płaszcz i upewnił się, że latarka nadal działa. Na szczęście jej światło natychmiast omiotło przeciwną stronę zbocza. Wiatr wysmagał je aż do zamrożonej ziemi, odsłaniając zionące ciemnością jamy i kręte korzenie.

Deryło wybrał najłagodniejszy odcinek. Przełożył latarkę do lewej ręki, a prawą asekurował się przed upadkiem. Do drętwiejącego bólu stóp dołączyło palenie w boku. Gimnastyka wspinaczki rozciągała skórę na szwach. Za wszelką cenę starał się nie poślizgnąć. Balansował ciężarem ciała, pochylając się jak skoczek narciarski w locie.

Wreszcie stanął na szczycie zbocza i głęboko odsapnął. Zgiął się wpół. W ten sposób napięcie boku na chwilę zelżało, a ból niemal ustąpił. Coraz bardziej złościła go własna nieporadność. Nie pozwalając sobie na biadolenie, ruszył naprzód.

Na przekór wszystkiemu stawiał długie, sprężyste kroki. Przypominał pątnika, który biczuje się w pokucie za grzech samoudręczenia.

To, czego szukał, musiało znajdować się już całkiem niedaleko. Gdy przebrnął przez gęsty iglasty zagajnik, naszło go nagłe zwątpienie. Być może szukał po omacku ziarenka maku w piaskownicy. Na podstawie domysłów włączył się po bezdrożach, zamiast ściągnąć tu armię funkcjonariuszy.

Pula chybionych strzałów była jednak na wyczerpaniu.

W chwili, gdy o tym pomyślał, okazało się, że tym razem nie chybił.

Najwyraźniej od początku miał rację.

Podzielone kratami okno zionęło ciemnością. Cztery czarne kwadraciki w dwóch szeregach. Cztery czarne wspomnienia wolności i mroźnego, świeżego powietrza. Oko kamery pilnie lustrowało pomieszczenie. Czerwone światełko dawało pewność, że tryb nagrywania został uruchomiony.

Całodobowa obserwacja.

Całodobowe upokorzenie.

Ich patrzenie czasem sprawiało de Sade'owi frajdę. Dzieciak miał to w nosie, a Borgia traktował jako niemoralne. Tylko Ciul był z tego powodu wiecznie wkurwiony. Najchętniej podskoczyłby i wymierzył kamerze solidnego kopa. Umiał to zrobić jak nikt inny.

Iks podniósł się z łóżka i przeciągnął. Ostentacyjnie napiął mięśnie starzejącego się ciała. Wstał i nie zważając na podwiniętą koszulę, zrobił dwa kroki w stronę kamery. Tyle wystarczyło, żeby znalazł się tuż pod nią. Rybie oko lustrowało panoramicznie wszystkie zakątki. Przesłonięte ciemną, ochronną błoną odbijało światło żarówki.

– Hej, wy tam – zagadnął, kierując spojrzenie to w lewo, to w prawo, jakby rozglądał się za niebezpieczeństwem. – Jesteście tam, prawda?

Uśmiechnął się. Odślonił paliczkowate zęby i połechtął językiem wargi. Nad górną wyczuł strzępy ostrego zarostu. Odkąd trafił do izolatki, nie pozwolono mu się ogolić. Nie przeszkadzało mu to, choć Dzieciak cierpiał, ilekroć dochodził do pełnej świadomości. Broda przypominała mu o nieuchronnym upływie czasu. Coraz mniej komfortowo czuł się w starzejącym się ciele i coraz rzadziej dobijał do głosu. Czasami robił to tylko po to, aby się wyplakać. Zwijął się przy ścianie i chlpał, nerwowo uderzając dłońmi o podłogę.

– Wy pierdolone skurwysyny – głos Iksa pozostał nienaturalnie łagodny. – Niczego nie rozumiecie, tępi mądrzący się debile. Martwicie się o swoją koleżaneczkę? Zastanawiacie się, co

się z nią stało? Wy pieprzeni idioci.

Odwrócił się do kamery plecami. Pochylił głowę i rozluźnił ramiona. Jeżeli ktoś raz cię zdradzi, nigdy już nie można mu zaufać. Ktoś, komu w aucie przy stu kilometrach na godzinę zapowietrzył się pedał hamulca, już zawsze będzie o tym pamiętał, przekraczając pewną prędkość.

Tego nie musiał im tłumaczyć. Ze strachu mieli już gacie wystarczająco wypchane gównem. Czuł smród ich przerażenia, jakby przenikał dziesiątki ścian i murów. Czuł go, bo każda z osobowości była cholernie empatyczna.

Tymczasem korytarzami jego umysłu niespiesznie nadchodził de Sade.

Przymknął powieki, a gałki oczne poruszyły się pod nimi w epileptycznym tańcu. W tym samym rytmie zaciskał i rozluźniał pięści. Stał lekko zgarbiony, wciąż odwrócony tyłem do rybiego oka kamery.

– Powinienem ją zabić – wycedził, ledwie otwierając usta. – Wypruć z niej flaki. Wiecie, jak to się robi? Pewnie tak. Pewnie na tych swoich śmiesznych studiach naoglądaliście się cięcia trupów. Może asystowaliście przy jakiejś operacji? – Zrobił krok do przodu i uniósł dłonie, jakby się poddawał. – No tak... To, co robię, nieco bardziej przypomina nieudane operacje. Bez znieczulenia. Tylko że, u licha, tych biednych ludzi nigdy nie nazywałem pacjentami. O ironio, wiecie, że po łacinie *patiens* to po prostu osoba cierpiąca? A pokrewne *patientia* oznacza znoszenie czegoś? Kpina losu, prawda?

Gwałtownie się odwrócił i ruszył w stronę kamery. Splunął prosto w obiektyw. Plwocina rozbryznięta się wokół i skapnęła z sufitu na podłogę.

– Trzeba z nią skończyć – zawyrokował beznamyślnie. – Rozpruć ją tak, jak rozprułem jej język. Wykrawać każdy mięsień jej ciała, każdą żyłkę, ścięgno i nerw. Plum – zaintonował, trącając niewidzialną strunę. – Plum, plum.

Tym razem splunął na dłoń i ostentacyjnie się przeżegnał.

Przynajmniej wyobrażał sobie, jak to robi.

Był tu i tam. Jednocześnie.

Dzięki swojej empatii.

Chociaż tu, gdzie się znajdował w rzeczywistości, nie było ani podzielonego kratą okna, ani łypiącego oka kamery, ani nawet samotnej pryczy.

Intensywnie zamrugał, żegnając się z tymi cyrkami. Empatia pozwalała mu doskonale zrozumieć innego człowieka i wczuć się w jego sytuację. Szczególnie że przez te lata doskonale go poznał. Jak przyjaciela. A może nawet jak przyszywanego ojca.

Jednak codzienne, kilkakrotne wyobrażanie sobie tego, co przeżywa osadzony w izolatce połowiczny dement, bywało męczące. Stanowiło jeden z rytuałów, które przywarły do jego osobowości. Kazało mu współczuć. Roztrząsać, co by powiedział i czego by oczekiwał.

A później spełnić te oczekiwania.

Wobec spętanej Lipner leżącej w sąsiednim pomieszczeniu.

Gdyby Deryło był myśliwym, mógłby ocenić świeżość śladów na śnieżnej ścieżce. Jako policjant zwrócił uwagę na rozmiar butów (podobny do swojego) oraz ich niezbyt urozmaicony bieżnik. Ślady zadeptywały pojedynczą, szeroką na mniej więcej trzy centymetry bruzdę, znacznie mocniej wciśniętą w ziemię. Gdyby nie był policjantem, nie pomyślałby pewnie, że to tor pozostawiony przez taczkę lub podobny sprzęt pchany przez nieznanego mężczyznę. Biorąc pod uwagę zagłębienie, należało przyjąć, że został dość poważnie obciążony. Nawet punktowy nacisk jednokółki bez sporego ładunku nie pozostawiłby w zamrożonej ziemi tak wyraźnego śladu.

Metalowa taczka mogła ważyć do dwudziestu kilogramów. Przewożony ładunek musiał być dwu lub nawet trzykrotnie cięższy. Jak ciało drobnej kobiety.

Wyobraźnia podsuwała najmroczniejsze obrazy. Smagane wiatrem drzewa jęczały niczym nienasmarowane łożysko. Odgłos osuwającego się z gałęzi śniegu przypominał sapanie wysiłającego się mężczyzny.

Las wypełniały niepokojące dźwięki.

Deryło odwrócił się i osłonił latarkę dłonią. Przepuścił stłumioną wiązkę światła pomiędzy palcami. Bunkier stanowił konstrukcję podobną do tej, którą odnaleźli przed kilkoma dniami. Wystawał niespełna pół metra ponad powierzchnię ziemi, a do głównego wejścia prowadził szereg pokruszonych, betonowych schodów. W nocy przypominał upiorny okręt wyrócony do góry nogami pośrodku leśnego bezkresu. Szyb wentylacyjny przeżył się niczym stępka, a jego okrągłe ujście wyglądało jak zionący pustką bulaj.

Komisarz, stawiając ostrożnie kroki, zszedł po schodach. Zatrzymał się przed grubymi, doskonale wpasowanymi wrotami i bez zastanowienia chwycił za obrotową klamkę, podobną do tych montowanych w sejfach. Zamek zgrzytnął, a stalowa płyta odskoczyła. Wiatr zawył,

przeciskając się przez wąską szczelinę.

Wyciągnął pistolet i postąpił krok naprzód. W bunkrze panowała całkowita ciemność, przez którą z trudem przedzierało się stłumione światło latarki. Na wszelki wypadek wolał nie zdradzić od razu swojego położenia.

Cicho jak kot wślizgnął się do środka i przymknął za sobą drzwi. Tępe kliknięcie wydało się głośniejsze od kościelnego dzwonu. Przez chwilę stał, nasłuchując. Miał wrażenie, że gdzieś z oddali dobiega warkot generatora prądu. Albo czegoś podobnego.

Odsunął dłoń od skierowanej w dół latarki i rozejrzał się po pomieszczeniu. Miało wymiary niewiele większe od jego gabinetu, ale strop wisiał tuż nad głową. Gdyby był kilka centymetrów wyższy, musiałby poruszać się schylony.

Po obu stronach znajdowały się odnogi korytarza. Nie blokowały ich żadne drzwi, a światło ginęło gdzieś w gęstości mroku. Mechaniczny pogłos niósł się echem bez możliwości ustalenia, z której strony dobiega. Odbijał się od betonowych ścian i nawarstwiał.

Deryło pogładził nadgarstkiem kieszeń, w której tkwiła srebrna moneta. Nie dawała mu żadnego pokrzepienia. Nie natchnęła żadnymi pomysłami, a jednak sprawiała, że poczuł się różnie. Albo chciał się tak czuć.

Znajomy historyk, do którego zadzwonił, natychmiast dotarł do właściwych planów. Bez problemu odnalazł obiekt podobny do bunkra odnalezionego przez komisarza przed trzema dniami, ale za cholerę nie był w stanie dokopać się do jakiegokolwiek wyrysu jego wnętrza. Intuicja mogła doprowadzić do przypadkowo słusznych przesłanek. Przejmująco słuszne przesłanki z całą pewnością prowadziłyby do fałszywych wniosków.

Deryło rozsunął poły płaszcza i ściągnął rękawiczki. Schował je do kieszeni, po czym zrobił kilka kroków, zanurzając się w korytarzu po lewej. Zatrzymał się, głęboko wciągnął powietrze i natychmiast przemaszerował do przeciwległego odgałęzienia.

W korytarzu, do którego wszedł, było minimalnie cieplej niż w poprzednim. Gdyby nie mróz panujący na zewnątrz i skostniałe palce, być może wcale by tego nie poczuł. A jednak w tym momencie był wrażliwy na zmiany temperatury jak lakier termiczny na paznokciach jego żony.

Oślaniając latarkę, ruszył przed siebie. Starał się iść bezgłośnie. Na szczęście korytarz nie był zaśmiecony, a porastająca posadzkę warstwa mchu tłumiała kroki. Gdy przeszedł kilkadziesiąt metrów, warkot generatora stał się głośniejszy, a echo jeszcze wyraźniejsze. Zapach wilgoci mieszał się ze słodkawą wonią benzyny. Korytarz skręcał pod kątem prostym, po czym zwęził się, ale strop znajdował się tu na nieco większej wysokości. Deryło miał wrażenie, że z każdym krokiem schodzi coraz głębiej pod powierzchnię ziemi. Powietrze było wyraźnie cieplejsze.

Czuł, jakby zbliżał się do piekła.

Pacjent zero – taki pseudonim zyskał Iks po przetransportowaniu z bloku Z do stricte szpitalnego bloku A. To znaczy, w ten właśnie sposób nazywał go biały personel, gdyż opaska na nadgarstku opisywała go po prostu „N.N.”

Do tej pory ze względu na pobyt na oddziale psychiatrycznym wykonano jedynie podstawowe badania związane z formalnym przyjęciem do placówki. Zresztą ze względu na oznaczenie pacjenta zero jako potencjalnie niebezpiecznego, również ich zakres zawężono do absolutnego minimum. Od kilkunastu godzin u Iksa obserwowano wzmożoną ospałość. Przy posiłku dwukrotnie plastikowe sztucze wypadały mu z rąk. Tracił koncentrację, co uznano za chęć zwrócenia na siebie uwagi. Dopiero doktor Starecki dostrzegł błąd błon śluzowych, a następnie wybroczyny na spojówkach i dziąsłach.

Wymagane było natychmiastowe działanie.

Już ucisk lewego podżebrza pozwalał wyczuć powiększenie śledziony. Badanie obrazowe wykazało, że waży około trzystu gramów, a więc prawie półtora raza więcej, niż powinna. Różnica wynikała z ilości krwi, którą ten największy z ludzkich organów limfatycznych wchłoniął jak gąbka.

Po niespełna kwadransie od rozpoczęcia procesu diagnostycznego pacjent zero wypróżnił się pod siebie mieszanką stolca i bordowej krwi. Również jego mocz przypominał rozcieńczony sok buraczany. Liczne krwotoki wewnętrzne wskazywały kierunek natychmiastowego działania. Zarządzona została pilna transfuzja, przy czym podano dożylnie witaminę K1 w tempie jednego miligramu na minutę. Tak mówiły procedury.

Starcze bezwładne ciało nie wyglądało na groźne. Wstrząsane konwulsjami było tak samo bezbronne i odrażające, jak noworodek moment po urodzeniu. Nawet jego paliczkowate zęby wyzieraające zza lekko rozwartych warg i zapadnięte gałki oczne jedynie uwypuklały wizerunek

ludzkiego kresu. W takich chwilach dla każdego profesjonalnego lekarza seryjny morderca staje się jedynie wołającym o ratunek pacjentem.

Dla doktor Svälja (nazwisko otrzymała po mężu Szwedzie, aczkolwiek nadal częściej przedstawiała się jako Kosowska) kontakt z pacjentem zero stanowił ciekawe przeżycie duchowe. Z jednej strony odczuwała do niego ogromną odrazę, a z drugiej miała wrażenie, że wypełnia wolę Bożą. Jeżeli dane jej było go uratować, musiał w tym istnieć jakiś sens. Tak samo, jak można go odnaleźć w każdej zbrodni, w każdym grzechu i w życiu każdego grzesznika.

Nie musiała go rozumieć. Musiała jednak działać w taki sposób, by uratować ludzkie życie. Ten jedyny, niepowtarzalny dowód boskiego tchnienia danego światu. *Stworzył Bóg człowieka na swój obraz*”.

Wycinek Księgi Rodzaju, który kazał jej widzieć w udręczonym, dogorywającym ciele część Pana. Gdzieś tam tkwił w nim, choć może całkiem stłumiony i skryty. Jeżeli go uratuje, może zrozumie, że to właśnie od Boga dostaje drugie życie? Gdyby taka okazała się tajemnica biegu wydarzeń, byłaby całkiem zadowolona.

Na razie doktor Kosowska-Svälja analizowała wyniki zebranych badań. Całościowy, pospiesznie wykreowany obraz sytuacji układał się w spójną całość. Podejrzewała zatrucie bromadiolonem, czyli kumarynowym antykoagulantem krwi występującym między innymi w trutkach na szczury. Zanim laboratorium potwierdziło diagnozę, podjęła właściwe działania. Nawet jeżeli jej przypuszczenia były fałszywe, nie mieli czasu na zwłokę.

Czasem bromadiolon jako jedna z niewielu substancji ukazywał swoją zabójczą naturę dopiero po kilku dniach od podania. To by się zgadzało.

Pacjent zero był niczym bomba z opóźnionym zapłonem i właśnie wybuchął.

Betonowa ściana była wilgotna i zimna. Przypominała płytę nagrobną, którą Deryło chętnie by rozbił na drobne kawałki. Byle tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Byle uwolnić się z klaustrofobicznych podziemi... Miał wrażenie, że wokół bezgłośnie przemykają dziesiątki drobnych stworzeń. Nerwowy skurcz łaskotał mu łydkę, jakby wspinało się po niej mrowie pajaków. Szły coraz wyżej, wbijając swoje owłosione odnóża tuż pod kolanem.

Mimo to przywarł do szorstkiej powierzchni i zastygł w bezruchu.

W głębi korytarza dostrzegł cieniutką, żółtą kreskę światła. Poza warkotem generatora wokół panowała martwa cisza. Nie przerywało jej zawodzenie wiatru, plusk spadających kropli ani jęczenie drzew rosnących ledwie kilka metrów od stropu bunkra. Cisza potrafiła sparaliżować. Każdy krok brzmiał jak odgłos nasuwających się płyt tektonicznych. Każdy oddech świszczął jak gwizdek czajnika.

Wyłączył latarkę i schował ją do kieszeni. Tłumiąc rękawiczką kliknięcie, odbezpieczył broń.

Ruszył w żółtym tempie wzdłuż ściany. Najchętniej zdjąłby buty i szedł na bosaka, ale obawiał się, że coś rozrzucono na podłodze. Poza tym w przemarzniętych stopach wciąż nie miał czucia, a skóra butów pozostawała złączona ze skarpetkami kryształkami lodu.

Linia światła stawała się coraz wyraźniejsza. Szczelina znajdowała się kilkanaście, maksymalnie dwadzieścia metrów od komisarza. Napawała go niepewnością jak przejście do innego, nieznanego wymiaru. Nie wiedział, czego się spodziewać za drzwiami.

Oczekiwanie na wsparcie nie wchodziło w grę. Liczyła się każda minuta. Każda minuta mogła pociągnąć za sobą kolejne ofiary. Podświadomość kazała mu się spieszyć. Nie pozostawił sobie wyboru, gnając tu na złamanie karku po oblodzonej drodze. Wtedy miał czas na przemyślenia i wyzbycie się wątpliwości.

W tym momencie jego umysł pozostawał ostry jak brzytwa. Nie zaprzętała go żadna myśl o Romanie, córce czy prawidłowości postępowania. Był nastawiony na cel, a linia światła stała się jego emanacją.

Czuł, że zimny pot oblepia mu kark. Skostniałe niedawno mięśnie naprężyły się gotowe do błyskawicznej reakcji. Wyteżał słuch, starając się wychwycić jakikolwiek podejrzany dźwięk.

Tymczasem niezmacona cisza napawała go niepokojem. Zza drzwi nie dobiegał żaden odgłos. Być może znajdował się za nimi po prostu kolejny korytarz?

Sieć wojennych umocnień mogła się ciągnąć kilometrami, schodząc coraz niżej pod ziemię. Zgodnie z informacjami, które udało mu się zdobyć, fortyfikacje zostały porzucone przez Niemców bez walki, a po wojnie na krótko przejęły je wojska radzieckie. Były zbyt daleko na wschodzie, aby stanowić zabezpieczenie przed krwiożerczym kapitalizmem, a zarazem za bardzo na zachodzie, by pozwolić polskiej armii je modernizować. Dlatego już w latach pięćdziesiątych całkowicie je opuszczono, a niektóre fragmenty zostały wysadzone.

Dziesięć metrów do świetlnej szczeliny.

Stawiał kroki coraz ostrożniej. Za każdym razem przed oparciem stopy badał podłogę. Wolał nie zdradzić swojej obecności, rozgniatając przypadkowo rozrzucone kawałki szkła lub inne śmieci.

Pięć metrów.

Wyciągnął przed siebie pistolet, w każdej chwili gotów wystrzelić. Palcem delikatnie dotknął spustu. Tym razem ten lekko wygięty kawałek metalu dodawał więcej otuchy niż rzymski sesterc. Deryło przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, starając nie napinać mięśni brzucha. Rana paliła, jakby reagowała na bliskość zagrożenia.

Kolejny krok.

Niespełna trzy metry.

Światło przezierające spod drzwi biło monotonnym, niezmaconym blaskiem. Nawet przez moment nie przesłonił go żaden cień.

Skupiony wzrok lekceważył panującą wokół ciemność. Zlewał wszelkie kontury w kłęby czarnej masy. Wyostrzał się tylko na kilkudziesięciocentymetrowym odcinku jasności dwa, może trzy kroki przed nim.

Deryło zbyt późno zdał sobie sprawę, że w niewielkiej wnęce po jego prawej stronie są ukryte drzwi. Wzrok nie zarejestrował żadnego zaburzenia płaszczyzny. Kiedy mechanizm szczęknał, było już za późno.

Oślepiiony nagłym rozbłyskiem żarówki, nie zdołał się nawet obrócić.

– Niech pan lepiej wyrzuci to żelastwo, komisarzu.

Od razu rozpoznał ten głos. Bez syntezatora brzmiał nadzwyczaj znajomo.

– Jak myślisz, tata mówił poważnie?

– O czym?

– O tym, że przyjedziecie do Mediolanu. Naprawdę uda się go ruszyć?

Wiktoria leżała obok matki tak, jak to robiła niemal każdego wieczoru w dzieciństwie. Trzymała głowę na jej udach i spoglądała w stronę telewizora. Komedialna, w której dwóch dryblasów starało się naśladować wygłupy Jimiego Carreya, nie miała żadnego sensu. Głos był niemal wyciszony, a w ekranie odbijały się światełka choinki. Zapalili je po raz pierwszy. Lepiej późno niż wcale.

Ewa gładziła córkę po włosach. Na ramiona miała zarzucony koc w świąteczne wzory, a na kanapie obok niej stał kieliszek z sokiem brzoskwiniowym. Tego wieczoru nie chciała zasnąć przed powrotem męża. Odkąd komisarz wypadł z mieszkania, z każdym oddechem strach coraz mocniej zaciskał się na jej klatce piersiowej. Mimo że poza pożegnaniem nie odezwał się ani słowem, wiedziała, że stało się coś ważnego. I domyśliła się, że przynajmniej przez jakiś czas będzie działał na własną rękę.

– Oboje chcemy cię odwiedzić – powiedziała, upijając łyk soku. – Myślę, że tata nawet nie chce pokazać, jak bardzo.

– Ciągle nie jest zbyt zadowolony z tego, że tam studiuje. Złości się.

– Wcale nie.

Wiktoria obróciła twarz w stronę matki i uśmiechnęła się blado.

– Przecież widzę – westchnęła. – Nie musisz mnie oszukiwać, że jest inaczej.

– On jest bardzo dumny z twoich studiów. Wiesz, że zawsze się złości, gdy coś idzie inaczej, niż zaplanował.

– Chciał, żebym została lekarką? Prawniczką? Właśnie to zaplanował inaczej?

Ewa Deryło odstawiła kieliszek i pochyliła się nad córką. Jej jasne włosy opadały, mieszając się z ciemnymi lokami Wiktorii.

– Sądzę, że znacznie bardziej pasuje mu architektura niż prawo – stwierdziła z pełnym przekonaniem. – Wścieka go, że nie siedzimy wszyscy na kupie, a jego ukochana córeczka mieszka ponad tysiąc kilometrów od domu.

– Tylko to?

– Dla niego to aż za wiele.

– Zawsze trzymał mnie na sznurku. Mimo że ciągle pracował i nawet nie wiedział, czy jestem w domu.

– Wiedział, że gdy wróci, to wszyscy będziemy w komplecie. Kiedy byłaś mała, lubiłaś, gdy wyjeżdżał w nocy. Bez względu na porę, o której wracał, mogłaś wstać i zostać z nim, jak długo chciałaś. Nie kładł się wtedy spać.

Wiktorcia usiadła na kanapie i podciągnęła kolana pod brodę. Dwóch komików nadal stroiło nieudolne żarty. Potykali się o siebie nawzajem, uciekając przed nieokreślonym niebezpieczeństwem.

– Policja ciągle się przy nas płacze? – zapytała, sięgając po pilota. – Widziałas ich dzisiaj?

– Zdaje się, że tak.

– Jak długo jeszcze?

– Pewnie do odwołania. Tak długo aż... – Ewa Deryło chciała powiedzieć, że dopóki zabójca nie zostanie złapany, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. – Tak długo aż wszystko się nie wyjaśni. Nie ma potrzeby się nad tym zastanawiać...

– Nie przeszkadzają mi. – Wiktorcia wzruszyła ramionami. – Właściwie to całkiem zabawne. Ważne, że nie przychodzą się do nas stołować i nie korzystają z łazienki.

– Dlaczego o nich pomyślałaś?

– Chciałabym wyjść z mieszkania i kupić ojcu prezent. Mam nadzieję, że nie podkablują mu od razu, co wybrałam.

– Wątpię, żeby byli tak spostrzegawczy. Myślisz, że ojciec domyśliłby się, co robisz w galerii handlowej po świętach?

– W życiu.

– No właśnie.

Wiktorcia zachichotała. Wyłączyła telewizor i położyła głowę na ramieniu matki. Pamiętała te noce, gdy ojciec wracał z akcji, brał ją na kolana i czekał, aż usnie. Czasem, aby ją ukołysać, donośnym, głębokim szeptem czytał jej książki. Zazwyczaj swoje ulubione *Dzieje rzymskie* lub *Żywoty cesarów*. Do dziś całe fragmenty mogłaby recytować z pamięci. Naprawdę usypiające lektury.

Lubiła zapach jego gabinetu. To on najbardziej kojarzył się jej z domem. Woń setek starych książek, wypucowanych zabytkowych mebli i ciężkich perfum. Pamiętała regularne tykanie zegara.

– Jak myślisz, gdzie jest teraz?

Nim Ewa Deryło zdążyła odpowiedzieć, odezwał się dzwonek telefonu.

Stacjonarnego.

Gdyby komisarz Deryło dokonał samoanalizy, przekonałby się, że w zasadzie jest altruistą. Albo raczej osobowością bezbrzeżnie empatyczną. Strach, który trzymał go za gardło, a z serca urządził sobie worek treningowy, wywoływał natarczywe pytania. Nie o jego własną przyszłość, ale o przyszłość żony i córki. Postawił ich twarze przed oczami Deryły, jakby miały pozostać świętymi obrazami, do których się będzie modlił w swoich ostatnich chwilach.

Czy naprawdę były dla niego ważniejsze od Boga?

Czy świętość rodziny była istotniejsza od Świętej Rodziny?

Gdyby dokonywał samoanalizy, na pewno postawiłby sobie te pytania. Jednak strach, który zmoczył mu koszulę pod pachami i spłynął wzdłuż kręgosłupa, nie nakłaniał do psychologicznych roztrząsań. Deryło bezwiednie zacisnął dłonie na oparciu takiego samego wózka, na jakim niedawno transportowano Iksa. Z lufą przyłożoną do karku pozwolił się do niego przykuć dwoma parami kajdanek. Niedawno dygotał z zimna, ale teraz miał wrażenie, jakby do żołądka wiano mu gar wrzącej smoły. Adrenalina napięła mu wszystkie mięśnie.

Starał się nie patrzeć na Darię Lipner. Kobieta leżała w rogu pomieszczenia kilka kroków od niego. Była spętana żelaznym łańcuchem, a jej nagie ciało pokrywały kropelki krwi, zebranej w plamę wokół ust. Wyglądała jak postać z plejady gwiazd cyrku grozy.

Ważne, że oddychała. Jej pierś poruszała się płytko, ale dość regularnie.

– Nie zdziwił się pan na mój widok, komisarzu. – Mimo że zdanie kończyły przedłużone głoski, było bez wątplenia stwierdzeniem, a nie pytaniem. – Naprawdę rozgryzł mnie pan?

Miłosz Tracz wyszedł z sąsiedniego pomieszczenia. W dłoni trzymał inżynierski przedłużacz, którego pomarańczowy kabel oplatał kołowrotek. Podobnych konstrukcji używa się na budowach. Są odporne na zabrudzenia, wodę, a nawet nacisk kół ciężarówek.

Lewy kciuk profilera był zawinięty w gazę i obwiązany plastrami, przez które przesączała

się krew. Gdy dostrzegł spojrzenie Deryły, uśmiechnął się. Odstawił przedłużacz i założył dłonie za plecy.

– Kiedy zdał pan sobie sprawę, że to ze mną może być coś nie tak? – Pochylił głowę na bok. Zmrużył oczy i uważnie przypatrywał się komisarzowi. – Pomyślał pan, że jestem szurnięty? Któreś z moich ja nieopatrnie się wydało? No, jak to było, panie komisarzu? Jestem szalenie ciekaw.

Słowo „szalenie” wypowiedział z emfaticznym naciskiem.

Deryło starał się uspokoić oddech. Nawet w takiej chwili poczucie dumy wzbudzało obawę, że odezwie się tonem przerażonego pisklęcia. Poza tym nie pozostawało mu nic innego, niż grać na zwłokę.

– W mailu, który mi wysłałeś, dałeś popoľgować wszystkim swoim ja, prawda? – zapytał, cedząc słowa.

– Powiedzmy, że miałem przyływ dobrego nastroju.

– Przynajmniej wiemy, że nie jesteś popieprzony w stu procentach. – Mógłby się założyć, że żaden żart nigdy nie zabrzmiał tak ponuro. – Nawet ty masz swoje dobre strony.

– Świętojebliwym – wymamrotał Tracz, lekko się uśmiechając. – Przemycił jakąś wiadomość? Niech sobie przypomnę...

Deryło przypatrywał mu się uważnie. Nie zamierzał podsuwać własnych odpowiedzi. Zachowując dla siebie wszystko, czego dowiedział się przez ostatnie godziny, zyskiwał minuty życia. Albo jedynie przedłużał oczekiwanie na śmierć. Myśl o tej drugiej perspektywie nie była pokrzepiająca.

– Wszyscy przecież jesteśmy jak rodzina – wyrecytował profiler. – Od samego początku. I nic tego nie zmienia. Nawet podrzutek i dwa bliźniacze domy.

Kąciki jego ust zdrzwały. Przeczesał dłonią włosy i podskoczył z dziecięcą ekscytacją.

– Jezuu, ale nas chciał zrobić w balona! Zwrócił się pan do ambasady w Berlinie?

– Tak.

– A stamtąd ściągnął listy wizowe. Pamiętam, jak je pan przeglądał, gdy ja analizowałem maila od samego siebie.

– Tak.

– Co za lakoniczność. Tak, tak, tak. – Tracz znowu zmienił ton głosu. – No dobrze, będę dopytywał. Korelując to z dalszą częścią wiadomości, podsunąłem, żeby szukał pan wiz wystawionych na dwa dni. Tak trafiliśmy na Dubera. Tadam!

– Nie widzę pytajnika.

– Chwileczkę. Nie dał się pan wyrolować i zapewne później przeszukał wizy rodzinne i to na inne okresy. Prawda? Proszę tylko powiedzieć coś więcej niż tak, tak, tak...

Deryło poruszył stopami. Adrenalina roztopiła lód i wtoczyła w nie gorącą krew. Pochód pajaków rozproszył się. Część z nich musiała załęgnać się w jego brzuchu, bo czuł szarpanie żołądka. Zgrywał bohatera, choć zbierało mu się na wymioty.

– Wiza na Dubera została wystawiona na fałszywe dane – odezwiał się, co chwila przełykając ślinę. Nie pozostało mu nic innego poza gadaniem. Tak długo, jak Tracz będzie słuchał jego historii, nie zacznie go torturować. Bo co do tego, że nie pozwoli mu po prostu umrzeć, nie miał żadnych wątpliwości. – Musiałem to ugryźć z drugiej strony. Zaczęło mnie zastanawiać, jak wiele o toczącym się śledztwie wie sprawca, a jak niewiele my wiemy o człowieku, który trafił do psychiatryka. Zadzwońłem do policjanta, który był przy twojej rozmowie z Iksem w szpitalu. To ty gadałeś jak najęty. On przez cały czas milczał. Przy kolejnej było podobnie, choć sprawiałeś wrażenie, że wzajemnie szepczecie.

– Odpowiadał mi w myślach. – Tracz pokręcił palcem przy skroni. Wciąż się uśmiechał. –

Moich myślach.

Ta uwaga nie zdziwiła Deryły. Przyjął ją jak coś całkowicie naturalnego.

– Potem szukałem dalej już pod tym kątem.

– I na co pan trafił?

– W internetowym spisie naukowych publikacji znalazłem twój artykuł o antropologicznych wrażeniach po peregrynacjach do zachodniej Afryki. Jakoś tak to zatytułowałeś?

– Mniej więcej. – Tracz oparł się plecami o ścianę. Mimo pojedynczej żarówki jego oczy błyszczały. – Ale wróćmy do początku, panie komisarzu. Do przecieku, który wywołał Świętojebliwy.

Deryło nabrał tchu. Przez cały czas zastanawiał się nad sposobem uwolnienia, jednak nie przychodziło mu do głowy. Kajdany były mocne, rama wózka przytwierdzona na stałe, a Tracz czujny. Nie miał żadnych szans.

– Chodziło o rodzinę – cedził słowa, przedłużając sylaby. Zdawał sobie sprawę ze słabości improwizacji, ale to była jedyna szansa. Zerknął w stronę rogu pomieszczenia. – Byłeś w Beninie razem z Lipner. To twoja rodzona siostra. Przypuszczam zresztą, że jest równie pokręcona jak ty. Nie mam tylko pojęcia, dlaczego ją katujesz?

– Mówiąc pańskimi kategoriami, jest nieco mniej pokręcona. – Tracz zachichotał. – Przez cały czas się buntowała i musiałem ją mobilizować, aby jak najczęściej dopuszczała do głosu nasze prawdziwe ja, a nie gnojków podobnych do Świętojebliwego.

– Zrobiła to?

– A jak pan sądzi, panie komisarzu?

Deryło jedynie domyślał się odpowiedzi.

– Wściekłeś się, gdy się zorientowałeś, że za zdjęciem zostawionym w mieszkaniu był fragment skóry z jej odciskiem palca – rzucił w ciemno. – To była twoja karta przetargowa, mam rację? Chciałeś ją tym szantażować, gdyby przypadkiem doszły do głosu jej normalne osobowości? Obstawiam, że to do niej należały ślady butów, na które trafiliśmy przy stacji benzynowej?

– Brawo, komisarzu, brawo! – Tracz z uznaniem pokiwał głową. – Naprawdę solidna dedukcja.

– W takim razie kim jest mężczyzna, który siedzi w psychiatryku?

W świecie zwierząt człowiek jest jedynym drapieżnikiem, który nie lubi zapachu krwi. W zetknięciu z nim wykazuje reakcję stresową i wstręt. Zachowuje się tak samo jak myszy, króliki i inne stworzenia klasyfikowane jako statystyczne ofiary.

Miłosz Tracz na zapach krwi reagował zupełnie inaczej. Dzieciak zaszywał się wtedy w najgłębszych odmętach jego świadomości, a na wierzch wypływały inne demony. Najczęściej pierwszy zjawiał się de Sade. Czasem dołączał do niego Ciul, a wtedy rozpoczynała się walka o władzę. Kotłowali się o to, który dłużej nacieszy się krwistym aromatem.

Tym razem metalicznordzawa woń wypełniająca podziemne pomieszczenie skusiła właśnie de Sade'a. Odsunął Borgię, z którym dotychczas rozmawiał Deryło, i z rozrzewnieniem wspomniął o słodkiej lepkości krowiej krwi. O jej cieplej, otulającej otchłani. Poczuciu bezpieczeństwa i radości z tego, że nurza się w najprzyjemniejszym aromacie świata. Razem z tym wspomnieniem pojawiło się również wspomnienie tego, co było później.

Kiedy po kilku godzinach wynurzył się z rozwleczonych zwierzęcych trzewi, dokonanej przemiany już nikt nie mógł cofnąć. Dotychczas Świętojebliwy pojawiający się na chwile modlitwy nie stanowił żadnego problemu. Po prostu główne ja wtedy odpoczywało, chłopczyk się modlił i wszyscy byli szczęśliwi. Tymczasem po pojawieniu się de Sade'a sytuacja wywróciła się do góry nogami.

Zresztą na początku de Sade nazywał się zupełnie inaczej. Przez całe lata był Złym Wilkiem, Herodem, Duchem, Wampirem... Jak każdy z nich niósł ze sobą strach i niezrozumienie. Miarka się przebrała, kiedy przyłapano go na gorącym uczynku penetrowania patykiem jamy brzusznej kota sąsiadów. Za wcześniejsze trzy trupy wina spadała na miejscowe psy. Nikt przecież nie przeprowadzał ich sekcji. Jednak tym razem nie miał możliwości wykaraskania się z opałów i musiał ponieść karę.

Właściwie wcale nie o koty chodziło. Na wsi były ich dziesiątki i każdy miał je w głębokim poważaniu, ale zaszła nieprzyjemna koincydencja zdarzeń. Tego samego dnia odnaleziono zaszlachtowaną świnię, a wokół krów pasących się na łące ktoś porozstawiał wnyki. Na tyle duże, aby po pochwyceniu nogi zgruchotać kość, a może nawet odciąć ją jak gilotynka ścinająca paznokcie.

Zarzutów było wiele. Ktoś widział, jak mały, rudy chłopiec rzuca kamieniami w żaby (kto tego nie robił?), katecheta uskarżał się, że małe bluźnił na lekcjach religii (owszem, Borgia i de Sade robili na złość Świętojebliwemu), nie panował nad odruchami fizjologicznymi (Dzieciak miał z tego niezły ubaw), a przede wszystkim kilka dziewczynek poskarżyło się na dość dwuznaczne zachowania dziwnego kolegi. W tamtych czasach wczesnej nastoletniości pojawił się Casanova. Żadne inne ego nie było zainteresowane seksualnością, a ciało chłopca nieuchronnie dorastało i żądało nowych bodźców.

Casanova również na początku nazywał się inaczej. Pan Seks, Zbok, Napaleniec, wszystkie te imiona pozostałe ja wymawiały jedynie szeptem i ze wstydlwym rumieńcem. Nawet de Sade bez mrugnięcia okiem torturujący zwierzęta brzydził się cielesnością. Do tej pory nie zgwałcił żadnej ze swoich ofiar, a nagość podniecała go tylko w połączeniu z udręczeniem.

Przed linczem niespełna trzynastoletniego chłopca uratowała matka. Nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że ojciec odszedł kilka lat wcześniej, a ona zaproponowała najdoskonalszy sposób przywrócenia syna na łono porządnej, miejscowej społeczności.

Miał się nim zająć proboszcz.

Jego metody nastawione na wyrwanie nastoletniej duszy ze szponów szatana wyznaczały zbożny cel, lecz przypominały bardziej tortury niż terapię. Sześciodniowa głodówka o chlebie i wodzie, potem dzień czystości bez jakiegokolwiek posiłku, następnie ponownie sześć dni postu. Tak przez równy miesiąc.

Dwa tygodnie spędzone w ciemnicy poddasza plebanii wystarczyłyby, aby pomieszać zmysły. Tymczasem te zakotłowały się, wzburzyły, a z ich kipieli wynurzył się Ciul. Najbardziej odporna osobowość dręczonego chłopca. Od chwili narodzin zakochany w wilgoci, pustce i mroku po latach stał się głównym organizatorem miejsc zbrodni. Zamiast schludnych przestronnych pokoi (jakie lubił Dzieciak i Borgia) odnalazł porzucone bunkry i wynajął rozpadającą się kamienicę.

Majstersztyk scenerii.

Ciul pojawiał się rzadko, ale z hukiem. Zazwyczaj wtedy, gdy zgaszone były wszystkie światła, a on mógł wyładować emocje na kolejnej ofierze. Zdarzało mu się również mordować w ciemnych zaułkach, w parku nad zalewem, w piwnicy... W tych krótkich chwilach ekstazy udowadniał sobie coś, czego żadne inne ego nie rozumiało. Solipsystycznie (zapożyczył to pojęcie od Borgii) wierzył, że cały świat jest tylko jego wyobrażeniem i nic poza nim nie istnieje. Być może była to reakcja na pustkę, w której powstał, a może mechanizm obronny przed pozostałymi ja. Oczywiście, istniało też prawdopodobieństwo, że teoria okaże się prawdziwa.

Najbardziej z Ciulem kłócił się Borgia. Nie dość że nie znosił jego podejścia do spraw światopoglądowych, to jeszcze nie uznawał mordowania dla samego mordowania. Głównym motywem jego życia stało się wykpiwanie solipsystycznych bzdur i demagogii Świętojebliwego. To Borgia wpadł na pomysł zorganizowania wypaczonej Ostatniej Wieczerzy i choć wolał ją przygotować w bardziej wymownej scenerii, Ciul wymusił na nim zaaranżowanie piwnicy.

Każde ego kierowało się ustępstwami wobec pozostałych.

Po latach nauczyli się wspólnie funkcjonować i dostosowali do warunków społecznych. Tracz był przekonany, że żaden, nawet najdoskonalszy lekarz psychiatra nie byłby w stanie zdiagnozować jego przypadłości. O ile w ogóle należało ją traktować w kategoriach

przypadłości. Dla wszystkich (poza Borgią) pozostałe osobowości istniały tak samo jak rodzeństwo dla bliźnięcia syjamskiego.

Dzięki temu doskonale nauczyli się odczuwania empatii.

Zapach krwi jeszcze mocniej podrażnił nozdrza Tracza. Nabrał głęboko powietrza i szybko zamrugał. To był jedyny odruch, którego po latach ćwiczeń nie udało mu się wyzbyć. Ilekroć Borgii zbierało się na wspominki, ocknięcie wiązało się z chwilowym oszołomieniem.

Metaliczna woń przywróciła go do rzeczywistości i przywołała pytanie zadane przed kilkoma sekundami przez Deryłę.

„Kim jest mężczyzna, który siedzi w psychiatryku?”

Prawda była całkiem zabawna.

– Nikim. – Tracz wzruszył ramionami. – Staruch w czubkowie to ludzki śmieć, mówiąc językiem mojego ojca. Znalazłem go trzy lata temu, gdy zasrany leżał w rynsztoku i usiłował wylizywać resztkę wódki z rozbitej butelki. Totalny dement i dno. Zawsze chciałem mieć ojca z prawdziwego zdarzenia, a z nim poszło całkiem gładko. Tylko że jeśli się kogoś wychowuje, to właściwie robi za dziecko. Ale nie zagłębiajmy się w pierdolone niuanse. Ważne, że wszystkie eksperymenty i hektolitry wlanych mu dożylnie substancji zadziałały tak doskonale. Naprawdę, kurwa, doskonale.

Usta profilera wygięły się w szerokim, rybim uśmiechu. Podeszedł do Deryły i oparł dłoń na oparciu wózka. Pchnął go nieco do przodu, przybliżając do leżącego na środku pomieszczenia przedłużacza.

Komisarz wstrzymał oddech. Pod linią włosów poczuł nieprzyjemny dreszcz. Jednak nie odwrócił się, by sprawdzić, co robi Tracz. Nie chciał dać mu satysfakcji, że wzbudził w nim tak głęboki strach. Jeszcze się trzymał.

– Zabiłeś Dubera – odezwał się, cedząc słowa. – Upozorowałeś to tak, żebyśmy ścigali człowieka, który gnije w jakiejś dziurze. Tak samo jak ksiądz w Beninie.

– Nie gnije, bo go załamałem szczelnie cementem. – Profiler wynurzył się zza pleców Deryły i kucnął przy przedłużaczu. – A załatwienie klechy to był pomysł Borgii.

– Kogo?

– Nieważne.

Deryło ukradkiem przebierał palcem przy mocowaniu rączki wózka do ramy. Zdawało się, że konstrukcja jest jednolitą bryłą, ale wola przetrwania kazała mu chwycić się każdego pomysłu.

– To jedna z twoich osobowości? – dopytał prawie szeptem. – Wszystko, co mówiłeś

o Iksie, tak naprawdę dotyczyło ciebie?

Tracz wczepił do przedłużacza końcówkę grubego, gumowego kabla i otrzepał ręce.

– I tak, i nie. Po latach pracy, sesji przy wódzie i ćpaniu, udało mi się zaszcześcić u niego wystarczające poczucie rozkojarzenia. Właściwie stworzyłem go na swoje podobieństwo, jak to określono w Piśmie.

– Ale nie do końca... – Deryło z rezygnacją wyprostował palce. Zgłębianie osobowości Tracza nie interesowało go w najmniejszym stopniu, lecz dawało kolejne sekundy. – Czasem nawet dement ma przebłycki świadomości. Dlatego przed osadzeniem go w szpitalu musiałeś użyć hipnozy? Nie po to, aby coś z niego wyciągnąć, ale żeby go uciszyć. Nie bałeś się, że wkrótce się ocknie i wszystko szlag trafi?

– Nie. – Profiler rozwinął pomarańczowy kabel przedłużacza i ponownie zniknął za plecami komisarza. – Tylko po to odwiedzałem go w szpitalu. Prałem mu mózg raz po raz, a do tego nastroiłem na spotkanie z panem, komisarzu. Poza tym przypuszczam, że mój przyszywany ojciec właśnie zdycha. W dość mało komfortowych warunkach.

To był oczywiście pomysł de Sade'a. Powolne podtruwanie bromadiolonem w odpowiednich dawkach potrafiło zdziałać cuda. Zamieniało zdrowego człowieka w obleczonej skórą worek krwistej brei. A do tego działało z opóźnieniem, co było szczególnie istotne.

– A ona?

Pytanie Deryły automatycznie dopuściło do głosu Borgię. Casanova również chciał się napawać widokiem nagiego ciała Lipner, ale po porannych igraszkach z samym sobą nie miał dość siły przebiccia. Był dosłownie wystrzelany.

– Co z nią?

Komisarz pocił się, nasłuchując, co za jego plecami robi Tracz. Miał wrażenie, że słyszy odgłos odpinania wtyczek i przełączania guzików w generatorze prądu. Albo tylko to sobie wyobrażał.

Musiał mówić. W ciemno snując fantastyczne teorie.

– Zabiłeś ludzi związanych ze szpitalem tylko po to, by ukryć swój prawdziwy popieprzony motyw – szeptał, starając się nie zagłuszyć dźwięków dobiegających zza wózka. – Chodziło jedynie o odciążenie uwagi od Lipner. Pewnie chciałeś się jej pozbyć w taki sposób, żeby nikt nie trafił na ślad, że to twoja siostra. Zgadza się?

– Jedna uwaga. – Tracz znowu podszedł do przedłużacza i chwilę przy nim majstrował. – Nie chciałem, tylko chcę.

Przeliterowane słowo niemalże wysyczał. Deryło czuł parcie na pęcherz, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

– Ale przy Iksie zawsze odgrywaliście szopkę – powiedział, napinając mięśnie brzucha.

– Izolatka jest monitorowana, a w jakiś sposób musiałem pilnować, żeby ten stary pierdoła niczego nie spieprzył. Dlatego nastawiłem w nim psychologiczny mechanizm kontrolny.

– Mówisz o gadce o dzieciństwie?

– Zauważył pan! – Tracz z uznaniem pokiwał głową. – Za każdym razem, gdy wspominałem o dzieciństwie, jego umysł pogrążał się w otchłani demencji. To prosta sztuczka. Sam zaczął ją stosować i wszystkich pytać o czasy młodości, nie wiedząc, że robi kuku tylko sobie.

– Nadal nie rozumiem, co takiego się stało, że chcesz zabić siostrę. Przecież wszystko działało bez zarzutu.

Profiler parsknął nerwowym śmiechem.

– Do czasu. Jej pokręcone ego chciało nas wyruchać. Na początku zwodziłem je poczuciem, że w rzeczywistości wszystko jest tylko eksperymentem, później, jak pan się

domyślił, szantażowałem odciskiem palca, ale szło mi to coraz oporniej. Chciała wykorzystać naszego pseudoojca i sprzedać nas za moimi plecami. Prowadząc z nim wywiad lekarski, zrozumiała, co się święci.

– „Brak osobowości. Próby nieudane” – zacytował Deryło. – Jej jedyne normalne ego zrozumiało, w co ją wplątałeś.

– Niestety była zbyt wyszczekana. Ale na szczęście uciszyłem ją w ostatniej chwili.

– Oni to wszystko wiedzą.

– Oni?

– W laboratorium już cię rozpracowali. Zostawiłeś zbyt wiele śladów.

– Żartuje pan. – Tracz obszedł Lipner i zbliżył się do komisarza. – Oni nie mają o niczym zielonego pojęcia. Dalej szukają jakiegoś Dubera. Opłacenie za niego czynszu na kilka miesięcy kosztowało mnie sporo kasy. Ale jak tu nie dopomóc szczęściu? Nic lepszego nie mogło mnie spotkać niż poznanie przed laty lubelaka w Beninie. Nigdy nie wiadomo, kiedy stare znajomości się przydadzą.

Deryło poczuł narastającą gulę w gardle. Pęcherz palił go żywym ogniem.

– Lipner dostarczała ci wszystkich leków i substancji, których używałeś – sapnął. – Dzięki temu zobaczyłem związek pomiędzy wami. Sprawca musiał mieć jakiś dostęp do całej tej chemii, którą pompowano w ofiary zabójstw. Inni też się w tym połapią.

Bzdura.

– Dorwą cię szybciej, niż myślisz.

– W takim razie musimy szybciej działać. – Tracz wyciągnął kabel i położył jego końcówkę na oparciu wózka, tuż przy dłoni komisarza. – Pora kończyć zabawę.

Deryło zrozumiał, że właśnie przypieczętował swój los.

Przez głowę komisarza przebiegały miliony myśli. Niczym galaktyki pędzące w rozszerzającym się wszechświecie nabrzmiały do granic możliwości i zagroziły nagłą implozją. Potem razem z krwią napierającą na ściany żył obkurczyły mózg do rozmiarów orzeszka fistaszkowego. Strzępki informacji, połączonych faktów i dawno zarzuconych teorii.

Cokolwiek, byle tylko mówić. Cokolwiek, byle tylko zyskać kolejne sekundy życia.

Tracz z triumfalną miną wyprostował palec serdeczny i wskazał na końcówki kabli.

– Nieźle. – Deryło pochwycił pierwszą myśl pędzącą przez kosmos jego umysłu. – Większość ludzi prostuje ten palec razem z najmniejszym.

Profiler, słysząc tę uwagę, lekko wydał usta. Tym razem się nie uśmiechnął, a jedynie przeciął dłonią powietrze.

– Ma pan dwa wyjścia – szepnął. – Proszę się nie łudzić, że pan przeżyje, ale jestem ciekaw, jak wielkim jest pan bohaterem. Już raz byłem zaskoczony.

– Niby czym?

– Był pan gotowy poświęcić życie za swoją córkę. Czy będzie pan równie odważny w trosce o kogoś obcego?

Deryło zacisnął zęby. Nie potrzebował następnych wyjaśnień. Mimo to Tracz mówił dalej, bezlitośnie cedząc słowa.

– Jeżeli chwyci pan wtyczki znajdujące się przy pana dłoniach, zamknie pan obwód elektryczny i skończy jak plasterek bekonu na patelni. Jednak wtedy ocali pan moją siostrę. Może utrzymam ją nawet przy życiu. Ale jeśli pan tego nie zrobi, prąd popłynie prosto do niej i to ją przypiecze na brązowy, rumiany kolor.

– Po co to robisz?

– Zaczyna być pan tak samo banalny jak każdy inny...

– Po co to, do diabła, robisz?

– Ten tekst zaczyna mnie nudzić, komisarzu. Słyszałem go już na wszystkie sposoby. Po co to robisz? Po co? Po co...

– Więc odpowiedz, do cholery!

– Zabawę czas zacząć...

Tracz podszedł do Deryły i obrócił jego wózek tak, by kątem oka mógł widzieć generator prądu. Wielka wajcha przypominała klamrę wnyków. Komisarz w panice popatrzył po końcówkach kabli zionących wiązkami przewodów. Na samą myśl o ich dotknięciu przebiegł go zimny dreszcz.

– Potrafisz przełączać swoje osobowości całkowicie dowolnie? – Nie był tego ani trochę ciekaw, ale pytanie wydało się dość absorbujące. Mogło dać mu kilka kolejnych sekund. Tylko na co powinien je właściwie spożytkować? Na modlitwę? Szybkie wyznanie grzechów? – Już dawno zauważyłem, że czasem zwracałeś się do mnie per ty, a potem ni z tego, ni z owego znowu byliśmy na pan. Ale poza zmianą form nie dostrzegłem w twoim zachowaniu niczego szczególnie popieprzonego. Nigdy wcześniej nie odezwałeś się dziecięcym głosem.

– Oczywiście, że mogę to robić, kiedy tylko zechcę. Dopóki ktoś nie chce być najważniejszy. Tak jak ja teraz.

Tracz zarechotał.

– Kilka minut temu był tu de Sade i Dzieciak – ciągnął wyraźnie zadowolony ze swojego wyводу. – Zazwyczaj dajemy się im wykrzyzczyć w nocy, bo mogliby się od razu wysypać. Są za bardzo nagrżani, zresztą tak samo jak Ciul.

– Więc z kim teraz rozmawiam?

– A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie jesteś dumny z tego, co robisz? Zawsze chcesz się podpisywać czterema iksami? Nie chodziło wcale o księdza, a o to, że jest w tobie czterech popieprzonych morderców, zgadza się?

Profiler skinął głową.

– Coraz trafniej, komisarzu. Coraz trafniej! – Położył dłoń na wajsze. Jego paznokcie zabębniły o metal. – A więc chce pan zostać nieznanym bohaterem? Czy odważy się pan przedłużyć życie tej nędznej suki chociaż o kilka chwil?

– Czekaj!

Rozpaczliwy wrzask Deryły zabręczał w bunkrze jak potrząsany słoiczek kamyków.

– Chcesz, żeby to było takie proste? – Galopada myśli jeszcze przyspieszyła. – Po prostu naciśniesz pstryczek i po wszystkim?

– Tak już jest z życiem. – Tracz pogładził wajchę wierzchem dłoni. – Ktoś naciska przycisk i już jest po wszystkim.

– Dlaczego miałbym ją uratować?

– Sam jestem tego kurewsko ciekaw.

– To twoja siostra. Nie chcesz jej zabijać.

– Technicznie rzecz biorąc, to siostra Dzieciaka i Świętojebliwego, ja nie mam z nią wiele wspólnego. Wyrzekła się mnie.

Deryło potrząsał dłońmi, napinając kajdanki. Końcówki kabla były zbyt ciężkie, by mógł je strącić. Kolejne pytania bombardowały mu umysł, ale Tracz wydawał się coraz bardziej znudzony.

– Chciałeś, żebym odnalazł ten drugi bunkier. Dlaczego?

– Nie domyśla się pan? Za kilka dni, kiedy technicy przerobią tysiące śladów, znajdą tam jednoznaczne dowody świadczące o winie niejakiego Dubera i menela, który zdechł zatruty bromadiolonem. Będą jeszcze pilniej szukać trupa.

Komisarz opuścił ramiona i zmienił temat.

– Miałeś podsłuch w moim służbowym telefonie?

– Niby dlaczego?

– Dzięki niemu dowiedziałeś się, że dzwoniłem do ambasady, i od razu chciałeś mnie zmylić, wysyłając maila. Nie spodziewałeś się, że uda mi się czegoś dowiedzieć.

Tracz oparł się ramieniem o ścianę generatora. Przypominał aktora z lat sześćdziesiątych pozującego przed obiektywami aparatów. Brakowało mu tylko wystającego z ust papierosa i wirującego wokół popiołu. Zamiast dżinsowej kurtki i spodni przydałby się również garnitur oraz niedbale poluzowany krawat.

– Owszem – przyznał po chwili. – Zaskoczył mnie pan i musiałem improwizować, ale wtedy jeszcze nie miał pan pojęcia o roli mojej siostry.

– Powinienem się domyślić już w tej pieprzonej piwnicy.

– Niby w jaki sposób?

Deryło odsunął dłonie jak najdalej od końcówek kabli. Miał wrażenie, że bez względu na to, czy je uchwyci, wiązka prądu i tak popłynie przez jego ciało.

– Urządzając jatkę, umyślnie posadziłeś Lipner przy stole. Nie wiedziała o tym, że już wtedy była twoim, jak ją sam nazwałeś, Judaszem i symbolicznie skazujesz ją na śmierć. Gdy dopadłem Iksa, powiedział, że to on chciał być na jego miejscu.

– Jeden z nas lubi takie dramatyczne akcje.

– I to z nim teraz rozmawiam?

Profiler ciężko westchnął.

– Rozczarowuje mnie pan tymi pytaniami. Na co pan liczy?

– Że nie zabijesz swojej siostry.

– Może ją pan uratować.

– Wiesz, że tego nie zrobię. Pierdol się!

– Ciul obstawiał, że zabraknie panu jaj. A ja do końca mówiłem, że jednak ma pan poświęcenie wyryte we krwi. Zresztą, mieć ją w dupie to niespecjalna ujma. Przynajmniej biorąc pod uwagę, co zrobiła.

Deryło zmrużył oczy. Pot zebrał się na powiekach i szczypał go, co chwila skapując na policzki. Jak przez mgłę widział, że Lipner leży całkowicie bez ruchu. Kable oplatały jej dłonie i ciągnęły się wokół pomieszczenia, łącząc z kolejnymi.

– Nie tylko podała mi pana na tacy, ale zrobiła dużo więcej. – Tracz wyprostował się i ponownie wyciągnął dłoń ku wajsze. – To ona pomogła mi uprowadzić pańską córkę. Wiktoria pewnie niewiele pamięta, ale całkiem dobrze zbratały się w autobusie jadącym z Warszawy. *Pardon. Zsiostrały.*

– Tym bardziej powinienem mieć ją w dupie.

– A ma pan?

– Nie dam ci tej radości.

– Nie wie pan, co da mi radość. – Profilera zacisnął dłoń na metalowym przełączniku. – Ostatni raz powtarzam. Jeżeli zamknie pan obwód, ona przeżyje. Myślę, że nie warto, ale jeszcze raz ma pan możliwość wyboru. Już bez żadnych gier i aluzji. Odliczam do trzech.

Deryło wciągnął głęboko powietrze. Krew szumiała mu w uszach, deformując kolejne słowa Tracza, jakby dobiegały zza tafli wody.

Raz.

Mocno zamrugał, starając się strzepnąć kropelki potu z powiek. Serce waliło mu w piersi, jakby chciało pogruchotać żebra i odebrać oddech.

Dwa.

Obie końcówki kabla były tuż obok jego dłoni. Wystarczyło, aby rozprostował palce i chwycił wiązki kolorowych przewodów. Mokre od potu ręce tylko przyspieszyłyby dzieło.

To ona zwabiła Wiktorię.

To ona zwabiła jego.

Pieprzona dziwka.

Trz...

Z odmętów świadomości spłynęły słowa policyjnej roty. Napuszony jak paw niemal trzy dekady temu ślubował „strzec obywateli, nawet z narażeniem życia”.

Bufonada.

Zacisnął oczy i złapał końcówki kabli.

– Jazda!

Czterech antyterrorystów uniosło żelazną pokrywę wjazdu. Liczyła się każda sekunda. Zgodnie z planem operacyjnym i tak mieli już kilkuminutowe opóźnienie. Wszystko przez niedokładność wyrysów terenu przekazanych z archiwum. Niemiecka precyzja sprzed ponad siedmiu dekad rozjeżdżała się w zetknięciu ze zdobyczami najnowszej techniki i lokalizowaniem celów przez satelity. GPS wprowadzał ludzi do jezior, ale potrafił być też zabójczo dokładny.

Po wykarczowaniu kilkunastu metrów kwadratowych chaszczki trafili wreszcie na właściwy punkt. Wjazd do bunkra nad szybem tlenowym. Jedyne słaby punkt całego systemu.

Akcja musiała rozegrać się błyskawicznie.

Czujniki na podczerwień wykryły ruch i źródło ciepła. Nasłuch co prawda został zaburzony przez niemal dwumetrową warstwę zbrojonego betonu, ale pozwolił określić pozycję znajdujących się w środku osób. Detektor kabli wyznaczył trasę, którą przebywał prąd generowany przez umieszczony w podziemiach agregat.

Założenie było proste. Należy spowodować, by w bunkrze zapadły egipskie ciemności. Pięć sekund po uniesieniu wjazdu aspirant Manowski przeciął główny przewód.

Generator prądu został rozłączony z przedłużaczem dokładnie w momencie, gdy Miłosz Tracz przesunął dźwignię włączającą prąd pod potężnym napięciem w trzymany przez Deryłę kabel. Nim zdążył się zorientować, co się stało, jeszcze dwukrotnie szarpnął ją w górę i w dół.

W tym samym momencie wokół panowała już zupełna ciemność.

Granat typu UGL oraz dwa granaty hukowo-błyskowe wylądowały w pomieszczeniu. Cząsteczki chloroacetofenonu natychmiast podrażniły błony śluzowe i spowodowały, że Tracz zachwiał się na nogach. Wskutek zaburzonej orientacji przestrzennej jego ruchy przypominały podrygi pajacyka na metalowej sprężynie.

W uszach mu piszczało, jakby ktoś przytknął do nich trenerski gwizdek i z całej siły oznajmił, że ma wypieprzać z boiska. Z oczu polały się łzy.

Dzieciak natychmiast uciekł w sam głąb podświadomości. Borgia i Casanova również zaszyli się w kącie, wypychając na wierzch Ciula i de Sade'a. Niezwykła moc tego pierwszego pozwoliła Traczowi nie upaść. Oparł się ramieniem o ścianę i sięgnął do kieszeni. Ciul był jednak zbyt narwany, by zrobić to, co należało. Stanąłby do walki z całym zastępem antyterrorystów i zapewne skończył w kajdanach.

– Komisarzu Deryło!

Krzyk zadudnił jak przetaczający się pociąg. To nie dzwonek trenerski, a pisk nadjeżdżającej lokomotywy wypełniał uszy.

– Na głębę gnoju!

Polecenie było dosadnie krótkie i wymownie konkretne. Błysk latarki przymocowanej do karabinu rozszerzył mu źrenice. Przymknął oczy, bo i tak widział jedynie kolorowe mroczki.

De Sade był gotów. Przejął stery, przeganiając Ciula i od razu podejmując właściwą decyzję.

Był zbyt oszołomiony, aby móc bronić się w inny sposób, a odsiadka w więzieniu lub innym zakładzie nie wchodziła nawet w rachubę. Kiedyś musiał się uwolnić.

Skoro nadszedł koniec, to trudno. De Sade od lat planował rozegrać go spektakularnie. Za dwie sekundy wewnątrz bunkra zamieni się w ciepłe od krwi i flaków trzewia. Powróci do dnia swoich narodzin.

W mizernej, cichej stajence.

Dwoma palcami odciągnął zawleczkę granatu.

Gdyby nie ostatnia myśl de Sade'a, wszystko potoczyłoby się inaczej. Wspomnienie obory pociągnęło za sobą cklive biblijne skojarzenia ze stajenką. Choć obrazoburcze i okpiwające, wywołały natychmiastową burzę reakcji.

Dla osobowości wielorakiej dwie sekundy to bardzo dużo czasu. Dość, aby odbyć wewnętrzną naradę nad decyzją o samobójstwie, morderczej wycieczce na inny kontynent lub pozbyciu się siostry. Naradę. Nie kłótnię.

To prawda, że wszelkie autosugestywne działania doprowadziły do wyalienowania Świętojebliwego. De Sade i Ciul przez ostatnie dni niemal zapomnieli o jego obecności. Scenka odegrana przy sekcji miała dwa końce. Na jednym znajdowała się osobowość kreowanego, przyszywanego ojca, która w odpowiednich warunkach została zmuszona niemal do całkowitego milczenia. Na drugim tkwił sam Tracz, z pełną gamą własnych ego.

W warunkach laboratoryjnych autohipnoza spełniła się doskonale. Podtrzymywana od wielu lat, pozwoliła opanować chaos.

Przynajmniej do czasu.

Świętojebliwy został zagnany w kozi róg, stłamszony i zakneblowany. W ostatnich dniach pozwolono mu się odezwać tylko raz, przy tym, jak pisali maila. Mimo cenzury Borgii drań przemycił w nim dość treści, aby Deryło odnalazł drugi bunkier. I zajął się weryfikowaniem dwuosobowych wyjazdów do Beninu.

Lewe oko Tracza zadrzało. Potarło o opuchnięty spód powieki i obtoczyło się we łzach. Język smagnął wargi.

Głos z tyłu czaszki nasilał się i choć trwało to ledwie ułamki sekundy, wyłaniał się do świadomości jak górnik wychodzący z szybu na powietrze.

Może była to kwestia uwalnianych hormonów, może świadomość rychłego końca, a może

właśnie myśl o biblijnej stajence, ale Świętojebliwemu udało się wypełznąć na powierzchnię.

W rzeczywistości nazywał się oczywiście zupełnie inaczej. Klęcząc przy matce przed posrebrzonym krzyżykiem, zaczerpnął imię od ewangelisty. Marek. I jak zwykle to na złość jemu tym imieniem przedstawił się de Sade, gdy po latach odnaleźli siostrę. Daria Lipner oddała się Markowi, choć go wcale wtedy nie było.

Jednak tym razem to on dał kopa de Sade'owi. Był zbyt ogłuszony, aby rozejrzeć się po pomieszczeniu, ale miał pełną świadomość sytuacji. Na te niespełna dwie sekundy przebił się do głosu i zdecydował za wszystkich.

Wbrew wszystkim.

Przycisnął granat do piersi i zastukał pięścią jak w trakcie wyznawania win. Jednocześnie opadł na kolana i zwinął się w kłębek.

W tym samym momencie nastąpiła eksplozja.

DWA DNI PÓŹNIEJ

99

– Twoja matka zamieniła ze mną pierwsze słowa od lat.

– Żeby powiedzieć, że Roman czuje się lepiej? A raczej że jego ciało znowu poradziło sobie z infekcją?

– Po to zadzwoniła. Ale rozmawialiśmy znacznie dłużej.

– O mnie?

– Też.

– Jestem cholernie wzruszony. Zaraz zacznę płakać...

Deryło westchnął. W rzeczywistości nie zamierzał wnikać w te wielkie tajemnice. Stał oparty o brzeg łóżka i wpatrywał się w papierowo bladą twarz brata.

Niewiele zabrakło, by leżał równie bezwładny jak on. Tyle że zamiast antyodleżynowego, wygodnego łóżka miałyby pod sobą zimny stół sekcyjny. Odłamki granatu jednak nawet go nie tknęły. Domowa konstrukcja wystarczyła, by rozorać brzuch Tracza, wyrwać mu jelita i rozrzuć fragmenty flaków i kręgosłupa w promieniu paru metrów. Niegroźnie ranny został jeden antyterrorysta. Jakimś cudem więcej strat nie było.

Wszystkich uratowało to, że profiler własnym ciałem zniwelował skutki eksplozji.

Deryło zerknął na zegarek. Czternasta siedem. Za cztery godziny powinni pojawić się na kolacji u Brzeskich. Aspirant zaprosił ich z samego rana, kurtuazyjnie naciskając na spotkanie. Niech szlag trafi spoufalenie. Po ostatnich dniach wszyscy zasłużyli na odrobinę przyjemności, a jeżeli Alicja gotowała tak doskonale, jak zawsze zapewniał Brzeski, zapowiadał się sympatyczny wieczór.

A potem kilka dni urlopu, delektowania się rodziną i spokojem. Może już teraz poleciliby do Mediolanu? Z przyjemnością rzuciliby wszystko w cholerę i jeszcze dziś razem z córką wsiadł do samolotu. Na chorobę powietrzną poradziłby sobie szklaneczką whisky. Albo

wczuwając się we włoski klimat, chlapanąby grappy, a potem przez cały lot słuchał radosnego szczebiotania Wiktorii.

Jezu. Gdyby nie te pieprzone raporty... Wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie sarta urzędowego gówna, która czekała na spuszczenie w ministerialnym szambie. Ministerialnym, prokuratorskim i komendy głównej.

Wyciągnął z kieszeni kluczyk do samochodu.

– Jedźcie do domu – wsunął go Ewie w dłoń. – Ja niedługo wrócę taksówką.

– Dlaczego?

– Chcę posiedzieć z Remim jeszcze przez chwilę. Sam.

Po raz pierwszy od lat wypowiedział to imię. Refleksja przyszła zbyt późno. Ewa zacisnęła usta, ale zrozumieli się bez słów. Skinęła głową.

– Możemy przecież poczekać. – Wiktoria nie zamierzała tak łatwo zostawić ojca. – Wrócimy razem. Przecież...

– Naprawdę nie trzeba.

– Tato...

– Wiki – przerwał, nim córka na dobre zaczęła go przekonywać. – Pozwól staruszkowi pochlipać w samotności i powspominać dawne czasy. A szkoda, żebyście się tu nudziły. Niedługo wrócę.

Pospiesznie położył dłoń na jej ramieniu i ucałował w policzek żonę. Ciepłe gesty przez ostatnie tygodnie stały się jeszcze częstsze. Mechanizm psychicznego pocieszania się i delektowania własną rodziną. Prosty, naiwny sentymentalizm. Chęć namacalnego skosztowania szczęścia.

Kiedy tylko wyszły z sali, ponownie nachylił się nad łóżkiem. W kącikach oczu zebrały mu się łzy. Otarł je wierzchem dłoni i spuścił głowę.

– Jesteś tam, Remi? – zapytał, wstydząc się własnego głosu. – Jesteś tam, bracie? Bo cholernie mi Ciebie brakuje. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo... Ciągle myślę o nas, o Miłce, o...

Głośno przełknął ślinę. Bezmyślnie przyglądał prześcieradło falujące na piersi Romana i podszedł do okna. Uchylił je, łapczywie chwytając świeże powietrze. Dwa piętra niżej silnik C6 zabrzęczał wysokim falsetem. W mroźnym powietrzu unióś się biały kłęb dymu i auto ruszyło.

Deryło uśmiechnął się, machając na pożegnanie. Pociągnął nosem, pewny, że nikt nie dostrzeże jego zaszklonych oczu. W szeregu okien stanowił ledwie zauważalną sylwetkę. Jednak wydawało mu się, że Wiktoria również przytknęła dłoń do szyby i pomachała. Chwilę później samochód wytoczył się z parkingu.

Podniósł z parapetu przełożonego przez kogoś żurawia. Bezmyślnie obrócił go między palcami i opuszką palca pogładził papierową główkę.

Z okna rozpościerała się szeroka perspektywa. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Kątem oka dostrzegł, że zza pobliskiego zakrętu wypadł pozbawiony naczepy tir. Nim zdążył mrugnąć, blisko dziesięcotonowy pojazd zjechał na przeciwny pas. Kierował się wprost na włączającego się do ruchu citroena.

Chwilę później rozległ się trzask.

Kark żurawia origami został złamany.

– FADE TO BLACK –

